

De. T. 1.  
TOM CCLXXVIII.

ROK 70.

SERYA 9.

ZESZYT 832.



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

K W I E C I E Ń.

1910.

TOM II.—ZESZYT 1.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

1910.

## TREŚĆ ZESZYTU.


		Str.
30 1.	MICKIEWICZ W ŚWIETLE Nieznanych Pism,—przez <i>d-ra Maryana Szyjkowskiego</i> . . . . .	1
35 2.	ŻYCIE WEWNĘTRZNE SICY ZAPOROSKIEJ W POŁOWIE XVIII w.,—przez <i>Fr. Rawitę-Gawrońskiego</i> . . . . .	35
3. 3.	„UNIA“ WEYSSENHOFFA,—przez <i>Henryka Gallego</i> . . . . .	58
35 4.	EPOPEE PIERWOTNE,—przez <i>d-ra J. H. Reinholda</i> . . . . .	72
5.	SPRAWA WYCHODŹTWA,—przez <i>Wojciecha Szukiewicza</i> . . . . .	97
6.	JULIUSZA SŁOWACKIEGO „LILLA WENEDA,“ —przez <i>Tadeusza Grabowskiego</i> . . . . .	131
7.	PRZEMIANA PIERWIASTKÓW,—przez <i>d-ra I. Szretera</i> . . . . .	141
30 8.	ŻYDZI W ROKU 1812,—przez <i>Dawida Kandela</i> . . . . .	157
9.	PIŚMIENICTWO: WŁADYSŁAW GRABSKI: „Bilans Królestwa Polskiego w finansach państwa rosyjskiego,“—przez <i>Wacława Dunina</i> . . . . .	176
	CHARLOTTE PERKINS GILMAN: „Kobieta, a stan ekonomiczny,“ —przez <i>W. D.</i> . . . . .	179
	ANDRZEJ BAUMFELD: „Polska myśl mesyaniczna,“—przez <i>Wł. M. Borowskiego</i> . . . . .	182
10.	KRONIKA MIESIĘCZNA: Sprawy polskie w Dumie.—Rezultaty sesji Sejmu galicyjskiego.—W atmosferze szynkownianej.—O szkołę w Kruszynku.—Procesy szpiegowskie w Krakowie, jako znak czasu.—Kilka uwag w sprawie żydowskiej . . . . .	185
30 11.	WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	200

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA


Ogólnego zbioru Tom 278.



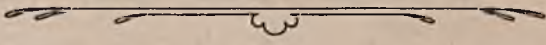
BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1910. — Tom II.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1910.

WARSZAWA, 1870

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA



De. II 1

WARSZAWA, 1870

WARSZAWA, 1870

# MICKIEWICZ

## w świetle nieznanych pism.

Z chwilą wydania „Nieznanych pism Adama Mickiewicza“, <sup>1)</sup> pochodzących z lat 1817—1823, rodzi się dla historyków literatury konieczna potrzeba zdania sprawy, o ile pożądaną jest rewizya naszego ujęcia poezyi twórcy ballad i romansów w jej najpierwszem, początkowym stadyum rozwoju. Rewizya ta musi ogarnąć fakty z życia i twórczości: nigdzie bowiem poezya nie opiera się tak w całości o rezonans życia, nigdzie chyba pomiędzy „twórczością“ a „prawdą“ tak mały nie istnieje przedział, a przeto nigdzie fakty życia nie stanowią tak bezwzględego sprawdzianu w dochodzeniu źródeł i zabarwienia natchnień poetyckich, jak w poezyi Mickiewiczowskiej. Rewizya ta musi ustalić i skorygować daty, musi całą kwestyę bio- i bibliograficzną pierwszego okresu twórczości arcyministra polskiej poezyi—na nowo przetworzyć.

Studjum niniejsze zamierza potrzebie tej choć w najogólniejszych punktach zadośćuczynić, w tych zwłaszcza, których rozprawa prof. Kallenbacha „O nieznanach utworach Adama Mickiewicza“ <sup>2)</sup> zlekka tylko dotyka lub zgoła nie porusza.

\*

\*

\*

---

<sup>1)</sup> „Nieznane pisma Adama Mickiewicza“ (1817—23). Z archiwum Filomatów wydał Józef Kallenbach. Kraków, 1910. Gebethner i Sp. 8-o, str. XVIII, 421.

<sup>2)</sup> „Pamiętnik literacki.“ VII. 75, 482 i osobno. W numerze lutowym b. r. ogłosiła „Biblioteka warszawska“ początek studjum prof. Kallenbacha p. t. „Lata uniwersyteckie Mickiewicza“, który przy pisaniu niniejszej pracy nie mógł być wzięty w rachubę.

## I. Mickiewicz Filomatą.

Mickiewicz, przybywszy 17-letnim młodzieńcem do Wilna, dostaje się w atmosferę, która ze wszech miar mogła się przyczynić do rozwinięcia i umocnienia etycznych pierwiastków charakteru. Jest to atmosfera najszczytniejszego altruizmu, która węzłem bezprzykładnego braterstwa spaja te młode dusze „kochanków cnoty.“ Związek serc, czystych jak łza, harmonia dusz, przepojonych gorącą miłością ideału — oto podłoże, na którym wyrabiają się Konradowe zarody Mickiewiczowskiego ducha, odnoszące walne zwycięstwo w celi bazylikańskiej nad Gustawem. Dzieje tej wspaniałej w założeniu i celach organizacji młodzieży wileńskiej okażą się w pełnym i dokładnym oświetleniu po ogłoszeniu drukiem całej, tak szczęśliwie przez Onufrego Pietraszkiewicza i jego potomków zachowanej, spuścizny rękopiśmiennej filomackiego archiwum. Na razie mamy w rękę wyeliminowane z tego archiwum pisma Mickiewicza, odnoszące się do organizacji Filomatów, co pozwala nam określić rolę, jaką w tej organizacji Mickiewicz odegrał. Wobec pism tych bowiem dotychczasowy pogląd na udział Mickiewicza w filomackich pracach musi ulegć zasadniczej zmianie. Udział ten określano dotąd jako raczej bierny, aniżeli czynny, ześrodkowujący się głównie na literackiej działalności autora filareckich pieśni; specjalnie nie sądzono, ażeby Mickiewicz współdziałał w szerszej mierze w organizacyjnych pracach towarzystwa. A właśnie na tym punkcie rozwinął młody student uniwersytetu ogromnie żywą i płodną w skutkach działalność; dziś stwierdzić musimy, że Mickiewicz należał do głównych organizatorów i projektodawców filomackich. Rzecz ta nie dziwi nas zresztą zgoła: Mickiewicz w całym swoim życiu był człowiekiem czynu, nieustrudzonej energii, niejednokrotnie objawiających się zdolności organizacyjnych. Takim już okazał się jako członek Filomatów w najpierwotniejszym gronie członków-założycieli, zorganizowanem 1 października 1817 r., następnie jako naczelnik Wydziału pierwszego, zajmującego się „literaturą i naukami moralnemi“ od 29 września 1818 r.;—nawet i po wyjeździe do Kowna nie przestaje poeta należeć do głównych kierowników organizacji, posyłając niejednokrotnie rady, wskazówki i nowe plany, mające na celu rozwój i bezpieczeństwo związku.

Artykułów, dotyczących ogólnej organizacji związku, jest ogółem 19, obok tego trzy „Wiadomości o Wydziale pierwszym



Towarzystwa Filomatów“, oraz cztery „Mowy Adama Mickiewicza, naczelnika Wydziału pierwszego“<sup>1)</sup>).

Pisma te, razem wzięte, obok stwierdzenia, jak ważną rolę odegrał Mickiewicz w pracach organizacyjnych związków filareckich, dostarczają w treści swojej ważnych wskazówek na określenie zasadniczych cech umysłowości młodocianego społecznika.

Treść ta przepojoną jest na wskroś hasłami wieku oświecenia: Rousseau, Encyklopedyści, francuskie związki ekonomiczne „d'encouragement“, szkoła Lankastra—to są wzory, na które niejednokrotnie powołuje się filomacki wnioskodawca. Umysł jasny, logiczny, rozumowanie trafne, wybitna zdolność konstrukcyjna, wykład zwięzły, nadto retoryczny i pleonastyczny, jedynie tu i ówdzie okraszony figurą poetycką—taki jest najogólniejszy charakter tych wywodów. Autor ich zna i ocenia należycie wartość asocjacji: „Siły nasze drobne, jeżeli je oddzielnie weźmiemy, mogą się połączeniem wzmocnić i mogą działać skuteczniej“—przemawia do nowowstępującego członka Dominika Chodźki (2 luty 1819 r.) i aksjomat ten poprzeć potrafi przykładami z historii („Wiadomość o Wydziale I Tow. Filomatów“—czytana na posiedzeniu powszechnem 15 listopada 1818 r.).

Wybitny *nerw społeczny* łączy się w tym tak młodym, a już tak dojrzałym umyśle, z bogato rozwiniętym *poczuciem prawa*.

„W społeczeństwach wielkich, jako państwach i narodach“—pisze w art. „o członkach czynnych i korespondentach“ 5—7 maja 1819 r.—„ustanowione są prawa, zawsze i wszędzie Towarzystwa obowiązujące, nadana jest siła władzy wykonawczej i niewolenia gwałtem do postępowania zgodnego z prawem. Jak tylko prawo stanęło, nie mają tam względu na niczyją wolę; chcesz, czy nie chcesz, słuchaj prawa; jeśli nie słuchasz, czekaj kary, która cię nie tylko z rzędu tego Społeczeństwa, ale z rzędu wszystkich Towarzystw i z rzędu ludzi wymaże.“

To też dwie są główne sprężyny, o które wspiera się normalny rozwój każdego zrzeszenia: gorliwość członków i formalność; na tej ostatniej „wszystko polega—ona jest matką porządku, który zrazu nieco trudny a nawet odrażający, staje się potem nałogiem czynienia dobrze i wszystkim ustanowieniom nadaje moc i trwałość“ („Wiadomość o Wydziale I“—15 listopada 1818 r.).

<sup>1)</sup> Dla objaśnienia dodajemy, że Tow. Filomatów w pierwszym zarysie obejmowało dwa wydziały, a mianowicie, obok Wydziału literackiego, „Wydział nauk matematycznych, fizycznych i medycznych“.

W ten sposób na różnych miejscach określiwszy jasno swoje stanowisko, poddaje autor szczegółowe swoje wnioski pod dyskusję kolegów, w której „orzeźwiamy, wzmacniamy, podnosimy władzę myślenia, uczymy się mieć zdanie własne“ (Mowa na pierwszym posiedzeniu naukowym Wydziału I—29 września 1818 r.).

Niemal trudno uwierzyć, że ten nad wiek rozsądny, lekturą mistrzów wieku „rozumującego rozsądku“ zaprawiony umysł prawniczy, lada dzień stanie się heroldem „czucia i wiary“ i wydobędzie uśpiony w głębi krzyk miłosny oszalałego Gustawa, który zagłuszy wszystko, co kiedykolwiek w literaturze naszej zapisał miłosny zrodził.

Przeważnie niepodobna dzisiaj, przed ogłoszeniem archiwum Filomatów, oznaczyć, co w organizacyjnych artykułach Mickiewicza jest myślą indywidualną, co zaś tylko autor podnosi i rozwija, jako rzecz szczególnie trafiającą mu do przekonania. I bez tej na razie dystynkcji warto jednakże zaznaczyć najogólniejsze idee wywodów Mickiewicza.

Przeważna część pism tych obraca się około sprecyzowania celów stowarzyszenia. Cele te, formułowane zrazu ogólnie i nieco jednostronnie, pogłębiają się i rozszerzają w miarę postępu organizacji. W siedem dni po zorganizowaniu pierwszego koła Filomatów—pisze poeta: celem naszym uczyć się (O organizacji Filomatów—7 października 1817 r.). Tymczasem wiemy skądinąd, że pierwotny zarys, którego cel dał się w tak krótki sposób ująć, przetrwał tylko do 23 czerwca 1818 r.<sup>1)</sup>, poczem nastąpiła reorganizacja Towarzystwa na szerszych podstawach. Reorganizację tę przeprowadzono lub uzupełniono 29 stycznia 1819 r., taką bowiem datę nosi pismo Mickiewicza „Instrukcyja dla Tomasza Zana, podług Rządowych<sup>2)</sup> postanowień, zapadłych na dniu 29 stycznia 1819 r.“ W instrukcyjach tych spotykamy już następujące określenie celu: „Celem Towarzystwa Filomatów, *jak wiadomo* (więc rzecz już dawniej postanowiona) jest, mówiąc najogólniej, *dobro powszechne*, szczególnie wzrost oświecenia i co między tym łączy, przykładanie się drogą oświecenia do wszczepienia moralności, narodowości etc.“

Jest to mniej więcej program nowożytnego towarzystwa oświatowego, który wyłonił się konsekwentnie z dawnej zasady:

<sup>1)</sup> Stanisława Pietraszkiewiczówna: „Dzieje Filomatów w zarysie,“ w „Przeglądzie powszechnym,“ 1909, t. 102, od zeszytu V-go.

<sup>2)</sup> Objasniam, że mowa tu o Rządzie, czyli centralnym Wydziale filomackim.

tamta bowiem polecała uczyć *siebie*, ta zaś nakazuje uczyć drugich, celem podniesienia dobra powszechnego, na które *na razie* składają się wyrobienie moralności, poczucia narodowego etc.

O celu pierwotnym Filomatów dowiadujemy się dokładniej z ust samego Mickiewicza, mianowicie w jego projekcie statutu dla Klubu Przyjaciół (między 12 marca a 7 kwietnia 1819 r.). Czytamy tamże w „Ustawach Klubu“: „Nauka i zabawa są celem Klubu Przyjaciół. Otwartość, przyjaźń, szczerłość są jego zasadami a wspólna pomoc i zupełna między członkami równość najściślejszym węzłem”—na marginesie zaś dodaje poeta: *te artykuły z pewną odmianą mogą być wzięte z ustaw dawnych Towarzystwa.*

Jak wielkim był autorytet poety świadczy o tem fakt, że obie myśli przez niego poruszone, tak w instrukcyi dla Zana, jak i w projekcie statutu dla Klubu Przyjaciół, weszły w czyn. „Klub Przyjaciół,” na zasadach proponowanych przez Mickiewicza, założono 19 kwietnia 1819 r., zaś statut Klubu przeniesiono następnie w ogólnym zarysie na związek ogólny „Promienistych“ (6 maja 1820 r.), choć nazwa tych ostatnich i szczegóły bardziej formalnej, aniżeli rzeczowej natury, pozostają własnością ekscentrycznej teoryi „promionkowej“ Arcypromienistego (Zana); praca zaś nad instrukcją krajową wypełniła rok 1819/20, wydając drugą filię Filomatów: „Związek naukowy“ (od grudnia 1819 r.)<sup>1)</sup>.

Poeta jednak doskonale rozumie, że i ostatnia formułka wymaga ściślejszego określenia. Stwierdza to w piśmie „O członkach czynnych i korespondentach“ (5—7 maja 1819 r.). Zauważwszy, że „pierwsze Towarzystwo przed reformą ustaw miało cel bardzo mały”—wywodzi dalej: „Gdy w duchu każdego prawie z członków obudziły się wyższe chęci, cel stawał się ogólniejszy, ustawy musiały się odmienić; ale ten cel, bardzo dobrze *w uczuciu naszym pojęty*, dotąd ściśle określonym nie był.“

Jest to znakomite określenie rozdziału, jaki istnieje zawsze pomiędzy poczetą w duchu ideaą a jej przyobleczeniem się w realny kształt pozytywnego programu. Ta kwestya programowa zajmuje też nadal myśl poety, która zatacza pod tym względem coraz szersze kręgi, postępując krok za krokiem w szerz i w głąb sprawy i pozwalając śledzić ten interesujący proces intelektualny. I tak, w piśmie „O potrzebie związku wstępnego“ (13 maja 1819 r.) porusza autor nowy moment: „Może się założyć Klub z obywateli w celu założenia Fabryki pożytecznej, papierni, drukarni lub

<sup>1)</sup> Pietraszkiewiczówna l. c.

tym podobne. Członkowie nasi, do Klubu tego wchodzący, mają go podbudzać do działania, starać się, aby przyszedł do skutku; chociażby niezupełnie czynnościami kierować mogli, zawsze kraj będzie miał pożytek z zaprowadzenia pożytecznej Fabryki. Może być równie Klub uformowany między klasą wyższą lub niższą, dla oparcia się wpływowi żydów, dla dźwignienia handlu, podniesienia Rolnictwa, dla wspomagania funduszami Edukacyi.“

Nie wchodząc tutaj w rozpatrywanie, o ile myśl poruszona mogła być w praktyce wykonalną siłami kilku dziesiątków młodzieży wileńskiej, stwierdzić należy, że wybiegała ona już nietylko poza rogatki Wilna, ale bodaj i poza czas, w którym się urodziła. Wszakże to postulat samodzielności ekonomicznej, idea, do której zrealizowania dążymy z małym skutkiem do dnia bieżącego, bo zrozumienie jej wcale jeszcze nie stało się własnością powszechną.

Do „dobra powszechnego“, gruntującego się dotąd na oświeceniu, moralności, narodowości i t. d. przyłącza się idea ekonomicznej niezależności, dobro materyalne, które dopiero w parze z takimi przymiotami ducha wytworzyć może doskonały typ materyjalnie niezawisłej, umysłowo oświeconej i narodowo uświadomionej jednostki obywatelskiej.

Nie na tem jednak wyczerpała się już kardynalna zasada programowości; przyłączają się do niej jeszcze nowe momenty, wyłaniają się z panującego ducha czasu postulaty ogólne, które rozsadzają coraz więcej tak szczupłe rany pierwszego programu, streszczającego się w idei samokształcenia; albowiem zasadę „mierzyć siły na zamiary“ już był wypowiedział wielki Filomat dnia 29 września 1818 r. na pierwszym posiedzeniu naukowym Wydziału I w następujących słowach: „Wmówić w człowieka, iż jest zdolnym, nie mówię do wykonania wielkich rzeczy, ale przynajmniej do myślenia o nich, już jest wielką rzeczą.“ „Zrazu szło nam o małą dawnych ustaw poprawę — pisze Mickiewicz w art. „O wpływie klas wyższych Tow. Filomatów na niższe“ 9 czerwca 1819 r.— wreszcie... zupełnie od dawnych oderwaliśmy się ustaw... ukazało się nowe, ogromne i wszystko objąć mające systema.“

Najpełniejsze i zdaje się definitywne określenie programu związków filareckich znalazło swój wyraz w artykule „O Towarzystwie Filomatów i jego stosunku do stowarzyszeń, założycy się mających“ (z maja 1819 r.), w ustępie przez autora czerwonym ołówkiem podkreślonym: „Rozszerzyć jak tylko można gruntowne oświecenie w narodzie polskim, poprawić instrukcyę, ugruntować niezachwianie narodowość, rozszerzać zasady liberalne, obudzać duch działania publicznego, zajmowania się rzeczami, ogół narodu

obchodzącemi, nakoniec formować, podnosić i ustalać opinię publiczną—poczem niby od siebie, jakkolwiek rzecz ta była już poruszona: „dodałbym: starać się o rozkrzewianie pewnych zasad moralności, tak mocno między młodzieżą nadpsutej. Tym się odróżnili Pitagorejczycy i w początkach chrześcijańskie;“ i w końcu, jakby próbując ująć całość w ogólną, syntetyczną formułę: „Przyniesieć pożytki narodowi, jakie *dyrekcie* lub *indyrekcie* z oświecenia wypłynąć mogą—to jest wyciągać wszystko z oświecenia, co narodowi polskiemu może być pożyteczne.“

Jest to ostateczne wyczerpanie kwestyi programowej Filaretów w artykułach Mickiewiczowskich, które niweczy do niedawna utrzymujący się pogląd, jakoby związki filareckie były tylko kółkami uczącej się i „festynującej“ młodzieży a cele polityczne i wolnościowe przypisywała im jedynie perfidya Nowosilcowa <sup>1)</sup>.

Program ten zasługuje z wielu względów na baczniejszą uwagę. Wysłunięto w nim na czoło zasadę narodowości, pożytek narodowy, do którego prowadzi jak najszerzej pojęta oświata; wprowadzono moment socyalny, „zasady liberalne,“ dążenie do demokratyzacyi społecznej—dodano wysoce charakterystyczny punkt „formowania, podnoszenia i ustalania opinii publicznej“—wreszcie ze szczególnym naciskiem podnosi poeta od siebie myśl krzewienia moralności, jaką odznaczali się Pitagorejczycy i—charakterystyczne zastrzeżenie—w *początkach* chrześcijańskie.

Niektóre z poszczególnych postulatów uzasadnia autor i rozwija szerzej w innych swoich artykułach. I tak, szerzenie zasad liberalnych powoduje, że w skład Towarzystwa wchodzić mają „osoby średniego stanu“; kluby, na które Filomaci tylko pośredni wpływ mają wywierać, „mogą się tworzyć między osobami wyższymi, czyli magnatami, ale samo Towarzystwo, licząc w to i klasę wstępną <sup>2)</sup> (zgadzam się z kolegą, który to również utrzymywał) z osób średniego stanu składać się powinno.“ Kwestya ta wywołała widocznie żywą dyskusyę w łonie Filomatów, a Mickiewicz należał do rzeczników „liberalnego“ składu członków.

<sup>1)</sup> Wyraźny ślad znoszenia się Filomatów ze związkiem Łukasińskiego zawiera się w liście Mickiewicza do Onufr. Pietraszkiewicza z Kowna, paźdz. 1820 r., list w wyd. Kallenbacha 37—na co zwrócił uwagę wydawca; podobnie porozumiewali się Filomaci ze spiskowcami z gubernij południowych. Por. list do O. Pietraszkiewicza (51) z Kowna, w końcu czerwca 1819 r.

<sup>2)</sup> T. j. jakby przygotowawczą, nie obznajomioną dla bezpieczeństwa ze wszystkimi arkanami organizacyi, na wzór „Klubu Przyjaciół“.

Gorąco zwłaszcza rozwodzi się poeta nad ważnością opinii publicznej i koniecznością jej urabiania, co wywołuje postulat założenia pisma peryodycznego. Wiemy dzisiaj wprawdzie na podstawie łącznie wydanych z archiwum Filomatów listów Mickiewicza, że częściowo „Wiadomości brukowe“ pełniły służbę organu Filomatów, w którym nietylko pojawiały się „rozdziałki“ Zana, ale i Mickiewicz przeznaczał dla nich artykuły <sup>1)</sup>.

„Wiadomości“ jednak, wydawane w Wilnie przez Towarzystwo Szubrawców, były pisemkiem satyrycznym i jako takie mogły „oczyszczać obyczaje,“ jedynie w sposób negatywny. Poważne związki filareckie potrzebowały organu o innym charakterze. Potrzebę tę uzasadnia Mickiewicz w „Uwagach tyczących się pisma peryodycznego“, czytanych na posiedzeniu naukowym d. 26 marca 1820 r. Dobitnie i barwnie określa tu poeta znaczenie i misję prasy: „Opinia publiczna—czytamy—jest to zbiór wielu szczególnych mniemań. Znaczniejsza część ludzi, natłokiem i różnaitością zatrudnień, brakiem potrzebnych wiadomości, nie jest w stanie ciągle i dobrze publiczne rzeczy poznawać i oceniać. Ktokolwiek zatem jaśniej w polityce widzi, tego dobro publiczne obowiązuje, aby jak najczęściej do innych ludzi przemawiał. Jakoż gazety i pisma peryodyczne są w kraju wolnym nakształt kanałów, któremi, że tak powiem, krew, całe polityczne ciało ożywiająca, krąży. Z nich, jak z uderzeń pulsu, badacz umie wyrozumieć stan narodu, na drugim końcu ziemi położonego, a każdy zamach na wolność bywa pospolicie zrazu na pisma peryodyczne wymierzony.“

Wreszcie i zasada moralności, etycznego podnoszenia młodzieży, gorącego w twórcy „Ody do młodości“ znajduje orędownika. Na myśl tę szczególny kładzie nacisk w mowach. Jako naczelnik Wydziału literackiego przemawia z urzędu w uroczystych chwilach inauguracji posiedzeń lub przyjęcia nowych członków—i wtedy zdobywa się na akcenty silne, płynące z gorącego umiłowania wspólnej sprawy, na ton podniosły, wywołany głębokim odczuciem i zrozumieniem idei filomackiej. Trzeba się łączyć i wspierać nawzajem w przyjaźni i braterstwie, zwłaszcza u progu życia, gdy okręt „z masztem i żaglami, ale bez majtków wypuszcza się na morze“ (mowa na przyjęcie Giecołda i Budrewicza, 24 maja 1819). Potrzeba wyrabiać sobie siłę charakteru i zdolność

<sup>1)</sup> „Doniesienie wojażera od stron Jeruzalemskich z miasteczka Zaniemuwos,“ list do Jeżowskiego z Nowogródka, 1818 r. (?). „Przypadek na gościńcu między W. i K.“ w liście do Zana z Kowna, w końcu grudnia 1820.

do poświęceń, szczerze i otwarte na świat spojrzenie, ażeby nie być, jak „te sztuczne marionetki, ludźmi zwane“, które „ściskają nas przyjacielsko, uśmiechają się, płaczą, ale u spodu teatru siedzi egoizm, chciwość lub duma, poruszająca sprężyny, władające osobką“; „unysł... czołga się przed zyskiem i własnej tylko słucha miłości. Odkryj się przed kim z wielką myślą, z wielkim zamiarem; co-byś miał w nim uczucie wyższe obudzić, obudzisz uśmiech obojętności! Te podłe istoty tak dobrze znają swoją wartość, iż między wielką rzeczą a między sobą śmieszny upatrują kontrast.“ (Mowa na pierwszym posiedzeniu naukowem Wydziału I, 29 września 1818 r.)

Jest to już nietylko wyraźne wyłożenie idei, rozwiniętej w „Odzie do młodości“, o dwa przeszło lata późniejszej, ale i analogia w formalnem jej ujęciu. Odnosi się to do obrazu ludzi-marionetek, których unysł „czołga się przed zyskiem i własnej tylko słucha miłości“, u których przyjaźń na twarzy, „ale u spodu teatru egoizm, chciwość lub duma.“

Oto obraz samolubą, czołgającego się, jak „płaz w skorupie“ na padole gnuśności, obraz ideowo tożsamy, w dekoracyjnem rozmieszczeniu podobny (u góry: altruizm, u dołu: egoizm), obraz silnie tkwiący w umyśle mistrza-Filomaty, bo na senzytywnej podstawie: nienawiści dla sóbkostwa—oparty, „cyrklem ducha uniesień“ odmierzony, w szczytnej atmosferze wysokiej etyki filomackiej wypielegnowany.

Jeden jeszcze ton, którego w programie filomackim dotąd wyraźnie słyhać nie było: w ostatniej swojej mowie, wygłoszonej na przyjęcie Giecołda i Budrewicza 24 maja 1819 r., wypowiada Mickiewicz te znamienne słowa: „trzeba... *doskonalenia serca, od którego szczęście lub nieszczęście przyszło najwięcej zależy.*“

Jest to punkt ostatni, nieoficyalnie już niejako dodany do programu Filomatów, hasło nowego wieku, podniesione przez kochankę Maryli i herolda świadomie rzuconego wyzwania:

Martwe znasz prawdy, dalekie od ludu,  
Widzisz świat w prozku, w każdej gwiazd iskerce,  
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu!  
Miey serce i patrzay w serce.

W zespole dusz młodych a czystych, sprzęgniętych promienną wstęgą miłości ideału, poczęła się myśl o czynie dobrym: zrazu drobna, jak grudka śniegu na szczycie, rosła i olbrzymiała, pędzona orlą potęgą młodego zapału, nakształt lawiny, łamiącej

wszelkie zapory rzeczywistości i chłodnego obrachunku. A w tym lawinowym pędzie na bój z przyziemnością i karłowatością, wypełniała się dusza Konrada po brzegi treścią, z której późniejsze życie pozdzierało tęczową złudę, że sinok piekielny ginie od jednego pchnięcia grotu św. Jerzego, której jednak wewnętrzna głąb: miłość dogmatu i płynący z niej imperatyw: służba dogmatu—starczyły na życie całe, aż po chwalebłą śmierć na posterunku.

Staralem się z pism organizacyjnych Mickiewicza-Filomaty wyłowić ogólny zarys rozwoju idei filomackiej, jak się ona nam w tych pismach przedstawia. Pomysły Mickiewicza, odnoszące się do właściwej roboty organizacyjnej, praktyczne jego wskazówki, co do składu Towarzystwa, podziału na klasy i stopnie etc. nie będą nas tu dłużej zajmowały. Ogólne wiadomości o tem podaje wymienione studjum panny Stanisławy Pietraszkiewiczówny, jakkolwiek autorka nie specjalizuje w niem autorstwa poszczególnych projektów, a w pełnem oświetleniu rzecz ta okaże się po wydaniu archiwum Filomatów.

Tutaj wystarczy stwierdzić, że główny nacisk kładzie Mickiewicz na zabezpieczenie organizacji od zamachów zewnątrz. Wszystkie tajniki mają być znane tylko szczupłemu gronu, stanowiącemu właściwy Rząd filomacki, do którego mogą być dopuszczone tylko wypróbowane charaktery, poddawane poprzód ścisłej konfrontacji co do sposobu myślenia i poglądu na sprawę, stanowiące program Filomatów. Powinno się działać tajemnie; wtedy „wszystkie przeszkody są tylko przypadkowe.“ „Przy jednostajności celu Towarzystwo powinno być jak najwięcej skomplikowane i pozornie rozmaite; cała jego budowa ma być niewielu znajoma. Tajemnica jest pokrywą, która maszyną zasłaniając od pyłu i działania atmosfery, zabezpiecza jej pewne działanie. Skład zaś sztuczny i skomplikowany takowej maszyny powinien być taki, iżby chcący burzyć ją, nie wiedział nawet wszystkich jej części i nie wiedział, które z tych części naprzód burzyć należy.“ („O Towarzystwie Filomatów i jego stosunku do stowarzyszeń założycieli się mających.“ 2 maja 1819 r.)

Związek wstępny, kluby filareckie, mają być niby komory, oddzielone w ten sposób od głównego korpusu, że ich zniszczenie nie dotyka głównej części budowy. Myśl tę powtarza Mickiewicz nie mniej plastycznie w artykule „O częściach składowych Towarzystwa Filomatów w stosunku do całości“ (1 czerwca 1819 r.), przyrównując organizację do polipa, którego odcięte części w nowe



kształcą się całości i zamiast zniszczenia, mnożą się bez końca.“  
Potrzeba „w przypadku zarazy odosobnić jedną część od drugiej.“

Troskliwość o dobro Towarzystwa nie przestaje zajmować poety i po wyjeździe do Kowna. Stamtąd zasila przyjaciół nie tylko wierszami na pokrzepienie serc, ale i nie przestaje również przysyłać swoich uwag co do wypadków, zaszytych w łonie organizacyi, o których każe się szczegółowo informować. W liście do Zana, około 18 maja 1820 r., występuje z bardzo szczegółowym projektem założenia towarzystwa pod nazwą „Świat i miłość“ na wzór „Rzeczypospolitej Babińskiej,“ któreby wzięło sobie za cel „poprawianie bez szyderstwa, wpajanie prostoty, obrzydzanie ceremonij pańskich etc.“

A wszystko to zaledwie jedna strona, zewnętrzna, działalności Mickiewicza-Filomaty; pozostaje do omówienia jego działalność wewnętrzna w Towarzystwie, praca ogromnie gorliwego i czynnego członka „Wydziału literatury i nauk moralnych.“ Zanim jednak o niej wspomnimy, zapytajmy, czy i o ile program Filomatów, rozwinięty w artykułach Mickiewicza, opiera się o wzór literacki?

W poszukiwaniu za tym wzorem nasuwa się przedewszystkiem słynne i rozgłośne wówczas dzieło J. J. Rousseau'a „Du contrat social.“ Istotnie, „Umowa społeczna“ obywatela genewskiego dostarcza zupełnie wystarczającego materiału do przyjęcia analogii pomiędzy nią a ideą Filomatów w pismach Mickiewicza; co więcej, pod pewnymi względami pozwala się domyślać bezpośredniego wpływu.

Wiadomo, choćby z IV części „Dziadów,“ że Mickiewicz znał dokładnie „Nową Heloizę“ Rousseau'a; przypuszczają, że na koncepcję „Dziadów“ wileńskich oddziałał silnie „Emil“<sup>1)</sup>. Zupełnie naturalną byłoby rzeczą, gdyby w projektach, dotyczących „umowy“ filomackiej, oparł się był Mickiewicz na nie mniej głośnej „umowie socyalnej“ twórcy „Wyznań,“ na którego w artykułach swoich z naciskiem dwukrotnie się powołuje<sup>2)</sup>. Pozwalam sobie tej analogii dowieść, wskazując pokrewne a przewodnie myśli dzieła Rousseau'a<sup>3)</sup>.

1) Z. Matkowski: „Rousseau—Mickiewicz“ („Dziady“ wileńskie a „Emil“) w Rozprawach Akad. Um. wyd. filol., 1907, t. XXVII, ser. II, 311—48.

2) W mowie na pierwszym posiedzeniu Wydziału I i w mowie do Jana Czeczota.

3) Cytuję wedle znakomitej edycyi Ed. Dreyfusa-Brisaca, Paris, 1896.

Oto przedewszystkiem zasadnicze określenie społecznego związku: „Chacun de nous met en commun sa personne et toute sa puissance sous la suprême direction de la volonté générale; et nous recevons en corps chaque membre comme partie indivisible du tout“ („Du pacte sociale,“ s. 33) — poczem następuje bliższe określenie: nie jest to związek wyższego z niższym, lecz związek ciała z każdym swoim członkiem; „convention legitime, parce qu'elle a pour base le contrat social; équitable, parce qu'elle est commune à tous; utile parce qu'elle ne peut avoir d'autre objet que le bien général; et solide, parce qu'elle a pour garant la force publique et le pouvoir suprême“ („De bornes du pouvoir souverain,“ s. 59). Ostatecznie każdy system praworządny opiera się o zasady republikańskie; „boć wreszcie rządzi jedynie interes publiczny. Prawa zaś warunkują tylko obywatelską assocyację“ („De la loi,“ s. 68). Ma to być więc związek „równych z równymi,“ o silnej jednakże konsolidacji wewnętrznej, nihilującej wszelką samowolę, wszelkie wybujałości indywidualne, domagające się podporządkowania całego siebie pod naczelną i kierującą ideę „dobra powszechnego.“

Taką jest podstawa, na której buduje Rousseau gmach idealnej swojej organizacyi — podstawa, nie odbiegająca w niczem od zasady, na której wspiera się program Filomatów w pismach Mickiewicza. To jednak jest dopiero „akt pierwotny, przez który ciało formuje się i łączy“; akt ten „zgoła jeszcze nie określa, co trzeba czynić, ażeby to ciało umocnić“ („De la loi,“ s. 63). Potrzebne są tu prawa, stanowiące, jak wspomniano, konieczny warunek każdego zrzeszenia. Ten system prawny musi być przedewszystkiem dostosowany do grupy ludzi, jaką ma objąć. Określa to autor w sposób następujący: „Jak przed wzniesieniem wielkiego gmachu architekt obserwuje i bada grunt, ażeby widzieć, czy może się na nim utrzymać ciężar, tak mądry prawodawca nie rozpoczyna od redagowania dobrych praw samych przez się, lecz wybaduje pierwej, czy lud, dla którego je przeznacza, potrafi je znosić“ („Du peuple,“ s. 77).

Z zupełnie identycznej zasady wypłynęła konieczność badania ludzi przed przyjęciem ich do związków filareckich; nastąpiło tu tylko pewne konieczne, z natury rzeczy wynikłe odwrócenie. Filomaci bowiem, działając w praktyce, mieli już gmach gotowy, dostosowany zresztą do właściwości wewnętrznych członków pierwszego grona założycieli. Chodziło więc o badanie „nowych ludzi,“ czy mają konieczne warunki, ażeby gotowej budowy nie skrzywić, lub zgoła nie zniszczyć.

Dwa cele najważniejsze powinien mieć system prawny na oku; wolność i równość („Des divers systèmes de legislation,” s. 87).

Prawa powinny dokładnie określać stosunek wzajemny członków: każdy członek powinien być jak najbardziej niezawisły od innych a najbardziej zawisły od państwa (sc. dobra powszechnego, „Divisions des lois,” s. 92).

Jest to mniej więcej w skróceniu system, proponowany przez Mickiewicza, polegający na konstrukcyi maszyny złożonej i oddzielnie działających na wspólny pożytek kółek.

Które prawo jest wedle Rousseau'a najważniejsze?—oto to, „które nie ryje się ni w marmurze, ni w spiżu, lecz w sercach obywateli; które tworzy prawdziwą konstytucyę państwa; które z dniem każdym nowych sił nabiera; które, kiedy inne prawa starzeją się i gasną, ożywia je lub uzupełnia, konserwuje naród w duchu jego instytucyi i zastępuje niewidocznie siłę władzy siłą przyzwyczajenia. Mówię o *obyczajach, zwyczajach a przedewszystkiem o opinii*; część nieznaną naszym politykom, choć od niej powodzenie wszystkich innych części ustroju zależy; część, którą wielki prawodawca zajmuje się w tajemnicy, udając, że ogranicza się jedynie uregulowaniem szczegółów (à des réglemens particuliers), stanowiących zaledwie łuk sklepienia, w którym obyczaje, wolniej się kształtujące, tworzą w końcu klucz niewzruszony“ („Divisions des lois,” s. 93).

Tu już jest uderzająca zbieżność myśli, które Mickiewicz od siebie podnosił; gorąca siła przekonania, z jaką podkreśla „obywatel genewski“ ważność „obyczajów, zwyczajów a przedewszystkiem opinii“ w każdym ustroju prawnym, zdaje się udzielać Mickiewiczowi, kiedy do programu Filomatów dodaje postulat wpływania na moralność społeczną a przedewszystkiem, kiedy występuje z projektem założenia pisma peryodycznego, celem formowania i kierowania opinią publiczną, której znaczenie w sposób nie mniej dobitny a więcej obrazowy podnosi.

Co do doniosłości obyczajów, zasady moralnej w systemie prawnym—myśl ta tem silniej mogła utrwalić się w przekonaniach Mickiewicza, że powtórzenie jej, co prawda krótkie i nie tak dobitne, spotkał w czwartej części „Nowej Heloizy“ (dans la République on retient les citoyens par des moeurs, des principes, de la vertu...). Nawet owo charakterystyczne powołanie się na moralność, jaką odznaczali się „w *po zatkarkh* chrześcijanie“—tkwi w wybitnie i niejednokrotnie przez Rousseau'a podkreślanym deizmie. Deizm jest wprawdzie modną teorią „piękno-duchów“ wieku oświecenia, nigdzie może jednak nie jest on tak konsekwentnie

przeprowadzony, jak w dziełach Rousseau'a. Wszakże łączy się on organicznie z programem wychowawczym „Emila,” stanowi o całe niebo pozytywniejsze „wyznanie wiary,” aniżeli negatywny ateizm Woltera, pod którego urokiem młody Filomata jednocześnie pozostawał. Obaj też francuscy mistrze oddziaływać musieli w tym kierunku równolegle na stanowisko Mickiewicza. „Umowa społeczna” wypowiedziała się pod tym względem niejednokrotnie— przytoczę miejsce, które mimowoli przypomina owo zastrzeżenie Mickiewicza co do moralności chrześcijańskiej. Mówi o niej Rousseau w ustępie „O religii obywatelskiej” (s. 214 i n.), zastrzegając się analogicznie, że ma na myśli „chrześcijaństwo, nie to dzisiejsze, lecz owo ewangeliczne, które jest całkiem od tego różne. Przez tę religię świętą, wzniosłą, prawdziwą, ludzie, dzieci tego samego Boga, uznają się wszyscy wzajem za braci, a społeczność, która je łączy, nie rozwiązuje się nawet po śmierci” (s. 226).

Jeszcze charakterystyczniejszą wydaje mi się zbieżność obu poglądów co do ważności opinii publicznej. Do kwestyi tej wraca Rousseau powtórnie w ustępie „O cenzurze,” który na zakończenie przytaczam w oryginale: „Chez tous les peuples du monde, ce n'est point la nature, mais l'opinion, qui décide du choix de leurs plaisirs. Redressez les opinions des hommes et leurs moeurs s'épureront d'elles mêmes. On aime toujours ce qui est beau ou ce qu'on trouve tel; mais c'est sur ce jugement qu'il s'agit de régler. Qui juge des moeurs juge de l'honneur; et qui juge de l'honneur prend sa loi de l'opinion” (s. 211).

## II. Krytyka literacka Mickiewicza.

Postulat samokształcenia, jądro, z którego wyrósł program filomacki, miał być wprowadzany w czyn za pośrednictwem prac krytyczno-sprawozdawczych, odczytywanych i poddawanych dyskusyi na posiedzeniach członków wydziałów. Myśl tę w formie szczegółowych projektów wyłożył sam Mickiewicz w artykułach pod nazwą „Instrukcja dla pisania Wiadomości naukowych,” oraz „Instrukcye w sprawach Wiadomości naukowych i pism peryodycznych” (listopad i grudzień 1818 r.). Należał zaś poeta do tych nie tak często spotykanych umysłów, nietylko płodnych w podawaniu świetnych projektów teoretycznych, ale i w praktyce dowodzących ich aktywnej wartości—należał jednym słowem do najgorliwiej wypełniających swoje obowiązki członków *czynnych* Towarzystwa. Całą tę rozległą pracę w łonie organizacyi można

podzielić na krytyczno-sprawozdawczą i twórczą, gdyż pierwsze próby poetyckie twórcy „Ody do młodości“ związane są bezpośrednio lub pośrednio z pracami filomackimi. Pod tymi obu względami wydane „krytyki i sprawozdania,“ „poezye“ i korespondencya, na którą składa się 95 listów, pomiędzy 1816—23 r. pisanych, przynoszą istotnie bezcenne szczegóły.

Pod nagłówkiem „Krytyki i sprawozdania“ obejmują „Nieznane pisma“ artykułów 11; z tej liczby jednak dwa ostatnie pisma nie należą właściwie ani do krytyk, ani do sprawozdań. Jest to „Wstęp do historii,“ prawdopodobnie początek seksternu do nauki historii w szkole kowieńskiej i szkic artykułu, przeznaczonego przypuszczalnie do jednego z czasopism francuskich p. t. „L'art dramatique en Pologne.“ Pozostaje tedy 9 pism, określanych przez autora jako „uwagi,“ „recenzye“ i „referaty“ lub „wiadomości naukowe.“ W określeniach tych jest widoczny zamiar odróżnienia charakteru treści: referat i wiadomość naukowa—oznacza zazwyczaj pracę sprawozdawczą o dziełach i czasopismach naukowych, uwaga i recenzja wchodzi w zakres krytyki literackiej, omawiającej utwory kolegów-Filomatów. Czytane były te pisma na posiedzeniach Filomatów pomiędzy listopadem 1817 a grudniem 1819 r.

Pisma te jednak obejmują drobną zaledwo część tej działalności Mickiewicza-Filomaty: uzupełnić je należy „Uwagami nad Jagiellonidą Dyzmy Bończy Tomaszewskiego,“ czytaniem 15 kwietnia i 5 maja 1818 r., a ogłoszonymi drukiem w „Pamiętniku warszawskim“ 1819 r., № styczniowy; należy tu również szereg rozpraw, znanych nam, niestety, zaledwo z nazwy. Tytuły ich przynosi drukujące się w „Przeglądzie powszechnym“ wzmiankowane tylokrotnie studjum Pietraszkiewiczówny, jak dotąd w części ogłoszonej po rok 1820. W pierwszym roku działalności Filomatów (1817/18) czyta Mickiewicz, oprócz rozbioru Jagiellonidy, następujące artykuły: rzecz o robieniu synonimów, wyciąg z przemowy Guizota do dzieła jego o synonimach, rozbiór Dziewicy Orleańskiej Woltera, rozbiór tragedyi p. n. „Germanik d'Arnaulda.“ W roku następnym, 1818, występuje z dwoma niestęchanie ciekawymi rozprawami: mianowicie 6 października mówi „O celu, jaki każdy w kształceniu umysłu przedsiębrać powinien,“ zapewne ogólne ujęcie teoretyczne kierunku, w jakim chciał, ażeby akcja samokształcenia w kołach filomackich postępowała. Rzecz tę czyta przytem na posiedzeniu Wydziału matematyczno-przyrodniczego <sup>1)</sup>, a więc widocznie poruszał w niej głównie potrzebę przy-

<sup>1)</sup> Kallenbach, l. c., s. 497.

swojenia sobie ogólnych zasad zjawisk fizycznych. 1 i 17 listopada tegoż roku odczytuje Jeżowski pierwszą część obszerniejszej rozprawy, mającej ogólny tytuł „Przechadzki wiejskie,“ a mianowicie „Przechadzkę I,“ w formie dyalogu, zatytułowanego „Rozmowa o piękności.“ Mickiewicz, przeczytawszy w dwa lata potem dzieło Helweciusza „De l'Esprit,“ pisze z Kowna do Jeżowskiego (październik 1820): „W entuzyazm mnie wprawiły wyciągi kilkuwierszowe z pierwszej części Helweciusza „De l'Esprit,“ gdyż sam długo myślałem, co stamtąd do estetyki wyciągnąćby można; teraz poznałem metod, jak się nad tem zastanawiać. Teraz obaczyłem w czystym świetle cały mój systemat, rozpoczęty w pierwszej rozprawie o piękności i poznałem, z jakiego punktu rzecz była uważana i skąd poszły błędy rozumowania, tudzież niektóre prawdy, do czego należą.“

Estetyka, zwłaszcza badająca piękno zdobniczych elementów mowy, zajmowała wówczas bardzo żywo umysł poety.

W „Przechadzkach miejskich,“ w formie niby dyalogów Platońskich, wyłożył poeta swój estetyczny systemat, którego, jak naturalna, trzymał się w swoich „uwagach“ i „recenzjach,“ tem więcej więc żałować trzeba, że pismo to nie dochowało się.

Z zajęcia się zagadnieniami estetyki wypłynął również projekt, jaki w tym miesiącu postawił, zmierzający do zorganizowania zbiorowego przekładu „Encyklopedyi sztuk pięknych“ Sulzera; za projektem poszedł, jak zwykle u Mickiewicza, czyn: na 5 stycznia 1819 r. wygotował tłumaczenie artykułu o *Operze* <sup>1)</sup>.

Jest to mniej całkowite zestawienie artykułów krytyczno-sprawozdawczych Mickiewicza-Filomaty, obejmujące tak dochowane, jak i z nazwy tylko znane pisma <sup>2)</sup>. Zestawienie to może dać niejakię pojęcie, jak bogatą liczebnie była działalność poety w tym jednym kierunku. Jak była wszechstronna, pokaże wskazanie materij, omówionych w pismach, w szczególności w 9 artykułach „nieznanych.“ Wspomniałem, że sam poeta ułatwia ich podział

<sup>1)</sup> Kallenbach: „O nieznanym pismach,“ s. 497.

<sup>2)</sup> W „Latach uniwersyteckich Mickiewicza“ („Bibl. Warsz.,“ r. 1910, luty) cytuje prof. Kallenbach nadto z papierów filomackich tytuły następujących niedochowanych recenzji Mickiewicza: W 1817 r. tłumaczenie wierszem Jeżowskiego: „Śmierć Achillesa z Kalabry,“ praca Malewskiego: „O początku moralności, tudzież o potrzebie nauki moralnej.“ W 1818 r. artykuł Z. Nowickiego: „Upadek Rzymu,“ Zana: „Początek i postęp poezji dramatycznej u Greków i Rzymian,“ Józ. Kowalewskiego: „Wiadomość o Herodocie,“ tegoż tłumaczenie I ks. Herodota, Jeżowskiego: „Oryginalność,“ wiersz Czeczota: „Kupała.“ W 1819 r. praca Dominika Chodźki o „Pismach Trębeckiego,“ Piaseckiego: „Rzut oka na Religiję,“ Jeżowskiego: „Jakim sposobem wybrać należy naukę.“

na dwie kategorie: sprawozdań i krytyk. Wspomnijmy o pierwszych. Składają się na nie dwa referaty artykułów, pomieszczonych w 8 i 9 tomie słynnego czasopisma francuskiego, wydawanego w Genewie p. t. „Bibliothèque universelle de sciences, belles-lettres et arts, faisant suite à la Bibliothèque britannique”—oraz tłumaczenie matematycznej rozprawy Devey'a p. t.: „O najlepszym sposobie rozwiązywania zagadnień i twierdzeń, z porównaniem sposobu analitycznego i syntetycznego,“ ogłoszonej w tymże czasopiśmie, nadto „wiadomości naukowe“ z „Journal des Débats Politiques et Littéraires“ (N<sup>o</sup> 7—10, r. 1819).

Referat z lutowych numerów (1819 r.) „Pamiętnika naukowego warszawskiego“ zajmuje się w dochowanej części mową Teodora Sierocińskiego na otwarcie „publicznego czytania książek w gymnazium Krzemienieckim,“ wkraczając w dziedzinę teorii literackiej, artykuł ten należy przeto do „krytyk,“ o których niżej. Pozostają więc, oprócz przekładu Devey'a, dowodu wszechstronności umysłu młodzieńca, który wszakże swoje studia uniwersyteckie rozpoczął od Wydziału matematyczno-fizycznego, trzy referaty. Należy zwrócić w nich uwagę na te wzmianki, które dotyczą specjalnie literackiego ruchu współczesnego. I tak, w sprawozdaniu z ósmego tomu „Biblioteki uniwersalnej,“ czytaniem 27 grudnia 1818 r., wiadomość o przekładzie trzeciej pieśni poematu Waltera Scotta „Pani z nad jeziora Lak“ (sic!), jak nieszczęśliwie spolszczył sprawozdawca „Lady of the Lake,“ nie rozpoczynając jeszcze widocznie swoich studyów angielskich. Referent nie zna całego poematu, „nie mając poprzedzających numerów.“ Mówi, że ułamek, który czytał, jest „w duchu poezji kaledońskich bardów; też sama ponurość i okropność, czułość przerażająca i dzika.“ Późem wymienia ustępy, które uważa za najpiękniejsze, a mianowicie: ofiara Druida, zachwycająca myśl referenta porównaniem wzroku „ofiarnika“ (t. j. Roderyka) ze wzrokiem orła (porównanie cytuję *in extenso*); dalej „opis przesłania krwawego krzyża, służącego za hasło do boju, pogrzebu Dunkana, ślubu Normana etc.“ W końcu „niepodobna bez czucia jakiejś okropności czytać hymnu, który śpiewa Helene w rozpadlinie skały przy dźwięku harfy Alan Bana, albo słyszeć wyrazy pomieszania nieszczęśliwej branki Dewan.“

Słowa to wielkiej wagi: po raz pierwszy, o ile wiemy, spotyka się poeta z próbką romantycznej poezji angielskiej, co prawda z drugiej ręki. Zaciekawia go „ponurość i okropność, czułość przerażająca i dzika“ ogólnego nastroju, imponuje niezwykle porównanie, wzrusza hymn do N. Panny Heleny, ukrywającej się z Duglasem w dzikiej rozpadlinie Bel-nambu (strofa 29).

Dopiero w cztery lata później ma się rozpocząć pełny rozwój „brytanomanii“ pod przewodem Szekspira i Byrona.<sup>1)</sup> Lecz drogę utoruje im niewątpliwie twórca „Pani jezior;“ z którym po raz pierwszy styka się nasz poeta w przekładzie francuskim z końcem 1818 r. Co ciekawsze jednak, że ostatnie słowa o „wyrazach pomieszania nieszczęśliwej branki Dewam“ (w samej rzeczy: Devan), nie odnoszą się do pieśni trzeciej poematu Scotta, lecz do pieśni Blanki z Devanu, stanowiącej ustęp pieśni czwartej (strofa 22). Jest tu więc widoczne pomieszanie pieśni trzeciej i czwartej; wygląda to tak, jakby referat był robiony z głowy, przyczem pamięć zawiodła, jak dowodzi również omyłka w oznaczeniu pieśni trzeciej jako drugiej w autografie, co dopiero obcą ręką zostało sprostowane.

Sprawozdanie z tomu IX „Biblioteki uniwersalnej“ (czytane 4 lutego 1819 r.), zawiera krótką, ale wymowną notatkę z dalszego ciągu „Lady of the Lake;“ a mianowicie z pieśni piątej. Dalsze zapoznanie się z poematem Scotta utrwala sąd ogólny o nim poety. „W ogólności też o nim—czytamy—co już powiedzieliśmy, powtarzamy, iż może służyć za najpiękniejszy wzór poezji rycerskiej, poważnej. W tłumaczeniu nawet czyta się z zachwycciem. *Moc wyrażen i nowość porównań szczególnie zastępują na uwagę.*“

Podnieść należy, że szczególniejszą wagę kładzie uczeń Grodka i Borowskiego na stronę formalną poematu; zwłaszcza w obu wzmiankach zaznacza „nowość“ porównań. Istotnie, dzieło Waltera Skotta już w pobieżnej lekturze uderza niezwykłością przenośni, którą tembardziej odczuwać musieli wychowankowie pseudo-klasycznej maniery, zalecającej w porównaniach prawidłową budowę i równomierność w zestawieniu obu członów. O ile zaś taki przepis nie dopuszczał śmiałości i szczególnej inwencji w doborze porównania — o tyle autor „Pani jeziora“ popada w przeciwną krańcowość, przekraczając wszelką miarę w zestawieniu, a przytoczone przez Mickiewicza „frapujące“, jak wszelka nowość, porównanie wzroku Roderyka ze wzrokiem orła, „który wzbije się nad skały Benvenu i na wiatrach rozwinie skrzydła czarne i cień duży rzuci na wody jeziora“—jest klasycznym przykładem błędnego zestawienia członów porównywanych, określanego w poetyce nazwą *katachrezy*.

W każdym razie poznanie, choć fragmentaryczne, poematu Skotta o cztery lata poprzedza rozwój „brytanomanii“. Drogę

<sup>1)</sup> Znany list do Malewskiego, pisany z Wilna prawdopodobnie w 1822 r.



Szekspirowi i Byronowi utworze niewątpliwie twórca „Pani jeziora“, z którym poeta styka się w przekładzie francuskim już z końcem 1818 roku.

W cztery lata też później miał sposobność poznać poemat Skotta w całości w przekładzie polskim Karola Sienkiewicza (Karola z Kalinówki), wydanym w Warszawie u Glücksberga w 1822 roku — tembardziej, że z wiosną tegoż roku poznał osobiście tłumacza, który przybył do Wilna w charakterze sekretarza ks. Czartoryskiego i miał szczęście podziwiać w rękopisie wiersze Mickiewicza.<sup>1)</sup> W tymże też roku, w przemowie do „Ballad i romanów“, charakteryzuje poeta w paru słowach zasługi W. Skotta na polu odrodzenia literatury ojczystej.<sup>2)</sup> Wreszcie dzięki wydanej korespondencji należy stwierdzić, że w liście do Jeżowskiego z 1 lutego 1823 r. donosi, iż czyta romanse Skotta, zaś w kwietniu tegoż roku poznaje, jednocześnie z przekładem francuskim „Romea i Julii“ — Skotta: „Sabine“, „Rockeby“, „Lord des Iles“, oraz prawdopodobnie „Puritains d'Ecosse“ i „Kenilworth“, sądząc z nagłówek, również w tłumaczeniu francuskim; nadto (w liście do Czeczota 23 kwietnia 1823) prosi o przysłanie „Szkockich purytanów“ lub „Kenilworth“ — resztę powyżej wymienionych odsyła lub zostawia jeszcze u siebie — czyli pisząc do Jeżowskiego w lutym ogólnie: „romanse“, ma na myśli „Sabine“, „Rockeby“ i „Lord des Iles.“

W temże piśmie Mickiewicza znajduje się referat z recenzji artykułu o Kancie, napisanego przez ks. Denina w „La Prusse littéraire“ (t. 2, p. 305 i nast.). Na artykuł ten należy zwrócić szczególniejszą uwagę; wiąże się on bowiem z ogólnem zajęciem, jakie system Kanta obudził w Polsce w pierwszej ćwierci XIX wieku. Na kwestyę tę, zgoła niedopatrzoną w badaniach nad rozwojem i przemianą pojęć u progu nowego stulecia, zwróciłem uwagę w książce mojej „Génie du Christianisme, a prądy umysłowe w Polsce porozbiorowej.“<sup>3)</sup> Stwierdziłem tam, że kolejne fazy ewolucyjne, jakie w tym czasie przechodzi w Polsce znawstwo filozofii Kanta, stanowią wcale nie drugorzędny prąd w ogólnym

<sup>1)</sup> Wł. Mickiewicz „Żywot Ad. Mickiewicza“, I, 96.

<sup>2)</sup> Poezya angielska „dźwignęła się w wieku dzisiejszym za zjawieniem się dwóch geniuszów: W. Skotta i Byrona.“ Pierwszy poświęcił swój talent dziejom narodowym, wydając powieści gminne świata romantycznego klasycznie wyrobione; potworzył poemata narodowe i został dla Anglików Ariostem.

<sup>3)</sup> Lwów, 1908, Gubrynowicz i Schmidt, str. 88, 89, 90, 93, 103, 165 — 6.

nurcie myśli polskiej i zaznaczyłem zwłaszcza, że kantyizm nie powstał bez wpływu na nowe formacje pojęć estetyczno-literackich, przyczyniwszy się w znacznej części do renesansu religii, pojętej w myśl Chateaubrianda, jako źródło piękna. Tutaj wystarczy przypomnieć, że wszystkie niemal dzieła, wyniesione prądem reakcyi katolickiej przed 1816 rokiem, stanowiącym w przemianie pojęć punkt zwrotny, świadczyły się spekulacyami królewieckiego mędrca, które brały jednostronnie, jako jedynie zaprzeczenie skeptycyzmu Hume'a—zmiana zaś pojęć, bezwzględne i płytkie uwielbienie, zastąpiła podobnem potępieniem. Przypominam, że „nakładem uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego“ (?) wyszły w Krakowie w 1821 r. „Pisma Jana Śniadeckiego o Filozofii Kanta“, w których „mędrzec ze szkiełkiem w oku“ całą filozofię Kanta określa wręcz jako „literackie kuglarstwo.“ Krytycyzm Kanta „nic innego nie jest“—pisze Śniadecki—tylko dawne szkolne dziwactwa i przesadzone spekulacye, ubrane w język tak ciemny i prawdziwie barbarzyński, że *ciemnotą i zawrotem głowy* wszystkie dawne marzenia przewyższył.“ („List do redaktora Pamiętnika warszawskiego“, str. 13).

Książkę Śniadeckiego czytał Mickiewicz z uwagą; mamy na to niezbity dowód w znanym liście z Kowna do Fr. Malewskiego, o niepewnej dotąd dacie.<sup>1)</sup> Otóż, o ile sądzić można z formy tej wznianki, odpowiada Mickiewicz na list Malewskiego, w którym tenże pisał o studyowaniu Kanta (jeszcze jeden dowód na ważność wpływu kantyizmu na umysłowość polską w tym czasie—w tym wypadku w gronie Filomatów), w następujących słowach: „Co się tyczy Kanta czy Kantu (nie umiem go nakłonić, deklinować), przypominam ostrzeżenie Śniadeckiego, że *ten Kant wiele głów zawrócił*“—powtórzenie wyrażenia Śniadeckiego „w Liście do redaktora...“—a chociaż się z tej strony nic nie lękam, według tej maksymy starożytnej, że pewni ludzie nie boją się rozboju, wszakże Kant zawsze niebezpieczny.“

Nawiasowo dodajemy, że słowa te pozwalają ustalić niepewną datę listu, a mianowicie był on napisany przed wakacjami 1821, prawdopodobnie z końcem czerwca lub początkiem lipca. Mickiewicz, donosząc o zmianie wyjazdu do Połagi, pisze widocznie pod świeżem wrażeniem lektury książki Śniadeckiego, która nie prędzej wyjść mogła, jak w czerwcu tegoż roku — za-

<sup>1)</sup> „Korespondencya Adama Mickiewicza“, tom I, Paryż-Lwów, 1880, wyd. czwarte, str. 2.

wiera bowiem u wstępu „wspomnienie ś. p. Tadeusza Eustachego Szopowicza, odczytane przy obrzędzie religijnym w kościele ś. Anny w dniu 19 maja 1821 r. przez Ferdynanda Koisiewicza, ucznia uniwersytetu Jagiellońskiego.“

Notatka Mickiewicza o Kancie w powyższym liście, utrzymana w tonie żartobliwym, nie daje jednak żadnych wskazówek, jakie stanowisko zajmował Mickiewicz wobec systemu twórcy „Krytyki czystego rozumu“ i wogóle o ile sam nad nim się zastanawiał.

Do interesującej kwestyi zajęcia się młodego Filomaty filozofią Kanta, ogłoszone materyały przydają nowe szczegóły tem ważniejsze, że traktowano w nich sprawę poważnie. Pierwszy ślad zajęcia się Kantem — to wzmiankowany referat Mickiewicza z 4 lutego 1819 roku. Jest to zwięzłe i trafne ujęcie omawianego przedmiotu; co ważniejsze jednak, widać z referatu, że autor nie mówi o rzeczy, z którą spotyka się po raz pierwszy, że nie brak mu pewnego przygotowania uprzedniego, pozwalającego na pewną samodzielność w zdaniu sprawy. Sprawozdawca pisze pod koniec, że „rys ten nauki Kanta jest bardzo ogólny“, że nadto odmienił „w nim porządek zachowany w Bibliotece powszechnej.“ Końcowe porównanie autora, objaśniające różnicę sądów *a priori* i *a posteriori*, określa referent, jako „dziwne, ale bardzo trafne i dające najlepiej poznać systemat Kanta“ (dla porównań ma poeta wogóle—jak widzieliśmy—szczególną atencję).<sup>1)</sup>

W ten sposób mógł opiniować tylko ten, który miał pewne o rzeczy pojęcie. Nie trudno o to było—bo wszak o Kancie pisano u nas bardzo wiele, jak wykazałem gdzieindziej.<sup>2)</sup> Pisał o nim ks. Feliks Jaroński w rozprawie p. t. „Jakiey filozofii Polacy potrzebuia?“, wydanej w Krakowie w 1810 r. (str. 14—16), a szerzej, jak na swój czas wyczerpująco, w dziele „O Filozofii, zawierającym wiadomość o filozofii w powszechności“, wydanem w dwa lata później w Krakowie, opierającym się na książce Imanuela Wentzla p. t. „Elementa Philosophiae methodo critica adornata“ Lincii 1807, która jest komentarzem metody krytycznej Kanta; stąd § 5 dzieła Jarońskiego mówi o tem „co zrobił Emanuel Kant“, zaś § 31, poświęcony jest rozbiorowi kategorii Kanta.

Mógł wreszcie zapoznać się Mickiewicz z któremkolwiek z dzieł, które za „Biblioteką“ u wstępu artykułu wymienia; ude-

<sup>1)</sup> Zdanie, że artykuł ks. Denina „jest pełny omyłek i niedorzeczności“, jest zapewne powtórzone za recenzją „Biblioteki.“

<sup>2)</sup> Szyjkowski op. c.

rzają zwłaszcza w tej bibliografii dwa z polską brzmiące nazwiska komentatorów twórcy „Krytyki czystego rozumu“, a mianowicie: Borowski „Tableau de la vie et du caractère de Cante“ (po niemiecku — przypisek autora) i Wasianski „Emanuel Kant w ostatnich latach swego życia“ (po niemiecku—przyp. autora).

Jeżeli na końcu stwierdza sprawozdawca, że „rys ten nauki Kanta jest bardzo ogólny“—to wyraża się bardzo delikatnie. Artykuł ks. Denina—sądząc z przedstawienia Mickiewicza—rozwija, bez rażących błędów, właściwie tylko myśli „Prolegomenów do każdej przyszłej filozofii“: wywodzi mianowicie genezę krytycyzmu Kanta w przeciwstawieniu skeptycyzmowi Hume'a—oraz rozpatruje kwestyę sądów analitycznych i syntetycznych. „Kant chce“—kończy referent—„ażeby człowiek badał praw swego umysłu i dochodził z nich, co może mieć, a czego by naprózno dochodził, i jak się przekonać, co pewnie umie, a co tylko w domniemaniu.“

Następną wzmiankę o zajęciu się Kantem spotykamy w ogłoszonym liście do Jeżowskiego (l. 36) z Kowna, październik 1820 r. Poeta prosi tamże o przysłanie mu jakiejś psychologii, poczem dodaje: „Objaśnienie także do Kanta bardzo mnie potrzebne, *gdyż wieleby posłużyło do zrozumienia estetyków jego szkoły*. Czytam teraz Drevesa *Resultaten*, niezmiernie ciekawe i ważne.“ W dalszym ciągu wspomina o pierwszej swojej rozmowie o *piękności*.

Wzmianka ta świadczy, że system Kanta bynajmniej nie przestał zajmować uwagi poety, lecz przeciwnie, zwłaszcza estetyczne poglądy królewieckiego filozofa i jego szkoły stają się podstawą, na której poeta wspiera swoje własne studia estetyczne. Wspomniana książka Drevesa (Georg), to „*Resultate der philosophierenden Vernunft über die Natur d. Vergnügens, der Schönheiten, des Erhabenen*“, 2-e Aufl, 1797, 8, Lipsk.

W dalszym ciągu zajęcie się Mickiewicza Kantem bynajmniej nie słabnie. W miesiąc potem odzywa się poeta do Jeżowskiego, który w gronie Filomatów uchodził za filozoficzną głowę, znowu w tej materii (list 39): „Czytałem już estetyki, którem zabrał, teraz Antropologia Pöhla przerozumiana“ — zamiast K. H. L. Pölitza „*Populäre Anthropologie*.“ Leipz., 1800.

„Z początku arcy-nudna, dalej w tem pożyteczna, że wyjaśnia *psychologię kantowską najużywanszą*; owoż ta Antropologia kazała mi wszystko *da capo* czytać, szczególnie najwięcej warte *Resultaten* Drevesa. Niedawnom odebrał Eberharda, któregom zaczął.“

Obie ciekawe wzmianki, zawarte w nowo wydanych listach, stwierdzają zgodnie, że w systemie Kanta, z którym Mickiewicz zapoznawał się prawdopodobnie nie bezpośrednio, lecz z objaśnień

komentatorów, szukał poeta przede wszystkim rozwiązania problemów estetycznych, którymi, jak już stąd widać, niespodziewanie wiele się zajmuje, urabiając w sobie teoretyczne poznanie piękna, z którego praktyka tak przewspaniałe urodzić miała owoce.

Zwłaszcza dzieło Pölitza miało objaśnić naszemu poecie „psychologię kantowską najużywaną.“ Rzecz tem ciekawsza, że antropologia Pölitza, znanego wydawcy wykładów metafizyki Kanta, <sup>1)</sup> jest próbą obrony sceptycyzmu, szukania nowych dla niego podstaw wobec zdruzgotania dawnych przez krytycyzm kantowski. Stanowisko swoje objaśnia Pölitz w obszernej „Rozprawie o nowszym sceptycyzmie“ („Abhandlung über den neueren Scepticismus“), stanowiącej przemowę do właściwego traktatu o antropologii, którego zwłaszcza część druga, zatytułowana „Die innern gesetzmässigen Erscheinungen an dem Menschen“, kazała poecie „wszystko *da capo* czytać.“

Dodajmy wreszcie, że „Biblioteka powszechna genewska“, prenumerowana i tak gorliwie przez Filomatów studywana; szła z postępem czasu, przynosząc wiele rozpraw, które niewątpliwie uważnie odczytywał Mickiewicz. Czasopismo to cieszyło się u nas szeroką poczytnością—miesięczniki polskie umieszczały przekłady ciekawych rozpraw, tamże publikowanych. Dość wymienić tłumaczenie artykułu „Biblioteki“ w „Pamiętniku warszawskim“ w 1817 r. (I kwartał) — czytowanym również przez Filomatów — p. t. „Rzut oka na stan niniejszy literatury niemieckiej.“ W artykule tym spotykamy następujący ustęp: „dokładne doniesienie o postępach naukowych ludu jakowego, odkrytego w nowej Holandyi albo jakowej wyspie oceanu spokojnego, nie ściągnęłoby większego podziwienia i żywszej ciekawości całej Europy, jak dzieło głębokie pani Staël w Niemczech i okazujące najlepiej, że literatura niemiecka od 20 lat uczyniła olbrzymie postępy, właśnie też co podziwienie sprawiało tak wielkie.“

Słowa te czytał Mickiewicz, być może już w oryginale; sensacyjna forma, w jakiej podano w nich wiadomość o głośniejszej książce pani de Staël, stanowiła zapewne jedno z pchnięć, które uwagę poety skierowały w stronę zapoznania się z literaturą niemiecką, tak płodne w skutki. „Germanomania“ poety rozpoczęła

<sup>1)</sup> Był nam dostępny tylko przekład francuski wydania Tissota (Paryż, 1843 w 3 tomach), zawierający obok przemowy tłumacza i tłumaczenie „objaśnienia wydawcy“, w którym Pölitz najwszechstronniej określa swoje—rzec można—kompromisowe stanowisko wobec filozofii Kanta.

się znacznie wcześniej, aniżeli dotąd sądzono. W liście do Czeczota z końca listopada 1819 r. (Kowno) donosi: „w języku niemieckim bardzo wiele od przyjazdu postąpiłem i za pomocą dictionarza (fatalnego) czytam dosyć prędko.“<sup>1)</sup>

Uwzględniłszy w „sprawozdaniach“ Mickiewiczowskich to przedewszystkiem, co mogło wpłynąć na jego rozwój duchowy. Nierównie więcej pod tym względem wiadomości dostarczają „Krytyki.“ Liczba ich musiała być znacznie większą od tej, jaka się dochowała. W gronie Filomatów uchodził Mickiewicz za Arystarcha, którego sąd ceniono wysoko, zaś rad i wskazówek trzymano się ściśle.

Według apostrofy Zana

„Wszystko, co tu leży, jaki szpargał chwycim,  
Wszystkie twory poetów, jakimi się szcycim,  
Wszystkie wiersze, co w tece zrzucone na pował,  
Wszystkieś Ty wyszlifował, albo wyheblował.“

Według relacji Czeczota, dochowanej w filomackim archiwum, a opisującej obchód imienin Adama w grudniu 1818 roku („Adamowe“), zrobiono „z papieru transparencik, wyobrażający po jednej stronie bezmien“ — (t. j. waga) — „na którym zawieszono ukazywały się różnych pism, rozbieranych przez Adama, tytuły, po drugiej stronie pod drzewkiem palmowem siedzących dwoje geniuszków, grających na fletniach.“

Z pośród „Krytyk“ uwagi nad Pietraszkiewicza „Dumaniem u rozwalin zamku Gedymina“ wydano — w braku autografu — ze starannej kopii Pietraszkiewicza, któremu widocznie zależało na tej recenzji Mickiewicza.

Rola doradcy literackiego, dosiadających Pegaza studentów wileńskich, nie ustała z wyjazdem Mickiewicza do Kowna: i tam przysyłałi mu przyjaciele swoje utwory, prosząc o opinię, na co w wydanych listach wiele przykładów.

Nieznane „Krytyki“ Mickiewicza mają niezaprzeczenie tę wartość przedewszystkiem, że są zupełnie szczerym, niczem nie skrępowanym wyrazem jego młodzieńczych poglądów krytyczno-literackich. Ujmująca szczerłość w związku filomackim warowała i tym recenzjom „naczelnika wydziału pierwszego“ zupełną swobodę myśli: gani w nich poeta lub chwali, co uważa za stosowne. Z drugiej zaś strony, odczytując je w zamkniętem kole ró-

<sup>1)</sup> Wiadomość z „Journal des Débats“ nie przynosi nic ciekawego.

wieśników, nie potrzebuje się krępować względami ubocznymi. Szkoda, że nie dochował się autograf recenzji „Jagiellonidy“ Tomaszewskiego: sędzę, że przed puszczaniem jej do druku, usunął stamtąd poeta ustępy, które mogłyby razić konserwatyzm literacki Śniadeckich i Grodków; wszakże początkujący nauczyciel kowieński stał w przededniu egzaminu na magistra, od którego zależała jego „pedagogiczna“ karyera, a który ułatwić miała rozprawa o „Jagiellonidzie.“

Sądzę tak, bo w „Krytykach“, które sam autor nie miał zamiaru ogłaszać, znajdują się myśli, na których nowe hasła literackie wyraźne pozostawiły ślady. Chronologicznie następują po sobie dochowane „Krytyki“ w ten sposób: uwagi nad „Dumaniem u rozwalin zamku Gedymina“ (Onufrego Pietraszkiewicza) w listopadzie 1817 r. — uwagi nad „Jagiellonidą“ Dyzmy Bończy Tomaszewskiego, kwiecień i maj 1818 (drukowano w styczniu 1819)—uwagi nad wierszem „Do Anieli“ (Jana Czeczota), czerwiec 1818—uwagi nad „Dumą“ (nad mogliami Francuzów — Jana Czeczota) grudzień 1818 — recenzja mowy Teodozego Sierocińskiego (w referacie z lutowych numerów „Pamiętnika warszawskiego“ — tutaj ze względów rzeczowych), marzec 1819—recenzja operetki „Małgorzata z Zębocina“ (Czeczota), grudzień 1819.

Artykuły więc pisane w ciągu 25 miesięcy, w okresie najgorętszego fermentu, w którym Woltera pokonał Schiller, „Demostenes“ ustąpić musiał miejsca balladom. Odbić się to musiało — i odbiło istotnie — na recenzjach, które też w chronologicznym porządku omówić należy.

Najwcześniejsza recenzja o wierszu Pietraszkiewicza zwraca przedewszystkiem uwagę na stronę formalną — znać tu wyraźny wpływ Borowskiego, który, jak wiadomo, wpajał w uczniów zrozumienie konieczności badań stylistycznych. Na stronę tę zwracał Mickiewicz zawsze baczna uwagę, dbając u siebie i u drugich ogromnie o to, ażeby ojczystej mowy „nie uronić.“ Jest to bodaj czy nie najważniejsza korzyść, jaką wyniósł z wykładów Borowskiego i Grodka, który nauczył go ścisłości filologicznej. W ocenie „Dumania u rozwalin zamku Gedymina“ ścisłość ta przechodzi niemal w pedanterję. Niewiele tu uwag ogólnych: „pierwszą Poety powinnością jest“—sądzi krytyk—„rzecz zmysłowie malować, nie zapuszczając się w rozumowania naukowe; stąd często Poeci najoświecieńsi zdają się być nieukami, powtarzając gminne wyobrażenia, stąd nazywają oni gwiazdy świecznikami muzy, przykutemi do Nieba, morze, niezgłębioną przepaścią, pioruny strzałami Bogów. Nawet w traktowaniu dydaktycznem,

gdzie się mogą wykładać prawdy filozofii naturalnej, język powinien być, ile możności, zmysłowym.“

To jest — jakkolwiek nie u wstępu artykułu położone — założenie poety, założenie bardzo charakterystyczne: zawarto w niem postulat plastyki opisu, dodano przytem, jako przykład, porównania, czerpane z „gminnych wyobrażeń“, usprawiedliwiając, że i „poeci najoświecieńsi“ nawet, poruszając „prawdy filozofii naturalnej“, w tym wypadku wyobrażeniami gminu nie gardzili. Jest to w każdym razie ciekawa kombinacya myśli: 19-letniego krytyka pociągają już „gminne wyobrażenia“, pociągają w pierwszej linii nieprzebraną skarbnicą motywów do porównań, na które wyćwiczony pod kierunkiem Borowskiego umysł w nauce poetyki szczególniejszą zwraca uwagę, jak to już widzieliśmy we wrażeniach lektury W. Skotta. Przyczem nie omieszkał jednak krytyk powołać się na „oświeconych“ poetów, cytując zaraz poniżej Trembeckiego, a nawet Lukrecyusza.

Postulat plastyki rozumie autor bardzo obszernie i rozwija go w całym wywodzie, przechodząc cierpliwie zwrotkę po zwrotce. Mówi naprzód o układzie: postawiwszy żądanie „myśli nowych“ i „zwrotów niepospolitych“, koniecznych zwłaszcza w obrazach z natury, gdyż te są „wszystkim świadome, a stąd nowości powabów nie mające“ — domaga się „w miejscu klejenia myśli i obrazów“, obrania raczej jakiegoś wypadku historycznego za temat, „gdzie po ułożeniu akcji opowiadanie daleko łatwiej iść zwykło.“

Następuje bardzo szczegółowe badanie języka: autor żąda jasności i lapidarności przedstawienia, wytyka tautologie, synonimy (zagony i napady) i katachrezy logiczne, które bardzo subtelnie dostrzega („może się światło *odchmurzy*“ — światło nie może się *zachmurzać*“; — mniej słusznie: „czas gdy się *w gromy uzbroi*“ — czasu dotąd nikt nie uzbrajał, gdyż grom oznacza nagłe zniszczenie, przeciwnie czas zwykle powoli trawi“) — podnosi piękne metafory („las masztów“ — piękna metafora, użyta pierwszy raz przez Trembeckiego); pozatem we wtrąconym epizodzie historycznym żąda prawdy historycznej („historja Strykowskiego o trzech tylko nawach krzyżackich wspomina“). Obok Trembeckiego i Strykowskiego powołuje się na „Dumania żołnierza polskiego w Hiszpanii“ Tymowskiego, drukowane w „Pamiętniku warszawskim“ 1815 (styczeń, str. 80). W wierszu Tymowskiego szczególnie podobał się poecie obraz księżycowej nocy („obraz przepyszenie malowany“), który przeto i dla uzupełnienia warto przytoczyć. Znajduje on się zaraz u wstępu wiersza:



„Umilkły bębny, gasną tlejące ogniska,  
 Xiężyc z srebrnego wozu blady promień ciska,  
 Drżą w bystrych nurtach Tagu niebotyczne bramy  
 Zamku, gdzie panowały kiedyś Abderamy.

Wiatr uparte bałwany roztrąca o wieże,  
 Których spiż polski broni, a odwaga strzeże.  
 Stokroć odgłos: „kto idzie!“ wiekami nieznanym,  
 Obiia się o czarne sklepienia i ściany.“

Sądzę, że warto było przytoczyć ten początek wiersza Tymowskiego; wszakże łudzaco przypomina on początek — „Grażyny!“ Pozwólmy sobie go przytoczyć.

Coraz to ciemniej, wiatr północny chłodzi,  
 Na dole tuman, a miesiąc wysoko,  
 Pośród krążącej czarnej chmur powodzi  
 We mgle niecałe pokazywał oko;  
 I świat był nakształt gmachu sklepionego,  
 A niebo nakształt sklepu ruchomego,  
 Księżyc jak okno, którądy dzień schodzi.

Zamek na barkach nowogrodzkiej góry  
 Od miesięcznego brał pozłotę blasku;  
 Po wałach z darni i po sinym piasku,  
 Olbrzymim słupem łamał się cień bury  
 Spadając w fosę, gdzie wśród wiecznych cieśni,  
 Dyszała woda z pod zielonych pleśni.

Miasto już spało, w zamku ognie zgasły,  
 Tylko po wałach i po basztach strażę,  
 Powtarzanymi płoszą senność hasły;

Jest to w zasadniczych rysach ten sam sztafaż, który tworzy Tymowskiego „obraz przepysznie malowany“: na tle księżycowej nocy uspijony zamek, ciskający ogromny („niebotyczne“ — „olbrzymim słupem“) cień na okalającą go wodę (nurty Tagu — fosa, wypełniona wodą); ciszę nocną przerywa powiew wiatru („wiatr uparte bałwany roztrąca o wieże“ — „wiatr północny chłodzi“) i okrzyki straży po wałach. Wszystko to jest w obu opisach — jakże jednak rozwinięte u Mickiewicza! Co u Tymowskiego grubym zaznaczone zarysem, przeradza się pod mistrzowskim dotknięciem arcyministra w tęczową smugę barw i odcieni. Jednakże ujęcie obrazu u obu to samo. Wiemy dzisiaj, że „Grażynę“ ukończył poeta w listopadzie 1822 roku. W wydanym liście do Czeczota (z Kowna) czytamy: „Skończyłem powieść (t. j. „Gra-

żyne“) i dzisiejszej nocy (bezsennej!) trochę przepisałem. Jest to pierwsza robota, której ukończenie nic mię nie cieszy, bo po większej części klepana *invita Minerva*. Za kilka dni będziecie mieli;“ równocześnie donosi o „Dziadach“: „Dziady byłyby dotąd, ale mię powieść dusiła.“

Wiemy więc, kiedy poeta ukończył poemat—nie wiemy jednak, kiedy go zaczął, kiedy rzucił pierwszy szkic kompozycyjny. Nie wydaje nam się psychologicznie dopuszczalne, ażeby geneza pomysłu „Grażyny“ dokonywała się równocześnie z koncepcją „Dziadów“, wszakżeś zgoła to różne wyrazy formalne, wynikłe z tak krańcowo odmiennej dyspozycji wewnętrznej, że nie potrafię ich absolutnie umiejscowić w tym samym czasie.

Co innego z wierszem „Do Lelewela“: ten wyrósł z konkretnej, aktualnej podniety, miał już w założeniu ton panegiryczny, dla którego najsznadszej wzorów mógł użyzyć klasycyzm i jego skarłały potomek w XVIII wieku.

Być może, że oba utwory, wiersz i poemat (różnica w wymiarze równie ważna), miały jako cel ostateczny ujęcie sobie starych—jak utrzymuje prof. Tretiak;<sup>1)</sup> jednak mniemam, że motyw ten, obok naturalnej wdzięczności młodego poety dla Lelewela, który jego recenzję „Jagiellonidy“ umieścić w „Pamiętniku warszawskim“ — motyw ten wystarczyć może dla objaśnienia genezy wiersza „Do Lelewela“ na tle ballad i „Dziadów“, nie jest jednak dostatecznym argumentem, przemawiającym za powstaniem „Grażyny“ w 1822 roku.<sup>2)</sup> W cytowanym liście stwierdza poeta, że w listopadzie 1822 „powieść“ ukończył, że praca ta „dusiła“ go i przeszkadzała w tworzeniu „Dziadów.“ Myślę, że to kończenie należy brać dosłownie: odnosić się ono może do epilogu, w którym poeta zlekka, lecz wyraźnie, autoironizuje, czego w poważnym toku głównego opowiadania niema ani śladu i co widocznie musiało być później, po dokonaniu się przemiany pojęć literackich, dorobione. Wyobrażam sobie, że główny zręb powieści musiał być znacznie dawniej poczęty i dokonany, że „Grażyna“ należy do tych kilku prób, w guście „Demostenesa“ i „Darczanki“, rozpoczętych w okresie „Zimy miejskiej“ i uwag nad „Jagiellonidą“, zaniechanych potem z nastaniem nowej fazy myśli. Z chwila, kiedy chodziło poecie o przypodobanie się „starym“, wybrał

<sup>1)</sup> Tretiak „Młodość Mickiewicza“, Petersburg 1898.

<sup>2)</sup> Prof. Tretiak sądzi, jak widać niesłusznie, że poemat powstał w początkach 1822 r.

z utworów naszkicowanych pod „staremi“ hasłami to, w czem widział najtrwalsze, nie ulegające zmiennym „gustom“ bieżącej chwili zasady—i „ukończył“ „Grażynę“, choć czynił to *invita Minerva*. Początki jednak, ngławica, z której urodził się pomysł, muszą sięgać znacznie dawniejszych lat, bodaj czy nie 1817 roku, w którym odczytywał recenzję wiersza Pietraszkiewicza. Widzieliśmy w początkach wiersza Tymowskiego, o którym mowa w recenzji, uderzającą analogię do ekspozycyi „Grażyny.“ Tamże słyszynmy pozatem uwagi o historycznym epizodzie, postulat prawdy historycznej, powołanie się na Strykowskiego—i wreszcie ową charakterystyczną radę, iż lepiej, zamiast oderwanych opisów natury, obrać do „opisania jaki wypadek historyczny, gdzie po ułożeniu akcji opowiadanie daleko łatwiej iść zwykło.“

Na miesiąc przed tą recenzją (7 października) czytany „Mieszko, książę Nowogródka“, był naśladowaniem „L'éducation d'un prince“ Woltera, jak to wykazał prof. Kallenbach, utworem, który poza tytułem nic nie ma z powieścią historyczną wspólnego.

Ogłoszona 28 lutego 1819 roku w „Tygodniku wileńskim“ „Żywila“ jest opowieścią fantastyczną, wyrosłą z rozbudzonego uczucia ku Maryli; dziś wiemy, że postać „pięknej pani“ modelował poeta z życia, na postaci swojej „przyjaciółki“ kowieńskiej, pani Kowalskiej, jak to już dawniej twierdził Odyniec. Potrafimy dziś należycie ocenić wpływ, jaki na poetę wywarł ten więcej, aniżeli serdeczny stosunek, który jakościowo różny, w napięciu niemogący się mierzyć z uczuciem ku Maryli — trwał jednak równolegle z tantym, bodaj czy nie wcześniej się rozpoczynając. Więc równie dobrze mogła idea poświęcenia przejść do „Żywili“ z pierwotnego szkicu „Grażyny“, noszącego tytuł: „Korybut, książę Nowogródka, poema litewskie.“<sup>1)</sup> Sama ta faktura tytułu przypomina żywo „Mieszka, księcia Nowogródka.“ Być może, że transformacja „Korybuta“ na „Grażynę“, zmiany, jakie za sobą pociągnęła i epilog, ta—wedle określenia Tretiaka—„podpórka, przy-murowana“ do „Grażyny,“ dokonała się dopiero w okresie „kończenia“ poematu z pobudek, podanych w hipotezie prof. Tretiaka.<sup>2)</sup> Byłoby w każdym razie psychologicznie bardzo prawdopodobne, gdyby wszystkie motywy, skłaniające poetę do zmian tych, a będące wynikiem dłuższego procesu refleksyjnego, wyło-

<sup>1)</sup> W. Bruchnalski „Grażyna“ według autografu K. hr. Przeździeckiego w Pamiętn. Tow. lit. im. A. Mickiewicza, III, 215 i n.

<sup>2)</sup> Op. c. 104 i n.

niły się po dłuższej przerwie, kiedy utwór w pierwotnej redakcyi „się odleżał“ i kiedy poeta przeglądał go po dłuższym czasie „na chłodno“ i krytycznie.

A tymczasem w tym właśnie czasie myśl poety zajmuje się żywo teorią utworu epickiego; ubocznie w recenzyi „Dumania“ Pietraszkiewicza — głównie i obszernie w krytyce „Jagiellonidy.“ Uderzające analogie pomiędzy teoretycznem postawieniem kwestyi i osnową poematu Tomaszewskiego — a „Grażyną“, są rzeczą dowiedzioną, <sup>1)</sup> wskazującą również zbliżenie w czasie pracy teoretycznej w „uwagach nad Jagiellonidą“ — i praktycznej, w próbie stosowania tych uwag w „Korybucie.“

Żałować trzeba, jak zaznaczyliśmy, że nie mamy autografu tej najobszerniejszej z krytyk młodzieńczych Mickiewicza, opracowanej z największym nakładem pracy, z widoczną chęcią okazania wielkiego istotnie czytania, poddanej zapewne przed publikacją gruntownej korekturze. W tej postaci, jaką nam przeszłość dochowała, należy w tem piśmie zwrócić uwagę na te punkty, które w ewolucyi krytycznych pojęć poety w dobie młodzieńczej stanowią główne artykuły jego wiary literackiej.

Za takie uważam następujące myśli recenzyi „Jagiellonidy“: rozwijając teorię poezyi epickiej, żąda poeta:

1-o jedności akcji, „kiedy wszystkie, mniejsze nawet zdarzenia, do niej wprowadzone, z jednego rozwijają się punktu, postępują w ciągłej od siebie zależności, wikłają się i rozwiązują narazie; opisy zaś i obrazy, za okrąg głównej akcji wychodzące, są tylko epizodami, które, jakkolwiek potrzebne, przecież w życiu określone być muszą.“ Poema bez jedności akcji „byłoby, jak powiada Wolter, podobne do ram, w które według upodobania ustępy nakształt obrazków wstawiać i z których według upodobania dobywać je można.“

2-o główną uwagę musi poeta zwrócić na bohatera, który winien być najważniejszą w akcji osobą.

3-o trzeba trafiać w duch wieku.

Punkt pierwszy i trzeci został już napomknięty w pierwszej krytyce — tu oczywiście rozprawdza autor rzecz tę znacznie szerzej.

Z tymi głównymi punktami łączy się — niemniej ważna —, teoria dziwności epicznej“; określa ją autor w sposób następujący: trzeba opisów, „wyobrażeń uderzających, to jest nowych, nadzwyczajnych, dziwnych, z główną akcją związanych i do jednego

<sup>1)</sup> Dzieła — wyd. Tow. liter., t. III, 4, 5.

celu z nią zastosowanych.“ „Czegoż się więc ma chwycić poeta epiczny? do jakiej uciec się machiny? jest zapytanie, którego rozstrzygnięcie czasowi i wyższym talentom należy.“ Sam jest za użyciem świętych, czemu jednocześnie dał wyraz w praktyce, pisząc „Kartofle.“<sup>1)</sup>

Kwestya „machiny“ cudownej, której tyle miejsca poświęca młodociany krytyk poematu Tomaszewskiego, była żywo dyskutowana w dziełach teoretyków XVIII wieku, co widocznie wpłynęło na żywe zainteresowanie się Mickiewicza tą sprawą. Nieśmiałość, z jaką poeta wyraża swoją własną opinię w tej materji, woląc jej kategoriyczne załatwienie pozostawić „czasowi i wyższym talentom“, jest odbiciem tego braku jednomysłności, jaki zagranicą w tej kwestyi panował. Przeciw używaniu mitologii klasycznej w nowożytnych tworcach wystąpił kategoriycznie La Harpe w tomie pierwszym swojego „Kursu literatury“, oświadczając, że „byłoby absurdem domagać się w nowożytnym przedmiocie interwencji bogów starożytnych;“ czemuby jednak ją zastąpić — nie mówi. Z drugiej strony Boileau występuje wręcz przeciw cudowności chrześcijańskiej, ucząc: „De la foi d'un Chretien les mystères terribles, d'ornemens égayés ne sont pas susceptibles“, zaś zdanie jego podziela w zupełności Marmontel (Encyclopedie, rozdział Merveilleux).

Wolter, który mógł być dla Mickiewicza w tym względzie decydującą powagą, na którego też się poeta powołuje, był chrześcijańskiej „machinie“ przeciwny, zastępując ją w „Henryadzie“ allegoryami; wprowadził ją wprawdzie w „Pucelle d'Orléans“, lecz uczynił to w dobrze przez poetę naszego rozumianym „nagannym sposobie.“

Jest jeszcze trzeci sposób: zastąpienie mitologii starożytnej magią; „ale i ten wynalazek—pisze poeta—zrazu szczęśliwie używany, bardzo interesujący, za zmianą publicznej całego oświeczonego świata opinii na nic teraz przydać się nie może.“ Tę myśl zużytkowania magii w poemacie epickim zaczerpnął Mickiewicz z „Porwania loku“ Popego, które znał dokładnie, jak zobaczymy niżej. Zbiorowe wydanie dzieł Popego wyszło w przekładzie francuskim w Lipsku 1758 roku. Poemat heroi-komiczny o „Puklu Belindy“ poprzedza list dedykacyjny do pani Femor, w któ-

1) W tym względzie powołuje się na Woltera: „dał już tego przykład jeden z największych przeszłego wieku poetów, chociaż w nagannym sposobie.“ Dziś wiemy, że mowa tu o „Dziewicy orleańskiej.“

rym autor dłuższy ustęp poświęca kwestyi „machiny“ cudownej oraz objaśnieniu, dlaczego w tym celu zużytkował „systemu kabalistów.“

Ten sposób jednak uważał już Mickiewicz za przestarzały i dla „oświeconej świata opinii nieodpowiedni;“ stąd też w „Kartofli“ spróbował zużytkować chrześcijańską machinę w „nienaganny“ sposób, kto wie przecież, czy tworząc później ballady, nie przypomniał sobie świata sylfów, gnomów, nimf i salamander, tak pokrewnego ludowej mitologii.

Nie mniejszy nacisk kładzie krytyk „Jagiellonidy“ na wymagania formalne. Występuje przeciw jednostajności powiązania ustępów w „Jagiellonidzie“, przeciw wadom wysłowienia, „złym gradacyom“, żąda „wygładzenia wierszy“ i „dobrania ozdobniejszych rymów“ — pod koniec zaś pomieszcza uwagi, poświęcone wyłącznie językowi, t. j. „wyrażeniom, zwrotom i samym wyrazom.“ Wytyka tam wyrażenia „płaskie i prozaiczne“, pospolite i ciemne lub nieściśle, popadające w czcą deklamacyę lub tautologiczne. Szczególniejszą uwagę autora zwraca i w tej rozprawie *lumen orationis*, figura porównania: porównanie hałasu łowów z wrzawą wojenną — wydaje mu się „nieco hyperboliczne“, gani zestawienia „rzeczy dawno zdarzonych do teraźniejszych“, gdyż „takie porównanie podobne jest do gmachu, w którym architekt do części starego muru nowy sztukuje.“ Najciekawszą jednak jest zasada ogólna, jaką pod tym względem wypowiada. Wydaje mu się mianowicie, że „porównania z natury wzięte są zawsze wspanialsze, więcej podnoszą przedmiot, do którego się przyrównywają, a zatem lepiej swemu celowi odpowiadają.“ Istotnie, w praktyce, jak wykazują gdzieindziej, trzymał się Mickiewicz tej zasady, czerpiąc materiał porównawczy częściej z przyrody, aniżeli z życia człowieka; warto podnieść, że objaw to premedytowany, że poeta w swoich teoretycznych studiach nad formą w zaraniu swojego zawodu poetyckiego również i o tę kwestyę potrafił i stosownie do wewnętrznych właściwości ją rozstrzygnął.

Uwagi nad wierszem Jana Czeczota „Do Anieli“ tworzą niejako uzupełnienie teoryi epickiej, rozwiniętej w rozbiorze „Jagiellonidy“, wywodami nad zasadą poezyi „lirycznej“, bo takie kategoryzowanie na poszczególne „gatunki“ literackie zachowane jest w młodzieńczych krytykach Mickiewicza w całej pełni. W „dytyrambie“ — jak po staremu nazywa krytyk wiersz Czeczota — „więcej (idzie) o uczucie, niż o imaginacyę.“ Nie należy „zbyt dokładnie przedmioty wydawać“, „wszelkie albowiem mocne nad rzeczą zastanowienie się ostudza zapał, a czasem do drobnostek prowadzi.“ „Liryk“ — ciągnie autor dalej — „gwałtowne uczucia

albo wspaniałe i wielkie obrazy maluje. Wolno mu naksztalt orła wylatywać w chmury, rzucać się nagle w ciemną puszcę, albo pomiędzy dzikie skały, zatrzymać się czasem nad upiększoną łąką. Ale za motylkami i kwiatkami uganiać się nie przystoi“ (vide por. z orłem w „Pani jeziora“); „głębsze rozważanie wzorów poezji lirycznej kazałoby być zwięźlejszym i mocniejszym.“

To żądanie zapału i mocy, nie rozdrabnianie uwagi na drobnotkowe opisy, lecz chwytnie rzeczy *a vol d'oiseau*, jest widocznym postępen w procesie wyłamania się poglądów poety z pod ciasnych okowów poetyki Boileau'a. Podając jednak do rozważania „głębsze wzory poezji lirycznej“, nie potrafi wyjść jeszcze poza „Porwanie loku“ (cytuje jako „Pukiel Belindy“) i ody Popego, którego poezję w rozprawie „O poezji romantycznej“ określi już jako „rozumującą“ i przeciwstawi ją „znawcy głębokiemu serca ludzkiego“, Szekspirowi. <sup>1)</sup>

Dalszy rozwój poglądów krytyczno literackich Mickiewicza ujawnia się w bardzo charakterystyczny sposób w następujących uwagach nad dumą Czeczota („Duma nad mogiłami Francuzów“).

Czuje się krytyk nieco zaskoczony rodzajem utworu, jaki pod jego rozbiór poddano. „Krytycy“—pisze—„jako znawcy napisali prawidła, wykryśli abrysy, podług których stawione gmachy są najpiękniejsze i powszechnie się podobają. Znajduje się jednak częste przykłady nowych rodzajów, dotąd ściśle nie okryślonych. W takim to rodzaju napisana jest niniejsza robota, memu oddana rozbiorowi. Zdarzyło mi się czytać wiele dziełek takowych polskich i francuskich, ale nie czytałem żadnych na nie prawideł.“

Objaw ten zastanawia poetę: powstają jakieś nowe rodzaje literackie, które już nie mieszczą się w gotowych formułkach „starej“ teorii. A jednak trzeba się z tem liczyć, jako z istniejącym faktem. Przypomina sobie autor recenzji, że „w kraju naszym Niemcewicz nazwał *Dumą* rodzaj poezji“, zmieniwszy następnie nazwę tę na *śpiew*, to jest utwór zawierający „jakie zdarzenie historyczne lub bajeczne, mające całość i opisane wierszem do śpiewania.“ W tem znaczeniu nazywa poetą dumą wspomniany wiersz Tymowskiego „O zamku w Hiszpanii“, oraz „Wiersz do legiów polskich“ Cypryana Godebskiego.

Nie znajdując gotowej miary do oceny tego rodzaju utworów, poeta próbuje urobić nową. Jako naczelne założenie stawia

<sup>1)</sup> Szkoła Chausera i Szekspira ustępować musiała przed rozumującym Pope, wymuskany Adissonem i dowcipnym Swiftem.

zasadę, że krytyk ma przedewszystkiem wyczytać z dzieła „duszę autora, poznać, ile można, ideał, podług którego dzieło było utworzonem, i wtenczas sądzić, czyli wydanie takowego ideału jest wierne, to jest doskonałe.“ Ideał ten „musi być doskonale jednym, poezya każda musi mieć jedność, myśli w tej poezyi, jedne po drugich idące, są najpiękniejszymi częściami jednego gmachu, które budowniczy mądry naprzód posunął.“

Postulat jedności akcyi z uwag nad „Jagiellonidą“ modyfikuje się więc do żądania jedności ideału, naczelnej tendencyi poetyckiego utworu. Warunkiem przytem trafnego osądu jest konieczne istnienie kongenialności pomiędzy duszą autora, a duszą krytyka, który musi „uczuć zapał liryczny.“ Odnosnie wreszcie do wiersza Czeczota żąda więcej „ponurości i melancholii grobowej.“

Są to istotnie już „romantyczne“ myśli, które uzupełnia w końcu oświadczenie w krytyce mowy Teodozego Sierocińskiego, skierowane wręcz przeciw pisarzom klasycznym, a poruszające ważną dla romantyzmu sprawę poczucia przyrody. Oto, zdaniem autora krytyki, twierdzenie, jakoby „pisarze starożytni byli bliższymi pięknej natury, jest to jedno ze zdań często powtarzanych, ale nie oznaczonych.“ Charakterystyczną jest rzeczą, że pierwotnie wyraził autor myśl swoją znacznie ostrzej: po „oznaczonych“ następowały w autografie słowa, później przekreślone: „które do rozpraw... wtyka.“ Widocznie wahał się jeszcze poeta podać myśl swoją w formie wyraźnej i bezwzględnej—jakkolwiek kwestya ta była już dla niego osobiście rozstrzygniętą.

Na tem też kończy się ta ewolucyjna linia „od klasyków do romantyków“, jaką można wyznaczyć w ogłoszonych rozprawach krytycznych twórcy „Dziadów.“

Recenzya operetki Czeczota „Małgorzata z Zębocina“, obok uwag o stylu i wzmiance o „Alzyrze“ Woltera, dostarcza nam ciekawej wiadomości o motywie zamknięcia się żony pod nieobecność męża w wieży kościelnej, zaczerpniętym (jak i cała osnowa operetki) z ballady Fr. Ratschky'ego p. t. „Wyrok Bolesława“, którą w przekładzie polskim wydrukował był „Pamiętnik lwowski“ (1818, grudzień).

Za teoretyczną przemianą pojęć postępuje rozwój w praktyce, z którego na podstawie wydanego materiału trzeba z kolei zdać sobie sprawę.



# ZYCIE WEWNĘTRZNE

## Siczy Zaporoskiej w połowie XVIII w.<sup>1)</sup>

O Siczach Zaporoskich wogóle i o Kozaczyźnie Niżowej błąkają się dotychczas jeszcze legendy i pojęcia, nie mające nic wspólnego z rzeczywistością. Według ruskich apologetów Kozaczyzny, na Nizie usadowiło się jakieś bractwo rycerskie, jakieś „rycerstwo Siczowe,” które jakoby spełniało rolę obrońców chrześcijaństwa wobec świata muzułmańskiego. Samo ono chętnie pisało się „rycerstwem Zaporoskiem,” „rycerstwem wojska Zaporoskiego,” a niekiedy „towarzystwem.” Były to wszakże tytuły tylko, zapożyczone w Polsce, które nic ogólnego nie miały z ideą obrony chrześcijaństwa, planową, systematyczną, celową. Owo „rycerstwo“ i „wojsko“ — nomenklatury już w XVII w. powstałe — chętniej daleko walczyło z bogatą Rzpltą polską i Wołoszczyzną, takimi samymi metodami jak z Turkami i Tatarami. Polskie pisma urzędowe najczęściej nazywały owych rycerzy poprostu „mołojcami“ albo „panami mołojcami,” określając w ten sposób nietyle ich cele, ile temperament i brawurę, właściwą niepohamowanej młodości.

Jeszcze mniej dał się zastosować do Kozaczyzny Niżowej tytuł zakonu. Najczęściej upatrywano podobieństwo do Zakonu

---

<sup>1)</sup> Ważniejsze źródła: D. Mordowcow: „Politczeskija dwiżenija ruska-w naroda.“ „Hajdamaczina.“ Petersburg 1870. „O tom czto słucziłoś na Ukra-inie s toj pory kak ona Litwoju zawładiena.“ Moskwa 1847. D. I. Ewarnickij: „Wolnosti zaporozskich kozakow.“ Istoriko-topograficzeskij oczerk. Petersburg. 1890. A. Andrejewskij: „Matieriały dla istorii Južno-Ruskawo kraja w XVIII stoletii.“ Odesa. 1886. A. Skalkowskij: „Istoria Nowoj Sieczy.“ Odesa. 1841. A. Skalkowskij: „Najezdy hajdanak na Zapadnuju Ukrainu w XVIII st.“ Odesa. 1845. Szulgin: „Oczerk kolijewszczyiny.“ Kijów. 1890.

Maltańskiego. Tytuły owe przychodziły zwykle z Zachodu od narodów i państw obcych, dalekich lub stykających się bezpośrednio ze światem muzułmańskim, jak cesarstwo niemieckie. Wiedząc, że na Siczy istnieje jakaś organizacja wojskowa, że panuje bezżenność, brali te pozory wojskowości zorganizowanej i życia bezżennego za regułę zakonną.

I długo te poglądy tułały się wśród pisarzy obcych i swoich, upatrujących w Niżowej Kozaczyźnie to, co widzieć chcieli—obrońców chrześcijaństwa. Nic dziwnego. Walka ze światem muzułmańskim zaprzętała umysły wszystkich polityków XVII w. Podsuwano przeto nawet Kozaczyźnie idee, które nic nie miały wspólnego z obroną chrześcijaństwa. Najwcześniej i najciężej zapłaciła za te złudzenia Rzplta polska, która pozwoliła wybujać swawoli kozackiej, wykarmionej rozbojem i rabunkiem.

Nie tu miejsce roztrząsać, jakie przyczyny złożyły się na rozwój chorobliwy i szkodliwy Kozaczyzny. O ile wszakże panowały nieuzasadnione poglądy na polityczne, że tak powiem, zadania i cele Kozaczyzny Niżowej, o tyle jeszcze mniej znane były wewnętrzne warunki życia i charakter Siczy z jej pałankami. Nasi pisarze mało i rzadko odkrywali jakąś kartę z tego życia, rosyjscy prawie nie dotykali go, a rusczy idealizowali. Odnalazłszy w głębi północnej części Kijowszczyzny i na Wołyniu resztki gminno-rodowego ustroju, dopatrzyli się w tej prastarej komórce społecznej swoistego jakiegoś ideału. Dawna, wiekowa organizacja, właściwa w różnej formie wszystkim pierwotnym społeczeństwom, miała jako ideał autonomiczny, zgnieciony wrzekomo przez Polaków, schronić się w Kozaczyźnie wogóle, a na Nizie w szczególności. Ta równoprawność społeczna, w swojej pierwotnej formie, miała się ujawnić najpełniej w wolnym wyborze starszyny (wybornoje naczało) i być jakąś nadzwyczajną charakterystyką tak zwanego u najnowszych historyków Rusi, ukraińskiego narodu. „Naród ukraiński—pisał jeden z młodych historyków ideowych—którego wcieleniem jest Kozaczyzna, a sercem Niż, Zaporozże, posiadać miał własną etykę społeczną, która ma tylko jedno kryterium — sprawiedliwość.“

Rzuciwszy tedy okiem na owo serce ukraińskie—Niż, poznajmy jego „etykę społeczną“ i jej kryterium — sprawiedliwość kozacką; obaczmy, jak to serce wyglądało „pełne poczucia swojej siły moralnej i fizycznej“ (M. Hruszewskij), jacy ludzie reprezentowali tę siłę i jak się ona objawiała.

## I.

Po klęsce mazepińskiej w r. 1709, Piotr Wielki postanowił zniszczyć Sicz Czertomylecką, jako gniazdo ciągłych niepokojów państwowych. Z własnego doświadczenia zapamiętał słowa Beauplan'a, że „szczerłość, dobra wiara i wierność nie są przymiotami Kozaków.“ Etyka kozacka nie imponowała mu także. Ataman koszowy, Kost' Hordijenko, przyłączył się do Mazepy—i to zdecydowało o dalszem istnieniu Siczy. Piotr wysłał pułkowników, Jakowlewa i Ilnata Gałagana, i polecił zburzyć Sicz. Obronę prowadził bardzo dzielnie nakażny koszowy Bohusz, ale pomimo obrony Sicz została zrównana z ziemią. Część Siczowników zdołała uciec, schroniła się w granicach Turcyi i założyła tam nowe gniazdo. Ledwie wszakże kilka lat minęło, poczęli robić starania do powrotu na dawne legowisko. Zapomnieli rychło o strasznych prześladowaniach, jakie ich spotkały ze strony Rosyi. Piotr W. kazał poprostu chwycić każdego Zaporozca, gdzie go tylko napotkano, i karać śmiercią. Dla wywołania większego postrachu, stawiano szubienice na kilku zbitych bierwionach, wieszano na niej Kozaków i puszczano wzdłuż Dniepru. Tak karano swawolę państwową.

Ale Kozacy z tureckiej Siczy już w r. 1715 posyłałi potajemnie do hetmana pisarza swego wojskowego, Rogalę, z prośbą aby im wolno było wrócić do starej Siczy, proponując, że wrócą pod „mocną ręką“ z całym „towarzystwem“ i ziemią, na której mieszkali. Oczywiście, rząd rosyjski na to pozwolić nie mógł, przedewszystkiem dlatego, że ziemia, na której Kozacy Sicz zbudowali, należała do obcego państwa, a następnie nie chciano już mieć u siebie tego swawolnego i nieobliczalnego żywiołu. Zważywszy jednak małe zaludnienie, zarówno hetmańszczyzny, jak i wogóle pobrzeży Dniepru, Moskwa obiecywała darować winy zdrajcom i na powrót ich zgodzić się, z tem jednak zastrzeżeniem, ażeby wracając, stawili się przed hetmanem i zamieszkali w miejscach swoich rodzinnych.

Widocznie jednak w Siczy tureckiej nie było zbyt wielkiej chęci do powrotu lub inicjatywa wyszła od jednostek, gdyż Sicz pozostała na dawnym miejscu aż do roku 1728. Nie było tam wszakże ani zgody, ani spokoju, o ile domyślać się można z nowych usiłowań powrotu Zaporozców na dawne siedziby. Tym razem jednak zanosilo się na zbrojne wtargnięcie w granice Rosyi. W czerwcu 1728 r. hetman Apostoł dowiedział się, że Ko-

zacy mają zabrać z Nowej Siczcy wojskowe klejnoty i z bronią w rękę powrócić na dawne siedziby. Zaniepokojony tem hetman, odniósł się do wyższej władzy i otrzymał bardzo surowo zaakcentowaną dyrektywę postępowania. Pozwolono mu wpuszczać Zaporozców tylko małemi partyami, bez broni, i osiedlać w miejscowościach, skąd pochodzili. Gdyby wszakże zjawili się z bronią w rękę, miano ich traktować jako nieprzyjaciół, i bronią najazd odierać. Równie surowe napomnienia wysłane były do komendanta połtawskiego i innych, aby starali się powstrzymać Kozaków od awantury.

Tymczasem wypadki polityczne układać się poczęły przyjaźnie dla Zaporozców, siedzących w Aleszkowskiej Siczcy, w poddaństwie tureckiem. Śmierć Augusta II w r. 1733, obawa przed powrotem Stanisława Leszczyńskiego i przed możliwą wojną, obawa ażeby Filip Orlik, który dotychczas nie zrzekł się hetmaństwa, nie pociągnął na swoją stronę Zaporozów, a z drugiej strony ciągle ponawiane prośby Zaporozców o powrót do dawnych siedzib, uczyniły rząd rosyjski łagodniejszym. W r. 1733 hetman wyprosił u carowej Anny Iwanówny pozwolenie na powrót tak oddawna upragniony. Nie przyszło to z trudnością, tembardziej, że żołnierz był bardzo potrzebny. Otóż wróciwszy, część Zaporozców osiadła około Nowego i Starego Kodaku i nad Samarą, a Sicz zbudowali sobie nad rzeczką Buzuwłukiem, w pobliżu dawnej siedziby. Według rejestru wróciło pod panowanie Rosyi 38 kureniów Zaporoskich i 7115 Kozaków.

Pomimo bardzo surowego nakazu, ażeby nowi obywatele Siczowi i Zaporoscy zachowywali się spokojnie, nie wywarły one żadnego skutku. Powtarzało się zupełnie to samo, co za czasów Rzpltej. „Swawoleństwo“ zdawało się być jakąś przyrodzoną cechą tych ludzi. Najazdy na Oczaków, na Krym, za Siniuchę, w granice polskie, były zjawiskiem niemal codziennem. Padały ofiarą swawoli stepowej tabuny koni, stada wołów oczakowskich, karawany, przeciągające przez Dzikie Pola do Mołdawii i Turcyi lub do Moskwy, a pod nożami Zaporozców—ludzie. Starszyna Siczowa stale wyrzekała się wszelkiej wspólności z rabusiami i hajdamakami, siedzącymi na gardach rybnych, włóczącymi się po stepach bez przytuliska lub przepijającymi zrabowane mienie po karczmach i zimowiskach,—ale do rządu rosyjskiego dochodziły wieści, że działo się to nietylko za pozwoleniem Starszyny Siczowej, lecz że znaczna część zrabowanego mienia w jej ręce przechodziła.

Szły skargi nieustanne na Zaporozców z Krymu, z Oczakowa, z Rzpltej; darmo han i murzowie zasypywali generał-guber-

natora kijowskiego, w którego dependencji Sicz była, skargami na rozboje i rabunki; darmo regimentarz Nitosiński pisywał w ostrym tonie dyplomatyczne listy do Kijowa w obronie granic Rzpltej przed hajdamakami — nic nie pomagało. Zdawało się, że rząd rosyjski, jak przed stu laty polski, niema siły do powstrzymania tego rozhukania się zgromadzonych na Zaporozu wyrzutków społeczeństwa, niedających się ująć w żadne prawidłowe karby państwowego posłuszeństwa i pracy. Sama natura, topografia stepów, od Siniuchy do morza Czarnego, od Donu do Dniestru, sprzyjała poniekąd rozwojowi tego hulaszczego, swawolnego, próżniaczego życia, pozbawionego wszelkich cech kultury. Wielka płaszczyna stepowa, poprzerzynana rybnymi rzekami, gdzieniegdzie głębokimi jarami, porośniętymi czaharami, wreszcie szerokimi, nieraz porośniętymi lasem bałkami — wszystko to razem wzięwszy, dawało schronisko hultajom stepowym, niedostępne prawie dla kontroli wojennej.

Wprawdzie rząd rosyjski rozpoczął z tą swawolną ludnością, rozsianą po pałankach zaporoskich, regularną walkę o tyle, że zbudował szereg obronnych posterunków, „horodków,” od Dniepru aż do Bohu, wzdłuż granicy swojej najnowszej; osadził Serbów, tworząc rodzaj wojskowego pogranicza, a w horodkach utrzymując stałe załogi; kazał czynić rozjazdy wzdłuż granicy polskiej, wyłapywać i karać włóczęgów — ale jeszcze prawie dwadzieścia pięć lat upłynęło zanim Katarzyna II zdołała w r. 1772 „zduścić tę hydrę krwi niesytą” — Sicz — jak się wyraził jeden z nielicznych poetów ruskich, który nie widział bohaterów i bohaterstwa w rozbojach, pożarach i rabunkach.

Otóż ta ludność zaporoska, zamknięta niejako w czworoboku stepowym, skazana była przymusowo albo na wymarcie, albo do rolnictwa. Innego wyboru nie było. Ewolucja w kierunku stałego osadnictwa odbywała się powoli, ale musiała się zakończyć na korzyść rolnictwa i zakończyła się. Rosya rozpoczęła tę samą robotę w stepach czarnomorskich, jaką Rzplta polska prowadziła w ciągu dwóch wieków prawie w Kijowszczyźnie, Bracławszczyźnie i na Podolu. W gorszych nawet warunkach, bo gdy Rzplta polska rozpoczynała kolonizację stepów między Taśminem, górnymi dopływami Tykicza, a średnim Bohem po obu stronach, w górę do Prypeci prawie i lewobrzeżnych jej zlewisk aż do Słuczy — jeszcze te stepy były niemal puste, a nieliczna ludność wiejska nie była zdegenerowaną walkami o „wolności” Kozaczyzny. Tymczasem Rosya w spuściznie dziejowej po Rzpltej zagarnęła Kozaczyznę, dobiegającą swego końca, z życiem doga-

sającym, które nosiło wszelkie cechy przedśmiertnego szanotania się silnego, ale przedwcześnie zmarnowanego organizmu. Te rzuty przedśmiertne przybierały cechy już nie swawoli wojskowej, ale zupełnej anarchii społecznej. Gromady zaporoskie, rozrzucone po pałankach i zimowiskach, pozbawione życia rodzinnego, pozbawione prawidłowych środków do życia, szukały tych środków i upustu dla energii poza granicami zwykłych swoich siedlisk — gardów, czaharów i bałek. Ale coraz było trudniej o te środki. Z jednej strony Dniepr, z drugiej Dniestr, z czwartej morze Czarne. Jedyna sucha i najdostępniejsza granica była od strony Rzpłtej. Ludność zaporoska nieliczna, mało zasilana elementem napływowym z Polski i hetmańszczyzny—jedyne niemal drogi dopływu — nie była już dość silną, ażeby robić wycieczki na czajkach do Anatolii i pod Carogród, musiała też korzystać, pomimo „horodków,“ z tej jedynej drogi, jaką miała przed sobą. Z mniejszą tedy siłą, ale z temi samemi tradycjami co Kozaczyzna Chmielnickiego, parła się w granice Rzpłtej, przełamując niebezpieczeństwa zuchwałą odwagą i zbyt często rabunek okupując życiem.

To zamknięcie się Zaporoża w wązkich granicach terytoryalnych, bez wyjścia prawie, rzucało tą garstką od jednej ostateczności do drugiej. Rabunek, pożoga, i połączone z tem nieuniknione morderstwo, dawały tylko ujście chwilowej energii. Bogactwa, zrabowane w Polsce lub na Tatarach, w takich warunkach życia, w jakich się dogasające Zaporoże znalazło, miały dla nich wartość zupełnie względną, rzeczy martwych, nieużytecznych. Życie tego oderwanego od świata kulturalnego społeczeństwa, było zbyt proste, zbyt pierwotne, zbyt mało wymagające. Narażanie tego życia, walka sama byłaby zupełnie bezcelową, gdyby nie nosiła cechy zużycia energii, nieposiadającej dla siebie rozumnego celu i ujścia. Jakkolwiek niektórzy historycy usiłują nadać najazdom hultajstwa zaporoskiego w granice Rzpłtej charakter jakiejś ideowej walki, to pogląd ten pozostanie zawsze wyrazem raczej polityki niż idei, i najazdy hajdamackie oczyścić się z plugastwa dzikości nie dadzą, tembardziej, że taką samą „walkę“ prowadzono z Krymem i pograniczem tureckiem. Dawniej i Wołoszczyzna bywała często polem popisów. Różnica na tem tylko polegała, że w Polsce rabowano bogate dwory i zabierano szaty i pieniądze, u Turków i Tatarów—spędzano stada owiec, wołów i koni, a u kupców karawanowych—co się dało.

Jakiż był ostateczny rezultat takiego niespokojnego, niepo- hamowanego niczem życia? Bardzo smutny. Prostu maleńkie

to społeczeństwo, oderwane od pnia macierzystego, skazane było na samospalenie się, na samozniszczenie się, na zmarnowanie wielkiej energii i wielkich sił. Stada baranów, owiec, wołów, padały ofiarą przy ogniskach watah stepowych. Przewlekły nieraz głód nagradzano sobie—obżarstwem. Pieniądze zrabowane, a nie przepite, zakopywano po lasach, polach, futorach. Tradycya miejscowa przechowuje dotychczas pamięć o „sosnach hajdamackich“ i dębach, pod którymi miały być zakopane „skarby.“ I nieraz zdarzało się wykrywać lub wykopywać takie skarby. Nie wszystko dawało się zakopać lub zjeść. Bodaj czy nie największą część tego wszystkiego pochłaniała karczma stepowa. Była to ta siła ujemna, która niszczyła powoli społeczeństwo zaporoskie. Wszystko w niej przepijano: i skarby, zrabowane w płomieniach, i sławę kozacką dawną, zdobytą chlubnie pod sztandarami orłów polskich w walce ze światem muzumańskim, i zdrowie wreszcie i siły. Poeta ludowy, nieznaną śpiewak dum kozackich, który na to marnowanie się resztek Kozaczyzny patrzył, w chwili żalu głębokiego słusznie powiedział:

Hej karczmo nasza, karczmo-kniahyne!  
 Czom w tobi kozoackoho dobra bahato hyne?  
 A sama isy neoszatno chodysz,  
 I na Kozakiw—netiah, pid słuczaj, bez swytok wodysz!

Rozpróżniane to, rozpijane Kozactwo, zbierało się niekiedy w większe watahy i wówczas pomiędzy „horodki“ rosyjskie przebijało się siłą i wkraczało w granice Rzpltej. Małe posterunki wojskowe nie mogły stawić dostatecznego oporu.

Ugruntowanie się Nowej Siczy, powrót Zaporozców do starych pałanek, zbliżenie się ich niejako do okolic zaludnionych, i co za tem idzie, większe zasilanie się szeregów zaporoskich ludnością wiejską, były powodem nawiązania ściślejszych stosunków między Siczą a pograniczem Rzpltej. Łatwość z bogacenia się, łatwość hulaszczego i swobodnego życia, jakie prowadzili Zaporozcy, stawała się dla nich zbyt ponętną, ażeby tej pokusie oprzeć się można było. Starsi trzymali się roli, młodzież uciekała na Zaporozie na hajdamaczenie i często stawała się przewodnikiem w granice Rzpltej.

Szły tedy skargi nieskończone z pogranicza południowego Rzpltej do Kaiserlinga w Warszawie, a przez Petersburg ukazy do generał-gubernatora kijowskiego, Leontjewa, o powstrzymanie rabunkowych najazdów. I trzeba przyznać, że Rosya nie bez pewnej planowej surowości postępowała. Uspokoiwszy trochę Doń-

ską Kozaczyzną, a wiedząc dobrze, jakim strasznym hamulcem w jej życiu państwowem była ta Kozaczyzna niejednokrotnie, wiedząc, jak wałki kozackie osłabiły Rzpltą polską, jak były długie i krwawe — nie życzyła sobie wcale rozrostu i wzmocnienia się tego czynnika antypaństwowego w nowo-zdobytym stepowym kraju. Z włóczęgami zaporoskimi, tytułującymi się stale Kozactwem siczowem, prowadziła systematyczną, uporczywą i ciągłą wojnę. Starszyźnie siczowej posyłano jeden po drugim ukazy wyłapywania włóczęgów i watah, powracających z Polski, a obciążonych łupem, jak niegdyś Tatarzy, i prawie żadna skarga polska nie mijała bez odpowiednich ukazów do Siczy. Chodziło tu nietylko o utrzymanie pokoju z osłabioną wewnątrznie i politycznie Rzpltą polską, ile o obawy rozszerzenia się tego ruchu w hetmańszczyźnie, na lewej stronie Dniepru. Dopiero energiczny nacisk rządu rosyjskiego na Sicz i przeprowadzone skutkiem tego dochodzenia, pozwalają nam zapoznać się ze społeczeństwem Zaporoskiem, pozbawionem organizacji, rodziny i najpierwotniejszych podstaw społecznego życia, do tego stopnia, że wypaczały się w najdzikszy sposób pojęcia i formy dawnej organizacji kozackiej.

Włóczędzy stepowi, których urzędowe źródła rosyjskie stale tytułują „rozbójnikami,“ a starszyzna siczowa, w obawie przed odpowiedzialnością za stosunki z nimi nazywała „zbiieraniną“ (sbrod), bywali jednak z Siczą w stałych stosunkach przyjaznych i bardzo blizkich. I inaczej być prawie nie mogło. Siedzieli ci ludzie po pałankach i zimowiskach zaporoskich, zjeżdżali się do Siczy dla wyboru starszyzny, trudno tedy przypuścić, ażeby ta starszyzna nic nie wiedziała ani o nich, ani o miejscu ich pobytu. Urzędowe tedy odpowiedzi z Siczy, nagabywanej o brak dozoru, inaczej brzmiały, niż rzecz się miała w rzeczywistości. Niektórzy jasno i otwarcie zeznawali, że siedzibę mieli w Siczy Zaporoskiej, na uroczysku zwanem Załoh Siczowy, że zbierała się tam wataha, konna i piesza, która już na początku kwietnia 1750 r. liczyła 800 ludzi — sami „brodiagi“ (nabrodnyje kozaki). Wataha ta miała zamiar zrabować Łysiankę, Bohusławszczyznę, Pohrebyszczę i Humańszczyznę, a o takich zamiarach ataman Kozaków Zaporoskich „dobre wiedał.“ Nie wykonano tylko tego planu w obawie przed komisją graniczną, która właśnie odprawować się miała. Najpierwszym celem tej wyprawy, która dopiero w roku 1768 do skutku doszła, miał być Humań, gdyż komendant tamtejszej fortecy rozciągnął nadzwyczaj ostrą czujność nad zbójcejkami watahami i zamknął im wszystkie pasy w sąsiednie okolice.



Inna wataha, także z 800 oczajduszów złożona, była pod komendą jakiegoś Michajła Zucha, ale prowadził ją Wasyl Wałach, z Wasiutyńskiego kurenia. Takie wypadki powtarzały się ciągle. Ataman koszowy, Jakim Ihnatowicz, starał się usprawiedliwić przed generał-gubernatorem kijowskim ze wszelkich stosunków Siczy z włóczęgami stepowymi, ale ci, którzy się przyznawali do współnictwa z Siczą, nie mieli najmniejszego powodu mówić nieprawdy. Zeznania ich miały charakter przypadkowej szczerości, gdyż w interesie ich leżało raczej zakryć współdziałanie Siczy, niż się do niego przyznać. Ihnatowicz usprawiedliwiał się tem, że takich nazwisk w spisach Kozaków Zaporoskich niema, ale wiadomo przecież, że Kozacy, dla zatarcia śladów za sobą, miewali po dwa i po trzy odmienne nazwiska. Tem chętniej posługiwali się tą metodą teraz, ażeby Sicz-macierz i Łuh-bat'ko zasłonić przed odpowiedzialnością, a sobie nie zamykać drogi do powrotu w razie wywikłania się z procesu.

Większe lub mniejsze watahy zaporoskie, lub kierowane przez Zaporozców, które najchętniej wychodziły na rabunek do Polski „Lachiw ryzaty a Żydiw szablami chrestyty,“ składały się ze zbieraniny stepowej najpodlejszego gatunku, najróżnorodniejszej narodowości, parobków gorzelanych, wisielców oderwanych od szubienicy, opojów, którzy, przepiwszy swoje mienie, szli na łatwy chleb, którzy przetańczyli ostatnią koszulę. Takie mieszane składniki etnograficzne niezdatne były ani do prawidłowego życia, ani do prawidłowego osadnictwa. Powolne wymieranie na palu lub pod ławą karczmy stepowej—było jedyną drogą do uspokojenia się z czasem siedzib zaporoskich i osadzenia ich żywiołami spokojniejszymi. Oczywiście i część Zaporozców, nie widząc wyjścia innego, osiadła na roli.

Rosya dopomagała temu normalnemu rozwiązaniu, jakbyśmy dziś powiedzieli, kwestyi ruskiej, walcząc niestrudzenie, systematycznie, z uporem podziwienia godnym z tem luźnem, niespojonem kulturą, a niespokojnem społeczeństwem, aż dopóki nie zwyciężyła go ostatecznie w r. 1772. Ale to do rzeczy nie należy.

## II.

Od czasu powrotu Siczy pod panowanie Rosyi, była ona punktem ciągłego wrzenia, ustawicznych niepokojów, a bardzo troskliwych starań rządu, aby doprowadzić ją do uspokojenia się. Spe-

cyalni komisarze, wyznaczani do zbadania powodów bezustannego wrzenia w Siczy, rabownictwa, morderstwa etc., składali bardzo długie raporty, ale treść ich bywała zwykle nader krótka i prawie jednobrzmiąca: przyczyną ciągłej zawieruchy było pijaństwo, doprowadzone do granic niemożliwości. Przepiwszy i przehulawszy wszystko, tacy włóczędzy stepowi już nie mieli przed sobą żadnego celu, oprócz wyżywienia się. Bogata fauna dzikich pól, rybne rzeki dostarczały im mięsa poddostatkim, ale na gorzałkę i ubranie trzeba było zapracować. Pijackie rozpróżniczenie nie pozwalało im imać się żadnej regularnej pracy, trochę Kozactwa osiedlało się w pałance Samarskiej, ale prawobrzeżne Zaporozże miało rolnicze osady tylko około punktów obronnych, około „forpostów“ rosyjskich, około „horodków.“ Próżniacze i hulaszczę życie dawało im dużo czasu do tworzenia planów — do kogo i w jaką stronę się udać dla „podpomagania się.“ I oto geneza tworzenia się większych watah i robienia wycieczek w Rzpltej lub pod ułusy i pastwiska tatarskie.

Z zeznań wyłapywanych hajdamaków w tym czasie widzimy, że większość ich pochodziła z lewobrzeżnej Ukrainy, z hetmańszczyzny. Ucisk chłopów przez starszyznę kozacką, bezprawie panujące powszechnie, zmuszały włościan, już osiedlonych, do ucieczki na Sicz. Mordowcow, najbardziej może z pośród historyków rosyjskich, zajmujących się dziejami Kozaczyzny, bezstronny, najsilniej obdarzony poczuciem moralnym, ostremi barwami maluje ten ucisk, a jako następstwo jego — podaje ucieczkę. Nieśluszenie jednak przypuszcza, że brak ziemi był najpotężniejszą siłą, zmuszającą do opuszczenia już zasiedziałej sadyby. Gdyby ta przyczyna była istotnie bodźcem, to znalazłszy się w pałankach siczowych, gdzie ziemi było poddostatkim, i można było wziąć jej tyle, ile kto chciał — byłiby niezawodnie założyli nową osadę. Zamiast tego jednak szli na hajdamaczenie, na rozbój, na próżniacze życie. Oczywiście, było to następstwem nie tyle ucisku, który przesadnie traktowano, lecz smutnym wpływem długoletniej walki, długoletniego rozpasania się swawoli, długoletniej włóczęgi z miejsca na miejsce, fałszywego pojmowania wolności, która w praktyce stawała się wyuzdaną samowolą. Hamulca na to prawie nie było, zarówno ze strony Rosyi, jak i Rzeczypospolitej. Wśród sfer kozackich i wśród narodu ruskiego poniekąd, panowały wypaczone pojęcia jak o wolności tak i o ucisku. Środki do życia widziano w walkach, w rabunkach, w rozbojach, nie w pracy rolniczej, a tembardziej rzemieślniczej. Ten podniecony nastrój panował także wśród duchowieństwa.

W walce wzajemnej popów unickich i prawosławnych o bogate prebendy, upatrywano prześladowanie religii. Tak samo nienawiść do Lachów nie wypływała w tem zwichrzonem i nienormalnem społeczeństwie z warunków życia gorszych i cięższych niż gdzieindziej, lecz najczęściej miała źródło swoje w zawiści ludzi bezdomnych, ubogich, pozbawionych wszelkiej własności, do klasy zamożnej i silnej. Hasła nienawiści narodowościowej były sztucznie przeszczepione na płunkach zwyrodniałej Kozaczyzny, i były tylko hasłem wojennem, zachętą i podniętą do rabunku. Gdyby w sąsiedztwie Siczy nie było Rzpltej bogatej i słabej militarnie, lecz Francya, Włochy lub Niemcy, stosunek Zaporozża w niczemby się nie zmienił. Hajdamaczenie odbywałoby się tak samo, jak w Rzpltej polskiej.

Tak czy inaczej, dość że w momencie dziejowym Siczy, który jest przedmiotem niniejszego szkicu, Rosya miała z Zaporozżem takie same kłopoty o rabunki i wycieczki hajdamackie w granice sąsiednich państw, jakie Polska miała z Kozaczyzną w połowie XVII w., z tą tylko różnicą, że Rosya, silniejsza swoim despotyzmem państwowym, swoją organizacją biurokratyczną, uspokoiła ten wichler zaporoski łatwiej i prędzej, niż Rzplta, ku pożytkowi swemu. Ale stało się to dopiero zapomocą szabli Tekelego.

Skargi nieustanne Tatarów na Kozaków zaporoskich o rabunki i rozboje zmusiły niejako generał-gubernatora Leontjewa złożyć projekt do Senatu (1744?) uspokojenia Siczy. Poznamy bliższe szczegóły tego projektu za chwilę i poznamy pobudki, które Senat do odrzucenia go zmusiły.

Mając na uwadze skargi i żale tatarskie na Kozaków zaporoskich, jakoteż zeznania złapanych na gorącym uczynku hajdamaków, że nietylko organizowały się watahy za wiedzą starszyzny, lecz że Kozacy Siczowi często w rabunkach udział brali — generał-gubernator Leontjew posyłał od czasu do czasu człowieka zaufanego na Sicz i polecał mu tajemnie a pilnie przypatrywać się, co się tam dzieje i jak się zachowują atamani koszowi. Posłańcy tacy przesiadywali w Siczy pod pozorem rozpatrywania wzajemnych skarg Polaków, Tatarów i Zaporozców na siebie. Na początku piątego dziesięciolecia XVIII w. takim mężem zaufania był Glebow, następnie w 1747 r. wysłany był Nikita Karanyszew, któremu polecono, aby sprytnie i sekretnie dowiedział się, co też to jest za osobistość ataman koszowy, Paweł Kozielecki, i jaka jego polityczna pewność. W rok później wysłano w takim samym celu kapitana Pawłowa, wreszcie w r. 1749 sekund-majora Nikiforowa.

Już krótkie sprawozdanie Pawłowa otworzyło rządowi rosyjskiemu oczy na to ognisko anarchii kozackiej, jaka panowała w Sicz, a równocześnie było wskazówką, że rządy kozackie pod formą istniejącą w Sicz są tylko zarazkiem nieładu, źródłem niepokojów ustawicznych, zaś autonomia wojskowa, owa żrenica wolności kozackich, jest rażącym przykładem wszelkiej dezorganizacji społecznej.

Mimo to Sicz pozostawiono jeszcze czas jakiś w tej agonii hulaszczej, gdyż dwór petersburski nie miał ani dość czasu, ażeby sprawą ukrócenia swawoli kozackiej na seryo zająć się, ani dość siły, ażeby ją zgnieść jednorazowo. Słabe rządy Elżbiety Piotrówny były także jaskrawym przykładem zgorzenia publicznego i panowania przygodnych faworytów. Lepiej oceniał Sicz, jako hamulec do prawidłowego życia, Leontjew, który zbliżka patrzył na to gniazdo swawoli państwowej, ale nie zawsze znajdował potrzebne poparcie.

Czem była ówczesna Sicz, najlepiej będziemy mogli poznać z tego, jak się ona przedstawiała ludziom współczesnym, nieuprzedzonym, którzy na to życie jej patrzyli okiem spokojnych sprawozdawców. Kapitan Pawłow był obecnym przy wyborze atamana koszowego. Wybory starszizny siczowej odbywały się dwa razy do roku: 1 stycznia i na Piotra i Pawła, a zdarzało się często, że dwa razy do roku zmieniano całą starsziznę. W styczniu 1748 r. Pawła Kozieleckiego zrzucano z atamanstwa, a na jego miejsce został wybrany Marko Kondrat'jew czy Kondratow. Rosyane często przekręcali nazwiska po swojemu. „W czasie tego wyboru—pisał w raporcie swoim Pawłow—był wielki hałas i bójka przez większą część dnia aż do wieczora, a gdy pop rozpoczął nieszpory, wszedł do cerkwi tłum i z powodu wyborów rozpoczęła się walka tak straszna, że pokiereszowali siebie i cerkiew okrwawili. Pop, widząc bójkę, nie dokończył nabożeństwa, zrzucił z siebie ryzy i wyszedł z cerkwi, którą opieczętowano i nabożeństwa w niej nie odprawiano przez kilka dni.“

Starszizna, dla usprawiedliwienia siebie, utrzymywała, że nigdy jeszcze tak bezładnych wyborów nie było. Obaczymy jednak, że następny wybór był jeszcze gorszy, i że takie wybory, od pewnego czasu, zdaje się od ruiny Sicz przez Piotra W., bywały prawie zawsze.

Leontjew zainteresował się tymi wypadkami o tyle, że miały one charakter gorszący, gdyż krwawa bójka odbyła się w cerkwi. Wypisawszy tedy reprimendę koszowemu, dowiedział się z bardzo suchego raportu, że cerkiew przez sześć dni była zam-

księżną, a dopiero 5 stycznia pod wieczór otwartą została dla nabożeństwa przez Jeromonacha Pafnusego.

Koszowy Kondratow nie przypadał widocznie do smaku wyborcom, gdyż na ponownych wyborach na Piotra i Pawła, to jest w końcu czerwca t. r. wybrali innego atamana i całą nową starszyznę. Owym szczęśliwym wybrańcem był Jakim Ihnatowicz, który już 27 czerwca donosił Leontjewowi o swoim wyborze i otrzymał od niego życzenie, ażeby „władzę swoją sprawował dobrze i szczęśliwie przez długie lata.“

Skutkiem ciągłych skarg, które z Warszawy i z Krymu szły via Petersburg, już w r. 1743 senat zażądał od Leontjewa opinii „w jaki sposób swawolę Kozaków zaporoskich i rabownictwo ich ukrócić.“ Wówczas wyszła propozycja, ażeby ataman koszowy i starszyzna nie byli wybieralni, jak się działo zwykle, lecz mianowani przez rząd. W ten sposób, będąc, jako urzędnicy, do pewnego stopnia, pewni swego urzędu, byłiby w działaniu swoim śmielsi i nie liczyli się z głosami i sympatjami czerni. Dlatego zaś, ażeby prowadzić ewidencję Kozaków, proponowano spisać rejestr. Tych zaś, którzy dla handlu lub dla innej potrzeby zmuszeni są opuszczać siedliska Siczy, wciągać w osobne spisy. W ten sposób i kontrola miała być prowadzona łatwiej i odszukanie złoczyńców rychlejsze.

Ku tej reformie skłaniała się także i starszyzna, spowiadając się „sekretnie“—bo taki sekret stanowił poniekąd politykę kozacką—przed Nikiforowym, że „gdyby urząd koszowego i sędziego nadawany był przez cesarza lub przez senat, a kurenni atamanowie mianowani byli przez gubernatora, na Zaporozu zapanowałyby większy porządek, bo swawolni Kozacy, obawiając się takiej starszyzny, od kradzieży i rozboju powstrzymywaliby się.“ Żądano tedy takiego porządku, jaki już istniał u Kozaków dońskich. „Jeżeli zaś — mówiono — wybory będą odbywały się takim trybem, jak teraz, to nic dobrego oczekiwać nie można, złodziejów i zbójów wyłowić niepodobna, gdyż oni tylko nominalnie należą do kureniów, a prawdziwych ich nazwisk nietylko koszowy, ale i kurenni nie zna. I tak, włócząc się po stepach, zarówno Tatarom, jak i polskim obywatelom krzywdy wyrządzają. Atamanowie kurenni wszyscy są nałogowi pijacy, a różni hultaje (niedobryje ludzie) wybierają co miesiąca innego. Oczywiście, jakimi sami są, takiego sobie wybierają; otóż tacy atamanowie o wszelkiej swawoli, o wszelkich nadużyciach milczeć muszą, muszą je pokrywać. Gdyby zaś zarówno koszowy, jak i atamanowie kurenni chcieli się ściśle stosować do ukazów carskich, to w czasie nowych wy-

borów nie tylko tracą swą godność, lecz z godnością często i życie.“ „Oprócz takich ludzi, o jakich pisałem, wątpię czy się inni w wojsku zaporoskiem znajdą.“—dodaje Nikiforow.

Nic przeto dziwnego, że myśl reformy wojskowej najpierwej i najchętniej przyjęta była przez starszyznę siczową. Trzeba jednakże dodać, że nie wiodło jej ku temu żadne poczucie obywatelskie, żadna idea stworzenia zdrowego, silnego organizmu wojskowego z jakąś myślą o przyszłości, nie błąkała się tam nigdy idea „rycerstwa chrześcijańskiego,“ żadne, ujęte w jasne myśli, narodowe marzenia. Śladów tego nie znajdujemy nigdzie. Wrogiem nazywano każdego, z którym „sławne wojsko zaporoskie“ walczyło, ale celem i rezultatem walki był rabunek, a jedyną troską na przyszłość—ażeby nie zostali przez władze stosowne wykryci. Taką rolą Siczy była zewnątrz.

Wewnątrz—było to ognisko intryg, walk wzajemnych, pijackiej i hulaszczey swawoli, posuniętej do ostatecznych granic, a najsilniejszym motorem do tego wszystkiego było próżniactwo.

Starszyzna, niepewna losu swego i życia, cicho, „sekretnie,“ jak niegdyś robił Wyhowski, konferowała z Nikiforowym o reformie, któraby ich stanowisko wojskowe ustaliła. Sprzykrzyła się już rola zabawki w rękę hołoty zaporoskiej, a podobało się natomiast stanowisko sędziów, pułkowników, asawułów w hetmańszczyźnie, siedzących na roli, łupiących skórę z chłopów i zdobywających tak nowo od niedawna brzmiące tytuły „bojarów,“ i „kawalerów.“ W tym celu, ażeby w Petersburgu wyjednać sobie stały tytuł do atamaństwa, wybierał się koszowym Wasyl Sycz, i zwierzał się z tem przed pisarzem wojskowym nie bez chęci zapewne, ażeby ta wiadomość doszła do sekund-majora Nikiforowa.

Ale niedługo swoją godność koszowego nosił.

Bardzo smutno wyglądała autonomia kozacka według tego „co zdarzyło się widzieć osobiście“ Nikiforowi. Jak wyglądał tedy samorząd kozacki „w sercu narodu ukraińskiego,“ poznamy z opowiadań naocznego świadka.

Było to na początku roku 1749. Zwykle w tym czasie odbywały się wybory starszyzny. Już tedy około Bożego Narodzenia kończącego się roku poczęli zjeżdżać do Siczy Kozacy, rozproszeni po stepach, po zimowiskach i po gardach na rybołówstwie. Zebrało się tego, razem z zamieszkałymi w Siczy, do 5,000, wszyscy w największej części bezbrzeźni pijanicy (prezielnyje pijanicy), nazywani według zwyczaju miejscowego siromachami, nieposia-

dający nietylko koni i bydła, lecz nawet koszuli na grzbiecie, wylegujący się zwykle po kureniach aż do wiosny.

W święto Bożego Narodzenia, po odprawionem nabożeństwie, wyborcy rozeszli się po kureniach, zaś po obiedzie ataman koszowy Jakim Ihnatowicz kazał wytoczyć trzy beczki gorzałki, wartości 105 rubli — wielka suma na owe czasy — i kazał rozdać „po sprawiedliwości“ wszystkim kureniom, równo podzieliwszy, w celu przychylnego usposobienia dla siebie Kozaków. Oprócz tego, tych wszystkich, którzy jeno przychodzili do niego, poił gorzałką i miodem. Tak samo postępowali sędzia Mykita Sanbyka i pisarz Andrzej Mirhorodzki, tylko na skromiejszą nieco skalę w stosunku do najwyższą godność piastującego atamana koszowego. Trwała taka powszechna uczta pijacka bez przerwy od Bożego Narodzenia aż do Nowego Roku. Szczególnie „siromachy“ nie przetrzeźwiali się wcale, czyniąc w stanie pijanym niesłychane burdy, napadając na starych i rozumnych Kozaków, najchętniej takich, którzy nie stawili żadnego poczęstunku. Właściwie mówiąc, wybór starszyny nie zależał od najlepszych Kozaków, tylko od tego hultajstwa, które siromachami się zowie. Przed samymi wyborami koszowy, po porozumieniu się z sędzią, kazał zamknąć (zapieczatać) wszystkie szynki z gorzałką, ażeby liczba pijaków i swawolników nie powiększyła się. Okazało się to tem bardziej potrzebnem, że w ciągu świąt kilku Kozaków z przepicia się umarło.

Owi tedy siromachy, czyli jak mówi Nikiforow, pijanicy i hultaje, w ciągu przez tydzień prawie trwającej pijatyki, naradzali się z sobą kogo obdarzyć godnością koszowego, sędziego, asawuły, pisarza i „dowbysza.“ Nawet puszkarze i muzykanci do litaurów byli wybieralni.

1-go stycznia znowu odbyło się uroczyste nabożeństwo, poczem koszowy, atamanowie kurenni, znaczniejsi Kozacy, a nawet czerń, rozeszli się po kureniach lub po domkach, leżących poza ogrodzeniem właściwej Siczy. Wkrótce potem wywieziono z cerkwi tak zwane klejnoty — chorągiew i buńczuki, gdzie, według zwyczaju kozackiego, są przechowywane, i ustawiono je przy bocznych drzwiach cerkwi. Przyniesiono także litaury i obok klejnotów umieszczono. Gdy się to stało, poczęła wychodzić ze swoich domków starszyna. Najprzód wyszli ataman koszowy i sędzia, mając w ręku wielkie laski trzciniowe w srebro oprawne — na początku XVII w. zwano je „komyszyny“ — oprócz tego koszowy miał w ręku wielką pieczęć siczową. Pisarz wojskowy miał w ręku wielki srebrny kałamarz, jako znak godności, a asa-

wuła zadowolniał się zwykłą pałką bez żadnych ozdób. Przyszedszy tedy do miejsca, gdzie stały owe klejnoty kozackie, każdy zdjął czapkę i według starszeństwa swoich urzędów stanęli rzędem pod chorągwią. Z prawej strony od koszowego atamanowie kurenni, z lewej asawuła. Wszyscy z nienakrytymi głowami. Czerń zaś, w stanie pijanym do niemożliwości (w przezieleniu buduczi pijanstwie) zajęła stanowisko za atamanami kurennymi i dokoła cerkwi. Było tego ze 3,000—więcej nie mogło się pomieścić w obrębie Siczy, tak że wielu bardzo Kozaków siedziało na dachach kureniów, na dzwonnicy, a inni stali na wałach i wzdłuż rzeki.

Gdy tedy wszyscy już się zebrali, rozpoczęło się losowanie, jakiemu kureninowi jakie jeziora i rzeczki przypaść mają na rybołówstwo. W tym celu już poprzednio pisarz wojskowy spisał na osobnych kartkach wszystkie rybne stanowiska, robiąc tyle kartek, ile było kureni. Potem wszystkie te kartki kładł do czapki i trząsł nią, a atamanowie kurenni przychodzili jeden po drugim i wyciągali z czapki kartki (jarłyk). Każdy kureń wiedział w ten sposób, gdzie mu przypada „przemysł rybny.“ Po ukończeniu losowania pisarz wojskowy czytał głośno jarłyki, dla wiadomości Kozaków i atamana kurennego. Atamanowie po przeczytaniu kłaniali się i odchodzili — gdzie kto chciał.

Po rozejściu się atamanów kurennych odezwały się litaury i bębny, zwołując tych Kozaków, którzy przyjść jeszcze nie zdołali. Powychodziła tedy jeszcze czerń z różnych kryjówek, przyjechali nowi z zimowików, a wśród panującego hałasu i natłoku nietylko mało co było słychać, ale i widać niewiele.

Wśród tego zamętu, ataman koszowy, sędzia, pisarz i asawuła, kłaniając się czerni na wszystkie strony, głosem najdonioślejszym, jakim kto mógł, zrzekali się swoich urzędów, dziękując za dotychczasową godność. Czerń, wysłuchawszy to, podniosła niewypowiedziany hałas. Każdy krzyczał co innego. Tłum mięszać się począł. Niektórzy łajali najohydniejszymi słowami starszyzną, wykrzykując, że dosyć już najedli się kozackiego chleba. Słychać było ze wszech stron wołania: „położy! położy!“ Czyj krzyk przeważał, po tej stronie była większość. Owe wołania — „położy!“ — oznaczały, że starszyzna powinna zrzec się swoich godności. Wobec tego starszyźnie nic innego nie pozostaje, jak położyć, według zwyczaju, czapki swoje na ziemi, a potem każdy kładł znaki swojej godności: koszowy tedy — trzcinę okutą i pieczęć, pisarz — kałamarz, sędzia i asawuła — pałki swoje. Gdy się to już stało, chwytają co rychlej każdy swoją czapkę i uciekają



po kureniach, gdyż w takich razach następuje zwykle doraźna rozprawa—starszyznę biją, a niekiedy i na śmierć zabijają.

Tym razem Jakim Ihnatowicz posiadał widocznie silną partycję za sobą, bo gdy jedni krzyczeli: „położy!“—drudzy nie mniej głośno domagali się, ażeby koszowy i pisarz pozostali i nadal na swoich urzędach. Chęci te wyrażali w sposób oryginalny, bo na głowę swoich ulubieńców sypali piasek i ziemię. Niektórzy i na tem nie poprzestawali, bo ciągnąc obu za włosy krzyczeli głośno: „bądźcie panowie zdrowi i tłuści“ („zdrowy i żywny“). Gdy się tedy obie strony pogodzić nie mogły, rozpoczęła się wzajemna walka, oczywiście najenergiczniejsza w otoczeniu starszyny, skutkiem czego koszowego i pisarza tak przyciśnięto do cerkwi, że ledwie żywi wyszli.

Wśród wzajemnej bójki i wrzasków, padł ofiarą sędzia Mykita Sanbyka, na którego miejsce wybrano Wasyla Bohacko, a asawulę — prostego Kozaka wasiutyńskiego kurenia, Wasyla Dawyda. Poprzedniego, wyzuwając z godności, „przepędzili kułakami.“ W taki sam sposób, bez ładu i porządku, wybrano pułkowników, czyli przedstawicieli siły wojskowej po pałankach. Należało wybrać pięciu, wybrano zaś dwudziestu, gdyż każdy kureń prawie pragnął mieć pułkownika ze swego ramienia, a przytem wybory te odbywały się wśród nieustających bójek. W końcu, zebrawszy do kupy koszowego, pisarza, pułkowników i inną starszyznę, wyborcy szli razem do mieszkania koszowego. Pochód to był i dziwny i ciężki, gdyż po drodze kułakowano każdego z osobna w sposób nielitościwy i ciągnięto za włosy, tak że ledwo żywi stanęli przed kureniem koszowego z „pomietami“ żebrami. Dobrawszy się nareszcie do chaty, koszowy drzwi zatrzasnął za sobą i nikogo nie puścił. „I tak—powiada świadek—do samego wieczora wypoczywali.“

Czerń rozpełzła się po kureniach, poza wały Siczy. Naza jutrz, 2 stycznia, wyborcy, zebrani poza częstokołem i wałami Siczy przed t. zw. „komorą puszkarzą,“ rodzajem arsenału, przystąpili do wyboru puszkarza. Akt ten samorządu kozackiego odbył się z krzykiem i bójką. Mimo wzajemnego przekonywania się za pomocą pięści, wybory nie dały dodatniego rezultatu—nikogo nie wybrano, pijane zaś tłumy włóczyły się przez dzień cały. Nieliczna garstka osiadłych Kozaków, którzy nie tyle na wybory, ile dla przypatrywania się temu widowisku przyjechali, odjechała do domów. Po nieszporach rozpoczęły się awantury na nowo. Litaury i bębny były wprawdzie schowane w cerkwi na wszelki przypadek, ażeby hołota nie uderzyła na alarm, ale to

nie na wiele się przydało. Wyciągnięto je z cerkwi, a ponieważ pałeczki udało się schować, uderzono na alarm (na sbor) zwykłymi polanami. Zbiegli się ze wszech stron pijani wyborcy, wyciągnęli z pośród siebie dawnego niegdyś sędziego Iwana Wodolągę i obrali go ponownie sędzią. Na asawułę zaś wybrano zapitego Kozaka, który nawet odzieży na sobie nie miał. Widząc takie zamieszanie i awanturę, wybrani poprzedniego dnia koszowy, sędzia Bohaćko, pisarz Mirhorodzki i asawuła Dawyd, uciekli do mieszkania koszowego i zamknęli się z obawy, aby czerń kozacka nie zamordowała ich. Część jednakże wyborców, spostrzegłszy ucieczkę starszyny, poszła do nich i prosiła, aby się na radę stawili. Chcąc niechcąc musieli się stawić, z wielką obawą i smutkiem. Wzięli tedy oznaki swojej godności — komyszyny srebrem okute i zwykłe pałki i wyszli z izby. Ledwie jednak koszowy, sędzia i asawuła zdołali dojść do cerkwi, gdzie się odbywał ów patryarchalny akt wolności kozackiej, część czerni kozackiej rzuciła się ku nim, i nawrócili ich z powrotem do mieszkania koszowego z takim samym ceremoniałem jak pierwszej — hojnie obdzielając swoich ulubieńców boksańcami. Kozacy dogadywali przytem koszowemu: „ty nasz bat’ko, bądź naszym panem i panuj na zdrowie.“ Nie tak szczęśliwie wykręcili się z tej całej imprezy sędzia i asawuła. Zdołali wprawdzie schować się do izby, ale ich stamtąd wyciągnięto, odebrano od sędziego komyszynę, od asawuły pałkę, i precz odpędzono, wręczając te odznaki władzy nowoobranym.

Wogóle, można powiedzieć, było to panowanie czerni, takie same huczne, pijackie, bezwzględne, samowolne, bez hamulca żadnego, kierowane jakimś niedostrzegalnym podmuchem, jakie bywały za czasów Chmielnickiego. On sam na samowolę tę uskarżał się, podlegał jej, lecz za mętną falą jej woli płynął. Trzeba było albo jej dogadzać, albo z jej ręki zginać. Ten sam duch swawoli rządził i teraz.

Gdy wybory wypadły, jak się zdawało, podług myśli siromachów, zapanowała zgoda do złego w innym kierunku, którą tak łatwo wywołać w ciemnym, a ożywionym gorzałką tłumie.

Za Siczą, czyli za właściwą zaporoską cytadelą, był jeszcze rodzaj miasta, gdzie mieszkali niezbędni rzemieślnicy: kotlarze, kowale, puszkarze. Oprócz tego mieszkało tu dla handlu wielu Greków, Ormian, kupców ruskich i rosyjskich, a niezależnie od kramów różnego rodzaju rosiały się gęsto karczmy z gorzałką i miodem. Oczywiście ta część Siczy, którąby można nazwać kupiecką, była ogromną atrakcją dla rozpitej hołoty. Umówiono

się tedy sklepy zrabować, a beczki z gorzałką porozbijać, aby według sprawiedliwości kozackiej każdy mógł czerpać tyle, ile zechce. Na dane hasło, zbiegać się poczęła czerń z cytadeli, ciągnęli za sobą litaury i walili w nie, co sił stało, ażeby jak można najwięcej zbiegło się hołoty. Niektórzy atamanowie kurenni także w tej wycieczce udział wzięli, zachęcając siromachów do rabunku.

Jak tylko bazarnicy dowiedzieli się o wszystkim, postanowili bronić się. Zebrało się ich tedy około 400 ze strzelbą, a kto broni nie miał, z kołami, i skupili się przed dzwonnica cerkiewną, która dzieliła przedmieście od Siczy, nie puszczając hołoty do bazaru. Tuż prawie przed bramą cerkiewną tedy rozpoczęła się krwawa bójka. Siromachy cisnęli się na przedmieście, bazarnicy bronili się strzelbą i kołami, raniąc wielu śmiertelnie. A nawet jeden dygnitarz—ataman kurenny—guza dostał. Żadna strona nie odniosła stanowczego zwycięstwa. Siromachy spostrzegłszy, że bazarnicy atakują ich, zamknęli bramę przed dzwonnica. Bazarnicy zaś, obawiając się większego napadu czerni, z bronią w rękę czuwali całą noc. W tym czasie szły także pertraktacye pokojowe. Wprawdzie nowoobrana starszyna, zamknawszy się w komorze koszowego, nie pokazywała się z obawy, ażeby się na nią cała awantura nie skupiła, wysyłali jednak ze swojej kryjówki raz po raz parlamentarzy, usiłując tłum uspokoić. Starzy jednak i rozsądniejsi Kozacy chwycili się środka bardziej energicznego: tam, gdzie perswazyje nie pomagały, uspokajali kijem. Powoli jednak tłum przyszedł do opamiętania. 3 stycznia, kiedy już gorzałkę wypito, kiedy ciało zmęczone wypowiadało posłuszeństwo, wracało większe panowanie nad sobą. Gdy ataman koszowy, po rannem nabożeństwie, spostrzegł tę zmianę, zwołał na naradę atamanów kurennych, prosząc ich, aby swawolników starali się uspokoić, ażeby awanturników po kureniach nie trzymali, oświadczając, że takie postępowanie nie może podobać się ani Panu Bogu, ani carowej, ani wysokiej generalicyi, a wojsku zaporoskiemu przynosi hańbę. Na tej radzie postanowiono, ażeby na urzędach sędziego i asawuły pozostali ci sami, co przedtem byli, tak samo postanowiono zatrzymać na niższych urzędach tych samych ludzi. Tak więc cała komedia wyborów była—komedią, była okazją do wspólnej pijatyki, do wspólnych awantur, do wykonania zemsty osobistej nad starszyna—bezkarnie.

Po ukończeniu tedy wyborów wszyscy rozeszli się do swoich kurenów, a następny dzień cały przeszedł spokojnie, nawet pijanych było niewiele, gdyż koszowy, czując się już bezpiecz-

niejszym, kazał wszystkie szynki zamknąć i zabronił sprzedawać gorzałkę.

Ciekawy i charakterystyczny raport Nikiforowa wywołał doniesienie do Petersburga o „zuchwalstwie kozackiem“ z zapytaniem o radę, „w jaki sposób powstrzymać ich od hultajstwa.“ Ale z Petersburga odpowiedziano, jak i w r. 1744, że „stosowanie środków zaradczych nie uważa się za pożyteczne.“ Na północy bawiono się zbyt wesoło, ażeby się mogli interesować tem, co się dzieje na południu. Zupełnie jak w połowie XVIII w. w Rzpltej Polskiej. Zamiast przystąpić do energicznego ukrócenia swawoli, do skierowania sił kozackich do regularnej pracy, zażegnrywano skargi tatarskie i polskie komisjami, pozbawionemi siły, a zatem i powagi. Senat uważał, że wszelkie reformy w wojsku zaporoskiem są niemożliwe. „Wbrew tedy dawnemu zwyczajowi, z powodu niestałości charakteru Kozaków, polecono Leontjewowi do Senatu w tej sprawie na przyszłość nie pisać i senatorom nie przysparzać niepotrzebnej pracy.“

Nie przeszkadzało to wcale Senatowi pisać groźne ukazy generał-gubernatorowi kijowskiemu i żądać ukrócenia swawoli kozackiej.

Na miejscu wszakże, w Kijowie i Siczy, lepiej niż w Petersburgu rozumiano doniosłość i wpływ anarchii kozackiej na bieg prawidłowy życia na kresach południowych Rosyi. Leontjew musiał tedy działać do pewnego stopnia na własną rękę, ażeby jakkolwiek porządek w Siczy zaprowadzić. Pomimo przeto napomnień z Petersburga, ażeby projektami uspokojenia Siczy „nie utrudzać senatorów,“ Leontjew nie ustawał w przedstawianiu groźnego stanu rzeczy, aż wreszcie 5 września 1749 r. z Kolegium spraw zagranicznych otrzymał ukaz z poleceniem przedstawienia projektu ukrócenia swawoli, panującej w obrębie posiadłości siczowych, jako też w jaki sposób powstrzymałoby należało złodziejstwo i rabunki, prawidłowe i spokojne życie umożliwić, a raz na zawsze położyć koniec skargom sąsiadów.

Ukaz Kolegium z 12 czerwca 1749 r. był bardzo ostry tym razem. Leontjew wysłał go natychmiast do Siczy do Nikiforowa, polecił zebrać starszyznę, przeczytać jej ukaz i odbyć poważne narady nad uspokojeniem posiadłości siczowych. Stało się zadość temu życzeniu 24 czerwca, przed samemi wyborami, a termin ten niewątpliwie rozmyślnie był wybrany, aby przeczytanie ukazu mogło działać uspokajająco na zebranych siromachów. Jakoż, istotnie, rezydujący stale w Siczy major Nikiforow tym razem nie złożył relacyi o awanturach wyborczych.

Ukazy czytane były w Siczy, ale małe wrażenie robiły na pałankach, gdzie na nie żadnej uwagi nie zwracano, a siromachy rozbójniczyli po swojemu. Krzyżowały się tedy skargi między Siczą, Kijowem, Petersburgiem, Warszawą a Krymem po dawnemu. Ażeby zasłonić się czemkolwiek, rozpuszczano pogłoskę, że rząd rosyjski pozwala wychodzić na rabunek do Polski.

Nagany i ukazy z Petersburga, ciągle odezwy do Siczy i Nikiforowa, polecające wyszukiwać złoczyńców i karać, ciągle wreszcie z tego powodu korespondencya sprzykrzyła się nietylko starszyźnie, lecz i starykom — poważniejszym Kozakom — tak, że coraz częściej odzywały się głosy o potrzebie reformy wewnętrznej, któraby zapobiegała swawoli, nadużyciom, rabunkom, rozbojom hołoty, tułającej się po pałankach zaporoskich. Tu wysuwa się na czoło nowoobranym pisarz wojska zaporoskiego, Piotr Czerniawski, który w urzędowych relacjach tytułuje siebie stale „najpoddanym rabem,“ „najniższym i ostatnim rabem“ Carskiego Wielichestwa. Od dwudziestu lat pisarstwem się trudnił, znał wszystkie zwyczaje, chytrości i swawolę kozacką, „zapałał tedy ogniem pilności i pracy dla pożytku rządu,“ a donosząc o nadużyciach hultajów i siromachów, podawał także sposoby ukrócenia swawoli. W memoryale o wypadkach, zasłanych w Siczy, nie oszczędzał wcale swoich chlebobawców. Nazywając Kozaków zaporoskich „podłym i złodziejskim narodem,“ wszystkie niepokoje przypisywał niestałości władzy i z uporczywością człowieka przekonanego, patrzącego z blizka i długo na swawolę kozacką, ciągle wracał do myśli o potrzebie wprowadzenia na Zaporozie stałej, nominowanej przez rząd rosyjski, władzy. „Z powodu samowolnej zmiany kosztowych — tak nazywał źrenicę wolności kozackich, wolne wybory — i innej starszyny, powstają tak wielkie niepokoje, że opisać nawet niepodobna. Jeżeli zaś nie utworzy się stałych urzędów starszyny, to nie tylko złodziejstwo i rozboje nie ustana, lecz większy jeszcze nieład może się rozwinąć, a wówczas o spokojnem zachowaniu traktatów i mowy być nie może.“ Prosił tedy o stały urząd, jako o „macierzyńskie miłosierdzie dla tego zmarnowanego narodu, który jest teraz, jak owce bez pasterza.“

Leontjew był rzeczywiście w położeniu bez wyjścia. Leciwały ukazy jeden za drugim, ażeby „ukrócić swawolę zaporoską,“ a gdy on przesyłał swoją opinię, w jakiby to sposób stać się mogło, odpowiadano mu, że „nie należy utrudzać senatorów.“ Leontjew okazał się wszakże człowiekiem energicznym, a znając doskonale sytuację na miejscu, z powodu nowych skarg krymskich, odpisał do Senatu 31 lipca 1750 r. dość ostro, przypominając, że już nie-

jednokrotnie wyrażał swoją opinię, w jaki sposób ukrócić można swawolę zaporoską, ale uważano ją w Senacie za „niepożyteczną“ i wszystko pozostało po dawnemu. „Nieustanne wszelkie złodziejstwa i swawola—pisał w tem doniesieniu—pochodzą od Kozaków zaporoskich, a w przyszłości, jeżeli w wojsku zaporoskiem dobry porządek nie będzie zaprowadzony, to i nadal wszelka swawola od nich pochodzić będzie. Swawoli zaś tej i rozbójnictwa niepodobna wykorzeńić, ani powstrzymać dlatego, że w wojsku zaporoskiem niema żadnej dyscypliny i ładu, a nawet sam koszowy i starszyzna bywają od tego hultajstwa nieraz w strachu i niebezpieczeństwie, szczególnie od włóczęgów i pijaków, których w Siczy znajduje się kilka tysięcy. Wszyscy oni skutkiem pijaństwa i hulatyki doprowadzeni do ostatnich granic nędzy, a niemając z czego żyć, idą na złodziejstwo i rozboje, na niczem innem nie fundując żadnych nadziei, jak tylko na rabunku, który z powodu swojej lekkomyślności i zuchwalstwa dobyczą nazywają.“

Leontjew wiedział, jaką rola była na dworze petersburskim hrabiego Kiryły Rozumowskiego, tytularnego hetmana lewobrzeżnej Ukrainy i domyślał się niewątpliwie dlaczego Jego Jaśnie Wielmożność, pochodzący sam z rodziny kozackiej, uważał za „niemożliwie zmieniać dawne zwyczaje na Siczy,“ ale lepiej od hetmana i powolnego jemu Senatu, rozumiał niebezpieczeństwo państwowe skutkiem istnienia na Siczy ogniska ciągłych niepokojów. I dlatego nalegał w Petersburgu, aby powzięto jakąś stanowczą decyzję, korzystając z nagromadzonych skarg na Zaporozców. Już tedy 24 listopada s. s. 1750 r. przesłał do Petersburga umotywowany memoriał uspokojenia Siczy.

Wysunął on naprzód, kilkakrotnie w ciągu kilku lat, podnoszoną przez niego myśl ustalenia urzędu koszowego i starszyny. Nie uchylał wcale zasady wyborczej, tylko wybory chciał regulować w ten sposób, ażeby udział w nich brała starszyzna wraz z kurennymi i rzeczywistymi Kozakami. Trudna wprawdzie w tym wypadku była klasyfikacja, ale zawsze była jakaś. „Podły zaś naród, włóczący się po stepach, podejrzani i swawolni ludzie, złodzieje, zbójce, pijanice, wogóle siromachy, nie powinni być dopuszczani do wyborów, a tembardziej rej na nich wodzić, jak to się działo dotychczas.“

Wybrany w ten sposób ataman koszowy powinien być w urzędzie swoim umocniony osobnym ukazem, ażeby władza jego była silną i kierowaną według osobnej danej mu instrukcyi. Dla kontrolowania zaś tej władzy koszowego i starszyny miał stale rezydować w Siczy sztab-oficer z ramienia rządu.



## „UNIA“ WEYSSENHOFFA.

Szybkimi krokami zmierza talent Weysenhoffa ku szczytom. Roztwierają się bowiem w jego powieściach coraz szersze widnokręgi życia narodowego, odnajdujemy w jego twórczości coraz to nowe strony, nieznanne, nie przewidywane. Już dziś ta twórczość nie mieści się w ramach owej etykiety, jaką opatrzyła ją przed kilku laty, oczywiście, zbyt pochopnie, leniwa myśl niektórych krytyków literatury: *satyryk arystokracji*.

Nie był nim jeszcze autor subtelnych wrażeń podróżniczych „Z Grecji“ (1894), wytwornych przekładów z Heinego, znanych nowel: „Zaręczyny Jana Bełskiego“ (1894), oraz „Za błękitami“ (1894); wprawdzie w tych dwóch ostatnich utworach odzywa się już, chociaż nieśmiało jeszcze, nuta satyryczna, a pani Celina, kokietka wielkiego świata, i kuzynek Alfred Valfort (w „Zaręczynach“) otwierają długi korowód figur z *beau monde'u* w utworach beletrystycznych naszego autora.

Nie jest też już satyrykiem arystokracji autor „Dni politycznych“ (1905—1906), ani też „Unii, powieści litewskiej“,<sup>1)</sup> która, drukowana w roku ubiegłym w odcinku powieściowym *Tygodnika Ilustrowanego*, przed kilku tygodniami opuściła prasy drukarskie w odbitce książkowej.

Okres satyry „salonowej“ trwał u naszego autora niezbyt długo: od „Żywota i myśli Zygmunta Podfilipskiego“ (1898), poprzez „Sprawę Dołęgi“ (1901), aż do „Syna marnotrawnego“ (1905). Miał już wówczas Weysenhoff wielką zasługę w naszej lite-

---

<sup>1)</sup> *Józef Weysenhoff*. „Unia, powieść litewska.“ Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1910, 8-o, str. 446.



raturze, jako wytworny obserwator życia i obyczajów tych, którzy, jak powiada, „u nas uchodzą za arystokrację“, a są tylko „karykaturą arystokracji.“ Taki Podfilipski, egoista i sybaryta, który „umiał sobie urządzić życie“, przez swoje otoczenie uważany był jednak za wzór wykwintu życiowego, to typ, który stał się wprost przysłowiowym.

Cała galeryja postaci „Sprawy Dołęgi“, ci wszyscy Zbarascy, Zawiejscy, Szafrzańscy, taki Karol Zbąski, zwany „Karolem Wielkim“, „karykatura wodza“, w swojej sferze czczony z bogobojnością prozelitów, padających na twarz przed wielkim bonzą, w gruncie rzeczy umysł ubogi, nie umiejący jasno sformułować sobie poglądu na ludzi i rzeczy, ci wszyscy, skarłowaciałe ciałem i duchem potomstwo wielkich ojców, co dzielnem ramieniem i mądrą radą wspierali ojczyznę, odtworzeni są z wyborną plastyką i z właściwą Weyssenhoffowi ironią, subtelną, niby nieznaczną, a jednak dotkliwą.

I słusznie określa ich autor, jako „stojącą wodę“: „popchniesz ją — rozleje się, chcesz ją zapalić — mokra; użyć do obracania młynów? — nie płynie. A zalewa jednak ogromną przestrzeń kraju i, gdzie nie pleśnieje, tam zakrywa bezużytecznie rodzajne pola.“

W „Synu marnotrawnym“ ośmieszył znów Weyssenhoff zapleśniały egoizm rodowy, jak w „Podfilipskim“ — osobisty. Ci Dubieńscy, mający swą pańską rezydencję w Chojnogórze, stanowią pewnego rodzaju społeczeństwo w społeczeństwie: mają „swój katechizm, swój słownik, swój styl udzielny“, swoją etykę, do której wszyscy członkowie rodu muszą się bezwzględnie stosować, swojego patryarchę, „namiestnika Chrystusowego w swoim powiecie“, który uniał misternie „dostroić etykę chrześcijańską do potrzeb większej własności ziemskiej.“ I tutaj więc galeryja typów liczna i ciekawa, dobrze świadcząca o talencie spostrzegawczym i odtwórczym, o wysokim stopniu artyzmu autora.

Ale wreszcie satyra Weyssenhoffa uprzykrzyła sobie kabo-tyństwo i grzeszki wielkich salonów arystokracji rodowej i pie-niężnej. Wyszła — na ulicę. Znalazła się w tłumie rozgorączko- wanych agitatorów, rozwrzeszczonych do chryпки wiecowników, poniosła dumne sztandary w pochodach ulicznych, nie oszczędziła żadnego z karyerowiczów, blagierów, krzykaczy, manekinów, warchołów, deklamatorów, snobów, wartogłowów i zarozumiałców, wykazała, jak na dłoni, bądź nicość tej piany, bądź złą wolę tych mętów, które w ostatnie lata „rewolucyjne“ spłynęły w ogólnym zamęcie na wierzch fali społecznej.

Tak powstały dwie serye „Dni politycznych“, będące świetnym obrazem tej epoki przełomowej, którą przeżyliśmy w roku 1905 i 1906, obrazem, widzianym pod kątem nieśmiertelności—głupoty ludzkiej.

I znowu, jak Podfilipski, w przysłowie wejdzie bohater „Dni politycznych“, p. Apolinary Budzisz, poczciwy, ale słabej głowy szlachcic na zagrodzie, który ni stąd, ni zowąd został — działaczem politycznym, aż sam wreszcie uwierzył w swą wielką misję, uwierzył, że jest opatrnościowym dla Polski mężem, że, gdyby nie on, wieleby rzeczy w ojczyźnie poszło wskos.

Po „Dniach politycznych“ — „Unia.“ Niby ciąg dalszy poprzedniego utworu, ale w rzeczywistości coś zupełnie innego, coś, co odkrywa nam nowe strony tej bogato uposażonej organizacji twórczej.

I czasem tylko staje przed nami dawny autor „Dni politycznych“, przypomina się człowiek, który wielkie sprawy narodowe nietylko żywo do serca bierze, ale i, dzięki wyobraźni wrażliwej i giętkiej, potrafi ten żywy, bijący jeszcze szybkim tętnem dzisiejszości materiał obserwacyjny przetwarzać w obrazy plastyczne, będące pewnego rodzaju skrótami doniosłych procesów dziejowych.

Staje znowu przed nami dobroduszny, ciężkiej głowy, ale złotego serca pan Apolinary Budzisz, już cieszący się wielkiem wzięciem współuczestnik i współtwórca momentów historycznych wagi olbrzymiej, już niemal mąż, którego imię przejdzie do potomności. Nie dość mu było upojenia tryumfem i sławą u swoich, nie dość zasłynąć między proroki, wbrew przysłowiu, we własnej ojczyźnie. Postanowił przenieść pole swej działalności doniosłej — za Niemen.

„Za Niemen, za Niemen! i po cóż za Niemen?“ — mówi popularna piosenka.

Właśnież bo było po co! Wzmagający się ruch separatystyczny litewski, grożący zagładą żywiołowi polskiemu w kraju Olgierda i Gedymina, wznicił jego obawy. Może więc pan Apolinary przypomniał sobie nakaz Skargi: „...abyście to, co się do upadku nachyliło, podparli; co się skaziło, naprawili; co się zraniło, zleczyli; co się rozwiązało, spoli.“ A że rozwiązało się wiele...

A może—i Skargi nie czytał, ale że w ciągu kilku lat ostatnich do lubego szlachcicowi polskiemu sejmikowania nawykł, a uśmiechało mu się czynne i ruchliwe życie polityczne (takim było ono w jego przynajmniej rozumieniu), więc—pojechał.

Gdzie nie był? czego nie dokonał? jakie sobie we własnym zrozumieniu nakarbował zasługi wobec Boga, ojczyzny i — własnego stronnictwa? by to opisać, trzeba, mówiąc słowami Mickiewicza, mieć „usta stu Homerów“, a w każdym „ze sto paryskich języków“, a przytem — „pióra wszystkich buchhalterów.“ Powraca więc, syt chwały, przeżuwając w duszy rozkosz czynów dokonanych. Jakże bo? przecież we wszystkim „czynny był sercem i ręką“, a stary dziwak litewski, Gotard Assernhof, rzekł do niego: „Odnowiłeś Unię!“ Wprawdzie pan Gotard słynał powszechnie nie tylko ze swych batystowych kryz przy fraku, ale i zjadliwego humoru, któż jednak zaręczyć zdoła, że tym razem mówił zupełnie poważnie? *Honny soit, qui mal y pense!*

Nie wszystko mu się, co prawda, udaje, boć — i na słońcu są plamy. Przyjechał z głową pełną projektów. Rozwinie szeroką i żywą agitację, napisze szereg artykułów, będzie przemawiał na zebraniach, a może odczyt jaki wygłosi? Tak, tak, wielki odczyt o „Unii“, zelektryzuje, porwie tłumy, wznowi tradycję jagiełtów!

Dziwnie się jednak składa: bo oto Kazimierz Rokszycki, syn serdecznego przyjaciela pana Apolinarego, chociaż w innych zupełnie celach, jako rolnik-technik, dla zbadania tantejszych metod uprawy i obróbki lnu, nad Wilię zjechał, ma jakoś większe szczęście od swego mentora, bo i działacze litewskich pierwszy poznaje, i na zebraniach międzypartyjnych bywa. A co do odczytu — to już były Kanny, czy Waterloo dla p. Budziszsa: pozwolenie uzyskano, salę wynajęto, tylko — słuchaczów chętnych zabrakło. Przyjął nasz działacz bohatersko ten cios w samo czujące za miliony serce — i powrócił do Warszawy opowiadać przyjaciółom politycznym o swych tryumfach.

Ten Kazimierz to figlarz nielada: tej nawet zacnemu opiekunowi nie sprawił pocięchy, by — ożenić się po jego myśli, odrzucił swataną mu pannę Aldonę Budziszównę i ożenił się z panią Krystyną, wdową po Karolu Chmarze, z domu Sołomerecką. Niewdzięczny!

Są rzeczy, o których — historia milczy. Nie będzie więc wpisana w roczniki dziejów mała awanturka pana Budziszsa z rozkoszną Mitzi, wiedeńską pięknoscią kabaretową, w Wilnie szukającą miłości i złota. Nie może wprawdzie nasz bohater powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, że — młodość ma swoje prawa, a i latka przeżyte przypomniały o sobie nazajutrz po tej eskapadzie, zsyłając nań atak apoplektyczny, lekki, dzięki Bogu; bądź co bądź jednak, niech się o tem Klio i żona nie dowiedzą! cyt, to tajemnica... gabinetowa! Ogłosi się więc światu, że wieść fa-

talna z Warszawy o grożącym rozłamie w stronnictwie—to wszystko złego przyczyna. A przytem nadmierna praca mózgu...

Tak jest, w kreśleniu przygód pana Apolinarego, działacza, a przytem demokracji, który marzy rozkosznie o nowych koligacjach (demokratyzacya bowiem, jak twierdzi autor, „nie rozciąga się na genealogię, która jest nauką samoistną“), poznajemy dawne, cięte pióro autora „Dni politycznych.“

Ale w „Dniach“ prócz postaci i scen groteskowych były i inne, był tragizm dziejowy, były chwile wzniosłości niepospolitej i rozpacz bezdennej.

Nie brak i takich motywów w „Unii.“ Sam tytuł tego dowodzi. W założeniu powieści leży sprawa wagi niezmiernej: odnowienie chwiejącej się, z różnych stron podminowanej łączności kulturalnej dwóch bratnich narodów, dwóch połów dawnej Rzeczypospolitej: Korony i Litwy. Kwestya separatyzmu litewskiego, stanowisko Polaków na Litwie wobec ludu i wobec rządu — nie schodzą ze stołu obrad w tej powieści. Te rzeczy wiszą w powietrzu, od pierwszej zaraz sceny, kiedy pan Apolinary w restauracyi wileńskiej słyszy, jak ksiądz-litwomian odzywa się do kelnera-Polaka: „Gawariat wam, dajcie kartu win.“ To pierwszy głos litewski, jaki słyszymy w tej litewskiej powieści.

I potem poznajemy długi szereg typów przeróżnych, przedstawiających rozliczne odcienie poglądów i dążeń politycznych, wysłuchujemy całego szeregu sprzeczek, rozpraw, przemówień, rozmów potocznych, pogawędek, wspólnych marzeń, dumań samotnych, materyj politycznych dotyczących.

Pierwsze miejsce w tym poczcie należy „z wieku i urzędu“ p. Eustachemu Chmarze, przywódcy stronnictwa ugodowego na Litwie. Zajmuje on stanowisko bardzo wybitne w powieści, i na nim ześrodkowyywa autor całe snopy światła. I tu przypomina się pióro autora już nie „Dni politycznych“, ale „Podfilipskiego“, „Sprawy Dołęgi“ i „Syna marnotrawnego“; Chmara bowiem przypomina tających patryarchów: Karola Zbąskiego i Macieja Dubieńskiego, choć w innem otoczeniu, na odmiennem tle obyczajowym i wobec innych, politycznych już, celów działalności.

P. Chmara, to powaga w całym powieście, ba! może nawet w całej gubernii. Wszyscy słuchają z namaszczeniem jego *speech*ów politycznych, dziwią się, jak można mu oponować, kiedy przemawia tonem wyższości i nawykłej do bezwzględnego uwielbienia dumy. Trzeba widzieć, jak kroczy powoli, z lekimi podrygami, „jakby co krok osadzał się w postawie pomnikowej“, „krokiem uroczystym wędrownego pomnika“, wysoki,

prosty, niby ugrzeczniiony dla wszystkich, ale zawsze wyniosły, chłodny, wzbudzający pewną niechęć i odrazę, pewne uczucie sztywnej obcości nawet w ludziach tak gołębiego serca, jak p. Apolinary Budzisz. Doskonały w scenie, kiedy z Rokszyckim dysputę polityczną—prowadzi, wśród ostrych przymówek wzajemnych i rozdrażnienia, z trudem hamowanego względami uprzejmości towarzyskiej; jeszcze doskonalszy na uroczystości weselnej w Wiszunach, kiedy wśród ogólnej podniosłości nastroju, „polska iza,“ długo wstrzymywana „politycznym skurczem,“ spływa mu „ze szpar oczu drgających,“ a z ust wrywają się nabrzmiałe liryzmem okresy na cześć tego dnia, kiedy okrzyk: „Niech żyje Polska!“ można będzie powtórzyć „bez niebezpieczeństwa buntu, z serc, ukojonych przez zgodę rządów i ludów.“

I trudno nam w szczerść tej „polskiej ize“ tego „spekulanta politycznego,“ jak go pogardliwie nazywa Kazimierz, uwierzyć. Trudno, tem więcej, że życie prywatne tego „kolosa Rodyjskiego,“ co stoi, „jedną nogą oparty o Petersburg, drugą o Litwę,“ nie jest bez skazy. Że dla rodziny jest tyranem i wiecznym postrachem, to jeszcze najmniejsza; to o wiele gorsze, że z opieki nad majątkiem bratowej nie umiałby się ściśle, wobec sumienia i sądu, wytlómaczyć. A i w swojej serdeczności dla „marnotrawnej“ bratowej posuwa się tak daleko, że jedyną odpowiedź na te zbyt natarczywe oznaki czułości znajduje Krystyna — w wymierzonym natrętowi policzku i w natychmiastowem opuszczeniu domu uprzejmego opiekuna.

Wszystko zresztą, co się w tym domu dzieje, nosi na sobie piętno rozkładu wewnętrznego pod zewnętrzną pozłotą blasku tytułów i majątków. Księżna Zasławska np., majestatyczna dama z wielkiego świata, intrygantką jest niemniej od Chmary, a przy sposobności, choć dorosłych ma synów, radaby—pobawić się swawolnie z tak pięknym i zdrowym chłopcem, jak Kazimierz Rokszycki. Ci zaś młodzi książęta, Miś i Beno, uczący się dobrych obyczajów w tingeltanglach po miastach szerokiej Rosyi, a języka ojczystego w piekarni, gdzie len przędą ładne dziewczyny wiejskie, urwisy, co się zowie, mimo braku kilku lat do pełnoletności zepsuci do szpiku kości, przemawiający jakimś ohydny żargonem rosyjsko-polskim, pełnym wyrazów i zwrotów trywialnych, bynajmniej nie książęcych i nie salonowych, ale przytem nie pozbawieni gruntu dobrego, wreszcie—zapaleni myśliwi, to doskonałe, bijące w oczy plastyką typy, powiększające znakomitą galerię jasnie wielmożnych i jasnie oświeconych z „Podfilipskiego,“ „Dołęgi,“ „Syna marnotrawnego.“

A teraz — przenieśmy się myślą do przeciwnego bieguna. Znajdziemy tu ks. Witulanisa, proboszcza z Wiszun, litwomana, który niechęci swej dla Polaków nie potrafi osłonić pozorami ogłady towarzyskiej i kultury, czego zresztą w wyższym stopniu on, chłop rodem, posiadać nie może. Znajdziemy literata i działacza litewskiego, Jana Miłaknisa, twardego Litwina, który historycę zna — z Hłowajskiego, a po polsku z trudem się wyraża, ze znaczną przymieszką rusycyzmów, ciągle ma wyraz: „lud“ na ustach i nie chce z Polakami żadnego porozumienia, ani jako z narodem, ani jako z klasą.

Nie sposób nie wspomnieć na tem miejscu o pani Hieronimowej Budziszowej z Wiszun, *de domo* Kurko-Ciecierowiczównie, zapalanej przyjaciółce ludu, boć słusznie o niej można powiedzieć: *nomen-omen* — rodem kurki czubate! Czupurna i zadzierzysta, energiczna i śmiała, wytrzyma bez zmrużenia powieki i dysputę polityczną z p. Apolinarym, który naprózno usiłuje ją „unarodowić“, i na uczcie weselnej swej córki wniesie toast na cześć hasel odrodzenia ludowego — w ręce braci Miłaknisów.

A dalej cały tłum działaczy politycznych, polskich i litewskich, jak Tytus Pasterkowski, literat i publicysta, jak Litawor Fedkowicz, poroniony wynalazca, jakich wielu na obszarach ziem Rzeczypospolitej, dziś suszący głowę nad wyrobami z lnu i bawełny, jutro może — nad kwadraturą koła, zapalony archeolog Ciecierowicz i wielu innych.

A nad całym tym spletanym rozgwarem sprzecznych namiętności, ambicij, dążeń i ideałów góruje cichy głos ks. Wyrwicza, który na uroczystym ślubie Kazimierza i Krystyny w kaplicy św. Kazimierza przy katedrze wileńskiej czyta pamiętne, wzniosłe słowa testamentu ostatniego z Jagiellonów, Zygmunta Augusta:

„Przeto prosimy i upominamy, dla Pana Boga i dla dusznego zbawienia, aby wszyscy obywatele, tak koronni jak Wielkiego Księstwa Litewskiego, byli i żyli w jednej wierze chrześcijańskiej jednostajnie, jako Bóg Ojciec z Synem w jedności Ducha św. jeden jest. Potem też wszystkich stanów przez Boga żywego zaklinamy, aby, będąc obywatelami tak Korony jako W. Ks. Lit., byli jedną nierozdzielną Rzeczpospolitą wedle postanowienia sejmu lubelskiego, teraz dwuletniego, i poprzysiężenia, miłując się braterską miłością, szczerą prawdziwie, jak jednego ciała członki i jednej nierozdzielnej Rzpltej ludzie, nic jedni nad drugimi znacnością i dostojeństwem sobie nie przywłaszczając, chęć, aby Pan Bóg, który, będąc jednym, w jedności się kocha, długo te Państwa zjednoczone pomnażał i wspomagał. Przeto tym naszym testamen-

tem obiemu Państwu, Koronie Polskiej i W. Ks. Lit., dajemy i odkazujemy i zostawujemy miłość, zgodę, jedność, którą przodkowie nasi po łacinie Unią zwali i mocnymi spiski obywatelów obojgo Państwa na wieczność ukrzepili.

„A który z tych dwóch narodów, tę Unię od nas wdzięcznie przyjąwszy, mocno trzymać będzie, tym to błogosławieństwo damy, aby Pan Bóg w łasce swej, w szerokim i wspólnem panowaniu, we czci i sławie postronnej i we wszystkim dobrem i potrzebnem przed inne narody wystawił i wywyższył. A który zaśię naród niewdzięczzen będzie i dróg do rozdwojenia będzie szukał, niechaj się boi gniewu Bożego, który ma w nienawiści przeklinające, siejące niezgodę między bracią. Za którym przekleństwem i gniewem Bożym niczego by się inszego nie bać, jedno doczesnego tu, a potem wiecznego zginienia, od którego racz, Panie Boże, zachować, a racz to w tem obojgu Państwie utwierdzić, coś w niem przez Nas sprawił.“

Wielkie to, zaiste, słowa, trwalszy od granitu pomnik geniuszu jagiellońskiego, ducha jedności i wspólnego miłowania. I słusznie uczynił Weyssenhoff, że przytoczył go *in extenso* w tej swojej litewskiej powieści. Czy jednak można im dziś jeszcze przypisać moc nieodpartą w kierunku łączenia i zespalania serc rozdwojonych i duchów rozdartych? czy istotnie przypuszczać należy, że, wysłuchawszy tej ostatniej woli wnuka jagiełłowego, Miłaknis zaprzestanie swej agitacji separatystycznej, a Chmara nie będzie się już oglądał na wiatry, wiejące od wschodu i północy? czy odczytanie tego testamentu w nastroju choćby najpodnioślejszym rozwiąże od jednego razu kwestyę litewską?

Przedewszystkiem nie szukajmy w powieści Weyssenhoffa jakiejś „tezy“ politycznej, boć dzieło sztuki nie jest i nie może być rozprawą społeczną, ani artykułem publicystycznym. Zarzucać autorowi „Unii“, że starymi pergaminami chce łątać rysy w budowie odwiecznej współżycia dwu bratnich narodów, patrzeć na tę powieść z punktu widzenia tych lub innych poglądów i przekonań partyjnych, byłoby to samo, co krytykować Dantego, iż w „Boskiej Komedyi“ Gibelinem jest i nieprzyjacielem papieży, Mickiewicza, że w „Panu Tadeuszu“ czią i miłością otacza Napoleona, który nie był zbyt szczerym Polaków przyjacielem. A że w „Unii“ mówi się wiele o sprawie litewskiej, że ścierają się sprzeczne poglądy i dążności w rozmowach: p. Apolinarego z panią Hieronimową, Kazimierza z Chmarą, Miłaknisem, Hylzenem, ks. Wyrwiczem i t. d., nie dziwotać to, bo stosunek Polaków do

Litwinów pałaca to sprawa i wciąż nie schodzi ze stołów obrad, rozmów i pogawędek.

Spory polityczne to jedna zaledwie strona tej powieści, której celem—Litwę dzisiejszą w najważniejszych momentach jej życia odtworzyć, celem zapewne jednym z najważniejszych. Ale nie jest ona bynajmniej przedmiotem rozważań statystycznych, lecz jednym z motywów artystycznych, powołanych do uczestniczenia w całości kompozycyjnej obrazu sercem i wyobraźnią autora.

Przedewszystkiem — sercem. „Unia“ bowiem Weyssenhoffa nie jest unią ostrożnych rozumów, widzących wspólną korzyść we wspólnem działaniu, ale unią serc gorących, opromienioną słońcem zgody i miłości wzajemnej, w imię ideałów *polskich* i *chrześcijańskich*. „Dobrze miłować sąsiada — mówi Skarga — lepiej wszystkie, którzy w mieście jednym są, a pogotowiu jeszcze lepiej wszystkie obywatele królestwa tego, gdy im dobrego co czynim, abo dla nich co cierpim. Także dobra zgoda i pokój między pospolitym ludem; ale lepsza między pany, którzy ludźmi rządzą, abo o nich radzą; a najlepsza między królmi, którzy wszystkiemu światu pokój zgodą swoją przynoszą.“ Trafia, zapewne w myśl Skargi, ks. Wyrwicz, jedna z najpromienniejszych, najbardziej uduchowionych postaci „Unii,“ kiedy mówi do Kazimierza: „Sprowadź się pan do nas, *zakóż* piękne, chrześcijańskie gniazdo u nas. To jest główna *akcja*, której nam tu potrzeba.“

Tę właśnie miłość, która jest światłem życia i potrzebą dusz szlachetnych, która jedna zdolna jest podnieść ludzi na wyższy stopień kultury w najwznioślejszem znaczeniu tego wyrazu, przeciwstawia Weyssenhoff nienawiściom, antagonizmom i separatyzmom narodowym i społecznym; bo „nienawidzieć—mówi gdzieindziej ks. Wyrwicz—można tylko Szatana, pierwiastek zła. Ludzi godnych nienawiści niema; w najgorszych jest płomień Boży, zupełnie zagłuszony.“

I dlatego też tę powieść Weyssenhoffa, jedyną w jego dotychczasowym dorobku pisarskim, zalewają potoki szczęścia, radości życia, wiary w lepsze jutro. Świat jest piękny i dobry, jeśli pokłady piękna i dobra ma się w sobie samym, w najgłębszych szychtach duszy. I wtedy czuje się w piersi taką potęgę, taką *moc stwarzania*, że jej żadne bramy piekielne nie przemogą.

Taka wielka ufność we własne siły twórcze, które mogą lepsze jutro przyspieszyć, „bylebyśmy tylko chcieli,“ zagrzewa do czynu, do pracy mozolnej, ale radosnej, Kazimierza i Krystynę, dwie naczelne postacie powieści, górujące nietylko wzrostem i uro-



da, ale i pięknoscią duszy nad mrowiem ludzkich pigmejów. Ponad głowami skłębionego tłumu, ponad małością ludzką i niecnotą tych dwoje, pięknych i szlachetnych, wyciąga ku sobie dłonie, „unią“ serc czystych zjednoczeni, niby Korona i Litwa do powtórných ślubów.

Ale nie myślm, że są to kartonowe „symbole,“ bez życia i ruchu. Przeciwnie, są oni równie plastyczni, a może nawet bardziej plastyczni od wielu innych, bądź ujemnych, bądź charakterystycznych. To są ludzie żywi, dorodni i zdrowi — i nic ludzkiego nie jest im obce. Natomiast nie mają w sobie nic z papierowej doskonałości bohaterów powieści i dramatów, nawet u najtęższych pisarzy. Krew im tętni w żyłach, a w ich uczuciu niema nic sentymentalnej czułości, przymilania się i gruchania. Kiedy, złączeni węzłem dozgonnym, osiadają w puszczy, by nowe „polskie i chrześcijańskie“ dźwignąć gniazdo, czujemy, że szczęście ich jest pełne i wszechstronne, że żyją teraz wespół z naturą, która w tej dobie wiosennego prężenia się sił rozrodczych otwarta jest na przyjęcie ziarna, że z tego gniazda ich niejedno pisklę wyleci, by po ojcach ująć w krzepkie dłonie pracę zbożną i narodową. Jeżeli cała powieść ma w sobie woń i barwę sielanki, to ta ostatnia scena należy do najpiękniejszych sielanek w naszej beletrystyce ostatnich lat kilkunastu.

I jakże daleko jesteśmy w tej chwili od zgrzytów „Podfilipskiego“ lub „Dni politycznych.“ Otwierają się przed nami nowe horyzonty artyzmu Weyssenhoffa, którego uważaliśmy dotąd wyłącznie za satyryka. Takiej przemiany dokonała w nim miłość: on kocha wszystkich ludzi dobrych i szlachetnych, kocha — przedudną naturę litewską, a bogata wyobraźnia pozwala mu stwarzać obrazy, pełne plastyki i zarazem liryzmu.

Nie trzeba długo szukać na to dowodów. Oto zaraz na pierwszych kartach powieści piękny opis drogi do Wiszun, wśród niepospolitych uroków malowniczych widoków ukochanej krainy. Tu właśnie Apolinary Budzisz i Kazimierz Rokszycki z duszą oczarowaną, z dziwną, niewysłowioną rzewnością i słodyczą w sercu przyglądają się po raz pierwszy nieznanym krajobrazom litewskim.

„Spuszczali się stopniowo — mówi autor o swych bohaterach — z łańcucha pagórków w kraj niższy, zarosły lasem. Ale droga wypadła im tylko brzegami, po groblach, rzuconych na rojsty i moczary. Przy schyłku dnia wonie wstawały z ziemi tak tęgie, że aż chwytające za mózg. To pachnęły czarne olsze z całej mocy, i świąteczne ziele tataraku, i korale zórawin, i pełne duru

czarne „pijanice,“ pokrywające leśne polany. A nadewszystko pachnęło nowe jezioro ciemne, z połyskami rdzawymi, podmywające jednym bokiem groblę, a przeciwnym dochodzące do wysokiej ściany sosnowego boru. Za tą ścianą były zapewne *matczniki*.“

To już nie autor „Dni politycznych“ przemawia do nas z tych kart, pełnych blasku, i gwaru, i woni, ale artysta, który umie czułem uchem przypaść do piersi matki-ziemi i słuchać, jak gada. A wysłuchawszy—przełać na papier w postaci obrazów niepospolitej barwności i plastyki.

I takich obrazów, prześwieconych słońcem, budzących w duszy lepsze, szlachetniejsze uczucia, jakby ziemia i człowiek jednym wspólnym żyli istnieniem, jest w „Unii“ więcej. Ot taki np. przedziwnej sielankowej krasy opis połowu ryb w jeziorze wiszukiem, co daje autorowi powód do rozwinięcia innej znów panoramy wód, łąk i lasów. Zagadnienia polityki bieżącej, palące kwestye dnia, denerwujący zgiełk życia miejskiego, wszystko to pozostało gdzieś w dali, niedościgłej ni okiem, ni myślą; teraz oczy wszystkich w matnię sieci zwrócone, serca biją niespokojnie: czy będzie gruba ryba? czy dopisze szczęście gości? i ten olbrzymi złowiony szczupak dla tych ludzi w tej chwili większym jest tryumfem, niż jakaś świetna wygrana w doniosłej akcji politycznej. Tylko prawdziwy artysta umie zdobyć się na podobny spokój i równowagę epicką.

Albo ten las i ten „gon“ w lesie, obraz w nastroju swym podobny do poprzedniego, ale jeszcze doskonalszy, jeszcze staranniej w szczegółach opracowany. Najpierw—cisza leśna...

„Cisza leśna nie ma nic wspólnego z morską lub stepową, gdzie nic się nie dzieje oprócz zmiany oświetleń. Cisza litewskiego lasu jest nieprzejrzanym widowiskiem żywych szczegółów, nieprzesłuchaną orkiestrą szmerów. Wysoki wiatr, kiedy i nie zrywa wierzchołków do śpiewnych pokłonów, mieszka tam zawsze, choćby w drżących koronach brzoź i w strzelistych kitach jodeł. A także ta, która w oczach pędzi przemożną bujnością odrosli, na szczytach lekko umiera puszcza i coraz to gałązka, sinym mchem przeżarta, spływa ku ziemi konająca i zawisnie na niższych konarach; to znów gruchnie o ziemię szyszka, krąży po powietrzu liść wczesnie zwiędły.“

„Nieustannie sprawiają szmery mniejsi mieszkańcy rozwieszonych pod błękitami zieleni i plądrują po kuszczach szare ptaszyny, kuja dziecioty na wysokich jodłach, jaskrawe sójki i siwówronki tryskają nagłemi racami w niebie i nikną wśród liści.

Płomieniem pociągnie czasem ku sobie oczy śmigająca po mchu wiewiórka, niewinna karykatura lisa.“

„Ruchome cienie migają przez wierzchołki od płynących cicho wielkich skrzydeł: samotny kruk przelatuje. To znowu wylania się w górze przyśpieszone furkanie lotu dużego ptaka.“

I oto na tem tle, tak obrazowo odmalowanem, przedstawia autor uczucie myśliwca, oczekującego na swem stanowisku zwierzyny. A potem — w tę ciszę leśną i nieuchwytne szmery rzuca wielki, cudowny koncert psich głosów, ogłaszających tropionego lisa, „pieśń ciągłą, złożoną w akord na zasadzie dzikiej jakiejś, ale melodyjnie przejmującej harmonii, jak szum wichru, lub oddech wzburzonego morza.“

I pieśń tę powtarzały „dęby — dębom, bukom — buki...“

A wreszcie—na podłożu tej muzyki lasów czarowny dwugłós miłości, uroczą sielanka we dwoje: Kazimierz i Krystyna, którzy tu po raz pierwszy zbliżają się ku sobie, pociągani nieprzeparcie przemożnym instynktem zdrowego ciała i zdrowego ducha. I ta pierwsza rozmowa, zrazu na stanowisku przy lisich norach, a potem w cudownym zakątku nad jeziorkiem leśnem, zwanem „pod Sidorkiewiczem!“ jakże łatwo dochodzi do porozumienia pod wszystkimi względami, nie wyłączając i politycznego!

Skoro mówimy o lasach i polowaniu, nie możemy nie wspomnieć o przepysznej, chociaż tylko epizodycznej postaci strzelca Jurka Lejtana, niezrównanego znawcy knici i mateczników okolicznych. Świadczy ona, że talent Weyssenhoffa przesunął się w kierunku rodzajowości, z niepospolitem mistrzostwem odtwarzanej. A że dla poety epickiego, jakim jest niewątpliwie Weyssenhoff w „Unii,“ niema rzeczy i figur mniej ważnych, to też na Jurku skupiło się tyle światła sympatyj autorskiej i artysty plastycznego. Kilkakrotnie zjawia się on w powieści, a zawsze z dobrą wieścią, jak dobry duch, jak gnom leśny, obdarzający swych wybranych szczerze i dobrotliwie: jest obecny przy pierwszym poznaniu Kazimierza i Krystyny i w chwili, kiedy poprzy sięgają sobie miłość dozgonną. Zawsze niesie z sobą słoneczność, pogodę i szczęście, wszystko to, co stanowi zasadniczą treść nastrojów „Unii.“

Nie inny jest np. ton i barwa pięknego epizodu w pasiece u zamożnego gospodarza, Jusupa Żukielisa, którego odwiedza Krystyna w towarzystwie starej panny, Karoliny Zubowskiej, doskonałej figury zahukanej, nieśmiałej, ale poczciwej rezydentki; bije od tego obrazu nie tylko miodowa woń pszczelnego ula, ale i ja-

kiś piastowy dostatek, dostojność kniecia, hojna gościnność i spokojny, syty dobrobyt.

Albo też cała atmosfera ubogiego dworku ks. Wyrwicza w Ronikszcie, dokąd schowała się Krystyna z nieodstępą panną Zubowską, po ostatecznem zerwaniu z Chmarą: cisza i spokój tu panują, gwar światowy nie dochodzi do tego ustronia, przybytku miłości Chrystusowej i czystości niepokalanej ducha, którego żadna już burza życiowa nie zmąci, nie pozbawi pogodnej równowagi. A obok wzniosłej postaci ks. Wyrwicza, która jest wciele niem najszlachetniejszych ideałów autora, znowu figura rodzajowa: sługi kościelnego, Piotra Lejtana, brata Jurka, który przy tamtym, lisie leśnym, wyglądał jak kot, „żbik, utuczony w kuchni.“ I jemu należy się poczesne miejsce w szeregu wybornych typów tej ostatniej powieści Weyssenhoffa.

A nie zapomnijmy też o pocziwym olbrzymie, Hieronimie Budziszu, dalekim krewnym Apolinarego, właścicielu Wiszun, mężu rezolutnej chłopomanki, a ojcu pięknej Aldony, sympatycznego dziewczęcia z białego dworku, ale niezbyt bogatej organizacyi duchowej.

P. Hieronim, w przeciwstawieniu do koronnego imiennika, małowówny jest. Na zaręczynach córki, kiedy wszyscy popisują się elokwencją, on rzeknie krótko i gorąco: „Ot, prosto powiem, panowie! kochajmy się, jak i od wieków kochali. Jeszcze Litwa nie zginęła, póki my żyjemy.“

Pocziwy z kościami, Litwin z tych bardzo dawnych Litwinów, których jeszcze Wincenty Pol w „Pieśni o ziemi naszej“ wychwalał, jako że mądrzy są nie po szkodzie, słusznie, obok pary narzeczonych i ks. Wyrwicza, może być uważany za jedną z postaci, przez które sam autor przemawia, przyczem niema w sobie ani cienia nudnego rezonerstwa i płytkiego retoryzmu. On to pierwszy dowiadyuje się o zaręczynach Kazimierza i Krystyny, z jego szerokich dłoni spływa na ich pochylone głowy pierwsze błogosławieństwo.

Taka jest ta powieść „litewska,“ powieść, w której Litwa, kraj i ludzie, ogarnięta szerokiem objęciem kochających ramion, a skryształizowana w szeregu wysoce artystycznych krajobrazów, scen i sylwetek, jest główną, jedyną nawet osią. I w tem właśnie znaczeniu jest ona litewska, a nie pod względem politycznym jeno, bo jest dziełem sztuki, jednym z najniepospolitszych, jakie beletrystyka polska w ostatnich latach wydała, a nie aktualnością publicystyczną.

I jeszcze jedno. „Unia“ jest czemś więcej jeszcze, niż obrazem Litwy i jej mieszkańców, przesycanym głębokim liryzmem, ale nie zdawkowym sentymentem. Są w niej rzeczy nierównie szersze i dostojniejsze. Ażeby to wyrozumieć, zwróćmy uwagę raz jeszcze na zakończenie.

Obraz, zamykający powieść, a przypominający nastroje „Godów życia“ Dygasińskiego. należy do najświetniejszych. Nadszedł maj, kiedy „cała ziemia cieszy się weselnymi krzyki,“ kiedy „parzą się wielkie twory leśne i drobne żuczki w trawie, mieszkańcy wód, rośliny i wszystko, co chciało żyć,“ kiedy „wilki wyją z tęsknoty do księżyca, a łosie długo stoją nieruchomie na miejscu, z oczyma łzawymi od marzeń wiosennych.“ Dostojne to zakończenie tego utworu, który jest w swym całokształcie harmonijną pieśnią na cześć życia i miłości, dwóch najprzemowniejszych instynktów natury.

I tak, najszerzej pojęta, „Unia“ jest przeciwstawieniem, może rozmyślnem, tym ponurym obrazom, tak często roztaczanym przed oczami czytelników przez naszych beletrystów ostatniego pokolenia, obrazom, w których rozpętały się siły ciemne, piekielne. Weyssenhoff-poganin, miłośnik fanatyczny przyrody, jej piękna i wciąż cudownie odradzającej się potęgi, jest wyznawcą Ormuzda, Diosy, Belboha; Weyssenhoff-chrześcijanin do tych ukochań dodaje jeszcze jedno, zawarte w podniosłym nakazie Chrystusa: „Pamiętajcie, abyście się wspólnie miłowali!“

HENRYK GALLE.

*F. Hart*      *rb. 30. 80 Pop*

*28*

*280*

*30. 80*

# EPOPEE PIERWOTNE.

## I.

Czy pierwotne epepee są ludowego pochodzenia?

Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że to pytanie zbyteczne, kwestya dawno rozstrzygnięta.

Otwierając pierwsze lepsze dzieło, traktujące o poezyi, zwłaszcza któregoś z teoretyków niemieckich, znajdujemy zwykle podział epepei na pierwotne czyli ludowego pochodzenia i na artystyczne czyli uczonego pochodzenia z obszernymi definicyjami jednej i drugiej kategorii, z wyliczeniem cech wspólnych i uwydatnieniem zasadniczych różnic, przedewszystkiem w sposobie powstawania tych dwóch rodzajów epepei tak, jakgdyby to były w istocie dwa całkiem odrębne typy poezyi epickiej.

Przedmiotem pierwotnych epepei bywają, zdaniem teoretyków, podania narodu, opiewane przez pieśniarzy ludowych wśród ludu i dla niego. Poematy takie powstają w ciągu długich okresów, najczęściej burzliwych i pełnych zamętu w przeciwieństwie do artystycznych, które przypadają na czasy wysokiej kultury i są kreacyami jednego poety. W owych epepeach ludowych poszczególne wypadki dziejowe, opiewane, każdy w osobnej pieśni, nie miały zrazu nic wspólnego oprócz podobieństwa imienia jakiegoś bohatera. Pod wpływem niedokładnie jeszcze przez naukę wyświełtonych czynników, owe pieśni łączyły się ze sobą, stapały się i utworzyły większe całości <sup>1)</sup>, którym nadajemy miano epepei.

<sup>1)</sup> Tak np. tłómaczył epepeę francuską G. Paris. Zob. jego *Histoire poetique de Charlemagne*. Paris, 1865.

Powyżej skreślone zapatrywania na genezę pierwotnej epopei, powtarzające się *mutatis mutandis* w każdym dziele, stały się liczmanami myślowymi, nad których wartością i prawdziwością już się nie zastanawiamy. Tak są dla nas pewne.

Czy nie jesteśmy przekonani, że pierwszym objawem rodzącej się w walce z mało-azyatyckimi ludami samowiedzy helleńskiego narodu, były poszczególne pieśni, opiewające gniew Achillesów, dumę Agamemnonów, chytrą Odysseusów, „bezrozum“ Ajaksów, i że w ślad za chwalebnyymi czynami greckich drużyn, mknących na zdobycie nowych krain ku przeciwległym wybrzeżom morza Jońskiego, tworzyły się wojenne pieśni, przekazywane z pokolenia na pokolenie przez wędrownych aoidów—których symbolicznym wcieleniem stał się nawpół mityczny Homer — aż do tej chwili, gdy wszystkie rapsodye, mniej lub więcej od siebie niezależne <sup>1)</sup>, zlały się w jedną całość symfoniczną i wydały dwa twory precudnej harmonii, znane pod nazwą „Iliady“ i „Odyssei?“

Zapytani o inne przykłady epopei ludowej, wymieniamy bez namysłu: „Mahabharatę“, „Ramajanę“, „Niedolę Nibelungów“, „Kudrun“, „Eddę“ i t. d., przeciwstawiając im, jako płody uczone: „Eneidę“, „Jerozolimę wyzwoloną“, „Luzyady“, „Pana Tadeusza“ i wiele innych utworów, mniej lub więcej znanych poetów, czy to starożytnych, jak Lukana, Statiusa, czy nowożytnych, jak Dantego, Ariosta, Milтона etc., których dzieła uważamy za coś zasadniczo odrębnego od owych archaicznych kreacyj, będących objawem „samorodnej twórczości ludowej.“

A już z murów szkolnych wynosimy jakiś mimowolny podziw dla owych zabytków, co, wyląwszy się w tajemniczej mgłę zamierzchłych czasów; w zaraniu cywilizacji, czy w epoce przełomowej niektórych ludów, stanowią koronę i dumę ich piśmiennictwa. Zazdrościmy tym szczęśliwym, którzy taki twór posiadają i napróżno szukamy go u siebie. Ale czy one są rzeczywiście czemś odrębnym? Czy epopee germańskie lub skandynawskie są w istocie tworem ludowym a nie artystycznym? Na czem opiera się nasze mniemanie?

Wiemy od Tacyty, że dawni wojownicy germańscy szli w bój z pieśnią na ustach i że czyny ich wodzów opiewali skaldowie.

<sup>1)</sup> Wręcz przeciwne stanowisko zajął wśród uczonych jedynie Ulrich von Wilamowitz (*Die griechische und lateinische Literatur*, str. 9 i nast. w zbiorowym wyd. *Die Kultur der Gegenwart*, Abt. VIII) i Victor Bérard: *Les Phéniciens et l'Odyssee*. Paris, 1902, t. 2.

Stąd rychły wniosek, że *Nibelungi* powstały w czasach wędrówki ludów, po najeździe hord mongolskich pod wodzą Attyli, który tak ważną odgrywa rolę w niemieckim poemacie, i po strasznej klęsce Burgundów, jednym słowem po opisanych tam wypadkach. Poszczególne pieśni, podawane z ust do ust, złączyła pod koniec XII lub na początku XIII wieku mistrzowska ręka nieznanego bliżej poety w ponurą całość, pełną grozy tragicznej. <sup>1)</sup>

Normanowie, idąc na podbój Anglii, podczas bitwy pod Hastings, podniecali swoją odwagę, śpiewając pieśni o Rolandzie. Tak zapewnia nas kronikarz z XII wieku. Któż tedy mógłby wątpić, że to były pieśni, powstałe nazajutrz po klęsce pod Roncevaux, wśród samej armii Karola Wielkiego, na widok klęski i pod jej wrażeniem; pieśni, z których później, bo dopiero pod koniec XI w., utworzył się ów sławny poemat, najstarszy w literaturze staro-francuskiej, znany p. n. „*La chanson de Roland*.”

Lecz na tem nie koniec. Początkami swoimi sięga epika staro-francuska czasów odleglejszych, bo epoki frankońskiej. Oto wrodzona Germanom zdolność epicka, wniesiona do Galii przez Franków, wydała szereg poematów epicko-lirycznych i pieśni rycerskich, których przedmiotem były dzieje dynastji Merowingów. Kiedy blask cesarskiej korony Karola Wielkiego zaćmił chwałę jego poprzedników, wszystkie znamienite czyny przodków i następców, opiewane w osobnych pieśniach, przeszły na niego i współczesnych mu wojowników, a do tej sławnej przeszłości dołączyła się chwała jego własnych czynów, jego wypraw i podbojów, które zapłodniły wyobraźnię ludowych śpiewaków.

Powyżej naszkicowana teoria o pochodzeniu i powstawaniu epopei ludowych uchodzi, a przynajmniej do niedawna uchodziła za pewnik. Wyłożona jeszcze przez Wolfa przy epopei staro-greckiej, zastosowana przez Lachmanna do germańskich, doczekała się nowego potwierdzenia w dziełach G. Parisa i Pio Rajny odnośnie do staro-francuskich *chansons de geste*. Za nimi cały legion pracowników sprawdzał ich teorię na poszczególnych poematach. I świat uczony uważał problemat za rozwiązany. Były spory o szczegóły, ale teoria jako taka była *inattaquable*.

<sup>1)</sup> Obok tego istnieją dwie inne hipotezy; starsza, która mitologią tłumaczyła „Pieśni o Nibelungach;“ młodsza, która z baśni je wywodzi. Zob. R. C. Boer: *Untersuchungen über den Ursprung und die Entwicklung der Nibelungensage*. Halle, 1906/7, t. 2.



Wprawdzie w epoce największego jej rozpowszechnienia nie brakło sceptyków <sup>1)</sup>, którzy, zostawiając na uboczu epopee helleniskie i staro-niemieckie, nie wierzyli ani w ludowe pochodzenie, ani w powolne tworzenie się staro-francuskich poematów, ani w istnienie frankońskich podań na ziemi galijskiej, ani w powolne zrastanie się odrębnych pieśni w obszerne utwory, ale nieliczne ich głosy ginęły wśród akordów zgodnego chóru najwybitniejszych powag na polu filologii germańskiej i romańskiej. To też ich teoria nie zdobyła wielu zwolenników. Wielki zastęp badaczy, kroczących śladami mistrzów, zachowywał się odpornie i nie dowierzając wobec argumentów i miażdżącej, co prawda, ale negatywnej krytyki owych, jakby ich dawniej zwano, „heretyków“.

Bo jakżeż nie godzić się na tak wspaniały system, wykończony do najdrobniejszych szczegółów, a wygodny do najwyższego stopnia, bo tłumaczący zarówno hiszpańskie „Romance o Cydzie,“ jak perskie „Szach-Nameh,“ zarówno serbskie „Dumy o Łazarzu,“ jak fińską „Kalewałę,“ zarówno „Wyprawę Igora,“ jak pieśń o „Rolandzie,“ zarówno „Ramajanę,“ jak „Gudrunę,“ „Mahabharatę,“ jak „Iliadę.“ Wszystko to powstało wśród ludu i przez lud, którego zdolność wrodzona, jak się zdaje, opiewania bohaterów, potęguje się pod wrażeniem zwycięstw lub klęsk, a bujna jego wyobraźnia podnosi najdrobniejsze wypadki do olbrzymich rozmiarów i odziewa je poetyczną szatą wiązanego słowa, które płynie z ust pierwotnego człowieka, jak kryształowy potok, wytryskujący z niepozornej skały.

Od czasów Herdera i szkoły romantyków tak zrosiliśmy się z temi pojęciami, tak nam w krew weszły te teorye, powołujące się na każdym kroku na twórczość ludową, na *Volksgeist* i *Volks-sage*, że stały się nieodłącznym składnikiem naszego światopoglądu, aksymatem, na którym jakby na niewzruszonej opoce, budujemy gmach naszych badań nad literaturą średniowieczną i stawiamy rusztowanie dalszych hipotez, nie próbując wytrzymałości fundamentów. I nie należy się dziwić.

Z jednej strony system prosty, jasny, odnoszący wszystko do jednej krynicy „ducha ludowego,“ z drugiej teorye, które go zwalczają, albo raczej, które, zostawiając mu na łup epopee greckie i germańskie, chciałyby dla poematów staro-francuskich szu-

<sup>1)</sup> Należał do nich prof. Becker. Zob. jego liczne recenzje w *Literaturblatt für germanische und romanische Philologie*. U nas ś. p. prof. Kawczyński zwalczał te teorye. Zob. jego *Essai comparatif sur l'origine et l'histoire des rythmes*.

kać innej genezy. Czyż warto się zatrzymać przy takiej „teorii wyjątków,” gdy można owe mniemane wyjątki także podciągnąć pod ogólne prawidło?

A jednak w tym pięknym i na pozór trwałym systemie były poważne braki, budzące wątpliwość w umyśle nieuprzedzonego, to jest nieprzesiąkniętego owemi ideami badacza. Bo oto, rzecz ciekawa, u tych narodów, które posiadały pierwotne pieśni bohaterskie, jak u Serbów, u Hiszpanów, owe pieśni nie zwały się w eposie w ścisłym tego słowa znaczeniu; u tych zaś narodów, u których widzimy eposy, jak u Greków, u Niemców, u Francuzów, brak owych epicko-lirycznych pieśni, owych „kantylen,” jak je nazwał G. Paris, z których miały powstać późniejsze poematy. Dopóki jednak przeciwnicy teorii Grimmów i Schlegla zadowalniaли się negatywną krytyką, wykazywaniem trudności lub braków w tradycyjalnym tłumaczeniu powstawania pierwotnych eposów, dopóty głos ich był głosem wołającego na puszczy. Obecnie jednak z kilku naraz stron uczyniono poważny wyłom w romantycznym pojmowaniu pierwotnej poezji.

Z temi usiłowaniami, które może w najbliższej przyszłości zmieniają pogląd na pochodzenie staro-francuskich *chansons de geste*, a w następstwie pociągną za sobą także rewizję poglądów na germańskie i helleńskie eposy, nie mówiąc już o wątpliwościach, jakie dawniej podniesiono w kwestyi ludowego pochodzenia skandynawskiej „Eddy“<sup>1)</sup>, warto się zapoznać ze względu na ich doniosłość.

## II.

Wśród eposów staro-francuskiej cyklu, obejmujący 24 poetycznych utworów, a znany pod nazwą *la geste de Guillaume d'Orange*<sup>2)</sup>, uderza nas na pierwszy rzut oka swoją jednolitością i spójnością. We wszystkich poematach występują osoby, należące do rodziny Wilhelma, wszystkie ożywia jeden duch i jedna idea przewodnia: *walka z nieprzyjaciółmi Krzyża*. Pogromca Saracenów, Karol Wielki, bądź się zestarzał, bądź już nawet nie żyje, w jego miejscu panuje młodzieniaszek, bojaźliwy, niedoświad-

<sup>1)</sup> S. Bugge: *Studien über die Entstehung der nordischen Götter- und Helden-sagen* (Übers. v. Brenner) München, 1889.

<sup>2)</sup> Zob. studyum J. Bédiera: *Le cycle de Guillaume d'Orange*. Paris, 1908.

czony, niemal dziecię, a tutaj trzeba bronić zarówno wschodnich jak południowych granic państwa; korona cesarska, otoczona zdrajcami, chwieje się na głowie Ludwika; Katalonia zagrożona, Rzym oblegany przez pogan, Saraceni uciskają wiernych. Stolica apostolska wzywa ratunku. Któż jej pośpieszy na pomoc? I oto około tronu młodego monarchy skupia się drużyna wiernych wasali; wszyscy oni z jednego rodu, wszyscy gotowi życie swoje położyć w obronie Krzyża, ojczyzny i króla. To dumny ród z *Monglane*. Z niego pochodzi Wilhelm, główny protagonista cyklu. W heroicznym walkach z poganami towarzyszą mu bracia i bratankowie i każdy z nich staje się z kolei bohaterem pieśni. Utwory, poświęcone Wilhelmowi i jego towarzyszom, ich wyprawom i zdobyciom nieprzyjacielskich krajów, należą do najstarszych, są jądrem podania, które potem rozrosło się wstecz, aż do bajecznego protoplasty Garina de *Monglane*.

Zanim przejdziemy do genezy tych utworów i do szczegółowego przedstawienia, w jaki sposób cykl się utworzył, nie od rzeczy będzie, sądzę, podać za wymienionym wyżej badaczem, zarys treści, w którym uwydatni się koloryt epoki i rola głównych osób.

Już pod koniec dwunastego wieku truverowie podzielili ogromne mnóstwo bohaterskich poematów staro-francuskich na trzy cykle, z których pierwszy odnosił się do Karola Wielkiego, drugi do Doona z Mayence, trzeci do Garina z *Monglane*, łącząc naczelników tych trzech rodów mistycznym węzłem. Oto, jak wieść niesie, wszyscy trzej urodzili się tego samego dnia, o tej samej godzinie, i w chwili gdy na świat wyszli z łona matek, słońce zapłonęło krwawą purpurą, oblewając domy tajemniczym światłem, wichur jęczał w powietrzu, ziemia drżała, a obłoki, pędzone wichurą, mknęły po niebieskim stropie z niebysową chyżością. Naraz rozległ się ogłuszający huk; to piorun zagrzmiął przed pałacami nowo-narodzonych, jakby ogłaszając ich narodziny światu, a z rozpadlin, gdzie uderzył, wyrosły trzy drzewa „silne i proste, kwiatami i liśćmi okryte,” symbol trzech przyszłych rodów, które miały chwałą okryć Francję.

Jednym ze synów Garina jest Girard de Viane. Śmiertelnie obrażony przez cesarzową, wypowiada panu swemu posłuszeństwo i zamyka się w swoim zamku wraz z braćmi i bratankami, między którymi odznacza się Olivier i Aimeri. Charlemagne go oblega lat siedem. Napróżno. Silny zamek opiera się wszelkim atakom, ale obleżonym głód zaczyna dokuczać. Pewnego dnia cesarz bez licznego orszaku, w towarzystwie kilku rycerzy, wy-

Dzień był piękny i słoneczny, świat chrześcijański obchodził święto Wielkanocy, drzewa zakwitły, trawa zieleni się, ptaki słodko śpiewają, rycerze pragną popisywać się na igrzyskach. W swoim dworze Karol zasiadł do uczty, około niego siedem królów, tysiące baronów, mnoho biskupów i opatów. Ale i w Narbonie Aimeri ma swój bogaty dwór, setki wojowników otaczają starego wodza. Włosy już siwe, ale twarz świeża i dumna; kto spojrzy na niego, pozna, że to waleczny rycerz. Przez okno, zalane promieniami południowego słońca, patrzy na kraj daleki i żyzny. Jak daleko okiem sięgnąć, niwy złociste, winnice i ogrody. To jego dzieło, ziemia na Saracenach zdobyta. U jego boku Ermenjart o jasnym obliczu, a dalej jego synowie, żądni boju i chwały. Powiódł po nich wzrokiem zadowolonym i, przywoławszy łagodnymi słowy, rzekł do nich: „Długo was chowałem i żywiłem, i, Bogu dzięki, najgorszy z was wart więcej, niż niejedyn król. Jedno mnie martwi, że tak bezczynnie tutaj czekacie na moje dziedzictwo. Kiedy byłem w waszym wieku, nie tak czyniłem, z całej ziemi ojcowskiej nie chciałem ani piędzi, lecz otrzymałem od pana mego, Charlemagna, Narbonę jako lenno i zdobyłem ją na nieprzyjaciół. Idźcie z kolei i zdobywajcie sobie dziedzictwa, bo z mego nic nie dostaniecie; za małeby było, gdybym je rozdzielił wśród sześciu, dam je najmłodszemu, który jest jeszcze dzieckiem. Ty Bernardzie zostaniesz doradcą cesarza, ty Wilhelmie jego chorążym, ty Hernaucie jego seneszalem. Bovon uda się do Gaskonii i zażąda ręki pięknej córki króla Yona, Garin w lenno weźmie Pawię, a Aimer, uda się zrazu z trzema starszymi braćmi na dwór Karola, tam znajdzie baronów z Niemiec, Normandyi, Bretanii. Na ich czele wyruszy w drogę i zdobędzie sobie ziemię. Zbliź się synu, daję ci Kordowę o wysokich wieżach, lecz wprzód musisz ją zdobyć, bo należy do Saracenów.“

Nie zatrzymamy się tutaj ani nad odjazdem sześciu synów i szeregiem scen patetycznych, które wynikły z tego powodu, ani nad kolejnym losem każdego z nich. Po licznych walkach i cudownych perypetyach, zdobywają sobie to wszystko, co im ojciec nakazał. Obchodzą tu nas bliżej dzieje jednego z nich, Wilhelma. Kiedy przybył na dwór cesarski, sam Karol pasuje go na rycerza i daje mu miecz *Joyeuse*, dzieło mitycznego Galanta. Według podania, kowal, chcąc wypróbować jego hart, uderzył o kowadło, i kowadło przecięło się na dwoje aż do ziemi. Imię *Joyeuse* (radosna) ma od radości, jaką odczuł pierwszy posiadacz, wyczytawszy na klindze przynioty tego miecza. Według „Pieśni o Rolandzie“ miecz nazywa się *Joyeuse*, ponieważ Karol Wielki kazał

w złotej jego gałce zamnać ostrze świętej lancy, którą przebito bok Zbawiciela. Miecz ten otrzymał Karol od ojca swego, Pepina, a ten od Flooventa, który go dostał od Clovisa, pierwszego króla chrześcijańskiego Galii. Tak więc ów miecz jest nietylko orężem Charlemagna, ale dynastii królewskiej we Francyi. Cesarz u schyłku swoich lat przeczuwa słabość Ludwika, a nieustraszonosc Wilhelma. Oddaje więc koronę synowi, a miecz wiernemu wassalowi, jakby chciał symbolicznie zaznaczyć, że odtąd podporą tronu i obrońcami dynastii będzie ród Garina z Monglane. Scena to jedna z najpiękniejszych, w której rozpoczyna się opieka Wilhelma nad królewskim potomkiem, a z nią wchodzimy do centrum całego cyklu. Poematem tym jest „Koronacya Ludwika.“

Kiedy Bóg utworzył dziewięćdziesiąt dziewięć królestw, wszystko, co było najlepsze, dał słodkiej Francyi. Dlatego to mnogie kraje zależą od niej. Pierwszy król, którego Bóg jej posłał, otrzymał namaszczenie od anioła. To też każdy władca Francyi ma być roztropany i waleczny. Jeżeli ktokolwiek wyrządzi mu krzywdę, powinien go bez wytchnienia ścigać, aż zmusi hardego do upokorzenia się. Jeżeli tego nie uczyni, Francya traci swoją chwałę, a historia mówi: bezprawnie był królem.

Charlemagne więc, czując się starym, chce złożyć koronę i syna swego osadzić na tronie. Zebrał się w Akwizgranie cały dwór. Po poświęceniu kaplicy, gdy nowy kościół zajaśniał bogato udekorowany, a apostoлик mszę skończył, wstąpił arcybiskup na kazalnicę (pulpit) i rzekł: „Baronowie! cesarz nasz już się zestarzał, zbroja mu ciąży, synowi swemu chce oddać panowanie i koronę świętą włożyć mu na głowę.“ Radość ogarnia zebranych. Wszyscy Bogu dziękują, że nie dostaną się pod obcą władzę. Wtedy podniósł się Karol i zwracając się do Ludwika: „Synu — rzekł—widzisz tę koronę tam na ołtarzu? Chcę ci ją włożyć na głowę, ale pod warunkiem: nie popełnisz nigdy grzechu ani niesprawiedliwości, nie zawiedziesz niczyjogo zaufania, nie odbierzesz sierocie lenna. Jeżeli takim będziesz, to bierz ją, inaczej nie waz się jej dotknąć. Biorąc ją, zostajesz cesarzem rzymskim, sto tysięcy rycerzy czeka twego rozkazu, możesz z nimi przejść Girondę, pokonać pogańskie ludy i ziemię ich przyłączyć do twojej; lecz jeśli masz sieroty krzywdzić, wdowie ostatni grosz zabierać, służbę Bożą zaniedbywać, to w imię Tego, który dla nas mękę poniósł, zabraniam ci, synu, zbliżyć się do ołtarza.“

Donośny głos cesarza rozchodzi się w kościele, młody Ludwik błady, struchlały, jakby zaklęty, nie rusza się z miejsca, za nic w świecie kroku nie postąpi. Rycerzy ogarnia zdziwienie,

smutek na ich twarzach, niejeden płakać zaczyna. W Karolu gniew bierze górę nad ojcowskim przywiązaniem. „Czy to mój syn? — woła starzec roznamiętniony — o nie, to jakiś podrzutek, grzechem byłoby zrobić go królem, niechaj mu zetną włosy, niech zostanie mnichem, tutaj w Akwizgranie, będzie dzwonił w kościele, dać mu prebendę, aby nie żebrał.“ Po tych grzmiących słowach grobowa cisza zapanowała w świątyni. Obok Karola siedział Hernaut z Orleanu, dumny był i zdradziecki, to też podstępnie w te słowa odzywa się do cesarza: „Prawy monarcho! pan mój Ludwik jest jeszcze zbyt młodym, ma zaledwo lat piętnaście. Powierz mi panowanie; jeżeli po trzech latach okaże się dzielny i godnym dziedzicem, zwrócę mu wszystkie ziemie i władzę złożę w jego rękę.“ Cesarz zgodził się i wszyscy krewni Hernauta, również zdradzieccy, jak on, hałaśliwie mu dziękują. Już Hernaut sięgnął po koronę, aby ją włożyć sobie na głowę, gdy Wilhelm, który spóźnił się był, nadbiega, jedną ręką ujmuje go z tyłu za głowę, drugą podnosi i spuszcza na kark zdrajcy, który zwała się na ziemię, jakby obuchem trafiony. „Nędzniku — krzyczy wierny hrabia — niech cię Bóg skarże, dlaczego chciałeś zdradzić pana swego, gdy obowiązkiem jest kochać go i miłować. Chciałem cię trochę wzruszeń nabawić, a tymczasem, otoś się rozciągnął na ziemi, nie dałbym denara za twoje życie.“

Bez zwłoki zbliża się Wilhelm do ołtarza, koronę złotą bierze w rękę i kładzie ją Ludwikowi na głowę. „Weź ją, w imię Boże, i aby Wszechmocny dał ci dosyć siły, abys był dobrym królem.“ Widzi to cesarz i cieszy się: „Dzięki ci, Wilhelmie, ród twój podparł dziś mój tron.“ Następuje koronacja Ludwika, ale Karol miał jeszcze żyć pięć lat.

Spełniając dawno zrobiony ślub, Wilhelm wybrał się w pielgrzymkę do Rzymu. Niechętnie na to pozwolił stary cesarz, czując, że lada dzień może unrzeć, ale hrabia przyrzekł na pierwsze zawołanie wrócić do kraju. Ledwo przybył do Rzymu, Saraceni napadli na miasto pod wodzą króla Galafra, w ich rękę trzydzieści tysięcy chrześcijan, między nimi król Capui, Guafier, i jego piękna córka. Papież udaje się do sułtana i staje układ, że los wojny rozstrzygnie pojedynek. Paganie wybierają ohydneho olbrzyma, Corsolta, rodem z piekła, który bluźnierstwa miota przeciw Bogu, a chrześcijanie Wilhelma. Bój zaciekły trwał cały dzień, ostatecznie Wilhelm stracił w nim swój nos, a olbrzym pod ciosami przeciwnika ducha wyzionął. Guafier rzucił się do nóg wybawcy i ofiarował mu rękę swej córki i połowę królestwa. Już się odbywały zaręczyny, papież, trzymając obrączkę ślubną,

już miał połączyć węzłem dozgonnym naszą parę, gdy do kościoła wpadają dwaj rycerze, zziązani i bez tchu. Oto Karol umarł, a syn jego, Ludwik, znajduje się w największym niebezpieczeństwie. Wilhelm rzucił smutny wzrok na narzeczoną, jej łzy cisnęły się do oczu, już się nie mieli więcej zobaczyć na tej ziemi.

Wilhelm śpieszy dniem i nocą do Francyi. Był czas najwyższy. Zbuntowani baronowie zrzucili Ludwika z tronu i zamknęli w opactwie Saint Martin w Tours. Tam strzegli go mnisi, a tymczasem Ryszard, książę Normandyi, zawładnął państwem. Wilhelm, dzięki pomocy odźwiernego, przedostaje się tajemnie z 40 rycerzami do Tours, wchodzi do klasztoru i przed ołtarzem klęka, błagając Boga, aby mu dopomógł odnaleźć prawego króla. Poznał go życzliwy mu kleryk, zbliżył się do niego i rękę położył na ramieniu. „Czegoż chcesz, bracie?“ pyta Wilhelm. „Panie! — rzecze tenże — ponieważ przybyłeś z pomocą Ludwikowi, wiedz, że on tutaj jest strzeżony w jednej krypcie, a tam na górze osiemdziesięciu kanoników, opatów i biskupów obraduje teraz nad wykonaniem zdrady. Zamknij drzwi klasztoru i zetnij zdrajcom głowy, grzech biorę na siebie.“ Wilhelm słyszy to i śmieje się: „błogosławioną niech będzie godzina, w której urodził się taki kleryk.“

Trzy lata trwały walki, zanim oczyszczono kraj od zdrajców i opornych. Wilhelm przebiegał całą Francję od Poitiers do Bordeaux i poskramiał zbuntowanych baronów, utwierdzając w ten sposób panowanie Ludwika. Miałby prawo liczyć na wdzięczność króla, ale król okazał się niewdzięcznikiem i poeta, kończąc swój utwór, dodaje melancholijnie:

En grant barnage fu Looïs entrez  
Quand il fu riches, Guillaume n'en sot gré.

Niewdzięczność Ludwika jest głównym tematem następnego utworu „Le Charroi de Nîmes.“ Król, rozdawszy hojną ręką liczne dobra i ziemie swoim baronom, zapomniał o najwierniejszym, o Wilhelmie i jego bratanku Bertrandzie. W scenie, pełnej patetycznej siły, śmiały wojownik wyrzuca tę niewdzięczność swemu panu. Napróżno król błaga o przebaczenie i ofiarowuje mu już to lenna po zmarłych niedawno baronach, już to czwartą część Francyi, Wilhelm nie chce, aby go posądzono o ograbienie prawych dziedziców i odrzuca dary królewskie. Wreszcie oświadcza Ludwikowi, że żąda dla siebie Hiszpanii i miast: Tortelose, Porpaillart nad morzem, oraz Nîmes, które były w rękach Saracenów. Król niechętnie puszcza od siebie swojego obrońcę. Na czele

licznej armii bohater wyprawia się do kraju nieprzyjacielskiego; przebrany za kupca, ukrywszy towarzyszy broni w beczkach, wjeżdża do miasta Nîmes i bierze je podstępem. Tak rozpoczął się bój z Saracenami.

Po Nîmes przyszła kolej na inne miasto, na Oranger, położone malowniczo nad Rodanem. Żyła tam piękna Orable, żona saraceńskiego króla, Thibauta, który przebywa w Afryce. Wilhelm i dwaj bratankowie, przebrani za Saracenów, przybywają do miasta, przedstawiając się jako posłowie królewscy. Wilhelm od pierwszego wejrzenia zakochany jest w Orable, niebawem i ona pokocha chrześcijańskiego bohatera, którego sława dotarła do jej uszu.

To też łatwo odgadnąć przebieg dalszej akcji. Wilhelm z towarzyszami poznany przez wrogów i wtrącony do ciemnego lochu, przygotowuje się już na śmierć okrutną, ale Orable przynosi im broń i wyprowadza z więzienia. Nadchodzi odsiecz z Nîmes. Orange, szturmem zdobyte, staje się odtąd rezydencją bohatera; Orable przyjmuje chrzest i pod imieniem Guiborc wychodzi za ukochanego.

Następne trzy utwory odnoszą się do Viviena, bratanka Wilhelma. Opowiadają jego młodość, pasowanie na rycerza i pierwsze czyny, wreszcie rychłą śmierć w bitwie pod Archant. Są to: „Les Enfances Vivien,“ „La chevalerie Vivien,“ „Aliscans,“ do których dołączył się niedawno odkryty poemat p. t. „La chanson de Guillaume.“ W „Enfances Vivien“ przyszedł bohater, jako chłopak siedmioletni, wydany jest Saracenom; tego bowiem żądali wrogowie za wypuszczenie z niewoli jego ojca, Garina d'Ansetne. Kiedy dorósł i miał być wydany na męki, udaje mu się wymknąć i wśród awanturnych przygód przybywa do Wilhelma, który go pasuje na rycerza. I wtedy ślubuje, że nigdy nie będzie uciekał przed Saracenami, choćby na długość lancy. Nie długo przyszło mu czekać na wykonanie tego ślubu.

Król Desramé z Kordowy wylądował z armią pod Aliscans i plądruje ziemię chrześcijańską. Vivien z małą garstką wyrusza przeciw niemu i wszczyna się bój fatalny. Vivien nie ustępuje mimo przewagi nieprzyjaciela, wie, że życiem przypłaci, ale ślubu dotrzyma. Myśli o Wilhelmie, który go tak bardzo umiłował, o Guiborc, która go wychowała. Spodziewa się, że pomoc nadejdzie. Istotnie Wilhelm śpieszy z odsieczą. Ale zapóźno. Sam z kolei zostaje pokonany przez wrogów. Na brzegu stawu, pod oliwnem drzewem znajduje dogorywającego bratanka, który na jego głos z największym wysiłkiem spowiada się i otrzymuje ko-



munię św. z rąk zrozpaczonego rycerza. Niezrównaną w swej wyrazistości jest następna scena, gdy Wilhelm, ścigany przez pogan, przybywa do Orange, a Guiborc, przypatrując się gonitwie, nie chce otwierać bram miasta. „Tyś nie Wilhelm, nigdy Wilhelm nie bał się Saracenów.“

Oczywiście, że ta klęska chrześcijan musi być pomszczona. Przy pomocy króla, Wilhelm wraca z wielką armią pod Aliscans i gromi wrogów Krzyża. Spełniwszy swoje zadanie, jako obrońca chrześcijaństwa, bohater, po śmierci Guiborc, wstępuje do klasztoru w Aniane, a następnie osiada w pustelni du Désert. Myśl jego odwraca się od znikomości ziemskiej, od sławy światowej, zakonnik pogrąża się w kontemplacyi i z niepokojem myśli o wiecznem zbawieniu. I zjawia mu się anioł i stroskanego pociesza:

Sire Guillaumes, sés que Dieus t'a mandé?  
 Tu l'as servi de bone volenté  
 Et sor païens ton cors mout agrevé:  
 Par moi te mande li Rois de maïsté  
 Qu'en Paradis a fait ton lit paré.

### III.

Taką jest w najogólniejszych zarysach treść dwudziestu czterech poematów, stanowiących cykl *Guillaume d'Orange*. Nie ulega wątpliwości, że prototypem dla naszego bohatera był Wilhelm, hrabia Tuluzy, który żył na dworze Karola Wielkiego i pod koniec swego życia wstąpił do klasztoru, a później był kanonizowany. Kościół czci go, jako świętego dnia 28 maja. Pytanie tylko, czy wypadkom opowiedzianym w tych utworach, odpowiadają także rzeczywiste zdarzenia z epoki Karola W.; czyli innymi słowy: czy powyższe wymienione poematy przechowują wiernie historyczną tradycję, czy też stanowią fikcję poetyczną, doczepioną do historycznego nazwiska. Uczeni, którzy się zajmowali powyższym cyklem utworów, lub poszczególnymi jego ogniwami, nie wahali się twierdzić, że poematy są odbiciem rzeczywistych faktów dziejowych, że powstały nazajutrz po zdarzeniach i, przechowane w pamięci ludu, przechodząc z ust do ust, doczekały się spisania w XII w. Wprawdzie po przewertowaniu roczników i kronik z epoki karolińskiej nie znaleziono żadnych bitew ni oblężeń, w których brał udział Wilhelm, a któreby w przybliżeniu choć przystawały do walk, opisanych w poematach, wpraw-

dzie w poetycznych utworach znachodziło się całe mnóstwo wydarzeń, o których zdają się nie wiedzieć dziejopisarze karolińscy, ale to wszystko tłumaczono sobie niestałością podań, które ulegają z biegiem czasu zmianom, tracąc pierwotną czystość.

Zresztą, jeżeli Wilhelm, hrabia Tuluzy, nie brał udziału we wszystkich bitwach i utarczkach, wymienionych w poematach, opiewających jego chwałę, to mógł w niejednej z nich brać udział inny wódz tegoż imienia, później lub wcześniej żyjący. Otóż pieśni, opiewające bohaterskie czyny takich Wilhelmów, z biegiem czasu mieszały się z naszym cyklem, co ułatwiało naturalnie podobieństwo imion, i chwała tamtych przechodziła na hrabiego Tuluzy. W poszukiwaniu tych pierwowzorów, różni uczeni wyciągnęli z pyłu zapomnienia aż szesnastu rozmaitych Wilhelmów, hrabiów, książąt i królów, żyjących już to w VIII, już to w XI, już to w X wieku i ich żywotami skleili jednolitą postać saraceńskiego pogromcy.<sup>1)</sup> Nie było wprawdzie badacza, któryby godził się na wszystkich owych szesnastu Wilhelmów; każdemu ten lub ów prototyp wydawał się niepewnym wzorem; ale wszyscy niewzruszenie stali przy zasadzie, że na poetyczny żywot Wilhelma z Orange złożyły się czyny kilku wojowników. Wątpiono o trafności poszczególnych identyfikacyj, nie wątpiono nigdy o prawdziwości samej zasady. Zasługa wykazania uczonemu światu, że zasada sama jest iluzją, która spaczyła na wiek cały kierunek badań nad średniowieczną literaturą, przypadła w udziale młodemu profesorowi następcy Gastona Parisa w „Collège de France,” Józefowi Bédierowi.

Przedewszystkiem starał się ustalić element historyczny w poematach i, przechodząc po kolei wszystkie identyfikacje, proponowane w różnych czasach, wykazał ich nicość. Pod skalpelem jego ciętej krytyki prysły widma, powołane do życia w pracowniach uczonych; pozostały fakta, które nietylko nie popierają dawnej teorii, ale wręcz jej przeczą. Z owych szesnastu Wilhelmów ostał się jedynie hrabia Tuluzy, jako poważny kandydat na pierwowzór dla bohatera poematów francuskich. Lecz i tutaj okazała się rzecz ciekawa. Rzeczywiste zdarzenia z czasów Karola Wielkiego, walki, w których brał udział Wilhelm, nie zostały żadnego echa wyraźnego w poezyi, natomiast opiewają żonglerzy XII wieku bitwy, zwycięstwa i klęski, o których napróż-

---

<sup>1)</sup> Dla pozostałych osób, występujących w poematach, również wyszukano u kronikarzy pierwowzory mniej lub więcej podobne.

nobyśmy szukali wzmianki u kronikarzy czasów karolińskich. Co więcej, między zdarzeniami, które przypadają na koniec VIII i na początek IX w., a poematami, które pochodzą z pierwszej połowy XII wieku, trzysta lat przerwy niczem niezapełnionej.

Jeżeli jednak kronikarze nic nie wiedzą o tych wypadkach, to, rzecz dziwna, mnisi benedyktyńscy dwóch opactw: *Aniane* i *Gellone*, które później przybrało nazwę *Saint-Guilhem du Désert*, położonych w głębi południowej Francji, niedaleko Montpellier, wiedli od połowy XI wieku zacięty spór o to, które z nich ma większe prawo do chlubienia się relikwiami i donacyami świętego Wilhelma.

Otóż kroniki obu klasztorów w rozdziałach, odnoszących się do bohatera naszego, zawierają, wtrącone oczywiście dopiero pod koniec XI wieku, aluzje do przygód Wilhelma, a w łacińskiej biografii (*Vita sancti Wilhelmi*) napisanej w Gellone, prawdopodobnie dla ratowania swej sprawy w Rzymie, znajdujemy bardzo wyraźne wzmianki o jego przygodach. Z drugiej strony autorowie staro-francuskich poematów tego cyklu niejednokrotnie odwołują się do autentycznego żywota, przechowywanego w klasztorze. „Tak więc ścisły związek między opactwami Aniane i Gellone, a żonglerami, którzy kolportowali w XII w. poematy o Wilhelmie, nie ulega wątpliwości.“ Nasuwa się tedy pytanie, co spowodować mogło mnichów dwóch zapadłych miejscowości w południowej Francji do interesowania się losami rycerza, opiewanego w północno-francuskich *chansons de geste*. Pytanie to, które sobie zadał uczony francuski poprowadziło go do odkrycia, wśród jakich warunków powstała i rozwijała się epopea staro-francuska.

#### IV.

Aby odpowiedzieć na powyższe pytanie i wytłómaczyć dziwną napozór zagadkę, wystarczy spojrzeć na historyczną mapę Francji XII wieku. Opactwa Aniane i Gellone, leżące dziś w części w gruzach, znajdowały się na wielkim trakcie, który wiódł z północnej Francji do grobu św. Jakóba w Compostello, miejsca słynącego cudami i uczęszczanego przez liczne rzesze pielgrzymów. „Przewodnik pielgrzymów“ z owej epoki wymienia cztery drogi, a jedną z nich jest ta, która prowadzi przez *Nîmes*, *Saint-Gilles*, *Saint-Guilhem-du-Désert*, *Toulouse*. Jest to stara droga, z czasów rzymskich jeszcze, znana pod nazwą *via Aegidiana* albo

*via Tolosana*. Jest rzeczą godną uwagi, że drogę tę opisuje w poematach sam bohater, gdy w *Charroi de Nîmes* z Paryża wyrusza na podbój Hiszpanii. „Jakąż drogę wybierzemy,“ pytają go towarzysze. A on im na to:

Tout le chemin de *saint Gille* tenez  
 Tout droit à *Bride* nous en convient aler  
 Nous irons là et à la mère Dé

Par le conseil que leur donna Guillelmes  
 Ont trespasé et Berri et Auvergne  
*Clermont* laissèrent et *Montferrant* a destre

Par *Ricordane* outre s'en trespasèrent  
 Desi au *Puy* enques ne s'arestèrent., i t. d.

Otóż wszystkie te miejscowości i liczne inne, wymienione w poematach tegoż cyklu, leżą nad tym samym starożytnym gościńcem. Łącząc je jedną linią, otrzymujemy właśnie drogę, nazwaną przez „*Guide des pèlerins*“ *via tolosana*. Roilo się na niej od rzesz pobożnych, które od połowy XI w. ciągnęły do mniemanego grobu św. Jakóba w Compostello. Po drodze znajdowały się liczne schroniska, gdzie pielgrzymujące tłumy zatrzymywały się i słuchały pieśni bohaterskich. Opiewano obrońców krzyża. Egzaltowano się klęskami Muzułmanów. Były to czasy pierwszych krucyat. Duch wojowniczy, chęć walki za wiarę, zapał do boju przeciw poganom ogarniały szerokie masy rycerstwa. To, co dźwięczało w „pieśniach rodowych,“ było pobudką i zachętą do walki z niewiernymi. Wszak rycerzy chrystusowych czekała chwała, przekazywana potomności z pokolenia na pokolenie, czekało niebo, tak łaskawe, zsyłające swoich aniołów do Rolanda, do Karola Wielkiego, do Wilhelma. To też cała droga od północnej Francji do Pirenejów i dalej jeszcze była usiana pamiątkami po walecznych rycerzach, wspomnieniami ich czynów i ich chwały. Leżało to w interesie opactw, klasztorów i schronisk, które w ten sposób zatrzymywały u siebie przez pewien czas rzesze pobożnych, delektujących się pieśniami o walce za wiarę.

Z „Przewodnika“ wiemy, że pielgrzymi wstępowali po drodze do *Brioude*, gdzie według poetycznej legendy św. Wilhelm zawiesił był swoją tarczę; wstępowali do *Nîmes*, gdzie czczono tegoż bohatera; do *Arles*, gdzie wcześniej zlokalizowano ponurą bitwę pod *Aliscanp*; wstępowali do *Saint-Gille*, któremu poświę-

cono osobny cykl utworów, do *Saint Guilhem du Désert*, dokąd, jak wiemy, schronił się Wilhelm, wzięwszy na siebie suknię zakonną; do *Narbonny*, stolicy protoplasty i całego rodu Aimerydów; wreszcie do *Martes Tolosanes*, gdzie czczono Viviana, jako męczennika pod mianem St. Vidian. Oto węzły, które łączyły epikę starofrancuską z miejscami odpustowemi.

Gdyby tylko cykl „pieśni rodowych,“ odnoszący się do Wilhelma, hrabiego Tuluzy, pozostawał w tym stosunku do opactw i dróg pielgrzymich, możnaby było sądzić jeszcze, że to przypadek, albo wyjątek z francuskiej epiki „ludowej.“ Ale oprócz drogi tolozańskiej, trzy inne prowadziły do grobu św. Jakóba w Compostello: przez *Moissac* jedna, przez *Tours* druga, przez *Vézelay* trzecia; a wszystkie łączyły się około Pampeluny. Co więcej, oprócz Compostello, inne jeszcze miejscowości były celem pielgrzymek: Akwizgran, Kolonia, Rzym, Palestyna. Otóż wzdłuż wszystkich dróg, prowadzących do tych miejsc, lokalizują się poematy starofrancuskie. Zwłaszcza drogi, prowadzące z Francji przez Alpy do Włoch i drogi włoskie do portów, w których pielgrzymi wsiadali do okrętów, pełne są wspomnień o rycerzach francuskich. A oto w opactwie *Vézelay* i *Pothières* obchodzi się uroczystie pamięć Girarda de Roussillon, hojnego fundatora i walecznego rycerza w pieśni tegoż imienia; oto w opactwie *St. Faron de Meaux* pokazuje się od końca XI wieku wspaniały grobowiec najpopularniejszego bohatera starofrancuskiej epopei Ogierra le Danois; oto za duszę trzeciego bohatera, Raoula de Cambrai odprawia się modły w opactwie *St. Géri* w Cambray. Którykolwiek poemat wybierzemy, okaże się, że pozostaje w styczności z pewnem opactwem, klasztorem, kaplicą, miejscem odpustowem; a z drugiej strony, zajrzawszy do tego opactwa, przekonywujemy się, że tam istnieją zapiski, akta fundacyjne, życiorysy, odnoszące się do bohaterów tych *chansons de geste*; co więcej, że nieraz dwa opactwa (jak np. Aniane i Gellone) zawzięcie się o to procesują, które z nich posiada autentyczne relikwie lub zapisy takiego bohatera epickiego. Zestawiając zaś owe biografie bohaterów klasztornego pochodzenia z poematami, widzimy, że hagiograficzna legenda i epos ludowy spływają się w jedną całość, nawzajem się wyjaśniają i uzupełniają. Jedno bez drugiego nie istnieje i, co ważniejsze, jedno i drugie nie istnieje przed połową XI wieku, a więc powstaje blisko trzy wieki po zaszłych wypadkach. To też ostateczna konkluzya francuskiego uczonego brzmi: gdyby Wilhelm przypadkiem wcześniej umarł, nim wstąpił do klasztoru w Aniane i nie założył był opactwa w Gellone, ani jeden utwór

z tego cyklu nie byłyby istniał. A tak samo nie powstałyby żaden utwór, gdyby te opactwa nie leżały po drodze pielgrzymów, ciągnących do Hiszpanii.

## V.

Jakież wnioski wysnuć nam należy z tego faktu. Epopee staro-francuskie uchodzą: po pierwsze za twór ludowy, po drugie za kontynuację epopei germańskiej, wniesionej przez Franków do Gallii. W tym duchu pisze jeszcze w najnowszej historii literatury ludów romańskich Henryk Morf, profesor berlińskiego uniwersytetu: „epos francuski, zdaje się, spoczywa na gruzach milknącej poezji germańskiej... pobudka do tworzenia romańskiej epiki wyszła od Germanów; stworzył ją epicki duch młodocianego ludu.“<sup>1)</sup> I rzeczywiście: bezimiennność autorów, jednostajność postaci, odlanych jakby z jednego kawałka brązu, monotonia stylu, prostota obyczajów i brak wyrafinowania nadają im zdaleka wszelkie pozory ludowej, t. j. zbiorowej twórczości nas. Ale tylko pozory. Badane pod mikroskopijnem szkłem starannej analizy, okazują się tworam tak samo artystycznymi, jak niemi są epopee znanych poetów. Różnice są tylko w stopniu artystycznego uświadomienia ich twórców, w ilości nie w jakości. To też gdy wyzwolona z dotychczasowych przesądów krytyka Bédiera wzięła je pod ostrze swego skalpela, wyszło na jaw, że przez sto blisko lat patrzymy na tę chrześcijańską nawskroś epikę staro-francuską przez zabarwione romantyzmem okulary, które widzą ludowość tam, gdzie jest klasztor, opactwo, klerycy i łacina. W świetle gruntownych jego badań, czar, który nas mamił przez całe stulecie, rozwiewa się jak senne widziadło. Znika niczem niepoświadczona epika frankońska, merowińska i jej rzekoma następczyni, karolińska. Znikają kantyleny i pieśni epicko-liryczne, współczesne wypadkom i w ich dziejowem znaczeniu biorące swój początek. Znikają rycerze i wojownicy, otaczający się pieśniarzami w celu przekazania potomności chwały swoich czynów; znika lud, jako czynnik tworzenia pierwotnej poezji epickiej, a na pierwsze miejsce wysuwa się ta warstwa, która w średnich wie-

<sup>1)</sup> *Die Kultur der Gegenwart*. Theil I. Abtheilung XI, 1. *Die romanischen Literaturen* von Heinrich Morf. Leipzig, 1909, str. 145.

kach była spadkobierczynią starożytnej kultury, warstwa, która tę przekazaną jej cywilizację rzymską, mimo wrogiego do niej stosunku, w zaciszu klasztorzem pielęgnowała i od zatury uchroniła. Tylko z klasztorów i szkół klasztornych mogła być wyjść w owych czasach pobudka do stworzenia literatury w językach narodowych i we wszystkich literaturach średniowiecznych początek jej dają klerycy. Bo to jedyna w owej epoce warstwa ludzi wykształconych, mogących czerpać z bogatej skarbnicy przeszłości rzymskiej, choć nie rozumiejącej jej pod względem estetycznym. Wiedzieliśmy już dawno, że dramat średniowieczny powstaje w kościele i dla kościoła. Badania W. Meyera, profesora w Gettyndze, wykazały niedawno, że łacińska poezja stroficzna, owe sekwencye i tropy, które uprawiano w klasztorze południo-francuskim w Juniège, a które stamtąd przedostawszy się do St. Gall, doczekały się niezwykłego rozkwitu, wywarły niesłychanie ważny i decydujący wpływ na rozwój form lirycznych w języku ludowym (zarówno prowensalskim i francuskim, jak niemieckim).<sup>1)</sup> Obecne studia Bédiera z kolei pokazują, że i epika staro-francuska powstała pod tymże, dominującym w średnich wiekach wpływem. Nie nazajutrz po wielkich zwycięstwach czy klęskach, nie wśród rycerstwa, biorącego udział w tych walkach, nie jako samorodny wybuch uczuć, władających masami, w obliczu tragicznych czy heroicznych zapasów, powstają poematy rycerskie, owe *chansons de geste*, ale kilka wieków później, jako celowo obmyślane utwory, mające wstawić pewne opactwa i miejsce odpustowe, mające przywabić pielgrzymów. Utwory te biorą swój początek w tradycji klasztornej, rozwijają się w pobliżu opactw, pod egidą kleryków i dla ich interesów, doznają od nich żywego poparcia i ostatecznego zredagowania i zamierają razem z upadkiem ruchu pielgrzymiego pod koniec XIII wieku.

Na jedno jeszcze chciałbym tutaj zwrócić uwagę. Jest rzeczą pewną, że owe *chansons de geste* przerabiają i kolportują zonglerzy, to jest śpiewacy ludowi. A więc udział ludu jest przecież widoczny, jeżeli nie w samem stworzeniu epiki staro-francuskiej, to w jej ukształtowaniu. Zapewne. Tylko nasuwa się pytanie: ilu wśród tych przerabiaczy i zonglerów znajdowało się byłych kleryków? Autorem czy przerabiaczem pieśni o Rolandzie

<sup>1)</sup> W. Meyer. *Fragmenta Burana*. Festschrift zur Feier des hundertfünfzigjährigen Bestehens der K. Gesellschaft der Wissenschaft zu Göttingen. Berlin, 1901, str. 37 i n., oraz 166 i n.

mógł być tylko człowiek odczytany w Piśmie św. — niejedną bowiem widzimy tam reminiscencję biblijną. Autor najstarszej przeróbki poematu, opiewającego młodość Ogier'a li Danois, sam nazywa się klerykiem. Klerykiem był także Bertrand de Bar sur Aube, który swoimi przeróbkami: „Girard de Vienne“ i „Aimeri de Narbonne“ przyczynił się najwięcej do cyklicznego ugrupowania staro-francuskich poematów. Na przekór więc zapalonym, a najczęściej bezkrytycznym, zwolennikom folkloru stwierdzić należy przy epopei francuskiej, że zachęta do jej utworzenia w języku ludowym wychodzi z łona jedynej w owych czasach *uczzonej* warstwy społeczeństwa, wyszkolonej na poezyi łacińskiej, i że wśród tejże warstwy znajduje ona najgorliwszych popleczników.

Duchowieństwo średniowieczne; zohydzone i ośmieszane przez racjonalistów XVIII wieku okazuje się w nowem, dla siebie nader korzystnem świetle. Rola jego w tworzeniu literatury w języku mas, będącej podstawą późniejszej samowiedzy narodowej, wychodzi na jaw w całej pełni przy jeszcze jednym rodzaju rze-komej poezyi ludowej. Klasztory i opactwa były we Francyi nie tylko siedzibą scholastycznej wiedzy, arką, zamkniętą na siedm pieczęci, pod któremi leżała starożytna kultura, aż ją do życia powołał humanizm i renesans; nie, klasztory były tam także głównymi orędownikami poezyi narodowej, opiekunami żonglerów, trubadurów i truwerów, ogniskami, z których rozchodzili się po całym kraju.

## VI.

Skoro tedy studia Bédiera wykazały, że epopea staro-francuska powstaje dopiero w XI wieku i że tłómaczy się jedynie stosunkami naówczas panującymi, nie od rzeczy będzie zastanowić się tutaj nad ważną kwestyą, pominiętą zupełnie w jego pracy. A mianowicie: o ile epopea francuska pod względem formalnym, to jest stylu, języka literackiego, techniki poetyckiej, obrazowania, używania pewnych ulubionych motywów i tematów zależy od epiki łacińskiej, przedewszystkiem tej, która kwitnęła na dworze Karola Wielkiego, a następnie od „Iliady“ w przeróbce łacińskiej, „Eneidy“, „Tebaidy“, „Farsali.“ Wszak te poematy były gorliwie czytowane w szkołach klasztornych, wszak trzy pierwsze już w połowie XII wieku doczekały się tłómaczenia, a raczej parafrazy, względnie przeróbki na język francuski. Do-



tychczas chciano w łacińskiej epice, uprawianej na dworze Karola Wielkiego widzieć wpływ ludowej epopei. Przytaczano na poparcie tej hipotezy pewne zwroty charakterystyczne, wspólne epice łacińskiej IX w. i francuskiej. Nie spostrzeżono się tylko, że te wyrażenia, zwroty, figury retoryczne są przez łacińskich poetów dworskich epoki Karola Wielkiego żywcem wzięte z rzymskiej epopei, a więc z Wirgiliusa, Statiusa, Lukana, Claudiana i t. p. Ponieważ nie może być mowy o tem, by starożytni zawdzięczali swoje ozdoby stylistyczne średniowiecznej francuszczyźnie, a ponieważ z drugiej strony odnajdujemy je poddostatkiem w poematach rycerskich, jedyny stąd wniosek logiczny, że autorowie *chansons de geste* znali epikę łacińską i że pierwsi poeci francuscy na niej studyowali swoją technikę.

Problemat ten nie ogranicza się jednak do epopei staro-francuskiej. Nie ulega wątpliwości, że śmiałe, a tak niezwykle sukcesem uwieńczone, studia francuskiego profesora wywołują zwrot w dotychczasowem pojmowaniu najstarszych zabytków wszechświatowej epiki i w badaniach nad pochodzeniem epopei wogóle. Zwłaszcza odnosi się to do germańskich i staro-greckich epopei. Jak w przeczuciu tego, na kilka lat przed ukazaniem się pracy Bédiera, pisał jeden z najtęższych obecnie filologów niemieckich, badacz niezwykle śmiały i samodzielny Ulrich von Wilamovitz-Moellendorff: „Próby wyjaśnienia „Iliady“ i „Odyssei“ spontanicznie w rozwoju ludzkości występującą epiką ludową, nie powiodły się. Niezmiernie cennych analogij dostarcza nam jedynie epika romańska, szczególnie epos staro-francuski. Życzyłoby należało, aby kiedyś znawca obu literatur przeprowadził paralełę.“ A cokolwiek dalej: trudno zrozumieć to szaleństwo, które widzi poezycę ludową tutaj (w „Iliadzie“ i „Odyssei“), gdzie wszystko jest sztuką, gdzie stanowi poetów odpowiada jako publika, nie lud, lecz znów stan królów i możnowładców, którzy silniej już gardzić ludem nie mogli, niż to czyni Homer. „Odyssea“ wskazuje przecież, dla kogo poeci poematy swoje tworzyli. <sup>1)</sup>

Jeżeli o ludowem pochodzeniu „Iliady“ i „Odyssei“ w ten sposób wyraża się tak poważny uczony, to cóż powiedzieć można o ludowości „Niedoli Niebelungów,“ lub „Gudruny,“ czy też „Eddy.“ Ile same jądro podania zawdzięcza mitologii starożytnej, której powiastki przechowywały się niewątpliwie w tradycyi szczepów germańskich, stykających się z Rzymianami od pierw-

<sup>1)</sup> *Die Kultur der Gegenwart*. Theil, I. Abt. VIII. *Die griechische und lateinische Literatur*. Berlin, 1907, str. 7 i n.

szego wieku i wchłaniających w siebie pierwiastki kultury wyżej stojącego narodu? Ile ostateczna redakcja „Pieśni o Niebelungach“ w tej postaci, w jakiej ją posiadamy obecnie z początków XIII wieku, zawdzięcza pod względem wiersza, rytmiki, obrazowania i poszczególnych motywów, epice staro-francuskiej, starszej od niej conajmniej o sto kilkadziesiąt lat? Zwłaszcza o ile cykl poematów lotaryńskich ze swojemi bratobójczemi walkami między członkami jednej rodziny wpłynął na poetyckie zabarwienie niemieckiej epopei, czy też naodwrot. Jaki jest stosunek tych dwóch pokrewnych podań? Wszystkie te pytania domagają się wyjaśnienia, są bowiem prawie nietknięte w filologii romańskiej.

Wartość teorii Bédiera polega więc, jak widzimy, nietylko na tem, że tłómaczy nam genezę epopei staro-francuskiej, ale na jej żywotności odnośnie do innych kwestyj. To też dziwić się nie będziemy, że epokowe jej znaczenie podkreślają uczeni zagraniczni, że profesor wiedeńskiej wszechnicy Ph. Aug. Becker nazywa ją najważniejszem „wydarzeniem“ (Ereignis) ostatnich lat na polu badań nad epiką, i że niemniej pochlebnie wyraża się o niej Suchier, profesor w Halle, choć ona rujnuje szereg jego studyów. Wobec ważności tej kwestyi, warto przypomnieć, że jeżeli Bédierowi powiodło się namacalnie, że tak powiem, wykazać bezpośredni związek średniowiecznej epiki francuskiej ze sferami klasztorne, a więc uczone, to zasługa sformułowania tej zasady na daleko szerszych podstawach przypada zmarłemu przed kilku laty profesorowi filologii romańskiej na Wszechnicy Jagiellońskiej. Oto co czytamy w jego pracy francuskiej o „Rytmach i rymach:“ <sup>1)</sup> „Kolebką epopei chrześcijańskiej była Francya. Stworzyli ją ci, którzy mieli najżywszy interes i prawie obowiązek zastąpienia nią epopei pogańskiej i którzy byli dosyć wykształceni, aby temu podołać.“ Jest to w zarodku cała teoria francuskiego badacza. Jeszcze wyraźniej rozpiął się o kwestyach, które tutaj nas bliżej obchodzą w późniejszych swych broszurach polemicznych. Pozwolę sobie przytoczyć ostateczną jego konkluzję: „Z tego przeglądu, pisze tam, widzimy, że we wszystkich rodzajach poezyi staro-francuskiej mamy kleryków. Obok nich trzeba przyjąć znaczną liczbę takich, którzy szkół nie ukończywszy, poszli pomiędzy żonglerów i menestrelów. Nie byli klerykami, ale czegoś się w szkole klasztornej nauczyli. Są pomię-

<sup>1)</sup> Maximilien Kawczyński: *Essai comparatif sur l'origine et l'histoire des Rythmes*. Paris, 1889, str. 24.

dzy nimi ludzie utalentowani i pobożni, zwykle z teologią dobrze obeznani... Gdy zaś klerycy znali literaturę klasyczną, a wielu było kleryków pomiędzy staro-francuskimi autorami, przeto otrzymujemy w nich właśnie łącznik pomiędzy starożytnością i średniowieczem.“<sup>1)</sup>

W toczącej się od pół wieku walce dwóch szkół romantycznej i antyludowej, walce dwóch poglądów na genezę pierwotnej poezji, czy ona jest pochodzenia ludowego, czy artystycznego, czy jest dziełem bezimiennych mas, czy dziełem artystów, szala zwycięstwa zaczyna się przechylać na stronę tej ostatniej.<sup>2)</sup> Rola mas jako czynnika twórczego jest minimalna. Lud, jak dzisiaj, tak i dawniej, był biernym widzem lub słuchaczem, przejmującym od wyższych sfer bardzo powoli dorobek kulturalny i artystyczny, ale przechowującym go dłużej w stanie względnej prymitywności. U ludu znaleźć można zawsze obyczaje i zwyczaje, gadki i opowiadania, melodey i stroje, które niegdyś panowały u wyższych warstw lat kilkaset wstecz.<sup>3)</sup> To wydaje nam się obecnie czemś archaicznem, prymitywnem. Stąd wniosek, błędny zupełnie, że to przeżytek epoki pierwotnej. Znalazłszy zaś analogiczny motyw u pisarza klasycznego, wyciągamy drugi wniosek, że to przejął od ludu. Tymczasem rzecz ma się odwrotnie. Opowiadania, gadki, baśnie rozpowszechnione wśród ludu, nie są dziełem tego ludu, ale utalentowanych pisarzy, od których przeszły one do ludu. Gdyby tak nie było, każdy naród miałby zupełnie inne baśnie, stosownie do epoki ich powstawania, położenia geograficznego kraju, warunków klimatycznych, wierzeń religijnych i t. d. Tymczasem od Samojedów do Kabylów, od Grenlandczyków do Kafrów i Hotentotów, nie mówiąc już o narodach aryjskich, jedne i te same baśnie znajdujemy obecnie na całej kuli ziemskiej. Lud zatem powtarza tylko to, co raz zasłyszał, co przejął i o czem się dowiedział od swych nauczycieli. Słusznie też któryś z historyków powiedział, że jeszcze i dziś lud jest umysłowo takim, jakim go wychowuje duchowieństwo. Inna rzecz, gdy chodzi o to, czy z nagromadzonej u ludu masy podań i baśni korzystają poeci i artyści. Tutaj, prof. Kawczyński, w swem bezwzględnem odrzucaniu wszelkiego wpływu, za daleko poszedł,

<sup>1)</sup> Folklor a historia literatury. Kraków, 1903, str. 14.

<sup>2)</sup> U nas reprezentował ten kierunek Ryszard Berwiński, zob. jego *Studia o literaturze ludowej ze stanowiska historycznej i naukowej krytyki*. Poznań, 1854, t. 2.

<sup>3)</sup> Zob. nader nauczające studjum dr. F. Konecznego p. t. *Konserwatyzm chłopski* (Biblioteka Warszawska. 1903, t. III, str. 364—83 i 566—87).

bo ludowe opowiadania (jak np. Sabały), dostarczają substratę poetom do artystycznego obrobienia. Za takie artystyczne obrobienie należy uważać np. baśnie Grimmów, co widocznem jest, gdy się je zestawi ze starszym od nich zbiorem baśni niemieckich Musäusa. <sup>1)</sup> Grimmowie czerpali z opowiadań ludu niemieckiego zapewne, ale te opowiadania w swem pochodzeniu, w swej najistotniejszej treści, okazały się jako zawisłe od starszych opowiadań książkowych. Tak się stało z naszą powiastką zapisaną przez Zmorskiego w *Podaniach i baśniach ludu na Mazowszu*, p. t. „Straszny potwór.“ Było to tłumaczenie z niemieckiego, rozpowszechnione przez kalendarz dla ludu z r. 1827. <sup>2)</sup> Czyż na podobnej drodze nie rozpowszechniały się inne baśnie wśród ludu?

Rozpoczęliśmy od korony poezyi: od epepei, a kończymy na skromnej baśni, nie bez przyczyny. Są badacze, którzy także epepee uważają za literackie obrobienie baśni ludowych, w których bohaterowie zamiast „Petit-Poucet“ albo „Aschenpössel“ noszą nazwisko: „Odysseus, Jazon, Perseus, Herakles, Sygurd, Roland, Cyd.“ <sup>3)</sup> Otóż nietylko w epepei, ale także w baśni, można, i najczęściej należy, widzieć artystyczny twór jednostki, który od warstw wykształconych zawędrował do ludu. Nie przesadzając jednak tej kwestyi, ani tego, co nam przyniesie najbliższa przyszłość co do całokształtu twórczości ludowej, sądziłem, że nie będzie bez korzyści dla naszych młodych romanistów, już teraz zwrócić ich uwagę na szereg zagadnień, które się wyłaniają na podstawie badań profesora paryskiego. Kwestye, poruszone w niniejszym szkicu: stosunek epiki staro-francuskiej do łacińskiej, germańskiej do staro-francuskiej — to kwestye prawie nietknięte. Gdyby w tym kierunku prowadzono studia w seminaryach filologii romańskiej, to by niewątpliwie nietylko „prace seminaryjne“ ożywiły się, ale także nasza filologia romańska zajęłaby należne jej stanowisko w dokonywującym się obecnie przełomie zapatrywań zarówno we Francyi, jak i w Niemczech. <sup>4)</sup>

D-R J. H. REINHOLD.

<sup>1)</sup> M. Kawczyński. *Amor i Psyche w baśniach*. Kraków, 1907, str. 57.

<sup>2)</sup> Berwiński, op. cit., t. II, str. 98 i n.

<sup>3)</sup> Antoni Lange. *Studia i wrażenia*. Warszawa, 1900, str. 257. „Z dzieziny twórczości ludowej.“

<sup>4)</sup> Zob. „Literaturblatt für germanische und romanische Philologie,“ 1908, str. 65 i n.

# Sprawa wychodźstwa.

Życie nowoczesnej Polski, znajdującej się w możliwie najniekorzystniejszych warunkach nie tylko politycznych, ale ekonomicznych i kulturalnych, bije mocnym tętnem, świadczącym, mimo wszystkich przeciwności, o niepożytej energii i krzepkości, pozwalającej nam uczestniczyć pod niejednym względem w życiu całej współczesnej ludzkości. Pewne zjawiska, którychby się w tak upośledzonym kraju spodziewać nie należało, występują z całą wyrazistością zgoła nieoczekiwaną. Bieda materialna wielkiej masy narodu żadnej bodaj nie ulega wątpliwości, zdawałoby się więc, że ludności nie powinno by wcale przybywać, lecz przeciwnie, nawet ubywać, zwłaszcza wobec złych warunków higienicznych, a więc wysokiej śmiertelności z jednej, a bardzo poważnej emigracji zamorskiej z drugiej strony.

A jednakże ziemia nasza wcale się nie wyludnia, nie pustoszeje, nie znajduje się w opuszczeniu, przeciwnie, gęstość zaludnienia wzrasta, mnoży się nas coraz więcej do tego stopnia, że wrogowie nasi wielką naszą siłą rozrodczą zaniepokojeni nazywają nas pogardliwie narodem królików, którego zalewu poważnie się obawiają. I nie tylko stać nas na coraz gęstsze zaludnienie kraju, ale i na wysyłanie licznej emigracji zamorskiej, która na drugiej półkuli globu ziemskiego coraz się zwiększa.

Na poparcie tego twierdzenia wystarczy przytoczyć cyfry, zestawione przez d-ra Caro w książce p. t. „Auswanderung und Auswanderungspolitik in Oesterreich,“ bo jakkolwiek nie są one, niestety, zupełnie dokładne i wiele pozostawiają do życzenia, gdyż tylko pośrednio zostały przez autora otrzymane, to jednakże są to jedyne cyfry, jakie w tej chwili posiadamy, a i te zresztą do uzasadnienia mego twierdzenia w zupełności wystarczają.

Otóż wedle tych cyfr, zebranych za przeciąg ośmiu lat, emigracja Polaków do Stanów Zjednoczonych tylko przedstawia się w następujący sposób:

w latach	Polaków z Austrii	Polaków z Rosyi	Polaków z Prus	RAZEM
1900/1	20,288	21,475	1,844	43,607
1901/2	32,429	33,859	3,313	71,254
1902/3	37,499	39,548	5,252	82,229
1903/4	30,243	32,577	4,901	67,721
1904/5	50,785	47,244	4,428	102,457
1905/6	43,803	46,204	4,108	94,115
1906/7	59,719	73,122	3,888	136,729
1907/8	26,423	37,947	2,320	66,690

Jeszcze trudniej zestawić cyfry naszych wychodźców sezonowych z jednej strony dlatego, że państwa imigracyi, a więc Austria i Rosya, nie prowadzą takiej statystyki wcale, a z drugiej, że w interesie Niemiec leży może nawet ukrywanie faktycznej ilości sezonowych robotników polskich. To też i tutaj osiągnięcie pewnych cyfr jest prawie niemożliwe, lecz w przybliżeniu ilość sezonowych robotników polskich wynosi conajmniej 400,000 głów rocznie, jakkolwiek niebrak i takich, którzy cyfrę tę podnoszą do zastanawiającej wprost wysokości 600,000 wychodźców rolnych rocznie.

Wobec tego zjawiska, jak wobec wielu innych, społeczeństwo nasze stara się zająć pewne określone stanowisko, przyczem jedni są za emigracją, drudzy są jej przeciwni. Zdaje się atoli, że zarówno jedno stanowisko, jak i drugie, jest o tyle nieuzasadnione, iż emigracja jest w pewnych warunkach zjawiskiem naturalnem, przyrodzonym, że tak powiem fizyologicznem, że więc nie można zastanawiać się nad tem, czy jest rzeczą pożądaną, czyli też nie, tak samo, jak nie można zastanawiać się nad tem, czy oddychanie lub trawienie jest pożądanem lub niepożądanem. Przedewszystkiem emigracja nie jest zgoła właściwością naszego specjalnie narodu; wystarczy przeczytać bodaj tylko jedno dzieło R. Gonnarda p. t. „L'Émigration européenne au XIX siècle,“ aby przyjść do przekonania, że niema ani jednej rasy ludzkiej, ani jednego narodu europejskiego, któryby wcześniej lub później, w mniejszym lub większym zakresie nie przyczynił się do tej wiel-

kiej nowoczesnej wędrowki ludów, za którą dzisiejszą emigrację uważać należy.

Wiek dziewiętnasty był świadkiem potężnych ruchów wychodźczych dwóch przedstawicieli rasy anglo-saskiej: Niemiec i Anglii, które głównie emigrantów europejskich dostarczały. Obecnie oba te kraje nieodgrywają żadnej poważniejszej roli w ruchu wychodźczym, natomiast wielką żywotnością w tym kierunku odznaczają się Włosi, jakoteż narody słowiańskie, a wśród nich pierwsze miejsce zajmują Polacy, stanowiący już kilka milionów mieszkańców Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Gonnard zwraca uwagę na jeden jeszcze fakt istotnie uwagi godny, a mianowicie na to, że tylko narody wyłącznie lub przeważnie rolnicze dostarczają wielkiego zastępu emigrantów. I tak Anglia wysyłała swych wychodźców dopóty, dopóki była krajem rolniczym, a przynajmniej mało przemysłowym; wśród mieszkańców Wielkiej Brytanii najliczniejszego wychodźstwa dostarczała przez szereg lat Irlandya, kraj wybitnie rolniczy. Również i Niemcy dopóki nie były krajem tak bardzo, jak obecnie, przemysłowym, posiadały znaczną emigrację, która obecnie ogromnie osłabła i w ogólnym ruchu emigracyjnym już niewielkie posiada znaczenie.

Z wywodów Gonnarda wynika, że kraj rolniczy bez emigracji istnieć nie może, że jest to zjawisko stałe i powszechne, niejako stanowiące prawidło, i że wobec tego społeczeństwa przeważnie rolnicze zawsze wielką emigrację wykazywały i zawsze wykazywać będą. Pewną ważną rolę odgrywa tutaj fakt, że ludy rolnicze, znajdujące się na niższym stopniu rozwoju społecznego i ogólnokulturalnego, nieznając nietylko w praktyce, ale nawet w teorii doktryny Malthusa, rozmnażają się nieograniczenie i rosną liczebnie z nadzwyczajną szybkością, uniemożliwiającą wprost wyżywienie wszystkich nowonarodzonych, którzy więc w emigracji środków do życia szukać są zmuszeni.

W miarę wzrostu i rozwoju przemysłu rodzimego, stanu ogólnej kultury, a więc i ogłędności w mnożeniu się, emigracja zacznie i u nas tracić na napięciu, ustępując innym rasom i narodom mniej kulturalnym, aż nakoniec z czasem wytworzy się stan równowagi stałej w tym kierunku i emigracja, jako zjawisko masowe, przejdzie do historii. U nas wszakże do tego jeszcze jest bodaj bardzo daleko i dlatego też zniewoleni jesteśmy spojrzeć na ten skądinąd niezbyt pożądany i niekorzystny dla nas objaw z ogólniejszego i szerszego stanowiska, a uznając emigrację jako rzecz w naszym obecnym stadium rozwoju za objaw fi-

zyologiczny i nieunikniony, a nie sztuczny i sztucznie podniecany, winniśmy zająć się nim szczerze i sumiennie, aby z jednej strony zmniejszyć, o ile możności, wynikające z ruchu emigracyjnego zło, szczególnie z narodowego punktu widzenia, z drugiej zaś—postarać się może nawet o wyzyskanie objawu żywiołowego zarówno w materyalnym, jak i w kulturalnym tego słowa znaczeniu.

Galicja, która, dzięki pomyślniejszym warunkom politycznym, posiada większe uświadomienie społeczne i wyrobienie obywatelskie, zapatruje się już obecnie na emigrację, jako na fakt, domagający się traktowania poważnego i wszechstronnego; dzisiaj już Galicja nie odwraca się od emigracji, nie powiada, że ją los wychodźcy polskiego nic nie obchodzi, lecz przeciwnie pojmuje dokładnie swój obowiązek wobec ruchu emigracyjnego, który stara się poznać, uregulować i wziąć w rozsądną opiekę. Dzięki temu, ruch czysto żywiołowy, ślepy, bezmyślny i dający pole do najstraszniejszego wyzysku naszych wychodźców staje się ruchem świadomym swym celów i dróg, przybiera pewne ściśle określone formy organizacyi, a społeczeństwo, zrozumiawszy powagę położenia, usiłuje nakreślić wprost szkic pewnej, polskiej polityki emigracyjnej, sprowadzonej do jednego mianownika z ogółem interesów narodowych tak zawsze i wszędzie, niestety, na szwank wystawianych.

Wszakże nakreślenie takiej polityki byłoby oczywiście niemożliwe, gdyby regulowaniem naszego ruchu wychodźczego zajmowała się jedynie Galicja, licząca bez żadnego porównania mniej mieszkańców, niżeli Królestwo Polskie; sprawa może stanąć na właściwym gruncie tylko wtedy, kiedy i Królestwo zabierze się do organizacyi swego wychodźstwa, starając się, o ile to jest możliwe, uzgodnić swą pracę w tym kierunku z pracą Galicji, która już znaczne na tem zaniedbanem u nas polu poczyniła postępy. Nietylko warunki czysto polityczne, ale i ekonomiczne oraz społeczne sprawiają, że nie możemy wytworzyć jakiejś jednej organizacyi emigracyjnej, lecz z konieczności, acz z żalem, zniewoleni jesteśmy tworzyć dwie odrębne i całkowicie samodzielne instytucje, które wszakże muszą dokładnie o sobie i swej pracy wiedzieć, muszą się w swych usiłowaniach popierać, a już nigdy nie powinny sobie w drogę wzajemnie wchodzić i bodajby w najłagodniejszym stopniu przeszkadzać.

Ażeby to nastąpiło jest rzeczą konieczną dokładne poznanie organizacyi, działalności oraz planów Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie, co możliwe jest tylko wtedy, kiedy się



zna ustawę, nakreślona już i częściowo przynajmniej wykonywaną politykę emigracyjną, wydawnictwa Towarzystwa i t. d.

Polskie Towarzystwo Emigracyjne z główną siedzibą w Krakowie jest stowarzyszeniem zarejestrowanem z ograniczoną poręką; dzięki tej formie prawnej, w ustawodawstwie rosyjskiem, niestety, nieznanem, Polskie Towarzystwo Emigracyjne jest zwyczajnem stowarzyszeniem zarobkowo-gospodarczem, którego cel i zakres działania określa § 2 ustawy, zasługujący na przytoczenie w całości: Zadaniem stowarzyszenia jest podniesienie zarobku i gospodarstwa swych członków przez udzielanie im pomocy w interesach, wynikłych z powodu wyjazdu czasowego lub stałego z kraju i w razie powrotu do kraju, a w szczególności:

- 1) utrzymywanie biur informacyjnych dla osób, udających się w celach zarobkowych lub przesiedleńczych na obczyznę;
- 2) utrzymywanie biur pośrednictwa pracy dla wychodźców;
- 3) utrzymywanie biura porady prawnej dla wychodźców oraz biura statystycznego;
- 4) pośrednictwo w nabywaniu kart okrętowych, ewentualnie sprzedaż tychże;
- 5) wymiana pieniędzy oraz pośrednictwo w przesyłaniu pieniędzy z kraju zagranicę i naodwrot;
- 6) pośrednictwo przy sprzedaży i kupnie nieruchomości (gospodarstw rolnych i domów) dla wychodźców, przesiedlających się na obczyznę, względnie powracających do kraju;
- 7) kolonizacya w okolicach, dokąd kieruje się stałe wychodźstwo polskie;
- 8) zaopatrywanie wychodźców po najtańszych cenach w przedmioty potrzebne dla podróży, w narzędzia pracy i nasiona;
- 9) wydawanie pisma, poświęconego sprawom wychodźstwa polskiego;
- 10) zaopatrywanie większych grup wychodźców w inteligentnych przewodników;
- 11) pośrednictwo w nawiązywaniu i utrzymywaniu stosunków handlowych pomiędzy wychodźstwem a krajem ojczystym;
- 12) utrzymywanie własnych agencji w miejscowościach, w których najbardziej skupia się polskie wychodźstwo, oraz w głównych miastach portowych i na stacyach granicznych;
- 13) udzielanie zaliczek i załatwianie wszystkich interesów pieniężnych wychodźców;
- 14) pośrednictwo we wszystkich sprawach asekuracyjnych.

Z powyższego widzimy, jak wszechstronny zakres działania przysługuje Towarzystwu krakowskiemu, o ile znajdzie środki

moralne i materyalne do wypełnienia tych obszernych ram. Co do środków moralnych oraz intelektualnych to przyznać trzeba, że sprawa stoi bardzo dobrze, ponieważ grono najpoważniejszych w Galicyi ludzi wchodzi w skład Rady Nadzorczej i zajmuje się stale sprawami Towarzystwa, popierając jego cele wszędzie tam, gdzie wpływ ich sięga. Rzecz tak jest ważna, że uważam za niezbędne przytoczenie na tem miejscu całego składu Rady Nadzorczej, same bowiem nazwiska świadczą aż nadto wymownie o dobrej opinii, jaką Towarzystwo wśród społeczeństwa się cieszy. A więc Radę Nadzorczą tworzą: dr. Jan Hupka, poseł na sejm krajowy i wielki właściciel ziemski, jako prezes; dr. Franciszek Bujak, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego i znany uczony, jako wiceprezes; dr. Antoni Górski, prof. Uniw. Jagiel., poseł do parlamentu; dr. Alfred Halban, prof. Uniw. lwowskiego, poseł na Sejm galicyjski i bukowiński; Cezar Haller, właściciel dóbr; rejent Edmund Klemensiewicz, radny m. Krakowa; Bronisław Laskownicki, redaktor „Wieku Nowego,” radny m. Lwowa; rejent dr. Tadeusz Starzewski, Kraków; dr. Władysław Stesłowicz, radca Wydziału Krajowego; Jan Wasung, poseł na Sejm krajowy; Franciszek Wójcik, poseł do Rady Państwa i dr. Jakób Wróbel, c. k. inspektor kolejowy.

Powyższy spis nazwisk wyłącza wszelkie podejrzenie co do charakteru instytucyi, która posiada tak ważne i doniosłe zadanie do spełnienia; nie może tutaj być mowy o jakiejś spekulacyi na żywiołowym ruchu emigracyjnym, o akcyi, niezgodnej z interesem narodu i kultury polskiej, o korzystaniu z konjunktur w celach osobistych. Ludzie ci tylko pojęli, że ruch wychodźczy jest zjawiskiem naturalnem, w danej chwili koniecznem i postanowili ująć go we własne dłonie, rozciągnąć nad nim kontrolę, usunąć wszelki wyzysk osobisty, jakiego ofiarą padali i ustawicznie jeszcze padają tysiące naszych wychodźców, wreszcie wyciągnąć możliwie największą korzyść z tego objawu masowego i żywiołowego dla kraju i całego społeczeństwa, dla jego interesów materyalnych i kulturalnych.

Jeżeli przytoczyłem w całości § 2 Ustawy, jakoteż kompletny skład Rady Nadzorczej, to w tym celu, aby dowodnie wykazać, że instytucya, mimo swej formy finansowo-handlowej, jako najwygodniejszej i najprędzej do celu prowadzącej, posiada rzeczywiście charakter społeczny, kulturalny i narodowy.

Nadto zaznaczyć należy, że cała prasa, bez względu na to, jaki reprezentuje kierunek, polityczny czy społeczny, zajmuje się żywo sprawą wychodźczą, i że artykuły zasadnicze oraz informa-

cyjne, wreszcie liczne wzmianki i objaśnienia znajdują się w piśmie galicyjskich na porządku dziennym. Jest to, krótko mówiąc, sprawa, którą zajmują się wszyscy, którą interesuje się ogół, stąd wychodźtwa i zagadnienie emigracyjne nie jest czemś tak egzotycznym, jak przypuścimy w Królestwie, a szczególnie w Warszawie, gdzie zrozumienie dla tej doniosłej sprawy jest bardzo małe, jeżeli nie wprost żadne. Kiedy u nas trzeba ludzi przekonywać o konieczności zajęcia się tą sprawą nie w sensie negatywnym i dla rzeczy zasadniczo niechętnym, społeczeństwo galicyjskie dawno już przeszło przez ten okres początkowy i obecnie pracuje nad urzeczywistnieniem swych zamierzeń w tym kierunku, nad wypracowaniem najlepszej polityki emigracyjnej oraz nad jej najwłaściwszem przeprowadzeniem w praktyce.

Jakkolwiek środki materyalne, a raczej ich brak, stoi bardzo na zawadzie w pomyślnem załatwieniu pierwszych, a więc jak zwykle najtrudniejszych kroków, to jednakże znajdują się jakoś poważne fundusze nawet w biednej Galicyi, ponieważ wobec zrozumienia sprawy czynią się wysiłki, zarówno ze strony osób prywatnych jak i samego kraju, dla zgromadzenia takiego funduszu, jaki do osiągnięcia celu niezbędnie jest potrzebny. Towarzystwo, posiadając formę handlową, ma możność prowadzenia pewnych operacyj finansowych, które mu zaczną niebawem dochody przynosić, lecz tymczasem trzeba raczej ciągle ponosić wydatki, które wcale się niewracają, a niewiadomo czy i kiedy się wróca.

Niezmiernie ciekawe światło na daną sprawę rzuca niewątpliwie archiwum Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego, do którego nie bronił mi dostępu dyrektor Józef Okołowicz. Zanim powiem słów kilka o wrażeniu, jakie na mnie to archiwum uczyniło, i jakie wnioski z jego przejrzenia wyciągnąłem, muszę wspomnieć tutaj o jednej rzeczy, której milczeniem w żaden sposób pominąć nie można. Jeden z najlepszych znawców polskiego ruchu wychodźczego powiedział, że do tej pory emigracją polską, zarówno jak handlem żywym towarem, zajmują się przeważnie same kanalie, mając oczywiście na myśli całe zastępy tajnych agentów i hyen emigracyjnych, od których na ziemi naszej, niestety, aż się roi. To słuszne spostrzeżenie sprawia, że ogół z góry z niedowierzaniem odnosi się do wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób emigracją polską się zajmują. Z tej racji też i działalność Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego, a szczególnie jego dyrektora p. Józefa Okołowicza, spotyka się niejednokrotnie z wysoce nieprzychylną, na podejrzliwości opartą krytyką. Wszakże obok innych dowodów bezpodstawności jakichkolwiek podejrzeń na pod-

kreślenie zasługuje i ten fakt, że gdym poprosił o udzielenie mi wszelkich możliwych objaśnień, dyr. Okołowicz wydał rozporządzenie, aby mi pokazano wszystko, aby dano mi do przejrzania już nie tylko całe archiwum z bardzo ciekawych listów złożone, ale i kopiały z odpowiedziami na te listy, jakoteż wszelkie książki przez Towarzystwo prowadzone. Nie czyni tak człowiek, który miałby cośkolwiek do ukrycia, któryby się obawiał jawności i nadzoru społecznego. Ten fakt jest wystarczającą bodaj rękojmią rzetelności w prowadzeniu interesu i powinien usunąć wszelkie w tym kierunku tak bardzo krzywdzące podejrzenia.

A teraz kilka słów o archiwum Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie.

Z dokładnego przejrzania tych tylko listów, które Towarzystwo otrzymało od pragnących wyemigrować do Ameryki, wyziera jeden fakt niezbity, że u nas nikt nie emigruje dla poprawy swego bytu lub w celach dorobienia się majątku, do którego w kraju droga jest zamknięta, lecz wyłącznie i jedynie zmuszony ostateczną biedą, a nawet nędzą, dla uniknięcia śmierci głodowej dla siebie samego zarówno jak i dla swej rodziny. Warunki ekonomiczne z jednej, a polityczne z drugiej strony, sprawiają, że liczny zastęp ludzi do pracy zdolnych znaleźć jej nie może, dzięki czemu wielu musi ratować się ucieczką i szukać kawałka chleba na obczyźnie. Na kilkaset przeczytanych listów ledwie w dwóch wypadkach, jako przyczynę postanowienia wyjazdu, podano stosunki rodzinne, zaledwie w trzech wypadkach informujący się oświadczyli, że posiadają pewną gotówkę (od 5 do 10 tysięcy koron austriackich), zresztą zaś byli to wprost nędzarze, ratujący się, jak powiedziałem, ucieczką od śmierci głodowej i nędzy. Wobec tego powinno chyba ustąpić wszelkie wahanie się na punkcie potrzeby zajęcia się losem naszych wychodźców, o ile nie uda się takim desperatom znaleźć kawałka chleba w kraju, czego Polskie Towarzystwo Emigracyjne w Krakowie zgoła się nie wyrzeka, uważając, że mimo innych w zasadzie celów i tej pracy pomijać nie powinno.

Tutaj przechodzę do polityki emigracyjnej instytucji krakowskiej, ponieważ plan jej działalności w ten sposób ochrzcić się godzi. Otóż przedewszystkiem Towarzystwo krakowskie stara się każdego swego klienta zatrzymać w kraju, znajdując dla niego odpowiednią pracę; jeżeli to wszakże jest niemożliwe, a niestety, w znacznej większości wypadków jest niemożliwe, lub jeżeli zgłaszający się jest w każdym razie zdecydowany wyemigrować, Towarzystwo rządzi się następującą zasadą: wychodźców sezonowych

skierowuje do Francji, Danii, wreszcie do Niemiec Południowych, usiłując w ten sposób bojkotować Prusy, a z pośród emigrantów amerykańskich kandydatów na osadników kieruje do Brazylii, mianowicie do Stanu Parana, wszystkich zaś wychodźców zarobkowych do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, gdyż obecnie są tam dla nich najlepsze chwilowo warunki pracy. Ponieważ Rusini galicyjscy wytworzyli już liczne i dobrze rozwijające się kolonie w Kanadzie i najchętniej tam jada, przeto Towarzystwo krakowskie kieruje swych ruskich klientów do Kanady, pomagając w ten sposób do skupiania się żywołu rusińskiego na obczyźnie, co go chroni od rozproszenia i wynarodowienia.

Zaznaczyć tutaj należy, że działalność Towarzystwa krakowskiego spotyka się na każdym kroku z licznymi przeszkodami właśnie ze strony tych wszystkich, którzy, uważając emigrację polską za źródło nadzwyczajnego dla siebie dochodu, wrogie stanowisko zajmują wobec instytucji społecznej, usiłującej postawić sprawę na gruncie społecznym i kulturalnym; zważyć należy, że wszystkie placówki emigracyjne, jeżeli wolno tak nazwać biura, zajmujące się udzielaniem informacji, a przede wszystkim oczywiście sprzedają kart okrętowych, są już oddawna zajęte, znajdując się w rękach najstraszniejszych i najbezwzględniejszych spekulantów, którym trzeba dopiero te źródła dochodu z rąk wyrwać, aby z jednej strony zniechęcić do opiekowania się naszym wychodźcą, co mu nieobliczone przynosi straty, z drugiej zaś strony pozyskać te źródła dochodu dla instytucji duchem społecznym owianej i obracającej znacznie mniejsze, bo uczciwsze dochody, jedynie i wyłącznie na korzyść samychże wychodźców, o których obecnie naprawdę przecież nikt zgoła nie myśli.

Dla osiągnięcia tego wszystkiego trzeba ogromnej energii ze strony kierowników Towarzystwa z jednej strony, a solidarnego poparcia celów Towarzystwa przez całe społeczeństwo z drugiej strony; żeby zaś to drugie nastąpić mogło, trzeba niezbędnie zrozumienia całej sprawy i postawienia jej na racjonalnym gruncie realnej polityki emigracyjnej, przeciwnej sentymentalnemu jej traktowaniu. Nasza dotychczasowa obojętność na tym punkcie, jakoteż twierdzenie, że zajęcie się uregulowaniem ruchu wychodźczego, wreszcie roztoczenie nad nim opieki społecznej, równałoby się zachęcaniu do emigracji i ułatwianiu jej, doprowadziło do tego, że wychodźca polski dostał się w szpony wyzyskiwaczy, którym, niestety, więcej narazie ufa, niżeli działaczom społecznym, ponieważ wyzyskiwacze ci nie bawią się w żadne spekulacje na temat emigracji i jej szkodliwości, tylko oddają te usługi wychodź-

cy polskiemu, których w danej chwili potrzebuje i po które, mimo wszystko, zwróci się do każdego, kto mu je oddać zechce, bez względu na to, ile mu przyjdzie za nie zapłacić.

Jest nadzieja, że przykład Galicyi, która od emigracyi nie mniej cierpi, niżeli Królestwo, podziała przekonywująco i zachęcająco i że wkrótce sprawa uregulowania wychodźstwa stanie na porządku dziennym spraw naszych, nie schodząc zeń dopóty, dopóki potrzeba życiowa pracy w tym kierunku wymagać będzie. A jak ta praca wyglądać powinna uczy nas właśnie do pewnego stopnia przynajmniej Galicya, która nietylko posiada instytucję emigracyjną, ale tworzy własną politykę wychodźczą, tworzy niezbędną literaturę informacyjną, mającą czysto praktyczne cele na oku, wreszcie stara się o całą sieć własnych filij wszędzie tam, gdzie wychodźstwo polskie dociera, usiłując nawiązywać stosunki i wywierać wpływ na korzyść wychodźcy polskiego.

Jaka jest główna cecha emigracyjnej instytucyi krakowskiej już wiemy; znany nam też jest zarys polityki emigracyjnej, która wydaje się być w naszych warunkach możliwie najracjonalniejsza; o filiach i agenturach nie wiele jeszcze mówić możemy wobec faktu, że właściwie, oprócz Paryża i Nancy, nigdzie indziej jeszcze agentury te nie istnieją, czynią się bowiem dopiero studia i gromadzą materyały, mające na celu wynalezienie najodpowiedniejszych na takie agentury miejscowości; należy więc obecnie poświęcić słów kilka wydawnictwom Towarzystwa krakowskiego, których znaczenie jest niepoślednie, ponieważ dostarczają cennych i koniecznych dla każdego wychodźcy informacji.

Na pierwszym miejscu należy postawić „Polsko-Amerykański Kalendarz dla Wychodźców“ na rok 1910, ułożony przez dyr. J. Okołowicza. Wyznaję, że nie znam wydawnictw tego rodzaju, pisanych w innych językach europejskich dla użytku wychodźców, nie wiem nawet, czy wydawnictwa takie wogóle istnieją, nie mogę więc naszego kalendarza porównywać, ale tyle powiedzieć muszę, że nie wyobrażam sobie wprost, aby można było napisać rzecz lepszą i bardziej celowi odpowiadającą. Kalendarz nietylko ułożony, ale z wyjątkiem jednego artykułiku w całości przez dyr. Okołowicza napisany, mieści w sobie wszystkie najważniejsze wiadomości, informacye, objaśnienia i przestrogi, jakie wychodźcy polskiemu niezbędnie są potrzebne. A wszystko napisane jest jasno, prosto, zwięźle i zrozumiale bez frazesów i bez niepotrzebnych wykrzykników. Przytem podkreślić należy fakt, że autor kalendarza przy każdej sposobności powtarza od siebie radę, aby nie jechał ten, kogo absolutna bieda do tego nie zmusza, a w ła-

dnie i rzewnie napisanych urywkach treści belletrystycznej tak przedstawia tęsknotę emigrantów polskich za krajem ojczystym i za wszystkim, co w nim pozostało, że po ich przeczytaniu nie doznaje się jakiegś nadzwyczajnej ochoty do wędrówki za morze, pomimo niezaprzeczonego faktu, iż materyalnie dzieje się tam często naszym wychodźcom dobrze i że głodu tam oraz nędzy przeważnie nie cierpią.

Kalendarz na każdym kroku przestrzega przed największym nieszczęściem naszych wychodźców, t. j. przed agentami emigracyjnymi, którzy stanowią prawdziwą klęskę i utrapienie ludu polskiego; istotnie, gdyby udało się nam uwolnić wychodźcę polskiego od tajnego agenta, szczególnie pruskiego, już położenie naszych wychodźców uległoby znakomitej poprawie. Ale wielu u nas nie chce zrozumieć, że na to, aby lud nasz od plagi agentów uwolnić, trzeba ich czemśkolwiek innem zastąpić, ponieważ w przeciwnym razie nigdy się z pod ich zgubnego wpływu nie wyemancypuje; a tem czemś innem może być tylko organizacja społeczna i obywatelska, instytucja opiekuńcza w rodzaju Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie, które nam za wzór takiej organizacji służyć może. Dopóki taka organizacja u nas w kraju nie powstanie i nie spotka się z gorącym, szczerem poparciem całego społeczeństwa, dopóty o rzeczywistej poprawie losu naszych licznych wychodźców mowy być nie może.

Kalendarz, jakkolwiek rzeczywiście wyborny i na wielkie rozpowszechnienie zasługujący, całej potrzeby naszego ruchu wychodźczego zaspokoić jednakże nie może: trzeba tutaj jeszcze przewodników, słowników, map i różnego rodzaju wydawnictw ze sprawą związanych. Odrazu literatury tej stworzyć niepodobna, lecz miejmy nadzieję, że powstanie ona powoli i że zadowoli nasze słuszne wymagania. Tymczasem Towarzystwo krakowskie wydało „Ilustrowany Przewodnik po Brazylii,“ napisany przez p. Ludwika Włodka, do którego na końcu dodano „Słowniczek Polsko-Portugalski“ i mapkę Parany.

Stanowisko p. Włodka jest dostatecznie znane na to, aby potrzeba było objaśniać stosunek autora do omawianej sprawy, znajomość zaś przedmiotu, o którym pisze, daje całkowitą rękojmię rzetelności w udzielanych wskazówkach i radach. I życzyć sobie tylko należy, ażeby dalsze tomiki, wydane bądź przez Towarzystwo krakowskie, bądź przez przyszłą instytucję warszawską, posiadały te same cechy i te same zalety, wtedy bowiem wychodźca polski nie będzie zniewolony ufać na ślepo pierwszemu lepszemu agentowi i wyzyskiwaczowi, który własny zysk mając na oku,

dopuszcza się stale i systematycznie szeregu najbardziej krzyjących nadużyć.

Ze wszystkich wydawnictw Towarzystwa krakowskiego, a szczególnie z Kalendarza, widać już zupełnie dokładnie, w jakie strony zwraca się, zarówno sezonowe jak i zamorskie, wychodźstwo polskie: Francya, Czechy, Dania wreszcie Szwecya, obok Niemiec—oto kraje, do których udają się sezonowi robotnicy rolni z Polski. Wszędzie są chętnie widziani, bo wszędzie pracą swoją wielki pożytek krajom rolniczym przynoszą i wszystkie też kraje czynią odpowiednie zabiegi, zmierzające do jednania sobie robotników polskich, tylko jedne kraje czynią to w sposób w najwyższym stopniu samolubny, drugie zaś starają się otoczyć tychże robotników odpowiednią opieką, zarówno prawną jak i kulturalną, aby w ten sposób wdzięczność swoją im okazać. Do pierwszych należą oczywiście Niemcy, szczególnie Prusacy, do drugich wszystkie pozostałe narody, a szczególnie Duńczycy, którzy przez swe sławne już dzisiaj prawo o Polakach dali z jednej strony dowód wysokiej kulturalności i uczciwości, z drugiej zaś wyśmienity wzór do naśladowania tym wszystkim, którzy czy polskich czy innych robotników sezonowych dla dobra swego rolnictwa potrzebują.

Wysiłki Niemców w celu przyciągania robotników polskich ograniczają się do ułatwień przy przejściu przez granicę, osiągniętych dzięki konwencji, zawartej pomiędzy Rosją i Niemcami, a odnoszącej się do werbowania robotników sezonowych. Wysiłki te mają już swoją historję, której ostatnia faza znalazła wyraz w następującem postanowieniu, zasługującym tutaj dla ścisłości na dosłowne przytoczenie: „Rada Ministrów, rozpatrzywszy podanie ministra spraw zewnętrznych w przedmiocie wydawania bezpłatnych paszportów robotnikom rosyjskim, udającym się na roboty rolne do Niemiec, uznała, że konwencya rosyjsko-niemiecka z dnia 28 lipca r. 1904, przewidująca już wydawanie takowych, jest tego rodzaju umową międzynarodową, która, posiadając moc prawa, zmienia w odpowiednich ustępach niezgodne z nią postanowienia wydanych uprzednio w tej samej kwestyi przepisów. Zgodnie z tem, od chwili wprowadzenia w życie wspomnianej umowy, należy uważać za nieposiadające mocy prawa Najwyżej zatwierdzone dn. 12 marca 1897 r. postanowienie Komitetu Ministrów (Ust. Pasp. z 1903 r. ustęp 241, uwaga I), pozwalające wydawania bezpłatnych paszportów zagranicznych robotnikom rolnym tylko w trzymilowym graniczącym z Niemcami pasie. Wobec czego Rada Ministrów nie mogła nie zgodzić się ze słusznością



wymagania ministeryum spraw zewnętrznych, aby ustanowione przez konwencyę z 1904 r. ulgowe prawa w przedmiocie wydawania bezpłatnych paszportów robotnikom rosyjskim, udającym się do Niemiec na roboty rolne, były ściśle przestrzegane przez wszystkie instytucje rządowe w państwie.“

Jakkolwiek mowa tutaj o robotnikach rosyjskich, to jednakże odnosi się to prawie wyłącznie do Polaków, a przez wszystkie instytucje w państwie należy rozumieć wyłącznie prawie władze gubernatorskie w dziesięciu guberniach Królestwa Polskiego. Kiedy dawniej wolno było wydawać bezpłatne paszporty jedynie w obrębie pasu trzymilowego wzdłuż granicy niemieckiej, obecnie ulga ta rozciąga się na wszystkie okolice naszego kraju. Bezpłatność tych paszportów jest względna, ponieważ, mimo wszystkich ulg, kosztują one jeszcze przecież dwa ruble, z czego 50 kop. przypada na książeczkę, a dwa stemple po 75 kop. na prośbę oraz na odpowiedź. Paszporty takie może robotnik rolny otrzymać za pośrednictwem gminy, a wtedy już go więcej nic kosztować nie powinno, wszelkie zaś dodatkowe opłaty z czyjejkolwiek strony wymagane są najzwyczajnijszem nadużyciem; albo też większa ilość robotników może upoważnić jednego z pomiędzy siebie do odebrania paszportów za wszystkich, a wtedy oczywiście należy się delegatowi zwrot kosztów podróży.

Do uzyskania tych ulg paszportowych ograniczyli się wszakże Niemcy, którzy zgoła nie chronią robotnika polskiego od całego szeregu nadużyć ze strony zarówno pośredników i agentów oraz nadzorców i przodowników, jakoteż ze strony pracodawców, i można być pewnym, że nie pomyślą o tego rodzaju opiece dopóty, dopóki okoliczności ich do tego nie zmuszą. Nie należy się spodziewać, ażeby państwo rosyjskie upomniało się o krzywdę tych „rosyjskich“ robotników, którzy udają się na roboty sezonowe do Niemiec; istnienie warszawskiej instytucji opieki nad wychodźcami także bezpośrednio nic nie pomoże, ponieważ z jej głosem Niemcy oczywiście nigdy liczyć się nie będą. Ale nie jest wcale rzeczą niemożliwą, że pośrednio istnienie i działalność warszawskiej instytucji w połączeniu z instytucją krakowską zdoła wywrzeć wpływ decydujący na polepszenie bytu polskich robotników sezonowych w granicach państwa niemieckiego. Wiadomo nam, że żniwa niemieckie bez polskich rąk odbyłyby się wcale nie mogły; gdyby więc dało się pozbawić Niemcy polskich rąk w całości lub bodajby tylko w znacznej części, doszłoby niezawodnie do tego, że moglibyśmy zacząć nawet Niemcom pewne warunki dyktować. Jakże to jednak uczynić wobec tego, że o po-

wstrzymaniu wychodźtwa sezonowego mowy być nie może? W sposób bardzo prosty, a mianowicie, przez zwracanie naszych robotników wszędzie, byle nie do Niemiec, ponieważ zaś polskich rąk potrzebuje do roboty Francya, Szwecya, Dania, potrzebują ich i sąsiednie Czechy, przeto planowa polityka emigracyjna, polegająca między innymi na bojkocie Niemiec, a przynajmniej Prus, mogłaby uczynić nas na tem polu panami sytuacji, którzy mogliby podyktować warunki.

We Francyi, Czechach, Szwecyi i Danii dzieje się naszym robotnikom dobrze, a szczególnie dotyczy to Danii, która, jak powszechnie już dzisiaj wiadomo, uczyniła pierwsza i jedyna ze wszystkich kulturalnych narodów ważny krok w kierunku stworzenia specjalnego prawodawstwa ochronnego, mającego na celu dobro robotników sezonowych. Jakkolwiek prawo to służy wszystkim robotnikom bez wyjątku, jacy z zagranicy do Danii przybywają, to jednakże, ponieważ tłumny najazd Polaków potrzebę takiego prawa wywołał, nosi ono popularną nazwę „prawa o Polakach.“

Prawo to tak jest humanitarne, tak wysoce kulturalne, tak wielki przynosi zaszczyt Danii i tak jest dla polskich robotników korzystne, że zasługuje na to, aby kilka słów o niem powiedzieć chociażby dlatego między innymi, że daje nam pojęcie o tem, czego od innych dla swoich wychodźców sezonowych mamy prawo wymagać.

Z treścią oraz istotą tego osobliwego prawa zapoznał nas dokładnie po raz pierwszy referat p. Szymona Rundsteina, wygłoszony dn. 13 listopada 1909 r. na posiedzeniu Sekcji prawa cywilnego w lokalu warszawskiego Towarzystwa Prawniczego. Referat nosił tytuł: „Umowy pracy polskich wychodźców w Danii wobec prawa z dn. 21 sierpnia 1908 r.“

Aby zaś pojąć całą doniosłość wyżej wspomnianego duńskiego „prawa o Polakach,“ trzeba sobie uprzytomnić fakt, że międzynarodowe prawo ochronne wychodźców sezonowych wcale nie istnieje, że w każdym poszczególnym wypadku obowiązuje ustawodawstwo „miejsca wykonania“ umowy, a nie miejsca jej zawarcia, że więc żadne państwo nie może brać w obronę swych obywateli przed największemi nawet nadużyciami ze strony pracodawców, jeżeli nadużycia te dzieją się w obcym państwie. Okoliczność ta wychodzi na niekorzyść robotników sezonowych szczególnie w Niemczech, gdzie robotnicy nasi są często i pod wielu względami krzywdzeni i wyzyskiwani. Robotnik sezonowy pozostaje w całkowitej

zależności od pracodawcy i stopnia jego kulturalności, od jego dobrej woli, a nawet łaski, ale opieki prawnej wcale niema i przy dzisiejszych warunkach zgoła mieć nie może, bo nie istnieją wyjątkowe przepisy prawa cywilnego, któreby tę kategorię stosunków normowały. Powstaje taki dziwoląg, że umowa zostaje zawarta w naszym kraju wprawdzie, ale nie na zasadzie prawa bądź austriackiego czy rosyjskiego, lecz na zasadzie prawa niemieckiego wyłącznie i na podstawie tak zwanej „wolności umów,“ która w praktyce zamienia się na rzeczywistą niewolę pozostawionego bez żadnej opieki prawnej robotnika sezonowego. Ułatwienia paszportowe przy przechodzeniu przez granicę, o których była mowa, wychodzą na korzyść pracodawców, którzy mają nadto na swe usługi surowe przepisy policyjne, uniemożliwiające wszelkie próby poprawy położenia wychodźców sezonowych.

Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa naszych wychodźców sezonowych w Danii, która wogóle pierwsza przełamała w tym wypadku niesłuszną i obłudną zasadę bezwzględnej wolności umów, wychodzącej zawsze na niekorzyść słabszych i upośledzonych, ponieważ rzekoma równość kontrahentów jest wszakże fikcją, opartą na faktycznej nierówności. Prawo duńskie bierze robotnika sezonowego w opiekę zarówno wobec pracodawcy jak i pośrednika, ponieważ i jeden i drugi dopuszczają się w braku przepisów prawnych całego szeregu dobrze nam znanych nadużyć, wobec których robotnik sezonowy całkowicie jest bezbronny. Dania, potrzebując robotnika polskiego do uprawy buraków i oceniając należycie jego wartość ekonomiczną, a będąc przytem państwem o wysokiej kulturze, poczuła się dobrowolnie do obowiązku wzięcia wychodźcy sezonowego w obronę, odzywając się o naszych robotnikach nie tylko z uznaniem, ale nawet do pewnego stopnia z wdzięcznością.

Prawo duńskie przepisuje zarówno obowiązkową formę, jak i treść umowy pomiędzy pracodawcą a robotnikiem sezonowym, przyczem zaznacza wyraźnie, że kto najmuje się w charakterze służącego jakiegokolwiek kategorii lub kto przebywa dwa lata bez przerwy w Danii, ten robotnikiem sezonowym nie jest lub nim być przestaje; robotnikami sezonowymi są ci tylko, którzy oddają się pracy na roli, w ogrodnictwie, leśnictwie, kamieniarstwie, w cegielniach, na torfowiskach, przy eksploatacyi gliny, żwiru, marglu i sitowia. Gorzelnie i fabryki, chociażby najmowały robotników sezonowo, pod nowe prawo nie podpadają; natomiast nie jest wcale rzeczą wyłączoną rozciągnięcie prawa na inne gałęzie pracy, gdyby potrzebę tego władza uznała.

Wedle nowego prawa obie strony obowiązują umowa piśmienne, zawarta wedle przepisanej formularza, od którego odstąpić nie można; obowiązuje też istnienie specjalnej ksiąteczki obrachunkowej, prowadzonej tak, aby ją zawsze łatwo skontrolować i wszelkie nadużycie na niekorzyść robotnika popełnione wykryć było można. Prawo to jest wysoce humanitarne i kulturalne, przewiduje bowiem cały szereg postanowień takich, jak wygodne izby mieszkalne, ubezpieczenie ruchomości robotnika od ognia, leczenie przez przeciąg sześciu miesięcy (ale nie dłużej), przyczem pracodawca jest obowiązany ponosić koszty leczenia w ciągu tego czasu, ale nie utrzymania robotnika. Dalej pracodawca obowiązany jest płacić tłumacza, ubezpieczać od choroby i nieszczęśliwych przypadków, musi wyznaczyć odpowiedni odpoczynek i nie może wymagać pracy w święta, co czynią naprzykład Francuzi, pomimo że robotnika polskiego także sobie cenią i również bardzo kulturalnie z nim się obchodzą.

Nakoniec zaznaczyć jeszcze należy, że minister spraw wewnętrznych ma prawo przerabiania formularzy kontraktowych wedle własnego uznania, może uzupełniać i odpowiednio oświetlać ustawę, a ponieważ tendencja rządu zwraca się na korzyść polskiego robotnika sezonowego, więc ta moc, nadana każdorazowemu ministrowi spraw wewnętrznych, wychodzi nam raczej na korzyść, niżeli przeciwnie. Do jakiego stopnia wszystko w nowym prawie jest obmyślane na korzyść robotnika sezonowego dowodzi ta okoliczność, że unowa zawarta w Danii niezgodnie z ustawą, jest bezwzględnie nieważna, zawarta zaś poza granicami Danii, obowiązuje jednostronnie, to znaczy tylko pracodawcę, a nie robotnika sezonowego, dzięki czemu, w razie krzywdy, robotnik może zerwać umowę, nie ponosząc żadnych zgoła następstw poza utratą zajęcia, gdy natomiast pracodawca w razie zerwania umowy ponosi wszystkie w takim razie przewidziane następstwa aż do odszkodowania włącznie.

Pracodawca jest też odpowiedzialny za pośredników i przedsiębiorców, których obowiązany jest kontrolować, dzięki czemu obecnie już różni agenci i rzezimieszkowie robotników wyzyskiwać nie mogą. Kontrolę nad wszystkim wykonywa policja oraz inspektorowie fabryczni.

Na nieszczęście nasze Dania jest krajem małym i potrzeującym niewielkiej ilości rąk roboczych, wskutek czego nie podobna skierować całego naszego wychodźstwa sezonowego w tę stronę; ale przede wszystkim winniśmy skierować całą ilość, jakiej Dania

może potrzebować, odciągając w ten sposób od Niemiec, a szczególnie od Prus wszystkich, których odciągnąć można, a następnie powinniśmy starać się o uzyskanie podobnych praw i w innych krajach o wysokiej kulturze a korzystających z pracy naszych robotników, mianowicie w Szwecyi, Francyi i Austrii wobec tego zwłaszcza, że obecnie Czechy coraz więcej naszego robotnika sezonowego dla swych celów rolniczych potrzebują. Gdyby taka działalność z naszej strony odniosła zamierzony skutek, gdyby w ten sposób dało się skierować nasz ruch wychodźczy wszędzie, z wyjątkiem do Niemiec, to nakoniec pracodawcy niemieccy zostaliby siłą rzeczy zniewoleni do postarania się o takie samo prawo, bez którego wyzyskowi naszego ludu nigdy końca nie będzie. Aby wszakże to wszystko nastąpiło, trzeba uświadomić sobie położenie rzeczy, trzeba wyjaśnić naszemu ludowi stan sprawy, trzeba planowej, systematycznej akcji wychodźczej, trzeba konsekwentnego dążenia w pewnym obranym kierunku, trzeba występować w obronie naszych krzywd nie platonicznie ale praktycznie wszędzie, gdzie to tylko jest możliwe, a to wszystko da się osiągnąć tylko wtedy, kiedy powstanie specjalna organizacja emigracyjna czy też instytucja opiekuńcza, zajmująca się wyłącznie i jedynie poprawą naszego położenia w tym kierunku. Na to wszakże, aby taka instytucja opiekuńcza powstała, trzeba zjednać poparcie całego szeregu ludzi dobrej woli, aby stworzyć poważną i wpływową organizację obywatelską, któraby na losie naszego ludu zaważyła.

Łatwo zdarzyć się może, iż akcja, przedsięwzięta przez właściwą instytucję opiekuńczą, spowoduje odpowiednie czynniki miarodajne w różnych krajach do sumiennego zajęcia się zagadnieniem w tej czy w innej postaci na naszą korzyść, ale przecież my jesteśmy przedewszystkiem powołani do pracy w tym kierunku, nas właśnie przy takiej pracy brakować nie powinno, my powinniśmy dostarczać materiału do wszelkich reform w kierunku specjalnego prawodawstwa ochronnego w rodzaju duńskiego prawa o Polakach, my winniśmy wypracowywać projekty do praw nawet w państwach obcych, gdyby były widoki ich przeprowadzenia w takim duchu, w jakim Dania przeprowadziła prawo z własnego natchnienia. Dziwnie pomyśleć, że wszędzie i zawsze radzą o nas bez nas tam nawet, gdzieby to koniecznie potrzebne nie było, gdzieby się ewentualnie z naszym zdaniem nawet może liczone. Zresztą obowiązkiem naszym jest znać przynajmniej bardzo dokładnie wszelkie ustawodawstwa emigracyjnie i stosownie do tego układać naszą politykę wychodźczą.

Przy rozważaniu całej tej kwestyi trzeba jeszcze wziąć pod uwagę stanowisko, jakie wobec zagadnienia zajmuje strona najbardziej w tem wszystkim zainteresowana, a mianowicie lud wiejski, dostarczający największej ilości wychodźców polskich. Jaka taka znajomość zagadnienia wychodźczego nie pozwala nawet przez chwilę wątpić, że projektowana instytucja opiekuńcza może liczyć na gorące poparcie ze strony całego ludu, którego sympatya jest już obecnie po stronie usiłowań, zmierzających do zajęcia się uregulowaniem ruchu wychodźczego. Poważne i wpływowe już dzisiaj stronnictwo ludowe w Galicyi popiera Polskie Towarzystwo Emigracyjne bardzo energicznie; u nas zaczęły się już odzywać pojedyncze głosy w prasie ludowej za organizacją wychodźtwa. Oto jest moment dla działaczy społecznych najważniejszy, pamiętać bowiem należy, że emigracja polska jest sprawą wybitnie ludową, że lud polski dostarcza przeważnie wychodźców zarówno sezonowych, jak i zamorskich, że więc na sprawę tę należy koniecznie patrzeć z punktu widzenia interesów szerokich mas ludowych, bo tylko wtedy nabierze ona właściwego znaczenia, tylko wtedy zostanie uwolniona od obcych sobie pierwiastków i zaciemniających sprawę naleciałości.

Wszystko to zdaje się być tak jasne i bezsporne, że chyba długo dyskusya na ten temat prowadzić się u nas nie będzie, bo fakty przemawiają same za siebie, bo logika tychże faktów jest nieubłagana. Najgorszej rzeczy trzeba odważnie w oczy spojrzeć, trzeba starać się o znalezienie lekarstwa na zło nienuiknione, trzeba usiłować kusić się o zajęcie takiego stanowiska, ażeby emigracja polska, przynosząca niewątpliwie bardzo wiele szkód z ekonomicznego i narodowego punktu widzenia, zamieniła się bodaj częściowo na źródło korzyści zarówno materyalnych, jak i moralnych, a to wszystko w znacznej części od nas samych zależy.

O wychodźtwie sezonowym mówiłem już względnie dosyć obszernie, jak na krótki z konieczności i treściwy referat; obecnie muszę z kolei powiedzieć słów kilka o niemniej poważnem wychodźtwie zamorskiem, które się również domaga uregulowania, organizacyi i opieki.

Przy omawianiu naszego wychodźtwa zamorskiego, nasuwa się bardzo wiele uwag natury ogólnej, których w żaden sposób pominąć nie podobna, inaczej bowiem obraz nie wypadłby dostatecznie wyraźnie. Z jednej strony należy tutaj bodaj w najobszerniejszych zarysach naszkicować przyczyny wychodźtwa i odpowiedzieć sobie na pytanie, czy warunki te istnieją i w naszym

społeczeństwie także, z drugiej zaś strony zapytać się, czy nie mamy jakichś czysto osobistych powodów do pilnego zajęcia się sprawą wychodźstwa zamorskiego, do jego uregulowania i do uczynienia zeń jednego ze świadomych czynników naszego życia ekonomicznego, kulturalnego i narodowego. Nieświadomym bowiem czynnikiem naszego życia wychodźstwo zamorskie jest od dawna, o czem dobrze wie ta mała garstka ludzi, która sprawie nieco bliżej się przyjrzała, oraz jej istotę starała się poznać.

Szczupły jest u nas zastęp takich, którzy szczególnie żywo odczuwają nasz proces emigracyjny i szczególnie żywo nim się zajmują: zastęp ten dzieli się na ludzi entuzjazmujących się emigracją i pokładających w niej wielkie nadzieje na przyszłość i na takich, którzy zajmują wobec emigracyi stanowisko raczej pesymistyczne, uważając ją za zło konieczne i na razie nieuniknione, ale nie mniej za zło, na które chwilowo niema rady, z czem poważnie należy się liczyć. Jeżeli ludzie pierwszej kategorii mogliby dopatrywać się w emigracyi takich stron dodatnich, których ona niema, lub posiada je w znacznie niższym stopniu, to ludzie drugiej kategorii raczej są może skłonni niedopatrywać się tego, co stanowi dodatnią stronę naszej emigracyi, umniejszając jej znaczenie i jej strony pozytywne.

Pośrednie tendencye wykazuje pewne szczupłe grono, mające pretensyę zajmować wobec emigracyi obiektywne stanowisko, a bez przesady powiedzieć się godzi, że to grono właśnie stanowi naszą Komisję przygotowawczą, mającą na celu stworzenie w Warszawie Towarzystwa Opieki nad Wychodźcami, tak niezbędnie w naszych warunkach potrzebnego. W gronie tem znajduje się i pan Ludwik Włodek, reprezentujący raczej pesymistyczny pierwiastek naszej Komisji, a mimo to w pracy swej p. t. „Polskie kolonie rolnicze w Paranie,“ będącej rezultatem specjalnej wycieczki w tamte okolice dla zbadania stosunków miejscowych, przy całej oględności i wstrzeźliwości nie może nie przyznać, że z jednej strony wychodźcom naszym dzieje się tam na ogół biorąc dobrze, z drugiej strony zaś, że Parana przedstawia warunki dla polskiej kolonizacyi zamorskiej doskonałe, byle była ta kolonizacya prowadzona rozumnie i planowo, czego w dzisiejszych warunkach w kraju macierzystym przynajmniej wcale się nie rozumie i rozumieć się przeważnie a uporczywie nie chce.

Położenie naszego wychodźstwa zarobkowego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej także na ogół jest dobre, a byłoby jeszcze o wiele lepsze, gdyby kraj macierzysty nie ignorował

tego zjawiska i starał się z niego wszelkie dla siebie wyciągnąć korzyści. Zarówno wychodźtwa parańskie, jak i północno-amerykańskie, bez stałego współdziałania kraju macierzystego nie może się tak pomyślnie rozwijać, jakby powinno i nie zdolne zająć tego stanowiska, jakieby zająć mogło.

Zanim wszakże przejdę do omówienia tego, co byśmy obecnie w tej sprawie uczynić powinni, niechaj mi wolno będzie powiedzieć kilka słów o przyczynach i warunkach emigracyi w ogólności dla wykazania drogą pośrednią, że przyczyny te i warunki istnieją równie dobrze u nas, jak i w innych społeczeństwach dzisiejszych, wykazujących emigrację i że zamykanie na te fakty oczu niczego nie zmieni i w niczem wychodźtwa naszego nie zmniejszy.

Przyczyny wychodźtwa występują w najrozmaitszej postaci zarówno w kraju emigracyi, jak i imigracyi; rzecz to ważna, ponieważ wobec tego jednostronne zapatrywanie się na całą sprawę powoduje niewłaściwe jej ujęcie i wiele zasadniczych nawet błędów. Jeżeli bowiem możemy starać się do pewnego przynajmniej stopnia wpłynąć na ukształtowanie się warunków w kraju emigracyi, to znaczy u siebie w domu, nie w mocy naszej leży kształtowanie warunków w kraju imigracyi, ponieważ tam wpływ nasz nie sięga i sięgać nie może przynajmniej bezpośrednio, pośrednio zaś tylko w bardzo nieznacznej mierze, jakkolwiek przy pewnym wysiłku jest i to możliwe, jak tego dowodzi akcja Niemców i Żydów w Ameryce osiadłych.

Co powoduje naszą emigrację, wiemy w ogólnych przynajmniej zarysach, o ile idzie o warunki, w kraju naszym panujące; obecnie warto przyrzeć się bodaj pobieżnie tym warunkom, które, poza krajem naszym znajdując się, na nasz ruch wychodźczy jednakże poważny wpływ wywierają. Każdy doskonale rozumie, że stan ekonomiczny kraju imigracyi posiada ogromne w tym kierunku znaczenie: rozwój przemysłu i handlu w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej powoduje zawsze znaczny wzrost emigracyi europejskiej, ponieważ o położeniu rzeczy informuje liczne rzesze kandydatów do emigracyi każdy, kto w jakikolwiek sposób jest w tem zainteresowany. A więc przedewszystkiem starają się rozszerzać wiadomości agencji linii okrętowych, jako też amerykańscy przedsiębiorcy, dostarczający taniego robotnika fabrykantom, właścicielom kopalń, kolejom żelaznym i t. d. Następnie zaś poważną rolę odgrywają listy znajomych i krewnych, którzy czując się sami dobrze, a wiedząc, że ich najbliżsi w kraju biedę cierpią, szeregiem listów zawiadamiają o stanie rzeczy i za-



chęcącą do przyjazdu, co stanowi jedną z poważnych a zazwyczaj niedocenianych przyczyn masowej emigracji w latach pomyślnych konjunktur amerykańskich.

Do pobudek masowej emigracji należy też prześladowanie religijne i ucisk polityczny; co do pierwszego, to chyba tylko część unitów opuściła z tej racyi strony rodzinne, zresztą bowiem nawet ruch maryawicki i wynikające stąd walki bratobójcze na wzmożenie się ruchu wychodźczego u nas wcale nie wpłynęły. Ucisk polityczny zaś odbił się i odbija jedynie na ruchu wychodźczym Żydów zarówno z Królestwa Polskiego, jak i z dziewięciu gubernij zachodnich, którzy masowo do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej uciekają. Wiemy, że nawet Poznańskie nie posiada emigracji politycznej, lecz tylko zarobkową i to wewnątrz państwa niemieckiego odbywającą się, te więc dwa czynniki, które, jak wiadomo, dały początek powstaniu osadnictwa amerykańskiego, u nas, przynajmniej w dobie obecnej, za przyczyny emigracji zamorskiej brane być nie mogą.

Natomiast niemałą rolę odgrywa tutaj łatwość przejazdu, taniość biletów kolejowych i okrętowych, wszelkie udogodnienia, jakoteż bezpieczeństwo, które obecnie pomiędzy Europą i Ameryką Północną jest prawie bezwzględne. Dzięki współzawodnictwu mnóstwa istniejących i powstających jeszcze okrętowych linii przewozowych, które tylko na emigrantach, ściśle biorąc, tak wielkie robią interesy, powoduje, że przejazd przez morze jest obecnie tak tani i względnie tak dogodny, że kiedy dawniej trzeba się było zastanowić nad tem, jechać czy nie jechać, to chłop polski jedzie dzisiaj do Ameryki jakby na spacer, żadnej nie doznając trwogi. Dawniej, kiedy bywalcy amerykańscy wcale nie istnieli, mógł się niejeden zawahać przed daleką i niebezpieczną drogą; obecnie wszakże tylu właścian naszych było już w Ameryce nawet po kilka razy, że jeden od drugiego może się wszystkiego doskonale dowiedzieć, nie potrzebując nawet udawać się do agentów albo do przewodników. Jakkolwiek żadnej nie ulega wątpliwości, że wpływ agentów okrętowych jest poważny i zgubny, i że walczyć z nim trzeba, to jednakże pamiętać należy, iż listy i opowiadania bywalców amerykańskich nie mniejszy bodaj wywierają wpływ od opowiadań i namów agenta, a z tym wpływem walka jest niezmiernie trudna, ba, nawet wprost niemożliwa.

Wpływ rodziny i znajomych jest tem poważniejszy, że, jak nam przecie dobrze wiadomo, dzisiaj znaczna mniejszość wychodźców jedzie za własne pieniądze, przeważna większość bowiem otrzymuje bilety przysłane z Ameryki, tak zwane „prepaids“ czyli

bilety z góry opłacone. Ucieczka przed służbą wojskową stanowi poważny czynnik takiej emigracji, forsowanej przez krewnych i rodziny w Ameryce już osiadłe. Pieniądze amerykańskie grają więc tutaj ważną rolę, ponieważ umożliwiają wychodźstwo tym nawet, którzy nie mogliby się na to sami zdobyć. Ta okoliczność powoduje, że kraj opuszczają nietylko ludzie, mający po wyprzedaniu się jakie takie środki i dość rzutkości oraz przedsiębiorczości, ale i tacy także, w coraz większej ilości, którzy właśnie ani złamanego szeląga nie posiadają i chwytają się emigracji, jako środka ratunku przed niedostatkiem, a nawet ostateczną biedą i nędzą. „Prepays,“ czyli przez osiadłych już w Ameryce opłacane bilety, wpływają obecnie wprost na charakter naszego wychodźstwa zamorskiego, o czym przy omawianiu tego ważnego dla nas zagadnienia pamiętać należy.

Niestety, z braku instytucji, któraby się naszym wychodźstwem specjalnie zajmowała, możemy w tej tak doniosłej dla naszego społeczeństwa sprawie czynić jedynie przypuszczenia, a jakkolwiek przypuszczenia te są całkowicie uzasadnione, to jednakże o ścisłości mowy być nie może, jakkolwiek ścisłość dałaby nam dopiero możliwość dokładnego obliczenia ekonomicznych a bodajże nawet i narodowych skutków naszego tak licznego dzisiaj wychodźstwa.

Zresztą, aby na te pytania odpowiedzieć, trzeba posiadać dokładne dane, odnoszące się do naszego wychodźstwa, dane na miejscu zebrane i usystematyzowane wedle pewnej, z góry nakreślonej metody; wszystkie narody, posiadające poważniejszą emigrację, studyują to zjawisko i piszą monografie, które rzucają zupełnie dokładne i rzetelne światło na istotę i treść zagadnienia. Tylko my o rozmiarach i doniosłości naszego wychodźstwa naprawdę nie wiele wiemy, jak i świat amerykański, zajmujący się zagadnieniem immigracji, niema, ściśle biorąc, na czym oprócz swych wywodów, odnoszących się do Polaków. Wobec rosnącej niechęci względem imigrantów ze środkowej i wschodniej Europy, wszystkie narody starają się wyświecić sprawę i bronić się od niesłusznych częstokroć zarzutów, tylko my stajemy się kozłem ofiarnym i wszystkie ciosy, wymierzone przeciw immigracji europejskiej, zaczynają spadać głównie na Polaków, którzy się nie bronią.

Potrzeba instytucji opiekuńczej w najszerszym tego słowa znaczeniu występuje z każdym dniem coraz silniej i kategoryczniej; nie należy się łudzić, ażeby otwarcie biura w Warszawie, posiadającego nawet liczne po kraju rozsiane filie, mogło potrze-

bie zadość uczynić. Tutaj trzeba jeszcze stworzyć odpowiednią instytucję na miejscu, w Ameryce, jak to zrobiły już wszystkie inne narody, posiadające liczną emigrację, jak Włosi, Żydzi i Czesi, nie mówiąc oczywiście o Irlandczykach i Niemcach, bo tylko wtedy wiadomości, z pierwszej ręki czerpane, dadzą nam materiał do należytej oceny rzeczywistego położenia naszego wychodźstwa, tylko wtedy będziemy mogli już nie z książek przez cudzoziemców pisanych, jak to się do tej pory dzieje, ale z własnego doświadczenia, z własnego życia poznać warunki i przyczyny emigracji w ogólności a wychodźstwa polskiego w szczególności, tylko wtedy będziemy mogli z jednej strony stworzyć szeroko zakreśloną polską politykę emigracyjną, z drugiej zaś wyciągnąć z emigracji wszystkie ekonomiczne a nawet kulturalne i narodowe korzyści, które do tej pory należą do rzeczy wprost niedoścignionych.

Tymczasem musi nam starczyć przeświadczenie, że w kraju naszym istnieją powszechnie obowiązujące warunki wychodźstwa, zarówno sezonowego jak i zamorskiego, że liczne wpływy zamorskie działają na nasz ruch wychodźczy i że sprawa domaga się jak najszybszego załatwienia w duchu interesów naszego ludu, stanowiącego wszakże rdzeń i jądro emigracji polskiej. Z rozważenia tej sprawy wyłaniają się jeszcze dalsze wnioski, ale tych na razie poruszać nie będę, ponieważ przyjdzie na nie czas wtedy, kiedy wytworzymy warunki do konkretnej pracy.

Jeżeli więc przyjdziemy do przekonania, że w kraju naszym istnieją powszechnie obowiązujące warunki do rozwoju ruchu wychodźczego, to nie pozostaje nam nic innego, jak tylko przyjąć ruch wychodźczy, jako fakt, i starać się go zorganizować, oraz dla swoich celów ekonomicznych i narodowo-kulturalnych wyzyskać. Pierwszym w takim razie pytaniem jest: dokąd ma nasz ruch wychodźczy być skierowanym? Na pytanie to mamy obecnie już gotową odpowiedź, bo niezależny od nas bieg wypadków sprawił, że emigracja zamorska zwróciła się i ustawicznie jeszcze zwraca się w dwóch kierunkach, a mianowicie ku Paranie i ku Stanom Zjednoczonym Ameryki Północnej.

Co do Parany, to nie słyhać nic o tem, ażeby w najbliższej przyszłości miało nastąpić ograniczenie imigracji europejskiej, ponieważ Brazylii potrzeba ustawicznie bardzo znacznego przyływu rąk roboczych, to też na tem polu możemy snuć wszelkie plany emigracyjne z całą swobodą i na daleką metę bez obawy nagłego zatamowania naszego w tę stronę wychodźstwa. Inaczej przedstawia się rzecz z wychodźstwem do Stanów Zjednoczonych

Ameryki Północnej, tutaj bowiem zaczyna się budzić pewnego rodzaju opozycja przeciw obecnemu typowi imigracji europejskiej, złożonej z Włochów, Polaków i Żydów. Dwie przyczyny główne wywołują opór przeciw naszej imigracji: z jednej strony różnica rasowa, z drugiej zaś niższy stopień kulturalny i mniejsze wymagania, a więc gotowość pracowania za niższą zapłatę, co rzekomo wytwarza miejscowej ludności robotczej niebezpieczną konkurencyę.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej powstały dzięki imigracji ludów zachodniej Europy, głównie rasy anglo-saskiej, które też stanowią w Ameryce żywioł panujący; obecnie ustała prawie zupełnie emigracja rasy anglo-saskiej, w całym zaś rozkwicie odbywa się emigracja ludów, zamieszkujących południową, środkową a szczególnie wschodnią Europę, dzięki czemu w miejsce rasy anglo-saskiej wstępuje rasa łacińska, reprezentowana przez Włochów, rasa słowiańska, reprezentowana przez Słowaków, Chorwatów, Czechów a szczególnie Polaków, nakoniec Żydzi polscy i rosyjscy, znacznie mniej pożądanymi od Żydów niemieckich, których emigracja obecnie także prawie ustała.

Znaczny napływ imigracji o tak odmiennych cechach rasowych i kulturalnych zaczyna się mocno niepodobać obywatelom Stanów Zjednoczonych, obawiającym się, że może nie zdołają zasymilować tych obcych dla siebie żywiołów, zwłaszcza, że wielką przeszkodą jest tutaj odrębność religijna i językowa, jako też łączenie się nowych przybyszów w grupy narodowościowe i ekskluzywne. Zachodzi obawa, że nowe pierwiastki, pochodzące z krajów o słabo rozwiniętym życiu politycznym, nie zdołają należycie skorzystać z republikańskiej konstytucji swej nowej ojczyzny, że może nawet wypaczą lub cofną wstecz rozwój obywatelskich organizacyj amerykańskich, a w ten sposób obniżą typ obywatela amerykańskiego i charakter całej kultury miejscowej.

Z drugiej strony zorganizowani robotnicy amerykańscy, mający wysokie wymagania życiowe — *high standart of life* — obawiają się, że współzawodnictwo ludzi, o znacznie niższych wymaganiach życiowych, obniży także ich zarobki, a w następstwie obniży też cały poziom kulturalny amerykańskich klas pracujących, powstrzymując ich w rozwoju społecznym i politycznym. To też unie robotnicze występują coraz silniej przeciw imigracji europejskiej, domagając się najdalej idących ograniczeń i utrudnień pod każdym względem. Jedno ograniczenie od dawna już proponowane, ale do tej pory jeszcze nie przeprowadzone, jest tego rodzaju, że w praktyce zastosowane zamknęłoby

dostęp do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej znakomitej większości naszych wychodźców: tym ograniczeniem jest wymaganie, aby każdy immigrant potrafił odczytać którykolwiek ustęp z konstytucji Stanów Zjednoczonych w którymkolwiek języku europejskim. Ponieważ większość naszych wychodźców składa się z analfabetów, przeto ograniczenie to równałoby się zamknięciu dostępu do Stanów Zjednoczonych dla naszych emigrantów.

Z tą ewentualnością liczyć się należy przy kreśleniu planu polityki emigracyjnej dla nas, ponieważ możliwość takich ograniczeń wykluczona wcale nie jest. Specjalna organizacja—Immigration Restriction League — czyni ustawicznie starania w celu przekonania Kongresu o konieczności wprowadzenia takich ograniczeń i nie można przewidzieć, kiedy uchwałą w tym sensie zapadnie. Jest wprawdzie inna organizacja—National Liberal Immigration League—Narodowa Liberalna Liga Emigracyjna, która, przeciwnie, ma na celu wykazywanie już nie tylko pożytku, ale wprost nawet konieczności immigracji europejskiej, a to wychodząc z założenia, że bogactwa naturalne Stanów Zjednoczonych potrzebują do swej eksploatacji niezliczonej ilości rąk roboczych, których ludność miejscowa nie potrafi dostarczyć, że ustawiczny napływ roboczej ludności europejskiej nie stanowi żadnej konkurencji dla robotników miejscowych, ponieważ przybysze spełniają najcięższą i najgorzej płatną pracę, której amerykańska arystokracja robotnicza spełniać nie chce, zatrzymując dla siebie z jednej strony wszystkie lepiej płatne zajęcia, z drugiej zaś strony korzystniejsze stanowiska dozorców, majstrów i t. d. w gorzej płatnych gałęziach pracy, wykonywanej właśnie przez przybyszów. Liga twierdzi, że jak Niemcy, stanowiące najgroźniejszego współzawodnika Stanów na polu przemysłowem, nie mogą się obejść bez immigracji włosko-polskiej, tak samo i Stany nie tylko nie powinny robić żadnych utrudnień, ale, przeciwnie, nawet znieść wszelkie ograniczenia i otworzyć szeroko dostęp dla włosko-słowiańskiej immigracji, która dostarcza niezbędnych sił roboczych najlepszego gatunku.

Jakkolwiek Liga ta istnieje dopiero kilka lat, to jednakże rozwinęła bardzo energiczną agitację, a ponieważ posiada poparcie kapitalistów, fabrykantów, właścicieli kopalń, wielkich właścicieli ziemskich i różnego rodzaju przedsiębiorców, przeto, jak do tej pory, działalność jej jest skuteczna i wszelkie zakusy restrukcyonistów zwycięsko zostały odparte. Pamiętajmy, że prezydent Cleveland zawetował powzięte już uchwały Kongresu w duchu

surowych ograniczeń immigracji europejskiej; pamiętajmy, że każdy wniosek, zmierzający do zbyt radykalnego ograniczenia immigracji, spotyka się z energicznym protestem kół bezpośrednio zainteresowanych, że więc bardzo prawdopodobnie i polityka immigracyjna Stanów Zjednoczonych na długi szereg lat pozostanie zasadniczo ta sama. Dodać do tego jeszcze winieniem, że nowa Liga nietylko dąży do zniesienia istniejących obecnie ograniczeń immigracji europejskiej, nietylko zamierza zająć się odpowiedniemi rozmieszczeniem w rozmaitych częściach kraju zbyt skupionej tu i owdzie, szczególnie po wielkich miastach, świeżo przybyłej ludności europejskiej, ale nawet nosi się z myślą organizowania grup wychodźczych w krajach emigracji, w Europie, dla planowego skierowywania nowych przybyszów tam, gdzie świeże siły robocze najbardziej są pożądane.

Możemy się więc, w razie powodzenia tego planu, znaleźć wobec szeregu agentów tej Ligi, werbujących u nas w kraju wychodźców dla pewnych Stanów, mających do wykonania cały szereg robót publicznych, dalej dla przedsiębiorców kolejowych, plantatorów i t. d., a ponieważ lud nasz nie jest ani uświadomiony, ani uorganizowany i należycie kierowany, przeto łatwo zdarzyć się może, iż znowu padnie ofiarą tej nowej polityki, kierowany do najgorszych i najniżej płatnych robót lub do niezdrowych dla Europejczyka Stanów południowych, gdzie zabójczy klimat będzie naszych wychodźców dziesiątkował i niszczył.

I na tę ewentualność także przygotowani być winniśmy, a jeżeli będziemy się ociągać z utworzeniem opiekuńczej instytucji emigracyjnej, to nowe zjawisko zaskoczy nas nieprzygotowanych, jak swego czasu gorączka brazylijska.

Zresztą i bez tego nawet ruch wychodźczy do Stanów Północnej Ameryki ciągle trwa i nastęrcza wiele pierwszorzędnej wagi zagadnień; gdyby zaś Stany Ameryki Północnej miały zostać nagle dla wychodźców naszych zamknięte, trzeba by się obejrzeć za jakimś innym gościnnym krajem, boć ruch nasz zależy od warunków, u nas w kraju panujących, a nie od postanowień Kongresu w Waszyngtonie, a wtedy możeby należało się zwrócić do Kanady, czy gdzieindziej, ale pewne stanowisko w tej trudnej sprawie możnaby zająć tylko na zasadzie studyów i znajomości rzeczy, a do tego jest również potrzebna osobna instytucja, któraby zajmowanie się sprawami wychodźczemi uczyniła swoją specjalnością.

Sama potrzeba roztoczenia opieki nad naszymi tak licznymi wychodźcami, uchronienia ich przed ciągle istniejącym wyzyskiem,

organizowania ich zarówno tutaj, jak i w kraju imigracyi, utrzymania stałych stosunków pomiędzy emigracją a krajem macierzystym, ułatwiania powrotu i nabywania ziemi lub zakładania warsztatów i fabryk, cała słowem masa doniosłych spraw pociąga za sobą konieczność powołania do życia i popierania szczególnej instytucyi opiekuńczej, która do tej pory zgoła nie istnieje, której niezbędności społeczeństwo wcale nie odczuwa.

Zdaje się żadnej nie ulegać wątpliwości, że gdybyśmy stale i systematycznie dostarczali rodakom naszym w Stanach Zjednoczonych odpowiednich wiadomości ścisłych i szczegółowych co do warunków parcelowania i nabywania ziemi, zakładania własnych gospodarstw rolnych, warsztatów, wszelkiego rodzaju zresztą interesów, dających możność przyzwoitego utrzymania, to ilość wracających z Ameryki i osiedlających się na stałe w kraju macierzystym, byłaby znacznie większa i wydatniejsza. Powiedzmy otwarcie, że jednym z ważniejszych zadań naszej emigracyjnej instytucyi opiekuńczej byłoby właśnie zachęcanie do powrotu i ułatwianie go przez dostarczanie odpowiednich wiadomości, a nawet przez zorganizowanie biura pośrednictwa w najszerszem znaczeniu tego wyrazu.

Nie podobna przewidzieć, jaki obrót sprawa przybierze, godzi się wszakże przypuszczać, że wobec zatwierdzenia ustawy Towarzystwa Opieki nad Wychodźcami społeczeństwo nie odmówi mu swego poparcia zarówno materialnego, jak i moralnego. Przytoczywszy § 2 ustawy Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie, uważam też za właściwe przytoczyć na tem miejscu § 2 i 3 ustawy projektowanego Towarzystwa Opieki nad Wychodźcami, aby dać pojęcie, jakie są cele tej instytucyi tak w życiu naszego wychodźcy potrzebnej. Paragrafy te opiewają jak następuje: Celem Towarzystwa jest dostarczanie informacji i pomocy we wszystkich sprawach, związanych z wyszukiwaniem pracy w kraju i zagranicą, z wyjazdem wychodźców za granicę, jako też z obroną tychże przed różnego rodzaju nadużyciami ze strony pośredników-agentów okrętowych, utrzymujących baraki i t. d.

Uwaga: Towarzystwo, nie zachęcając nikogo do emigracyi, ogranicza się jedynie do ułatwiania jej osobom, które wyemigrować postanowiły.

§ 3. Dla osiągnięcia powyższego celu Towarzystwo: a) utrzymuje biura informacyjne dla osób, udających się w celach zarobkowych zarówno z jednej okolicy kraju do drugiej, jak i na obczyznę, lub w celach przesiedleńczych do Ameryki; b) utrzymuje

biura pośrednictwa pracy dla członków Towarzystwa; c) utrzymuje biura porady prawnej dla wychodźców, oraz biura statystyczne; d) organizuje opiekę religijno-moralną nad wychodźcami; e) ogłasza w broszurach i wydawnictwach peryodycznych materiały i wiadomości, informujące emigrantów o naturze, warunkach bytu, oraz wysokości zarobków w rozmaitych krajach; f) stara się u władz, instytucyj publicznych, zarządów kolei żelaznych, towarzystw okrętowych i t. d. o wyjednanie różnych ulg dla emigrantów, oraz pomaga im do uzyskania pasportów, świadectw emigracyjnych, wreszcie do nabywania kart okrętowych; g) utrzymuje stałą pomoc lekarską dla emigrantów; h) utrzymuje własne agencje i schroniska w miejscowościach, w których najbardziej skupia się wychodźstwo polskie, oraz w głównych miastach portowych i na stacyach granicznych.

Z powyższego widać, że instytucja warszawska będzie posiadać zupełnie inny charakter, niżeli instytucja krakowska. Różnica polega na tem, że instytucja warszawska niema prawa prowadzić żadnych tranzakcyj finansowych, czyli że nie będzie miała charakteru zarobkowego. Poza tym wszakże drugorzędnej wagi szczegółem cele zasadnicze obydwóch organizacyj są zupełnie te same, obie bowiem kładą sobie za główne zadanie opiekę nad naszym ruchem wychodźczym w najszerszem znaczeniu tego wyrazu. Osobiście przypuszczam, że nowe towarzystwo będzie mogło spełnić inne jeszcze zadanie, wpłynąć w pewnym stopniu na zmianę charakteru wychodźstwa polskiego za morze. Do tej pory wychodźstwo nasze rekrutuje się, jak wiemy, wyłącznie z ludu wiejskiego, a po części i z ludu miejskiego, tak zwanych średnich i wyższych sfer społeczeństwa wcale nie dotykając. Uwaga ta odnosi się atoli jedynie do wychodźstwa zamorskiego, bo inteligentne wychodźstwo nasze do Rosyi i różnych innych krajów europejskich jest wszakże notorycznie dosyć znaczne, przynosząc, wedle mego zdania, daleko więcej szkody, niżeli korzyści; zdaje się żadnej nie ulegać wątpliwości, że gdyby nasza inteligencja, zamiast tonąć w obcych społeczeństwach europejskich, zasiliała wychodźstwo amerykańskie, to wyniknęłyby z tego wielorakie korzyści zarówno dla emigracyi samej, jak i dla kraju macierzystego.

Nie potrzebujemy owijać w bawełnę smutnego faktu, że ze wszystkich rodzajów emigracyi, nasza jest w Ameryce najgorzej uważana z tego prostego powodu, iż brak jej zupełnie inteligencyi w europejskiem tego słowa znaczeniu, że więc emigracya nasza nie może zdobyć sobie tego stanowiska, jakie z dawien dawna



posiada emigracya irlandzka, niemiecka, francuska, a bodajby czeska. Te cztery narody wysyłały lub wysyłają jeszcze nietylko prostego robotnika wiejskiego, ale i ludzi wykwalifikowanych, ogólnie i fachowo wykształconych, zdolnych do zajmowania lepszych, a nawet nieraz najlepszych posad w handlu, przemyśle, dziennikarstwie, wreszcie w życiu politycznem Rzeczypospolitej. Pojęcia społeczeństwa północno-amerykańskiego o naszym kraju tak są śmieszne, tak opaczne, tak nas wreszcie krzywdzące, że dawno należałoby wpłynąć na ich zmianę, ale niema kto tego uczynić, bo nikt nie troszczy się o dostarczenie właściwie oświeconego materiału faktycznego, a zakorzenione o nas bajki uchodzą za pewniki. Pamiętam z czasu swego kilkoletniego w Ameryce pobytu, że szeroki ogół amerykański uważa Polskę za nowoczesną Palestynę, ponieważ the Polish jew—polski Żyd, tak się uwadze wszystkich narzuca, iż o nim tylko wiedzą, nie wyobrażając sobie, ażeby kto inny oprócz Żyda w Polsce mógł mieszkać. Należy pamiętać, że Amerykanie, na ogół biorąc, nie mają pojęcia o odrębności narodowej i kulturalnej, tylko o samodzielności państwowej; niejednokrotnie odmawiano mi prawa do jakiejś narodowej i kulturalnej odrębności Polski na tej zasadzie, że skoro Polski niema na mapie, że skoro Polska nie posiada swojej flagi handlowej, to wcale nie istnieje i nie może sobie rościć pretensyj do odrębności. Sfery wykształcone uważają znowu Polskę za kraj pozbawiony lekarzy, adwokatów, kupców, przemysłowców, inżynierów, rzemieślników, rolników i t. d., ponieważ w ich mniemaniu w Polsce wszyscy tylko piszą powieści, jak Sienkiewicz, występują na scenie, jak Modrzejewska, grają na fortepianie, jak Paderewski, Śliwiński lub Hofman, śpiewają jak Reszkowie, Leliwa i Didur, lub uprawiają grę na skrzypcach, jak Huberman. Ten i ów wie cośkolwiek o Mickiewiczu lub Chopinie i na tem koniec. A jeżeli wszyscy posiadają o Polsce tak dziwaczne pojęcia, to jest w tem wyłącznie nasza wina, bo w naszym interesie leży postarać się o to, aby Amerykanie posiadali rzetelniejsze i prawdziwsze o nas pojęcia, co niewątpliwie odbiłoby się natychmiast na położeniu naszych wychodźców, a o to przecież pokusić się warto.

Ponieważ namawiałbym do emigracyi zamorskiej tych tylko z inteligencji polskiej, którzy i tak z kraju wyjeżdżają i po całej Europie się tułają, przeto nie byłoby to odciąganiem sił od pracy dla dobra społeczeństwa. A zresztą dostarczenie emigracyi polskiej w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej całego zastępu rodzimej inteligencji byłoby pracą dla dobra społeczeństwa, w ten sposób podniósłby się bowiem nadzwyczaj niski poziom szkół pol-

skich, podniósłby się poziom dziennikarstwa, jako też wszystkich tak licznych już dzisiaj narodowych instytucyj polskich, podniosłoby się życie polityczne i kulturalne, a lepiej zorganizowane społeczeństwo polskie w Ameryce Północnej wytworzyłoby niezawodnie nowy i bogaty rynek zbytu dla książki polskiej, szczególnie szkolnej na początek, rozszerzyłoby nasz widnokrąg myślowy i nasze doświadczenie zbiorowe, co odbiłoby się na naszym ruchu naukowym i literackim, na całokształcie naszej kultury, zamykającej się dzisiaj dobrowolnie w ciasnych ramkach, których w żaden sposób przekroczyć nie chcemy.

Nawiązanie stosunków handlowych, zarówno w południowej, jak i w północnej Ameryce, dałoby nam możliwość wyzwolenia się bodaj w znacznej mierze z pod obcego wpływu, a szczególnie od niemieckiego pośrednictwa, za które obecnie tak wysoką opłacamy cenę. Wszak nie jest to zgoła sprawa obojętna i tylko nasz indyferentyzm powoduje całkowite zaniedbanie na tem ważnem polu działalności.

Wreszcie zwrócić należy uwagę i na to, że założenie i prowadzenie opiekuńczej instytucji emigracyjnej staje się rzeczą wprost niezbędną wobec inicjatywy rządowej w kierunku stworzenia specjalnego rosyjskiego ustawodawstwa emigracyjnego, które do tej pory nie istniało, i wobec zajęcia się sfer rządowych sprawą emigracyjną. Czyżby nas przy tem znowu być nie miało? Czyżbyśmy pozwolili na to, ażeby organizowano nasze wychodźstwo bez naszego udziału, ba, wprost bez naszej wiedzy? Tylko dzięki inicjatywie prywatnej społeczeństwo nasze posiadało swych przedstawicieli na międzywydziałowych naradach ministeryalnych, które odbyły się w Petersburgu pod przewodnictwem wiceministra handlu i przemysłu, Müllera. Jako przedstawiciele warszawskiej Komisji przygotowawczej otrzymali za pośrednictwem posła Żukowskiego zaproszenie na te narady p.p. Michał Bojanowski z Klic, b. poseł do Dumy i Ludwik Włodek, literat i działacz społeczny. Gdyby nie inicjatywa prywatna, społeczeństwo nasze nie byłoby wcale reprezentowane na tych naradach pierwszorzędnej dla naszego kraju doniosłości, ponieważ wiadomo przecie, że emigracja z Rosyi składa się wyłącznie prawie z Żydów, Litwinów i Polaków, z tych ostatnich przedewszystkiem. Każde postanowienie rządu w tym kierunku ma dla nas pierwszorzędne znaczenie, i jeżelibyśmy nawet nie mogli wywierać na nie wpływu, to przynajmniej powinniśmy o wszystkim dokładnie wiedzieć i na wszystko być przygotowani. Lekkomysłnością nie do darrowania byłoby postępować obecnie inaczej.

Jakkolwiek delegaci nasi nie mogli uczestniczyć we wszystkich posiedzeniach rządowej Komisji emigracyjnej z tej przyczyny, że zostały rozciągnięte na szereg kilku tygodni, a zajęcia nie pozwoliły p.p. Bojanowskiemu i Włodkowi tyle czasu sprawie wyłącznie poświęcić, to jednakże wzięcie udziału w obradach na dwóch pierwszych posiedzeniach, omawiających najważniejsze zasady przyszłego ustawodawstwa emigracyjnego w Rosyi, już przyniosło nam wielką korzyść, ponieważ Polacy traktowali sprawę nie teoretycznie, jak przeważna większość członków Komisji, złożona z urzędników, dla których sprawy wychodźcze są całkiem obce i nieznane, lecz praktycznie i z niemałą znajomością rzeczy, którą chyba tylko przedstawiciele emigracyjnych organizacji żydowskich w Rosyi, w równym stopniu posiadają.

Skoro zważymy fakt, że główną, jeżeli nie jedyną, pobudką, skłaniającą rząd do zajęcia się emigracją rosyjską, jest chęć stworzenia i rozwinięcia rosyjskich linii okrętowych, zajmujących się przewozem emigrantów, a wcale nie uregulowanie ruchu wychodźczego, jako też roztoczenie opieki nad wychodźcami, co stanowi tylko jakby logiczne następstwo bliższego i pilniejszego zajęcia się sprawą; jeżeli zważymy, że nasze interesy wychodźcze mogą wskutek tego zostać w całości prawie poświęcone interesom prywatnych kapitalistów, dla których zysk materyalny będzie stał na pierwszym planie, a los wychodźców dopiero na drugim, i że tymi kapitalistami nie będą zapewne Polacy, to nie trudno pojąć, jak wielkie znaczenie musi mieć instytucja społeczna, której jedynym zadaniem jest ochrona wychodźcy, roztoczenie nad nim opieki w najszerszem tego słowa znaczeniu, i staranie się o to, aby go wcale nie krzywdzono, lub chociażby w stopniu możliwie najmniejszym.

Nie podobna tutaj rozwodzić się szeroko i szczegółowo nad całokształtem spraw, przedstawionych Komisji do rozważenia i zaopiniowania; uczynić to należy w związku z rozmaitemi innemi ustawodawstwami emigracyjnymi europejskiemi i amerykańskimi, co też zrobiłem gdzieindziej, traktując zagadnienie z zasadniczego a nie aktualnego punktu widzenia. Tutaj podkreślić należy wielką doniosłość tej sprawy, doniosłość nie teoretyczną, lecz czysto praktyczną, życiową, ponieważ taki czy inny obrót sprawy, taki czy inny wynik narad, taka czy inna postać rosyjskich przepisów emigracyjnych, mających stać się prawem obowiązującym, wywrze bardzo stanowczy wpływ na losy naszego tak licznego wychodźstwa. Nie można się wcale łudzić, ażeby rosyjska ustawa emigracyjna była odrazu doskonała, ażeby nie

przedstawiała na długo konieczności nieustannych reform, poprawek i przystosowywania do coraz zmieniających się wymagań życiowych; wszak nigdzie ustawodawstwa emigracyjne nie wyszły z pod obrad takie wszechstronne, jakimi są obecnie, jeżeli wogóle gdziekolwiek wszechstronne prawa emigracyjne wypracowano, o czym godzi się wątpić, a tembardziej należy się tego spodziewać w Rosyi, gdzie nie istnieje żadne w tym kierunku doświadczenie, gdzie inicjatywa społeczna nie została jeszcze w dostatecznej mierze uznana, gdzie należy oczekiwać poważnych braków, których usunięciem trzeba będzie stale się zajmować.

Ale któż ma pilnować sprawy, jeżeli nie te narody, w skład Imperyum Rosyjskiego wchodzące, dla których emigracja nie jest i nie będzie tylko źródłem dochodów dla przedsiębiorstw, jeżeli nie my właśnie, wykazujący tak poważną i liczną emigrację, zarówno sezonową, jak i zamorską? Przypuśćmy nawet istnienie zupełnie dobrej woli w zarządzie centralnym spraw emigracyjnych w Petersburgu, przypuśćmy nawet chęć zadosyćuczynienia w zupełności potrzebom naszego wychodźstwa, przypuśćmy, że nie będzie tendencyj wyzyskiwania tego żywiołowego zjawiska dla celów spekulacyjnych garstki kapitalistów rosyjskich czy cudzoziemskich, to skąd zarząd centralny będzie czerpał rzetelne o naszym ruchu wiadomości, skąd dowie się o naszych w tym kierunku potrzebach, na czem oprze reformę przepisów emigracyjnych, jeżeli ludność kraju, bezpośrednio sprawą dotknięta, nie zdobędzie się na stworzenie organizacyi specjalnej, która by się tylko tem jednym zjawiskiem naszego życia zajmowała, badając je szczegółowo i obszernie, wysnuwając z szeregu faktów wnioski, przedstawiając je centralnemu zarządowi do spraw emigracyjnych i donagając się stale i systematycznie uwzględnienia naszych najżywotniejszych interesów.

Polskie Towarzystwo Emigracyjne w Krakowie dostarcza nam najlepszego przykładu na to, jak około swych spraw chodzić należy: działalność tego Towarzystwa spotkała się na samym wstępie z całym szeregiem bardzo poważnych przeszkód ze strony rozmaitych instytucyj niemieckich, zagrożonych w swym szkodliwym dla naszych interesów monopoli prowadzenia spraw emigracyjnych. A mimo wszystko energia zarządu Towarzystwa doprowadziła do pokonania kolejno wszystkich przeszkód, następczących się jeszcze ustawicznie, i do postawienia sprawy na gruncie interesów naszego wychodźcy, który odtąd będzie już miał rozumiejącą jego potrzeby i serdecznie zajmującą się nim instytucyę polską, która tylko dla jego dobra istnieć i pracować będzie.

Do tego samego należy obecnie dążyć i u nas także: jakkolwiek nie możemy się spodziewać poparcia materialnego ze strony państwa, jak to się stało z krakowskiem Towarzystwem, o wiele pod tym względem szczęśliwszem; jakkolwiek trudno oczekiwać ze strony centralnego zarządu sprawami emigracyjnymi takiego zrozumienia naszych interesów, jakiego nam potrzeba do właściwego postawienia i pokierowania naszej opiekuńczej instytucji emigracyjnej, to jednakże należy dążyć do tem wydatniejszego poparcia instytucji społecznej, ponieważ musi z konieczności zastąpić jakiś organ krajowy, którego powstanie jest bardzo dalekie, a który zresztą sam przez się wcaleby jeszcze nie wystarczył, czego dowodzą wszystkie inne kraje, gdzie przy najczulszej ze strony rządu opiece potrzeba jeszcze całego szeregu najrozmaitszych organizacji obywatelskich, zajmujących się różnemi stronami zagadnienia emigracyjnego.

A oto jeszcze inna strona tego samego zagadnienia: właściwego kierowania sprawami emigracji polskiej nie można sobie wyobrazić bez wypracowania szerokiego planu polityki emigracyjnej i bez skoncentrowania wszystkich usiłowań na tem polu, bez ich sprowadzenia do jednego mianownika. Stać się to zaś może tylko wtedy, kiedy sprawa, od wszelkiej polityki wolna, oprze się na podwalnie porozumienia się wszystkich zarówno europejskich, jak i amerykańskich instytucji emigracyjnych, wytworzonych przez społeczeństwo polskie, a pokrywających całe pole tej tak różnorodnej działalności. Dzisiaj sprawą za morzem zajmuje się do pewnego stopnia Związek Narodowy Polski, jakkolwiek praca jego w tym kierunku nie jest wystarczająca; w Galicyi rozwija się pomyślnie Polskie Towarzystwo Emigracyjne, trzeba więc koniecznie, ażeby i Królestwo Polskie posiadało także swoją organizację obywatelską, gdyż tylko wtedy może być mowa o ujednostajnieniu naszej polityki emigracyjnej, o wytworzeniu jakiegoś racjonalnego planu, o porozumiewaniu się i łącznym działaniu niezbędnem potrzebnem wobec takiej różnorodności warunków ekonomicznych, społecznych, kulturalnych i politycznych, w jakich się nasza emigracja znajduje. Bez instytucji, reprezentującej nasze interesy największej dzielnicy polskiej, racjonalne traktowanie naszego ruchu wychodźczego jest wprost niemożliwe, co chyba każdy bez trudu zrozumieć powinien.

Należyte obsłużenie naszej emigracji nie da się nawet pomyśleć bez istnienia całego szeregu filij w kraju i zagranicą, któreby pracę ułatwiały a nawet ją unosiły; otóż takie filie zagraniczne powinny być utrzymywane wspólnym kosztem wszyst-

kich naszych organizacyj emigracyjnych, bo tylko wtedy będą mogły się pomyślnie rozwinąć i zadanie swoje w sposób zadawalający spełnić. A do tego potrzeba także istnienia warszawskiej instytucji, ażeby Królestwo Polskie posiadało przedstawicielstwo swych interesów w krajach immigracji polskiej, przedstawicielstwo pozostające w ścisłej łączności z przedstawicielstwem instytucji krakowskiej, jako też wszelkich innych organizacyj pokrewnych.

Okolicznościowo tylko wspomnę tutaj, że emigracja posiada nietylko swoją stronę czysto praktyczną, ale i teoretyczną także, i że zadaniem przyszłej instytucji warszawskiej będzie również ułatwianie studyów w tym kierunku, zbieranie, gromadzenie, systematyzowanie i uprzystępnianie materiału naukowego chcącym pracować w tym kierunku, dalej tworzenie literatury przedmiotu, założenie biblioteki, specjalnie ten przedmiot traktującej, słowem wytworzenie szeroko pomyślanej instytucji, zajmującej się zagadnieniem wychodźczem zarówno z praktycznego, jak i z teoretycznego punktu widzenia, ponieważ obie te strony zagadnienia uzupełniają się i wzajemnie popierają.

WOJCIECH SZUKIEWICZ.

*Larbusze i T. Barba*

# Juliusza Słowackiego

## LILLA WENEDA

(Jej stosunek do tragedyi greckiej i naczelną idea).

Rozległą była sfera lektury poety, tą rozległością tłumaczy się też różnorodność dzieł z pod jego pióra wychodzących. Obejmował nią Słowacki poniekąd całość ludzkiej twórczości, nie pomijał tedy i starożytności, z którą oswoiła go młodość. Słusznie zauważył też dziś prof. Sinko, że nie było nad niego większego hellenisty u nas aż do czasów ostatnich, skoro Homer wypieścił jego dzieciństwo, skoro tragiccy greccy użyczyli mu motywów do pierwszych już utworów dramatycznych. Reminiscencye homeryckie spotykały się odtąd w każdym utworze, obrazy klasyczne powtarzały się nieustannie. Z Platonem zapoznał się poeta zapewne w Wilnie, gdzie Gołuchowski zaszczeplił jego kult. Odtąd czerpał od niego pomysły najpierw w czasach genewskich, gdy sam, lub pod postacią Kordyana, rozmyślał o początku człowieka, choć równie silnie działał też Swedenborg. Szczęsny był już platonikiem, poeta stał się zaś nim tembardziej, gdy wrażenia greckie przypomniały mu wszystkie wiadomości o kulturze kraju, który zwiedzał. Homerycka prostota bytu stanęła mu przed oczyma pielgrzyma, który żałował, że nie jest owiec pasterzem, że nie posiada winnicy, albo chaty rybackiej,

Nad którą Parnas, w hełmie z błyskawicy,  
Czuwa — i cicho sny bogów nastęcza,  
Co się w powietrzu unoszą jak tęcza.<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> „Podróż na Wschód,” Pieśń IX, str. 8, wiersz 46—48.

Fizyczne i moralne zdrowie greckiego życia przeciwstawił swej siedmiorakiej chorobie duchowej, sielankowo wystawił sobie też to życie, jak ogół ówczesnych historyków, nie wyłączając pani de Staël. A potem porównywał dzieje greckie z polskimi, gdy w grobie Agamemnona nagi trup Leonidasa symbolizował poniekąd prostotę ducha greckiego, którego stać było na bohaterstwo niemożliwe u ludzi złotego pasa i czerwonego kontusza. W Atenach miał czytać Ajschylosa na tle greckiego krajobrazu, co ostatecznie zaprowadziło go pod znak greckiej tragedyi.

Jeżeli kiedyś Szekspir służył mu za wzór, gdy przyszło stwarzać balladową tragedye, teraz Ajschylos, w którym kiedyś podziwiać będzie moc, którego znał już kilka tragedyj, stanie się jego oparciem, jak w dramacie o Mazepie byli niem Hugo i Calderon. Prostota i miara, żywotność i spokój, natura i instynktowość imponowały mu już w Homerze. Jego uczuciowość odczuwała, że w tworzeniu greckiem jest całe serce twórcy, choć on sam nie ukazuje się w niem zupełnie. Już w grobie Agamemnona chwycił poeta za strunę harfy homeryckiej, by wydobyć z niej akordy, wielbiące świeżą przeszłość narodową, aż dał, w lat kilka później, epopeję barską z Beniowskim na czele. Epicką była też i tragedia Ajschylosa, gdyż odtwarzała bohaterskie sceny przeszłości, epicką była i jego nowa tragedia wielkością pomysłu, głębią idei. Miała ona już samem tłem imponować oczom, jak tragedia Ajschylosa. Miała samą prostotą olśniewać zmysły widzów, śpiewem chóru wnikać do głębi ich dusz. Miała być szukaniem tajemniczych przyczyn rzeczy, miała budzić nietylko uczucia, ale i myśli. W zmarłych dziejach pragnął widzieć poeta ukryte przyczyny stanu terażniejszego. Intuicyą myślał znaleźć te przyczyny, choć całość pograżył w jakiś mrok tajemniczy, w obrazach dał widzenia nadnaturalne i dalekie od rzeczywistości. Chciał pokazać poza tem, co się dzieje na scenie, coś wielkiego a niemożliwego, co rządzi losami narodów. Chciał, skoro już raz stwierdził, że w Polsce tkwi dusza anielska ukryta w rubasznym czerepie, szukać początku tego stanu, wskazywać środki, przy których pomocy można ten stan usunąć. Wierzył niewątpliwie, że to, co wypływało mu z pod pióra, jest skutkiem dziwnej władzy, która z Polski dawnej nie tworzy już fantastycznej legendy, ale coś, co odkrywa przyczynę wszystkiego, która jest w istocie Bogiem. Ta przyczyna ma swe racye, wie do czego dąży, choć drogi jej są dla nas ukryte.

I budowa tragedyi będzie raczej ajschylosową. Odrazu pokaże sytuację, zapowie wypadek doniosły, który rozwinie się pręd-



ko a bez przerw i dygresyj. Psychologia osób będzie prosta, jak akcja, ludzie będą ożywieni wolą potężną i namiętą. Derwid, Roza, Gwinona będą jakby siłami natury, będą działać w najwyższym napięciu i mocy swej istoty fizycznej i duchowej. Nic ich nie przeleknie, nic ich nie powstrzyma. Jeżeli potrafią cierpieć bez jęku, będą i srożyć się bez cienia litości. Przeszkody, cierpienia, walki podniosą jedynie ich wytrzymałość, pomnożą ich fanatyzm. Służą idei, jako wewnętrznej konieczności, rządzą się jedną namiętnością, choć każdy ma fizyonomię odrębną. Te wielkie figury nie będą pozbawione przecież uczuć ludzkich, każda z nich jest pomyślana głęboko, każda z nich umie roztoczyć fale uczuć, wyrażać się przepysznie i tragicznie. Niema w tragedyi wiele rozumowań, ale jest idea, którą wyczuwa się odrazu. Jest też zagadnienie, które zjawiało się już w poemacie o Anhellim, które rozwija się tylko, wciela się w nowe formy. Nowa treść, którą była zmarła przeszłość narodu, musiała mieć formę odpowiadającą prostocie bytu ówczesnego, formę tragedyi odtwarzającej, jak ajschylosowa, bajeczne czasy narodu. Więc dyalog, który wprowadzał z niezwykłą siłą fazy dziejowego przełomu, więc chór, który w akcji udziału nie bierze, w przeciwieństwie do chóru ajschylosowego, ale który jest objawem liryzmu twórcy, podnoszą nastrój uroczysty i groźny nieskończenie. Jakiś majestat bije z wierszy przez chór wypowiedzianych, wiersze uderzają ucho ześrodkowaniem uczuć, obrazowością, dźwięcznością. Ten styl dytyrambiczny o rytmie, w którym wszystko, co jest najboleśniejszego w duszy polskiej, szaleje z cierpienia, kona z męki, będącej męką konającego ludu, przygotowuje w duszy ton daleki od dawnego, ton zemsty i gniewu, ton potężnego odruchu indywidualizmu narodowego przeciw przemożnej, a przecież tylko materialnej sile wroga.

I nową tragedję poświęcał poeta temu, który już dwukrotnie był istotą opatrznosciową w jego życiu, który radził mu dążyć do prawdy, zbawiać ojczyznę tylko męką. Natchnienie poety pozbyło się, pod wpływem Krasieńskiego przeważnie, indywidualizmu, ogarnęło ogół, którego cierpień symbolem był już Anhelli. Natchnienie poety nie mogło teraz żyć poza myślą, która nadawała wartość utworowi, która czerpała z głębi narodowych zagadnień. Myślami zapełniała się dusza poety w samotności, owocem takiej godziny myśli była satyra liryczna z grobu Agamemnona, którą miał poprzedzić, jakby prologiem, swą grecką tragedję. Harfiarz Wenedów miał rzucić widzom rymy, których przed przeszłością żądała terazniejszość, miał zaśpiewać piosenkę o bliższem

nieszczęściu niż pogwałcenie Wenedów. Paroksyzm oburzenia, złorzeczenie narodowi miały poprzedzić tragedję, w której Wenedzi byli niejako wyobrazicielami wad narodowych, ojcami tego wszystkiego, co podkopyje energję w śmiertelnych zapasach z wrogiem. Ten wiersz był też znakiem kierunku, w jakim miała pójść poezya wieszczca, miał wytworzyć nastrój odpowiedni dla słuchaczów tragedyi. Jak w tym wierszu, tak i w niej miały się zamknąć tony od najmniejszego do najsurowszego, jak ten wiersz, miała być i tragedya satyrą na serca zatrwożone i upadłe nie z mocy, ale ze słabości. Patos i ironia, powaga i melancholia miały zjednoczyć się tu w całość, która wydała się jednak Krasińskiemu nieharmonijną, która jest cała krzykiem nie już jednostki, ale ojczyzny, doznającej wtedy i dziś najsrozszych cierpień. I dlatego, jak ten wiersz, który miał poprzedzić tragedję, stoi każdy jej akt przed oczyma duszy, drży każdy jej chór w sercu rozpalającym się w płomień pod wrażeniem tej poezyi natchnionej i genialnej. Symbolizm stał się formą poezyi mistyka, symbolem sprawy narodowej stała się też sprawa Wenedów, w której zatarł się uchrześcijaniony indywidualizm twórcy, choć nie znikł wcale jego głęboki smutek.

Wszakże był on cechą charakteru, który pozbył się dumy, ale nie rozpozgodził się zupełnie. Tylko ten smutek był, jak u Anhellego, smutkiem jego pokolenia, smutkiem najszlachetniejszych w narodzie, smutkiem, który ogarniał przeszłość i przyszłość. Miał tu być znów rachunek sumienia, miała tu być męka gorsza od innej, bo męka w samotności, którą widział jedynie kochany Endymion poezyi, Krasiński. Jemu poświęcał paryski przyjaciel nowy twór wyobraźni, nową krainę duchów, która z teraźniejszością łączyła się jedynie ideą. Od niego czekał wdzięczności i uznania, które było jedynem na długo jeszcze. Do niego zwracał się, jako do tego, którego bohater, Irydyon, stał mu niegdyś żywo przed oczyma, gdy myślał o Anhellim, jemu przedstawiał nowe mary rozpalonej wyobraźni, nową scenę dziejową zewsząd jakby morzem czerwonego połysku oblaną. Wskazywał odrazu, że śpiew dwunastu harf chóru ma rozlegać się nad ludem umarłych, ma też wołać na zemstę nowych rycerzy. Cel tragedyi był więc wskazanym, pomysł podwójnego wodza był zaś niewątpliwie symbolem stosunku obu wieszczów do siebie, symbolem ich przyszłości, której Lelum i Polelum byli posągiem. Że obaj poeci czuli się wyższymi ponad ogół emigracyi wraz z jej krytyką, nic w tem dziwnego, gdy ta emigracya poniżyła się ostatecznie wystąpieniami choćby tego rodzaju, co sądy o uwielbianym dotąd Mickiewi-

czu, który rozpoczynał swe wykłady w Collège de France. Ba-gno emigracyjnych intryg i małostek nie mogło być uważanem, przez Słowackiego zwłaszcza, za areopag narodowej myśli. Więc poeta wskazywał tem wyraźniej na symboliczność podwójnego wodza, wskazywał też na inną postać, która wraz z chórem miała wyrażać jego uczucia i myśli wieszce.

„Oto wróżka — mówił — która zabrania harfiarzom rozpaczy, a jednym, strasznym, mściwym czynem zajęta, stąpa po sercach ludzkich, kruszy je pod swemi nogami... Eumenida Eschyłowska krzycząca: zwycięstwo! sto serc ludzkich za zwycięstwo.“ Rolę św. Gwalberta uważał w tragedyi za spóźnioną, gdyż chrześcijańskie idee nie zakorzeniły się w sercach tych, których jedyną wiarą był miecz, którzy lud jeden jeszcze zabili bez litości. Więc ta rola nie była dowodem braku uczucia chrześcijańskiego w poecie, więc ta rola wskazywała tylko, że uczuć chrześcijańskich nie było w tych, którzy zabili naród. Uczucia chrześcijańskie były w nin żywo od czasów podróży wschodniej, gdy wyraził ją niejednokrotnie, rola św. Gwalberta była tylko symbolem stanowiska, jakie zajął wobec pokonanego narodu urzędowy tych uczuć przedstawiciel. Postać świętego nie streszczała w sobie wpływu chrześcijaństwa, ale wyrażała stanowisko, jakie zajął głowa chrześcijaństwa po powstaniu listopadowem. Bo św. Gwalbert wpływu w tragedyi nie ma, jest postacią, która stoi poza jej światem, choć do akcji miesza się niby i stanowi wraz ze Ślazem jej żywioł groteskowy. Miała być wreszcie tragedia udramatyzowaną powieścią, wierną i nagą, jaka się posagowym nieszczęściom należy, miała być prostą, jak tragedia ajshylosowa i mniej fantastyczną od balladowej tragedyi. Miała być tedy istotnie tragedya, to jest walką ludzkich uczuć i namiętności, obrazem charakterów ludów i bohaterów działających, miała być, jak półposagowa forma eurypidesowa, nietylko odtworzeniem przeszłości, szeregiem sytuacji obfitych w cierpienia i namiętności, przedstawieniem religijnem wielkiego wypadku legendowego, ale też wkroczeniem samego poety na scenę w charakterystyce pewnych postaci, w postępowaniu tych postaci, w oświetleniu tego postępowania, w budzeniu w sercach słuchaczy uczuć wyraźnie określonych i zgodnych z nastrojem tragika.

Jeżeli niebo milczało wobec strasznej tragedyi dziejowej, jeżeli jego przedstawiciel na ziemi nie miał słów potępienia dla prześladowców, poeta mógł, jak Eurypides, odtwarzać nietylko skutki wyroków losu. Takie odtworzenie nadałoby całości znamię chłodu i obojętności, jemu zaś, jako romantykowi, chodziło

o rozmaitość, która odpowiadała rozmaitości jego geniuszu, o objęcie wszystkiego, co życie niesie, o ideę, która była w każdym utworze okresu mistycznego. Nie czynił tego tylko wtedy, gdy utwór, jak tragedia o Mazepie, należał do okresu poprzedniego, przynajmniej w głównym zarysie. Teatr eurypidesowy przypominał zaś istotnie romantyczny: poszukiwaniem motywów najbardziej szarpiących za nerwy, obejmowaniem jedną tragedią jakby szeregu tematów, przewagą tendencji, która pociągała wszystkich, która kazała Arystotelesowi nazwać Eurypidesa najwięcej tragicznym z poetów. Przyszłe tragedye miały, jak i ta, oprzeć się na historycznej podstawie, miały zajaśnieć tęczowością, miały też, jak poezya anhelliczna wogóle, obracać oczy ludzi do nieba czyli otwierać przed nimi bezmiary. Miały uplastyczniać przed nimi pogląd na sprawę narodową tego, którego dotąd nie rozumiano, miały dbać nawet o jaskrawość działającą na zmysły, bo nie dosyć—mówił poeta—pokazać ludziom jednym słowem postaci duchową. Ten poeta stronił bowiem od rzeczywistości, wobec której opadały mu skrzydła, wobec której był albo smutny, jak duch Anhellego, wracający leniwo po złotej fali na wołanie do powrotu do ciała, albo gniewny, jak pielgrzym w grobie Agamemnona. Jego sztuka odwracała się przecież od życia codziennego, odtwarzała jego duszę, szarpaną cierpieniem dla ojczyzny, choć wiązała się ściśle z ogółem. Była idealną w najgłębszym znaczeniu wyrazu, była przeczeniem rzeczywistości w tem, co ta rzeczywistość miała płaskiego i brutalnego, co tej rzeczywistości nie pozwoliło wznieść się nad poziomość życia przy ziemi, połowiczność, słabość.

Poezja wieszczka miała być mieszaniną realizmu i idealizmu, od której stroniła tragedia ajschylosowa, miała postawić realizm na usługi idealizmu, wysławiać tem głośniej czystość i wzniosłość, gdy zestawiała je z banalnością i nizkością św. Gwałberta i Ślaza... Tragedyę rozpoczyna tedy prolog, w którym Roza Weneda wydaje się raczej bohaterką a nie Lilla. Sprzymierzona z chmurami i piorunami, z szatańskim zimnemu sztyletowi podobnym głosem, nie żałująca róż, gdy płoną lasy, wierząca, że nawet kości z pobojowiska walczyć będą w takt pieśniom harfiarzy, mścicielka nieszczęśliwego ludu, który zwątpił o sobie, jest ona żywym przeciwieństwem miękkiej i słodkiej Lilli, walczy sama przeciw sile ślepej i nieodpartej, która jest niby starożytną koniecznością, wpada w rodzaj szału wróżbiarskiego, w którym otwiera przyszłość. Tragedya w ten sposób rozpoczęta nie nadawała się do rozwinięcia uczuć zbyt subtelnych. Więc psychologia Rozy jest

prostą. Jak u Ajschylosa, musi być ona wolą potężną i niezmożoną, która objawia się odrazu. Taka wola nie rozumuje nadto, taka bohaterka nie żyje wewnątrz, nie tłumaczy się monologiem lub dyalogiem. Ona jest wolą konieczną i nieugiętą, jak wola Danaid, Eteoklesa, Prometeusza, Klitemnestry, Orestesa. Róża nie jest sentymentalną bohaterką romantycznego dramatu, ale siłą nadludzką w swem natężeniu woli, w swem uduchowieniu, które nie wchodzi nigdy w układy ze sobą, ze swoimi, z wrogiem. Ona jest istotnie uosobieniem woli, jak wogóle bohaterowie Ajschylosa. Niema w niej chwili wahania. Przyczyny, które każą cofać się innym śmiertelnym, służą tylko do podniecenia jej nastroju. Najsroższe wiadomości nie potrafią rozplakać jej duszy. Jest jakby za posagową, jest charakterem w znaczeniu idealnem słowa, gdyż ma swą odrębną fizyonomię, ale charakterem nadludzkim, gdy przemawia w prologu do harfiarzy, gdy zakazuje harfom uderzać w płacz, który nie przystoi nawet ginącym.

I niema wątpliwości, że cechą charakterów tragedyi jest wola, która zbliża ją niejako do poematu epickiego, który tu rozdzielono na akty. Wszystko jest tu obliczonem na wywołanie podziwu, grozy, przerażenia. To, co było gdzieindziej rozproszonem niejako w pewnych ustępach, tu skupiło się, by nadać całości ton potężnej mocy, by uwydatnić wagę rozwijającej się akcji. Nawet wiersz nierymowany odpowiada prostej wzniosłości akcji, która toczy się, jakgdyby wisiała nad nią żelazna konieczność, jakgdyby ta konieczność kierowała jej zwrotami. Rozsrożony i dumny zwycięstwem swej fizycznej małości nad roślinami Wenedami Lech, który walczyć umie, ale rozumować nigdy, okrutna i przebiegła Gwinona, która góruje nad Lechem rozumem i przeornością, milczący i pełen godności Derwid, który odpowiada Gwinonie słowami tego spokoju i majestatu, że mógłby nimi ukorzyć ludzi, mających cień szlachetności w sercu, łagodna, czysta, znająca tylko uczucia rodzinne Lilla, stanowią już w pierwszym akcie szereg bohaterów tak prostych i tak gotowych do walki, że z góry można przewidzieć jej rozwiązanie. Duchowa moc i wytrwałość stają do zapasów z fizyczną przemocą i gwałtem, więc ofiary czeka tylko cierpienie, ofiary wyzwoli z cierpienia tylko śmierć, jak wyzwoliła Anhellego. Nie można było pomyśleć nic bardziej prostego, żywioty liryczny i epicki musiały jednak przeżyć w tak pojętej tragedyi. Najwięcej uwagi zwraca jednak w pierwszym akcie Derwid, który jest jego prawdziwym protagonistą, który nie tylko cierpi moralnie i fizycznie najwięcej, ale i wypowiada się tak, jak żaden dotąd z bohaterów poety. An-

helli, gdy cierpiał podobnie, miał akcent miękkości i goryczy biernej ofiary, która dała się wieść Szamanowi.

W Derwidzie niema rezygnacyi, jego organizacya napięta silnemi przeżyciami nie jest dostępna uczuciom niższym, skoro on ześrodkowuje w sobie narodową wolę. Anhellego jadła melancholia ze słabości, ten nie jest jej ofiarą, a także ofiarą wypadków, ale zwyciężającym pierwszą i drugie, umiejącym, jak to radził już Krasiński, cierpieć w samotności. Podmiotowego pierwiastku w nim niema śladu, ewolucya w duchu twórcy przesunęła się bowiem ku przedmiotowości, o jakiej nie można było marzyć nawet w czasach, gdy powstawali Anhelli, Dantyszek, Waclaw. Derwid sam w sobie nie jest niczem, on jest tylko przedstawicielem swego środowiska, działa dla swoich i przeciwstawia swą siłę ducha Lecha mocy fizycznej, Gwinony wściekłości i krwiożerczym pomysłom. Podobieństwo między nim a dawnym bohaterem Anhellem, jest tylko w cierpieniu nie już biernem jedynie, ale protestującym przeciw gwałtowi i uciskowi śmiertelnego wroga, nie tęskniącym za śmiercią nawet po wytępieniu części narodu, nawet po wylupieniu oczu.

Myślisz — że takim okropnym widokiem  
Rozhartowany będę i pokorny?  
Spróbój, czy ze mnie co więcej wyciśniesz  
Nad krew—co będzie przeciw tobie świadczyć  
Przed memi ludy. Nie, ja nie mam ludu!  
Lecz po narodach już wymordowanych  
Jeszcze zostaje jakaś moc, przed którą  
Ty musisz blednąć i ciągle twe lica  
Strupiałe nową krwią farbować musisz,

woła Derwid, któremu po wydarciu oczu pozostały tylko słowa zabójcze, jak chórowi harfiarzy pieśń każąca drżeć sercu wroga. Jedyłą obroną Wenedów pozostało bowiem tylko słowo, pozostała pieśń broniąca od zwątpienia i nie pozwalająca uwierzyć wrogom, że ich jest zwycięstwo. Człowieczość Derwida przekuwa się niby na symbol cierpień, na bronzowość posagu męki, w którym nie zadrga żadna osobista słabość, żadne wewnętrzne pragnienie.

Wyższość Derwida wyblęska też w całej potędze w rozmowie z Gwinoną w akcie trzecim. Ale ta chwila jest i ostatniem napięciem ducha ofiary. Derwid mdleje po policzku zadany przez Gwinonę. Z tą chwilą kończy się niezawodnie jego rola ofiary czynnej. Jest odtąd w istocie biernym i cierpi utrzymywa-

ny przy życiu poświęceniem córki, która odegnała od niego wę-  
żów, ale nie mogła ani nie myślała przeszkodzić, by w starcu ser-  
ce zamarło i duch ugiął się przed policzkiem nikczemnicy. I tra-  
gedya Wenedów jest rozwiązana dopiero teraz. Król Wenedów  
stracił moc ducha, bez której niema zmartwychwstania. Sprawa  
Wenedów jest symbolem sprawy narodowej, nie wynika jednak  
z tego, by poeta utożsamiał losy narodu z ich losami i narodowi  
przepowiadał podobny koniec. Tragedya Wenedów, którzy zwąt-  
pili o sobie, była tylko ostrzeżeniem, jak i dzieje wygnańców sy-  
birskich. Tam oparł poeta swe refleksy na obrazie terażniejszo-  
ści, tu przeszłości, w której znalazł materyał dla siebie przydat-  
ny. Smutek i gniew były też genezą tragedyi, jak i wiersza po-  
wstałego w grobie Agamemnona.

Zbytνια wrażliwość na klęski sprawiła, że zabrakło Wene-  
dom serc, o których mówi Roza, że są, jak

Gołębie serca! o! jak wam leniwo  
Do kończącego wszystko grobu! Trzeba  
Was było wszystkich oszukać i śmierci  
Pędzić, jak białą trzodę owiec w gardło...

Uwierzyli Wenedzi w moc harfy, która jest wielką, ale bez  
wartości, skoro ludzie, na niej grający, stracili moc. Rozumieją  
to harfciarze, gdy mówią, że

nie lejemy łez, bo ci morderce  
Gotowi ludom rzec: zwycięstwo nasze!  
Zwątpił o sobie lud! Harfciarze płaczą.

Jedynie Roza nie zwątpiła, ale ona nie mogła zbawić wszyst-  
kich. Potrzeba było bowiem, by Roza użyła podstępu, by z roz-  
paczy nieechących umrzeć oszukała nadzieją zwycięstwa. Podstęp  
nie mógł naprawić jednak złego, nieuratował nawet dobrej sławy  
ludzi, którzy

I trzeci raz jeszcze zginą.  
I przejdą po nich zapomnienia plugi,  
I stokrocie się rozwiną  
Na krwawym umarłych stepie —  
I cóż — czy płakać?

Całe ducha wniebowzięcie upadło, by skończyć się uraga-  
niem nadziei, upadkiem ducha. Ideą tragedyi była tedy ofiara  
nie bierna już i rezygnacyjna, ale czynna i polegająca na zmaga-  
niu się z wrogimi siłami, któremi w przeszłości byli Lechici,

a potem nowi prześladowcy narodu. Tragedya jest opartą na tej idei, jej posągiem jest Roza, która zabrania harfiarzom rozpacz, stapa po sercach ludzkich, niema dość ofiar za zwycięstwo.

Poeta rozumiał bowiem dobrze, że odrodzenie narodu musi oprzeć się na odrodzeniu ludzi. W chwili, w której stajemy się jego członkami, musimy być bez słabości, nie możemy poprzestać, jak Anhelli, na czystości ducha, ale potrzeba nam mocy, twardości, wytrwania. Żywotność bije tedy z tragedyi, która jest uwielbieniem mocy, bez której niema zwycięstwa. Myśl poety rozwinęła się w akcji, idea tkwiła w rozwiązaniu tej akcji. A liryzm twórcy objawił się w smutku, objawił się w gniewie czyli w dwóch uczuciach, które tu przeważyły i sprawiły, że język stał się zwycięży i nerwowy, choć miał powagę i majestat tragiczny.

Nikt nie był tu właściwie bohaterem, akcja nie stanowi też przymiotu tragedyi, a jest w niej jednak życie, jest różnaitość, są żywe kontrasty charakterów. Tylko Roza Weneda ma posągowość ajschylosową, która stawia ją nad tym światem nadludzi, podobnych jednak niekiedy i do nas, by przypomnieć litość Lecha nad Lillą albo Gwinony żal za Lechonem. Stanowisko, zajęte przez poetę, dowodzi, że związek jego z narodem stał się nader ścisłym i wyraźnym. Skoro zaznaczył już raz, że jeden z jego bohaterów dawniejszych był rycerzem napowietrznej walki o narodowość, nie mógł zejść ze stanowiska, z którego zwalczał namiętnie wady narodowe, z którego nakreślić miał niebawem obraz idealnej ojczyzny.

TADEUSZ GRABOWSKI.

5 Mart 18. 22.



# Przemiana pierwiastków.

Na samą wzmiankę o „przemianie pierwiastków“ mimowoli uprzytomniamy sobie różne spekulacje alchemiczne. Umysł nowoczesny, tak dumny ze swych zdobyczy naukowych, zdawałoby się już nazawsze wyrugował z dziedziny swych badań poboczne „mrzonki“ i z zupełnym spokojem zaliczał te spekulacje do „mitu.“ W takim stanie rzeczy zrozumiałem jest, że dla większości unysłów, nieprzyjaznym okiem patrzących na podobne „mrzonki“, badania nad „przemianą pierwiastków“ są również nieużyteczne, jak np. badania nad ruchem wiecznym lub kwadraturą koła.

Jednakowoż od niejakiego czasu kwestya ta, na pewien czas pogrzebana, staje się znów palącą; wobec tego nie bez znaczenia może być bliższe zbadanie ruchu naukowego w tym kierunku, tembardziej, że nie można dziś przewidzieć skutków, jakie ewentualnie ruch ten mógłby za sobą pociągnąć; niewiadomo bowiem, czy nie przyczyni się on do wywołania przewrotu w dziedzinie naszych pojęć chemicznych, które jeszcze do niedawna uchodziły za niewzruszone.

Kwestya ta nabiera tem większego znaczenia, że obecnie nie wychodzi z obozu filozofów, którzy za najważniejszy argument przeciw istnieniu różnorodnych pierwiastków uważają dążenie monistyczne rozumującej jaźni. Tym razem myśl ta, poruszona przez badaczy-przyrodników, została sformułowana drogą par excellence doświadczalną.

Przedewszystkiem mam tu na względzie ostatnie doświadczenia o rozpadzie materji, szczególnie zaś nadzwyczaj ciekawe i ważne doświadczenia Ramsay'a z ostatnich lat kilku.

Dla lepszego jednak ocenięcia tych doświadczeń rozpatrzmy próby poprzednie, dążące do wytłómaczenia różnych faktów nie-

zgodnych z istnieniem wielości pierwiastków. W każdym razie fakty te były zbyt słabe i nieliczne, aby mogły stawiać czoło starym teoryom, dopiero odkrycie radioaktywności, a szczególnie ostatnie doświadczenia Ramsay'a, przyszły im z pomocą, dając poniekąd zwycięstwo poglądom odmiennym.

Pojęcie „pierwiastku“ uległo różnym zasadniczym zmianom, zanim otrzymało cechy charakterystyczne, jakie obecnie mu przypisują.

Arystoteles utrzymywał, że tylko 5 pierwiastków: eter, ogień, powietrze, woda i ziemia zasługują na miano ciał prostych, wszelkie zaś inne ciała zaliczać należało do ciał złożonych. Sądził on, że pierwiastki te, oprócz eteru, znajdują się we wszystkich ciałach, są one tam zmieszane i mogą się wzajemnie przekształcać, przemiana ta jednak zachodzi tylko między pierwiastkami przeciwnymi, tak np. ziemia zamienia się w powietrze, woda w ogień.

Teorya tej możliwości przemiany pierwiastków została w następstwie rozciągnięta na ciała wogóle, szczególnie zaś na metale. Wniosek, że jeden pierwiastek może być zamieniony na inny, służył za główną podstawę dla późniejszej alchemii.

Pominąwszy różne szarlatańskie spekulacje, uważać można alchemię za teorię przyrodniczą w celu wyjaśnienia problemu o składzie ciał, o częściach je stanowiących i o przemianie jednych w drugie. Niezależnie od tych roztrząsań teoretycznych mieli alchemicy również na widoku i cele praktyczne, mianowicie usiłowali zamieniać metale nieszlachetne na metale szlachetne, a zwłaszcza bezpośrednio otrzymać złoto i srebro z materiałów mało wartościowych.

Alchemicy, po dokonaniu spostrzeżenia, że mnóstwo minerałów, z których wydobyć mogli siarkę i metale, posiada blask metaliczny, jak np. siarczan żelaza i miedzi, przypuszczali, że i metale są również złożone z siarki i rtęci. Dla nich były to „zasady czyste,“ które nie zostały jeszcze wydobyte, więc też wszystkie usiłowania sztuki alchemicznej były ku temu skierowane, aby je uzyskać. Rtęć czystą, pierwiastek metali, nazwano rtęcią filozofów; ją to właśnie należało odkryć lub przynajmniej jakąś substancję, która, oczyszczając „metale niedoskonałe,“ składające się z siarki i ze zwykłej rtęci, byłaby w stanie zamienić je na srebro lub złoto. Substancya ta otrzymała nazwę „kamienia filozoficznego.“

Teorya alchemików opierała się częściowo na doświadczeniach praktycznych, częściowo zaś wywnioskowano ją z pojęć filozoficznych. Materję i jej własności uważano za byty różne,

te ostatnie uważali alchemicy nawet za substancje osobliwe, które można dodać lub odjąć.

Panowało tutaj niezwykle pomieszanie pojęć, nie miałyby to miejsca w tym stopniu, gdyby alchemicy, zanim pomyśleli o przemianie ciał, ułożyli dla każdego z nich coś w rodzaju wykazu przymiotów, któreby pozwoliły rozpoznać je podług własności, niepodlegających żadnym dyskusjom.

Dopiero chemia nowoczesna wszystkie swoje usiłowania skierowała ku temu, aby dokładnie oznaczyć własności każdego ciała. Zadanie to wymagało dużo wysiłków, porównać je można do pracy, która dopiero dała możność przyrodnikom rozróżnić i klasyfikować gatunki. Rozmyślenia subtelne, polegające na porównywaniu ogromnej ilości zjawisk, doprowadziły chemików do utworzenia dokładnej linii demarkacyjnej między pierwiastkami a ciałami złożonymi. Przedewszystkiem trzeba było wśród mnóstwa własności różnych ciał pominąć te, które są tylko podrzędne. Tak np. kolor, blask, forma, gęstość, które miały ogromne znaczenie u starożytnych, nie mogły jednak służyć do scharakteryzowania ciała chemicznego. W reakcji chemicznej trzeba było odnaleźć kryterium, niepodlegające żadnej dyskusji, oznakę autentyczności każdego rodzaju chemicznego.

Systematyczne badania reakcyj chemicznych, dając nam możność scharakteryzowania rodzajów chemicznych, pozwoliły również dzielić je na dwie grupy. Ciała, które można było otrzymać przy reakcjach syntetycznych, lub które dają przy reakcjach analitycznych mnóstwo innych, zaliczono do ciał złożonych, do pierwiastków zaś te, które dotychczas okazały się odporne na różne usiłowania rozkładu. Nie trzeba jednak zapominać, że wynik ten, oparty wprawdzie na tysiącnych doświadczeniach, jest tylko prowizoryczny.

W obecnym stanie nauki chemicy przyjmują hipotezę, że wszystkie znane nam ciała złożone są ze skupień kilkudziesięciu różnych pierwiastków. Naturalnie, że podobna idea niezmienności takiej ilości pierwiastków nigdy nie mogła przyjść na myśl żadnemu filozofowi starożytnemu, uważałyby je za śmieszna i bezsensowną. Koniecznym było, aby do takiego wyniku zmuszała nas metoda doświadczalna.

Czy w rzeczywistości taka jest ostateczna granica naszych pojęć z doświadczenia? Możemy stanowczo twierdzić, że nie, gdyż w rzeczywistości chemicy zgodzili się na przyjęcie takiej granicy, licząc się z faktami nauki, nie tracąc jednakże nadziei, że w przyszłości uda się ją przekroczyć. Nigdy chemicy, którzy głębiej

zastanawiali się nad tą kwestyą, nie mogli przyjąć istnienia tylu pierwiastków za dogmat niewzruszony, tembardziej, że liczba ich okazuje się zmienną i z każdym niemal rokiem zwiększa się. Rzeczywiście dziwnem nam się wydaje i przeciwnem nawet rozumowi naszemu istnienie takiej ilości pierwiastków. Mimowoli czujemy, że podobna komplikacya ukrywa przed nami niezawodnie jakąś prawdę o wiele prostszą.

Bezwątpienia przyczynia się do tego hipoteza o materji jedynej i pierwotnej, z której to dopiero powstać mogły znane nam obecnie pierwiastki. Hipoteza ta nie przestała nigdy zajmować umysłów i przy każdej sposobności wykazuje całą swoją żywotność.

Filozofowie i fizycy, zgadzając się z Kartezjuszem, chętnie przypuszczają jedność materji, chemicy natomiast byli innego zdania od czasu, gdy Lavoisier odkrył ciała proste czyli pierwiastki.

Dopiero w r. 1815 hipoteza o jedności materji została również wprowadzona do chemii. W tym to roku Gay-Lussac odkrył rodnik cyanowy, składający się z azotu i węgla, który przez swe ogólne własności zbliża się do pierwiastków, należących do grupy chlorowej. Berzeliusowi udało się odosobnić amalgamat amonu i dowieść, że grupa skomplikowana odgrywa rolę rodnika w solach amonowych. Naturalnie, że wykrycie podobnych stosunków między rodnikami a pierwiastkami przyczyniło się do rzucenia pewnych wątpliwości co do prostoty budowy ciał „niezłożonych.“

Jednocześnie chemik angielski, W. Prout, zwolennik hipotezy o jedności materji, próbował dać na to dowód doświadczalny. Porównywuając wagi atomowe pierwiastków, zauważył on, że wyrażają się one przez liczby wielokrotne wagi atomu wodoru, przyjętego za jedność, i wywnioskował stąd, że ciała proste powstały z różnorodnej kondensacyi tego pierwiastka.

W trzydzieści lat później chemik francuski, J. B. Dumas, oznaczając wagę atomową różnych ciał, wykazał, że wagi te nie są zwyczajnemi wielokrotnemi wagi wodoru, lecz że wszystkie są wielokrotne wagi atomowej pewnego nieznanego nam jeszcze ciała; która wynosi czwartą część wagi atomowej wodoru.

W r. 1860 Stass, przystępując do określenia wag atomowych z jeszcze większą ścisłością, doszedł do ostatecznego wniosku, że niema zupełnie żadnego prostego stosunku między wagą atomu wodoru a wagami atomowemi innych metali, i tem samem zupełnie obalił hipotezę Prouta.

Jesteśmy więc znów świadkami, jak narazie przynajmniej rzeczywistość łamie skrzydła fantazyi. Ażeby nanowo wzbić się do lotu potrzebne jej były nadzwyczaj silne bodźce z samego do-

świadczenia wychodzące—tego samego doświadczenia, które przedtem przyczyniło się do jej przytłumienia.

Niżej będziemy mieli sposobność poznać, jakiego rodzaju doświadczenia i roztrząsania naprowadziły znów chemików do rzucenia wątpliwości na niezmienność pierwiastków; jako konsekwencyę tych dociekań uważać należy podjętą przez nich myśl wspólności pochodzenia wszystkich pierwiastków.

W początkach chemii nowoczesnej, kiedy to metody analityczne nie odznaczały się jeszcze zbytnią ścisłością, a różne badania fizyczne, jak spektroskopia, nie były jeszcze znane, można było oddzielić, a zatem i poznać, li tylko ciała o własnościach bardzo wybitnych. Naturalnie, że ciała, poznane przy pomocy tych metod, były zbyt różne, aby można było je zbliżyć ze sobą. W taki sposób powstała doktryna analogiczna do idei, przyjętej w biologii, że rodzaje chemiczne, również jak i rodzaje żyjące, są niezmiennie. Jednak po upływie jakiegoś czasu, dzięki różnym doświadczeniom, biologowie byli zmuszeni zrzec się tej idei o niezmienności rodzajów, natomiast chemicy wciąż jeszcze jej bronili. Tymczasem i w dziedzinie chemii zaczęły się gromadzić różne fakty, wprost wskazujące, że i między rodzajami chemicznymi egzystują niezaprzeczone przejścia. Zauważono, że dosyć znaczna liczba ciał prostych nie przedstawia własności dość wybitnych, któreby pozwoliły je z łatwością oddzielić. Pewne zaś ciała są tak zbliżone do siebie, t. j. posiadają własności tak analogiczne, że żadna reakcja chemiczna niepozwala ich rozróżnić, z tego też powodu były one nam przez dłuższy czas zupełnie nieznanne. Ze znanych ciał prostych przeszło 15 przez swe własności chemiczne są tak podobne do siebie, że bez użycia pewnych metod badania fizycznego (linie widmowe, przewodnictwo elektryczne, ciepło specyficzne) nie można byłoby ich nigdy odróżnić. Są to metale, których tlenki stanowią to, co nazywany zazwyczaj ziemiami rzadkimi. Pozatem różne niedawno temu wykryte fakty wskazują, że najbardziej charakterystyczne gatunki chemiczne, jak np. zwykłe metale, przedstawiają liczne odmiany. Najniezawodniej każdy pierwiastek posiada całą seryę takich odmian o cechach wspólnych, lecz obok tych, istnieją jeszcze inne własności dosyć charakterystyczne, aby można było odmiany te rozpoznać.

Już oddawna chemia miała nieraz sposobność zauważyć ciała, które zdawały się być z natury identyczne, choć różne przez swe własności; nazwała ona te różne odmiany tego samego ciała „ciałami allotropowemi.“ Jeśli nie zaliczyła ich do ciał prostych, to tylko dlatego, że zapomocą różnych odczynników można było za-

wsze je sprowadzić do jednej wspólnej odmiany. Fosfor czerwony zupełnie się różni od fosforu białego, niemniej różni się dyament od węgla; lecz fosfor biały, jak i fosfor czerwony, mogą dać ten sam związek—kwas fosforowy; z węgla i z dyamentu możemy również otrzymać ten sam związek—dwutlenek węgla. Bez tych wspólnych własności nigdy nie myślanoby o zbliżeniu do siebie ciał tak różnych, jak węgiel i dyament, lub fosfor biały i czerwony.

Dopóki odmiany te allotropowe spostrzegano tylko wśród nieznacznej ilości ciał, można było je uważać jako wyjątek, lecz przy czulszych metodach badania okazało się wkrótce, że to, co zaliczano przedtem do wyjątku, przedstawia prawo ogólne.

Znany astronom, Deslandres, przypuszcza, że ogromne różnice, jakie zauważyć można w widmach wielu ciał, np. węgla i azotu, stosownie do temperatury, jakiej podlegają, zależne są od odmian allotropowych tych ciał.

Łatwo również stwierdzić można, że ciała napozór najlepiej określone, jak żelazo i srebro, przedstawiają liczne odmiany allotropowe, które stanowczo pozwalają uważać je jako różne gatunki tego samego rodzaju. Znany już z pół tuzina różnych gatunków żelaza i srebra, mających własności ogromnie wyraźne, a posiadających pewne wspólne reakcyje, dzięki którym brano je jedno za drugie. Prawdopodobnie przy pomocy nowych metod obserwacyjnych liczba tych gatunków znacznie się jeszcze powiększy. Nowsze badania nad metalami koloidalnymi wykazują nawet, że pewne gatunki metaliczne są w stanie przeinaczyć się do tego stopnia, iż tracą całkowicie własności metali, z których pochodzą, zbliżając się bardziej do substancyj organizowanych, niż do metali.

Widzimy więc, że w obecnym stanie nauki zmienność gatunków chemicznych jest dowiedziona, tylko że przy środkach, jakimi obecnie rozporządzamy, stwierdzić ją można tylko w bardzo szczupłych granicach.

Niezależnie od tych spostrzeżeń już dawno uwaga chemików była uderzona ogromną analogią, panującą między pewnymi pierwiastkami. W r. 1850 Dumas, dzięki tym analogiom, ugrupował w pewną rodzinę naturalną fluor, chlor, brom i jod, jak również siarkę, selen, telur. Później zauważono podobną analogię między metalami alkalicznymi, metalami grupy żelaza i t. p.

Nareszcie w r. 1864 otrzymujemy naturalny układ pierwiastków, oparty na prawie peryodyczności, odkrytem przez Newlands'a, Mendelejewa i Lothara Mayera. Badacze ci przedstawili w for-

mie nadzwyczaj dobitnej zależności pierwiastków, na którą już przedtem zwrócili uwagę różni chemicy.

Ten układ peryodyczny pierwiastków przedstawia naturalne ugrupowanie ciał prostych, oparte na tej podstawie, że fizyczne i chemiczne własności zależą od wielkości ciężarów atomowych, a mianowicie są funkcjami peryodycznymi tych ciężarów. Jeżeli wszystkie pierwiastki ugrupujemy w jeden szereg według wzrastających ciężarów atomowych, to przechodząc kolejno od jednego do drugiego, zauważymy, że własności ich zmieniają się zasadniczo od wyrazu do wyrazu, dopóki w pewnych miejscach szeregu nie nastąpi w tem samym znowu kolejnem następstwie powrót mniej więcej analogicznych własności, jakby podobieństw familijnych. Prawdą jest, że w tablicy, przedstawiającej układ peryodyczny pierwiastków, zauważyć możemy sporo miejsc jeszcze pustych, lecz wolno nam przypuścić, że luki te odpowiadają nieznanym jeszcze pierwiastkom, tembardziej, że od czasu ogłoszenia tej tablicy miejsca te zapełniają się powoli, w miarę odkrywania nowych pierwiastków.

Liczne i w części nawet usprawiedliwione krytyki mogą być skierowane przeciw tablicy tych badaczy, niema jednakże dziś chemika, któryby nie przyjął jej za wzór, jakim się kieruje przy grupowaniu najogólniejszych własności materji. Przedstawia nam ona w formie bardzo ścisłej i prostej zależność, która bez kwestyi łączy wszystkie pierwiastki.

Rzecz prosta, że ten naturalny układ pierwiastków silną stanowił podniechę dla myśli o wspólnem pochodzeniu pierwiastków. Byliśmy więc znów świadkami, jak w nowszych czasach znany uczony angielski, Crookes, ponowił próby, aby wszystkie pierwiastki wyprowadzić z jednej wspólnej, hipotetycznej pramateryi, którą nazwał „protylem.“ Do podobnych przypuszczeń naprowadziły badacza tego własne jego doświadczenia nad „yterbem.“ Ciało to do owego czasu było uważane za pierwiastek, dopiero Crookes'owi udało się rozłożyć je aż na sześć nowych ciał. Dochodzi on do wyniku, że tak zwane pierwiastki są to w rzeczywistości ciała złożone. Aby mieć mniej więcej pojęcie o ich powstaniu, proponuje Crookes wyobrazić sobie czas, kiedy to świat widzialny był jeszcze bez formy i pusty, a następnie nadal badać rozwój materji w znanych nam odmianach. Crookes nazywa „protylem“ to, co egzystowało przed naszymi pierwiastkami, przed znaną nam obecnie materją, i przypuszcza w pierwotnej tej materji dążność do skupiania się, która pozwoliła „protylowi“ przemienić się w atomy. Przypuszcza on, że zanim atomy chemiczne

powstały z „protylu“, wszystko było w stanie ultra-gazowym, a dopiero później, kiedy nastąpiło ochłodzenie tego „protylu“ kosmicznego, zjawiała się znana nam obecnie materya i atomy. Pierwszy pierwiastek, zdaniem Crookes'a, z prostoty swej był podobny do samego „protylu“: jest to wodór, który przez pewien czas służył za jedyną formę materyi. Upłynęło dużo czasu między powstaniem wodoru a pierwiastkami późniejszymi. W czasie tym pośrednim proces rozwoju, który przyczyniał się wciąż do powstania nowego pierwiastku, nadał mu również wagę atomową, powinowactwo, jak i położenie chemiczne. Pierwiastki chemiczne różniły się tembardziej między sobą, im więcej czasu dzieliło je w procesie ochłodzenia, podczas którego kształtował się „protyl“; przeciwnie, pierwiastki były do siebie podobne, gdy ochłodzenie następowało prędko i nieregularnie.

Idea o rozwoju pierwiastków w krótkim czasie znalazła poparcie w analizie widmowej. Wzbogaciła ona nas ciekawymi i przychylnych idei tej faktami, których nie można było oczekiwać od analizy chemicznej. Chemicy są w stanie stwierdzić obecnie w gwiazdach istnienie różnych pierwiastków, dobrze znanych na ziemi. Od roku 1859, t. j. od czasu odkrycia Bunsena i Kirchhoffa, ogromna ilość uczonych zajmuje się ściśłem badaniem składu chemicznego słońca i gwiazd, szczególnie doświadczenia Lockyera są pod tym względem nadzwyczaj ciekawe i ważne.

Badacz ten dał niezbite dowody, że w najgorętszych gwiazdach znajduje się bardzo mała liczba pierwiastków chemicznych. O ile przechodzimy do gwiazd zimniejszych, liczba linii widmowych się powiększa, a wraz z nią i liczba pierwiastków chemicznych. W gwiazdach najgorętszych znajduje się pewna postać wodoru, której zupełnie nie znamy na ziemi, pozatem znany nam wodór, magnez i wapń również w formach trudno otrzymywanych na ziemi. W gwiazdach o temperaturze trochę niższej napotykamy również te substancye, jakoteż tlen, azot i węgiel, a w jeszcze zimniejszych krzem. Później następują gwiazdy, w których skonstatować można egzystencję form żelaza, tytanu, miedzi i manganu, które jesteśmy w stanie otrzymać przy najwyższych temperaturach, jakie osiągnąć się dają w laboratorjach. Dopiero zbliżając się do gwiazd o wiele zimniejszych, napotykamy obecność żelaza, wapnia i manganu ze zwykłymi własnościami, jak również i inne metale.

Lockyer przychodzi do wniosku, że wszystkie te ciała, zdaje się, przedstawiają formy utworzone przez obniżenie temperatury i że przy każdym stadyum, w miarę zjawienia się pewnych form



nowych, znikają pewne formy stare. Rozwój ten polegać ma na stopniowej zmianie w składzie zespołów fizycznych, utworzonych z podobnych do siebie cząsteczek przy współudziale elektryczności.

Myśl ta ostatnia pozwala nam zbadać nasz świat materyalny w jego zjawiskach najbardziej zawiłych, utworzony z tej samej materyi, tym samym prawom podlegającej.

Z powyższego wypływa więc, że chemia nowoczesna, dopuszczając nadal pojęcie pierwiastków odrębnych, nie raz jednakże miała sposobność przekonania się o pewnej solidarności między temi ciałami. Dzięki niej, można było uważać przeistaczanie pierwiastków za prawdopodobne, lecz środki, któremi chemia rozporządzała, były niewystarczające, aby stwierdzić je doświadczalnie. Dopiero odkrycie, dotyczące zjawisk radioaktywnych, rozpadu ciał tak zw. prostych, a szczególnie doświadczenia W. Ramsaya zrewolucjonizowały świat naukowy, wykazując możebność prawdziwego przeistaczania pierwiastków, i skłoniły do ponownego przyjęcia teorii jednościowej nadając jej, naturalnie, nową formę, nadzwyczaj ścisłą i płodną.

Dla wytlómaczenia tych wszystkich zjawisk zbudowana została tak zwana teoria elektronów, która posiada tę nieporównaną zaletę, że pozwala ugrupować w jedną hipotezę większość zdobytych faktów naukowych i zdać sobie sprawę z najważniejszych własności fizycznych materyi. Teoria elektronów opiera się na przypuszczeniu, wypowiedzianem w swoim czasie jeszcze przez Helmholtza. W r. 1892 słynny uczony leydejski, Lorentz, opracował teorię, polegającą na atomistycznej budowie elektryczności. W tej teorii elektronem nazywa się najdrobniejsza, niepodzielna ilość elektryczności, której wymiar jest niezmiernie mały w porównaniu z wymiarem atomu. Atom elektryczny nie jest swobodnym ładunkiem, lecz należy wyobrazić go sobie, jako znajdujący się w zespoleniu z masą; zaś masa elektronu, jak to odpowiednio wykazują pomiary, stanowi w przybliżeniu dwutysięczną część masy atomu wodoru. Elektron uważać by więc należało za najmniejszą elementarną ilość materyi, za „praatom“ materyalny, zespolony z elementarną ilością elektryczności. Elektrony bywają dodatnie i odjemne, jest to jedyna różnica, jaka pomiędzy nimi zachodzi, bo zresztą, co do masy swej, ładunku i innych własności są absolutnie do siebie podobne. W myśl tej hipotezy znikają więc różnice jakościowe pomiędzy materyą różnych pierwiastków, „atomy“ byłyby skupieniami jednakowych elektronów; różnice pomiędzy atomami pierwiastków byłyby tylko ilościowe,

polegałyby na rozmaitej ilości, a może i różnorodnym ugrupowaniu elektronów.

Taki pogląd na atom naprowadza nas znów na myśl o zmienności pierwiastków, o możliwości przemiany jednych na drugie. Niżej zobaczymy, że doświadczenie najzupełniej stwierdziło to przypuszczenie.

W r. 1896 przy poszukiwaniach źródeł promieni roentgenowskich, spostrzeżono, że sole uranowe wydają niewidzialne promienie, posiadające własność oddziaływania na płytę fotograficzną. Wywoływały też one świecenie się kryształów cyanku platynobarowego, a w szczególności były w stanie z odległości szybko wyładowywać naładowany elektroskop, t. j. nadawać powietrzu własność przewodnictwa elektrycznego. Tym sposobem zauważono, że rudy uranowe działają na elektroskop listkowy i przytem w stopniu wyższym, aniżeli można byłoby się spodziewać, sądząc z zawartości w nich uranu. Promienie niewidzialne nazwane zostały przez ich wynalazcę „uranowemi,” a przez innych fizyków i chemików promieniami Becquerela. Okazało się, że są one podobne do obu rodzajów promieni, powstających z energii elektrycznej w rurkach Crookes'a, t. j. katodalnych i roentgenowskich, posiadających z nimi wiele cech wspólnych. Wynikiem dalszych poszukiwań w tym kierunku było odkrycie, dokonane w r. 1898 prawie jednocześnie i zupełnie od siebie niezależnie przez panią Skłodowską-Curie i p. Schmidt, że tę samą własność promieniotworzenia posiada pierwiastek metaliczny „tor“ i jego związki. W grudniu zaś r. 1898 udało się p. Skłodowskiej-Curie wspólnie z p. Curie odkryć „rad“ i „polon,” a wkrótce potem pan Debierne odkrył „aktyn.“

Dotychczas dla „radu“ tylko udało się z całą pewnością stwierdzić, że jest on w istocie nowym pierwiastkiem; za moment rozstrzygający służyła jedynie analiza widmowa. Przedewszystkiem zauważono, że sole radu świecą same przez się, świecą światłem samoistnem, znikąd niezapożyczonem. P.p. Curie stwierdzili również, że są one źródłem samoistnego i nieprzerwanego wytwarzania energii cieplnej. Promienie Becquerela, przez „rad“ wydzielane, nie są jednolite, składają się one z trzech odmiennych grup, które na wniosek Ruthforda oznaczone zostały pierwszemi literami alfabetu greckiego:  $\alpha$ ,  $\beta$ ,  $\gamma$ ; rozdzielenie tych 3 rodzajów promieni skutecznic się daje przez działanie pola magnetycznego. Z pośród promieni radu jedynie grupa  $\gamma$  zdaje się polegać na pewnych wstrząśnieniach eteru; natomiast promienie  $\alpha$  i  $\beta$  nie są promieniami w potocznem znaczeniu, gdyż istotę ich stanowi nie

eter, lecz materya w stanie niezwykłego rozdrobnienia, nazwać je można promieniami elektrycznymi, ponieważ obdarzone są pociskami elektryczności. Promienie  $\beta$  wskazują nam, że są złożone z pocisków materyalnych, naładowanych elektrycznością ujemną, chyżość ich dorównywa prawie prędkości światła. Promienie  $\alpha$  zaś naładowane są elektrycznością dodatnią, jednakże odnośne pociski są daleko większe, aniżeli w promieniach  $\beta$ , wielkością swą zbliżają się do wielkości atomu, natomiast szybkość ich jest znacznie mniejsza, wynosi ona w przybliżeniu 20-tą część szybkości światła.

Już powyżej wymienione własności radu są nadzwyczaj ważne, żadna z nich nie nabrała jednakże tego znaczenia dla faktu przeistaczania się pierwiastków, jak badania nad zjawiskami tak zwanej wzbudzonej promieniotwórczości, jednej z najciekawszych i w skutkach swych najdonioślejszych cech radu i innych ciał radioaktywnych.

Zjawisko to, odkryte również przez p.p. Curie, polega na tem, że wszystkie ciała, z natury swej nieczynne, znajdując się w sąsiedztwie lub w zetknięciu z solą radu, aktywnu lub toru, stają się po pewnym czasie promieniotwórcze, t. j. nabierają własności wysyłania z siebie promieni Becquerela. Różnica polega tylko na tem, że promieniotwórczość wzbudzona nie jest cechą stałą tych ciał, zanika ona stopniowo po usunięciu ich z pod wpływu ciała aktywującego. Bliższe badania w tym kierunku dały wyniki wielce niespodziewane i mają ogromną doniosłość dla zrozumienia istoty promieniotwórczości wogóle. Okazało się, że przyczyną promieniotwórczości wzbudzonej nie są promienie Becquerela, lecz jakiś inny czynnik, niezdolny do przenikania przez ścianki naczynia. Rutheford objaśnia zjawisko to w następujący sposób: rad, tor i aktyn wydzielają z siebie jakąś promieniotwórczą substancję materyalną, posiadającą cechy ciała gazowego, nazwaną przez niego „emanacją“; odrywając się od ciał promieniotwórczych, „emanacja“ miesza się z powietrzem otaczającym i nadaje mu przez to własności promieniotwórcze. Przenikając drogą dyfuzji przez otaczające powietrze, osadza się ona na napotykanym ciałach stałych i nadaje im również własność wydzielania przez czas pewien promieni Becquerela. To wytłómaczenie Rutheforda przestało być hipotezą w chwili, gdy udało się Ramsay'owi i Soddy'emu zebrać „emanację“ radu, izolować ją i poddać bliższym badaniom. Okazało się, że „emanacja“ jest to prawdziwy gaz, podlegający prawom Mariotta, który w pewnych razach daje się zgęszczać za pomocą płynnego powietrza.

Gaz emanacyjny odznacza się, jak to stwierdzili Rutheford, Soddy i Ramsay, zupełną bezwładnością chemiczną; z tego też powodu Ramsay uważa go jako gaz prosty, który w układzie peryodycznym zajmuje miejsce pod ksenonem.

Analogicznego faktu jeszcze nie napotkaliśmy w dziejach chemii: rad, ciało wykazujące cechy nader charakterystyczne pierwiastku przez swe widmo i ogół swych własności chemicznych, rozkłada się spontanicznie na inne ciało, które również jest proste. Jeżeli liczby, otrzymane drogą pomiarów ścisłych, odpowiadają istotnej szybkości tego przekształcenia, to każdy gram radu dałby rocznie miligram emanacji, czyli całkowite przeistaczanie zakończyłoby się po upływie kilku tysięcy lat.

Lecz na tem nie kończą się jeszcze różne komplikacje, jakie przedstawiają te ciała radioaktywne. Okazało się, że emanacja toru rozkłada się ze swej strony w krótkim czasie, dając ciało stałe „tor-A,“ które daje się scharakteryzować przez właściwe mu prawo zaniku energii promieniotwórczej, dające się stwierdzić za pomocą elektroskopu. Skonstatowano aż 8 rozmaitych produktów rozkładu toru, z których każdy jest ściśle określony przez stałą zaniku promieniotwórczości w czasie oraz rodzaj wysyłania promieni. Zauważono również, że rozkład atomu uranu przechodzi przez kilka faz, a pomiędzy produktami rozkładu tego znalazły się znane już ciała.

Wreszcie w r. 1903 Ramsay i Soddy spostrzegli, że między radioaktywnymi produktami przemiany znajduje się ciało, którego zjawienie się niezwykle zainteresowało cały świat naukowy. Za pomocą analizy widmowej stwierdzili ci badacze, że z emanacji radu wytwarza się powoli dobrze znany „hel.“ Naturalnie, że taki zupełnie nieoczekiwany rezultat mógł być przyjęty dopiero po dokładnem zbadaniu tego zjawiska i potwierdzeniu przez innych uczonych. Wkrótce potem różni badacze we Francji i w Niemczech, między innymi również i p.p. Curie, mogli skonstatować, że nie tylko rad, lecz tor i aktyn przekształcają się za pośrednictwem emanacji ostatecznie w „hel.“ Zresztą fakt ten w zupełności się zgadza z temi wiadomościami, jakie posiadamy co do pochodzenia helu na ziemi: gaz ten znajduje się zawsze w minerałach radonośnych; skonstatowano również jego obecność w gazach, wydzielających się ze źródeł mineralnych, które najniezawodniej są w styczności z tymi minerałami. Rozwój ten rozpadu radu jest nieunikniony, nie jesteśmy w stanie ani przyspieszyć go, ani zwolnić, a jeszcze mniej jesteśmy w stanie odwrócić to zjawisko, t. j. otrzymać z helu emanację lub rad.

Dalsze doświadczenia Ramsay'a w tym kierunku wykazały, że emanacja przeistacza się spontanicznie w hel li-tylko wtedy, jeżeli to ciało znajduje się w stanie zupełnie czystym i odosobnionym. Natomiast jeżeli tę samą emanację w obecności małej ilości wody umieścimy w szklanej ampułce, spostrzegamy podwójne zjawisko. Po pierwsze stopniowy rozkład wody na swe części składowe, po wtóre analiza widmowa gazów, wytwarzanych podczas tego procesu, wykazała, że hel wytwarza się tutaj tylko w nieznaczonej ilości, natomiast znajdujemy dużo neonu, gazu, należącego do tej samej grupy co hel, a którego atom jest pięć razy cięższy od atomu helu. O ile emanacja ta znajduje się w zetknięciu z roztworem siarczanu lub azotanu miedzi nie wytwarza się ani hel, ani neon, lecz wyłącznie argon, gaz o wiele cięższy, niż poprzedni, należący jednakowoż do tej samej rodziny. Jednocześnie w płynie znajdujemy, oprócz niezmienionej soli miedzianej, dosyć znaczną ilość soli sodowej i wyraźne ślady litu. To ostatnie doświadczenie było powtórzone cztery razy zawsze z tym samym wynikiem. Obecność sodu jest zjawiskiem zwykłym: płyn, który znajduje się w szklanej ampułce, zawiera często ślady sodu. Natomiast obecność litu nie możemy sobie inaczej wytlómaczyć, jak przeistaczaniem miedzi w lit. Jeszcze jedno doświadczenie tego rodzaju, stwierdzone kilkakrotnie, zasługuje na wzmiankę. W gazach, wydzielających się spontanicznie z kwaśnego roztworu azotanu toru, wykazał Ramsay obecność bezwodnika węglowego: węgiel zjawia się więc tutaj jako pierwiastek nowy.

Na mocy tych ostatnich doświadczeń Ramsay dochodzi do wniosku, że rozpad emanacji następuje stopniowo: spontanicznie lub w obecności tlenu lub wodoru rozpad jest zupełny i kończy się na helu; w obecności molekułów cięższych (woda) rozpad emanacji zatrzymuje się na drugim szeregu, neonie; w obecności molekułów jeszcze cięższych i więcej skomplikowanych (azotan miedzi) rozpad ten ustaje już przy trzecim szeregu, argonie. Z drugiej zaś strony, podług Ramsaya, rozpad obcego pierwiastku w obecności emanacji następuje również stopniowo, dając po kolei różne szeregi rodziny, do której należy dany pierwiastek, aż ostatecznie kończy się przy pierwszym szeregu; powstanie litu z miedzi i węgla z toru może służyć za dowód tego. Nie ulega kwestyi, że podobny wniosek może być przyjęty, zdaniem samego Ramsay'a, jako pierwsza, niezupełna jeszcze, przybliżona próba wytlómaczenia tych nowych faktów.

Dalsze odkrycia w tym kierunku, zdaniem Ramsay'a, są w ściślejszej zależności od możliwości otrzymania większej koncentracji

energii. Ostwald również utrzymuje, że nieumiejętność nasza przekształcania pierwiastków polega li na tem, że nie jesteśmy w stanie otrzymać niezbędnej koncentracji energii. Historia nauki wykazuje, że dużo prawdy tkwi w podobnem przypuszczeniu, gdyż zazwyczaj wyosobnienie jakiegoś pierwiastku jest wynikiem ześrodkowania znacznej ilości energii; jako przykład posłużyć może odkrycie metali alkalicznych przez Davy'ego, ostatnio zaś odkrycia Ramsay'a.

Doświadczenia te przyczyniły się do głębokiej zmiany pojęcia, jakie sobie tworzymy o ciałach prostych. Teraz, gdy jesteśmy świadkami tworzenia się helu, możemy być pewni, że przeistaczanie pierwiastków istotnie się odbywa, że zatem zdanie Stassa o nierozkładalności ciał prostych obecnie uważać należy za zbyt bezwzględne. Prawdą jest, że możemy działać na pierwiastki tylko w jednym kierunku, przechodząc z najcięższych atomów do najlżejszych; zawsze łatwiej było zburzyć coś, jak na nowo zbudować, z ogromnej ilości energii, niezbędnej do zburzenia, możemy sądzić o tem, jak wielka musi być energia, aby działać w odwrotnym kierunku.

W każdym razie tworzenie się jednego pierwiastku z drugiego jest niezaprzeczenie najbardziej uderzającym odkryciem chemicznem, jakie uczyniono od czasu zbadania procesu palenia. Jeżeli bowiem dotąd „pierwiastkami“ nazywano z pewną ostrożnością ciała nie rozłożone dotąd, bynajmniej nie niedające się rozłożyć, a niejednokrotnie wypowiedziano pogląd, iż atomy nie należy uważać za ostateczną granicę podziału materji, lecz za skupienia jeszcze mniejszych cząsteczek „pra-pierwiastku,“ to jednakże nikt się nie spodziewał, iżbyśmy mogli doświadczalnie stwierdzić wzajemne przeobrażanie się naszych starych pierwiastków, uważanych od dawna za niezmiennie. Ostatnie doświadczenia wykazują, że „mrzonki“ alchemików o przeistaczaniu pierwiastków były znacznie zbliżone do rzeczywistości, aniżeli skłonni byliśmy dotychczas przypuścić. Usiłowania alchemików skierowane były ku przeistaczaniu nieszlachetnych metali na szlachetne; ciała radioaktywne wykazują nam, że gdyby nawet proces ten w zupełności się udał, otrzymalibyśmy tutaj tak znaczną ilość energii, że w porównaniu z nią wartość otrzymanego metalu szlachetnego byłaby nieznaczną, lub przeciwnie znaczne koszta energii wpłynęłyby na to, że uszlachetnienie metali praktycznie nie miałyby żadnej wartości.

Sama myśl o przemianie rtęci lub ołowiu w złoto wydaje się nam dlatego śmieszna, że uważamy te metale za ciała pro-

ste, pierwiastki. Nie możemy jednak mieć tej pewności, że w niedalekiej przyszłości nasze pojęcia pod tym względem będą zupełnie zmienione. Już nawet obecnie, opierając się na dotychczasowych doświadczeniach w dziedzinie ciał radioaktywnych, powinniśmy przypuścić, że chemiczne pierwiastki wytwarzają się z różnorodnych ugrupowań elektronów, że z niezliczonych możliwych ugrupowań tylko ograniczona liczba jest o tyle stała, aby powstać mogła w większych ilościach; te właśnie stałe ugrupowania elektronów byłyby w myśli tej hipotezy znanymi nam dzisiaj pierwiastkami chemicznymi. Prawdopodobnem jest, że jeżeli uda nam się rozłożyć atom, będziemy mogli również go odbudować; nie tylko można będzie wtedy otrzymać z jednego pierwiastku drugi już nam znany pierwiastek, lecz również jeszcze dotychczas nam nieznanne pierwiastki, które zajmą istniejące luki w tablicy Mendelejewa.

Trzeba jednak mieć zawsze na uwadze, że teoria elektronów, również jak i wszelkie teorie naukowe, są to tylko pewnego rodzaju syntezy, starają się one ugrupować pewne fakty w jedną hipotezę, której konsekwencye są później analizowane. Późniejsze fakty mogą powiększyć, lub zmniejszyć prawdopodobieństwo teorii, którą jednak zachowujemy nawet w ostatnim wypadku, jeżeli wydaje się nam wygodniejszą i na razie nie możemy znaleźć innej, któraby ją zastąpiła.

Na szczególną uwagę jednak zasługuje ten doniosły fakt, że w teorii elektronów odżywają idee, wygłaszane już niegdyś przez starożytnych Greków.

Jeszcze 1,500 lat temu symbolem, za którego pomocą Grecy przedstawiali sobie materię, jak to wykazał Berthelot, był wąż zwinięty w koło i trzymający w paszczy ogon, w pośrodku zaś był napis  $\epsilon\nu\ \tau\omicron\ \pi\alpha\nu$ .

Śmiały polot myśli jońskich filozofów nie mógł się zatrzymać na przyjęciu mnogości pierwiastków niezniszczalnych; duch grecki znalazł zaspokojenie wtedy, gdy udało mu się zawrzeć pozorną rozmaitość materii w symbolu, jakim było pojęcie jedyne pierwiastku. Jesteśmy tutaj świadkami, jak brak doświadczenia był w tym wypadku matką mądrości. Powstały popęd do ujednostajnienia materii kroczył od nieskończonej obfitości pierwiastków do ograniczonej ilości, od tej zaś do jedności, nie będąc wcale tamowany na swej drodze przez fakty, któreby świadczyły na niekorzyść tego kierunku. Znajdujemy więc u tych mędrców rozumowanie, które teraz znów przebłyskuje w obecnej dojrzałej

nauce naturalnie po przewycięzeniu niezliczonych trudności. Wprawdzie od czasów starożytnych aż po dzień dzisiejszy nigdy w zupełności nas nie opuszczała myśl o ciągłym rozwoju materii, lecz nauki doświadczalne nie mogły do niedawna jeszcze wykazać żadnych choćby w przybliżeniu odpowiednich faktów. Zrozumiałem więc jest to szczególne znaczenie, jakie zwolennicy teorii jednościowej przypisują tym ostatnim wynikom nauki doświadczalnej.

D-R I. SZRETER.

1. ar. 2. 30



## ŻYDZI W ROKU 1812.

Stosunek Żydów do Napoleona, do Księstwa Warszawskiego wogóle, a do wojny 1812 roku w szczególności, jest to przedmiot, zasługujący ze wszech miar na uwagę z głębszego stanowiska historyczno-politycznego. W rzeczy samej, chodzi tutaj o jeden z przełomowych momentów dziejowych w dobie porozbiorowej, kiedy sprawa restytucji Polski w najszerszym zakresie pod egidą napoleońską, pod hasłem Konfederacji Generalnej Królestwa Polskiego, a pod znakiem wielkiej polsko-francuskiej wyprawy do Moskwy zdawała się dochodzić do bezpośredniego urzeczywistnienia. Owóż stanowisko, jakie wobec podobnego przełomowego przesilenia sprawy polskiej zajęła podówczas masa ludności żydowskiej w Polsce, posiada znaczenie nauczające dla zrozumienia zarówno samego przebiegu wypadków ówczesnych, jako też dla oceny dalszego rozwoju stosunków pomiędzy ludnością żydowską na ziemiach polskich, a Polską i sprawą polską we wszystkich następnych stadyach doby porozbiorowej.

Ten tak interesujący przedmiot: zachowanie się ludności żydowskiej względem losów Księstwa Warszawskiego i wojny 1812 roku, oraz przyczyny takiej a nie innej podówczas orientacji tej ludności w wielkim zatargu polityczno-wojennym pomiędzy Księstwem Warszawskim, sprzymierzonym z Napoleonem I, a Rosją Aleksandra I, pozostał dotychczas niezbadany należycie. Z jednej strony, według ustalonej tradycji, opartej zresztą na pewnych poważnych źródłach, wiadomo, że Żydzi z radością witali Napoleona i powstanie Księstwa Warszawskiego. Nawet znacznie wcześniej w dobie formowania się legionów, już w roku 1798 Żydzi na Litwie — jak zawiadamiał dwór petersburski generał-gubernator Fryzel — „urządzają tajemne obrady, szkodliwe dla

Rosyi, a przyjazne Francuzom“<sup>1)</sup>. Z końcem 1806 roku, po bitwie jenajskiej Żydzi z Poznania i innych miast dzielnicy pruskiej świętowali uroczystie dzień przybycia Napoleona. Wkrótce potem, w początku 1807 r. przybyła do Warszawy deputacya żydowska, na której czele stał słynny rabin z Poznania, Akiba Eiger i zwróciła się do władz tymczasowych warszawskich polsko-francuskich z prośbą o pociągnięcie Żydów do służby wojskowej. Ta ostatnia, zgoła nieznaną dotychczas okoliczność, musi się wydać szczególnie ciekawą, wprost uderzającą, wobec stałej jak wiadomo, nader usilnej tendencyi Żydów do uchylania się od rekrutacyi, tyleż z obawy przed ciężarami i niebezpieczeństwem, związanem ze służbą wojskową, ile również, a nawet głównie z obawy przed nieuniknionem dla żołnierza pogwałceniem przepisów rytualno-religijnych. To też i przedtem, za czasów Rzpltej polskiej, i następnie w dobie Królestwa Kongresowego, Żydzi polscy nie zaniedbywali wszelakich sposobów i wpływów, trafiając aż do Sejmu, króla i W. Księcia Konstantego, i nie żałowali znacznych ofiar pieniężnych tytułem wykupu rekrutacyjnego dla całej ludności żydowskiej, byle tylko od powinności wojskowej się uwolnić, co istotnie przyznaniem i zachowaniem im zostało. Tembardziej przeto zastanawiającym wydać się musi fakt, że w niniejszej właśnie chwili pojawienia się Napoleona na ziemi polskiej i wyzwolenia tej ziemi z pod obcego panowania, o pociągnięcie do tej, będącej dla nich takim postrachem, powinności mogli dopraszać się ortodoksyjni Żydzi polscy, z jedną z najwybitniejszych swoich głów rabinicznych na czele, jakkolwiek wtedy, pośrodku toczącej się wojny, chodziło tu o zaciągnięcie się do szeregów, idących bezpośrednio na odbywającą się kampanię. Wnioskowaćby więc stąd można, że Żydzi zrozumieli doniosłość rozpoczętej walki, że przewidywali sukces sprawy polskiej popartej potęgą zwycięskiego napoleońskiego oręża i że zdawali sobie sprawę, iż jedynie uczestnicząc w tej walce, w jej ciężarach i ryzyku po stronie polsko-francuskiej, dobić się mogą dla siebie stosownego udziału w prawach obywatelskich w rodzącem się Księstwie Warszawskim. Jednakowoż pociągnięcie ludności żydowskiej do rekrutacyi na ogólnych zasadach w wojsku Księstwa, dla rozlicznych powodów uskutecznione nie zostało. Nie przeskodziło to atoli najlepszym stosunkom pomiędzy tą ludnością

---

<sup>1)</sup> Por. drugie akad. wydanie Dierżawina, tom VI, str. 708. Petersburg, 1876.

a wodzem naczelnym armii Księstwa. W 1812 roku Żydzi warszawscy w piśmie zbiorowem wyrażali swoje życzenia ks. Józefowi Poniatowskiemu, z powodu jego imienin, i otrzymali od niego nader łaskawą i życzliwą odpowiedź.<sup>1)</sup>

Z drugiej jednak strony mamy pod tym względem wręcz przeciwnie wiadomości. W korespondencji sztabowej rosyjskiej spotykamy pełno wzmianek o szpiegach Żydach w ostatnich mianowicie latach Księstwa Warszawskiego oraz 1812 roku.<sup>2)</sup> Rzecz godna uwagi, że są to szpiegowie odrębnego zgoła charakteru, ofiarujący mianowicie swoje usługi Rosyi nietylko za samą zapłatę pieniężną, lecz jakgdyby pod jakimś szczególnym naciskiem moralnym. Jeden z nich np., niejaki Halpern z Białegostoku, szanowany tam obywatel żydowski, zostaje obdarzony drogocennym pierścieniem od samego cesarza Aleksandra, a więc upominkiem nigdy nie udzielanym zwyczajnym szpiegom, za swoje bezinteresowne informacje. Inne źródła współczesne również stwierdzają pewną zasadniczą, powszechną nieżyczliwość Żydów dla sprawy polskiej i oddanie się ich sprawie rosyjskiej. Jest to znowu ze wszechmiar zastanawiające, gdyż znajduje się w uderzającej sprzeczności z tą piękną tradycją o sympatycznym zachowaniu się właśnie Żydów litewskich, uosobionem w postaci Mickiewiczowskiego Jankiela, będącego wprost przeciwnie: tajnym agentem wojskowym polsko-francuskim w przeddzień wyprawy na Moskwę.

To mianowicie niewątpliwe zjawisko, że Żydzi na Litwie w okresie 1812 roku istotnie oddawali się na usługi władzom wojskowym rosyjskim, bywało też tłumaczone w rozmaity sposób i to zupełnie hipotetycznie i dowolnie, bez istotnej znajomości rzeczy, przez takie naprzykład przypuszczenia, jakoby pobudkę stanowiła tutaj wygodniejsza sytuacja ówczesna Żydów pod rządem pruskim (!)<sup>3)</sup> Wszelkie takie próby wyjaśnienia nie mają oczywiście żadnej realnej podstawy i polegają na zupełnej nieznajomości rzeczywistych, konkretnych pobudek tego zjawiska.

1) Por.: Szymon Askenazy, „Książę Józef Poniatowski“ (2-c wyd. Warszawa, 1910). Inne źródła, dotyczące podanych tu szczegółów, a zwłaszcza w nader ciekawej sprawie zażądania Żydów, aby ich pociągnięto do służby wojskowej, będą wymienione na innym miejscu.

2) „Wojna 1812 goda. Prigotowlenije k wojnie.“ T. I—X. (Petersburg. Izdanie Gławnaho Sztaba,“ 1907 i nast.).

3) Tokarz w „Kwartalniku historycznym“ Lwów, 1902.

Tych konkretnych pobudek należy szukać w dziedzinie zagadnień dotychczas dla historii tej doby niemal zupełnie nieprzystępnych, tkwiących bowiem w *internach* ówczesnych stosunków żydowskich wogóle, a umiejętnego wyzyskania tych stosunków przez rząd rosyjski w szczególności. Wchodzą tu w grę wpływy pewnych kierowników ówczesnego żydostwa polskiego, będące dotychczas zgoła poza obrębem dziedziny naukowego opracowania ówczesnych dziejów polskich.

Taką mianowicie postacią kierowniczą, jedną z najwydatniejszych, działaczem, który wyobrażał tę potęgę niewiadomą, jaka pod wpływem rosyjskim potrafiła w owej dobie oderwać w niejkiej mierze jednym zamachem znaczną część żydostwa polskiego od sprawy polskiej i oddać ją na usługi sprawy rosyjskiej, był człowiek, którego nazwisko, słynne po dziś dzień, po upływie stulecia wśród ciemnych mas żydowskich jest jednak zupełnie nieznanie w historyografii polskiej — wielki cadyk z Ładów, Szejner Zelman Boruchowicz, po raz pierwszy wspomniany przez prof. Askenazego w jednej z jego ostatnich prac, ogłoszonych na tem miejscu.<sup>1)</sup> Bliższe zapoznanie się z tą osobliwą postacią okazuje się nieodzownem dla należytego wyświetlenia samej roztrząsanej tu kwestyi o zachowaniu się Żydów polskich w 1812 r., a zarazem spływa stąd nieco światła do tego dziwnego, podziemnego, całkiem odrębnego i jakgdyby zamkniętego w sobie świata, jaki przedstawiała podówczas, a poniekąd przedstawia i podziśdzień, ogromna masa ludności żydowskiej, żyjąca od tyłu wieków na ziemi i pośrodku społeczności polskiej, a jednak niemal w zupełności od niej odcięta i przed nią ukryta. Tym sposobem szczegóły, dotyczące życia i działalności tego dziwnego „świętego,“ ciemnego litewsko-żydowskiego „cadyka“ nabierają poniekąd znaczenia pod względem historyczno-politycznym i historyczno-kulturalnym.

Szejner Zelman urodził się w r. 1748 w miasteczku Łożno, w pobliżu Mohilewa, jako syn rodziców średniozamożnych. Ojciec jego był typem dawnego polskiego Żyda, dla którego dom własny i synagoga stanowiły świat cały. Na starość doczekał się dwóch synów, jednego Szejnera, a drugiego Jehuda Lejba. Pobożny Boruch dał synom swoim zwykłe ówczesnym Żydom wychowanie: posyłał ich do chederu, gdzie po całych dniach cwi-

<sup>1)</sup> „Pierwszy syonista polski,“ „Bibl. Warsz.“ (1908). Por.: „Dwa Stulecia,“ II (Warszawa) 1910.

czyli się w biblii, talmudzie i komentarzach. Już w młodym wieku Szejner Zelman zwrócił na siebie ogólną uwagę współwyznawców swoimi zdolnościami i pilnem studyowaniem talmudu. Całą też młodość spędził nad literaturą talmudyczną, póki nie umiał jej prawie całej na pamięć. Gdy miał lat piętnaście, odu marł go ojciec, nie pozostawiając żadnego majątku. Cierpiał tedy Szejner Zelman straszną nędzę: sypiał w synagodze na gołych deskach i żył o proszonym chlebie. W 1766 r. znalazł się wreszcie pewien zamożny Żyd w Witebsku, który wziął młodego talmudystę do siebie i dał mu córkę swoją za żonę. Z niewiadomych jednak przyczyn Szejner jeszcze tego samego roku porzucił żonę i uciekł z domu teścia.

Działo się to w czasach, gdy wśród Żydów powstała i krzewiła się sekta zwolenników chasydyzmu, których ideałem było obalenie w świecie żydowskim wszechwładzy talmudu i zastąpienie go kabałą. Ta ostatnia, wedle ich teorii, jest dostępna tylko dla wybranych, którzy posiadają nieograniczoną władzę tak na ziemi, jak i na niebie, i „narzucają swoją wolę samemu Panu Bogu.“ Oni też muszą być czczeni, a przedewszystkiem utrzymywani materyalnie przez zwykłych śmiertelników. Pamiętać należy, że młodość Szejnera przypadła w lat kilka po zgonie twórcy chasydyzmu Izraela Bołszema (1760 r.), a przewodnictwo nad chasydami objął po nim magid Ber z Międzyrzecza. Około tego ostatniego grupowała się obecnie wybitna młodzież chasydska, rzekomo dla studyowania kabały i służby Bożej; musiała stale bywać przy magidzie i asystować mu przy modlitwie, jedzeniu, spacerze, aby nauczyć się od niego, jak należy traktować w życiu najmniejszą nawet drobnostkę. Z grona tej właśnie młodzieży wychodzili potem najgłośniejsi cadykowie, rozproszeni później po całej Polsce.

Oprócz tego był dom magida otwarty dla wszystkich nabożnych w celu propagandy chasydyzmu; skupiali się w nim przybłądy różnego rodzaju, a przedewszystkiem ludzie bezdomni, w rodzaju sierot, lub młodych ludzi, ożenionych wbrew swojej woli, zbiegli następnie z pod teściowego dachu, co w świecie żydowskim było rzeczą dość zwyczajną i traktowaną z wysoką wyrozumiałością. Do tego domu zabłąkał się też młody Szejner Zelman. Oczywiście dziwaczne to środowisko miało wszelkie dane, aby zwabić do siebie umysł młodzieńca. Dotychczas znał on życie jedynie ze strony suchego, kępującego różnymi przepisami talmudu, tu zaś było królestwo kabały, nie liczone się z przepisami talmudu, lecz pędzono życie wesoło i gwarnie. Z początku

Sznejer Zelman nie zwracał na siebie uwagi, nie mógł bowiem imponować tu swoją znajomością talmudu, tembardziej, że jeszcze nie znał kabały, co w otoczeniu magida było wielkim brakiem. Reputacya jego była podobno narażona także przez pewną wydarzoną w karczmie pod Międzyrzecem niefortunną przygodę miłosną, wytykaną mu później przez przeciwników, a oczywiście zawzięcie zaprzeczaną przez późniejszych hagiografów. Wskutek tych okoliczności Sznejer Zelman był w początku pobytu swego u magida używany do różnych posyłek, poprostu zastępował służącego. Pocichu zaczął się jednak zajmować kabałą, w której uczynił wkrótce nadzwyczajne postępy. Obdarzony niezwykłą pamięcią, umiał dosłownie powtarzać przed chasydami mowy, wygłaszane przez magida przy jedzeniu, modlitwie etc., które posiadały dla chasydów nieocenioną wartość, gdyż wychodziły z ust świętego cadyka. Ta okoliczność znacznie poprawiła położenie Sznejera, który odtąd zostaje przyjęty do grona najbliższych uczniów magida. Sam Sznejer Zelman oprócz przyrodzonych zdolności posiadał niemniejszą dozę chytryści i sprytu, umiał się nadewszystko wkładać w serca ludzkie; był nadto młodzieńcem przystojnym, o wielkich, czarnych oczach, o ostrych rysach twarzy, o wyglądzie nad wiek poważnym. Największym dla niego atutem było zbliżenie się do magida, który począł niebawem wyróżniać go z pomiędzy uczniów, co, jak później się okazało, było największem marzeniem Sznejera. Wtedy też niewątpliwie zrodziło się w jego głowie pragnienie władzy; zbliżka przypatrywał się wielkiemu wpływowi magida na chasydów, a dobrze wiedział o sobie, że przewyższa wiedzą kabalistyczną nie tylko swoich kolegów, lecz nawet samego mistrza. Był jednak za mądry, aby zwierzyć się komukolwiek ze swojemi myślami, ukrył je w sobie aż do odpowiedniejszej chwili.

W 1778 roku umarł magid z Międzyrzeca, nie mianując po sobie następcy; wysunęło się tedy na pierwszy plan pytanie, kogo obrać za przewodnika chasydyzmu? Pretendentów było mnóstwo: był starzec Meuachem Mendel z Witebska, był Abram z Koliska, był Lewi Icchok z Berdyczowa, słynny „obronca Żydów przed Bogiem,“ był Izrael z Połocka, byli wreszcie bracia Aron i Szlome z Karlina, a pomiędzy nimi najmłodszy — Sznejer Zelman, wszyscy znakomici kabaliści, wszyscy mieli więc szanse objęcia upragnionej sukcesyi po magidzie. Lecz właśnie ta okoliczność, że pretendentów było tak wiele, że tytuły ich i szanse były równe, stała się powodem, iż w zawziętej między nimi walce żaden nie wziął góry i sukcesya magidowa, zamiast pozostać niepodziel-

nie w jednych rękach, została podzielona, każdy obrał sobie pewne miasto i zaczął „prowadzić“ na własną rękę. Szejner Zelman osiadł w Łoźnie i wkrótce zgromadził około siebie mnóstwo zwolenników.

Tymczasem zaszły wypadki bardzo sprzyjające wyniesieniu Zelmana na czoło chasydyzmu: przeciwnicy chasydyzmu czyli misnagdzi po raz drugi ogłosili cherem w r. 1781 na chasydów, byli więc odtąd ci ostatni ścigani i prześladowani przez misnagdów, na każdym kroku. Chasydyzm znalazł się w krytycznem położeniu; cadykowie czuli, że tracą grunt pod nogami, postanowili tedy między sobą, aby niektórzy z nich udali się do Palestyny dla utworzenia nowej niezdobytej placówki dla chasydyzmu. Niewiadomo bliżej, kto był inicjatorem tego planu, wszystko jednak przemawia za tem, że tym wnioskodawcą nie był nikt inny, tylko Szejner Zelman, który tym sposobem chciał usunąć z Polski niebezpiecznych dla siebie konkurentów. Wybrał się, rzekomo, również sam w podróż do Palestyny w towarzystwie Mendla z Witebska, z połowy jednak drogi zawrócił do Łoźna pod pretekstem, iż po drodze ukazał mu się prorok Eliasz i nakazał niezwłocznie pod groźbą śmierci wrócić do Polski. Prócz Mendla z Witebska udali się również do Palestyny dwaj inni cadykowie: Izrael z Połocka i Abram z Koliska. Jak wynika z późniejszych listów tego ostatniego, Szejner obowiązuje się przesyłać im do końca życia znaczne sumy na utrzymanie, zebrane w tym celu wśród Żydów polskich, wzamian za co tamci emigrujący dwaj cadykowie wydają rozporządzenie swoim chasydom, aby się przyłączyli do Szejnera. Ten ostatni — jak zobaczymy później — umowy jednak nie dotrzymał. Z całego przebiegu tej afery przekonać się można, w jakim ręku znajdowało się — a w znacznej mierze znajduje się podziśdzień jeszcze — biedne i ciemne żydostwo polskie, i przez jakich to przewodników, dla jakich sprężyn osobistych było ono wyzyskiwane i powodowane bądź do znacznych datków pieniężnych, bądź do wędrówek palestyńskich. Było zresztą nieodzownym warunkiem dla chasydyzmu, aby cadyk z Łoźna pozostał w kraju. Najważniejszy bowiem czyniono zarzut chasydom z powodu zaniedbywania przez nich studyów talmudycznych. Zarzut ten okazał się racjonalnym w stosunku do całego prawie grona uczniów magida z Międzyrzecza, którzy też dlatego musieli narazie ustąpić z pola walki. Przeciwnie, Szejner Zelman był jednym z najwybitniejszych talmudystów swojego czasu. O ile więc ktoś posiadał podówczas największe kwalifi-

kacye do dalszego propagowania chasydyzmu w Polsce, to chyba tylko Szejer. Z pozostałymi konkurentami mniej się liczył; z Ichok-Lewem złączył się przez powinowactwo. Tym sposobem po rozlicznych nadzwyczaj sprytnych działaniach, które na tem miejscu ledwie tylko zaznaczyć możemy, został on wreszcie następcą magida. Jedyнным poważnym jego rywalem był słynny cudotwórca Boruch z Międzyborza, syn głośnej wśród chasydów Adeli, córki Bołszema. Boruch stał wprawdzie pod względem wykształcenia kabalistycznego o wiele niżej od Szejera, natomiast jednak przemawiały za nim wzięte po matce prawa dziedziczne do przewodnictwa, skutkiem czego wszyscy cadykowie obawiali się go, jak ognia. Wysztytował on też bezlitośnie cadyka z Łożna i odciągał od niego niemało chasydów. W końcu jednak Szejer i nad nim odniósł zupełny tryumf, a to dzięki reformie, której dokonał w chasydyzmie.

Dotychczas bowiem chasydyzm jawnie występował przeciw rabinizmowi; twórca chasydyzmu i jego uczniowie talmudu nie znali, co z jednej strony dało jawną broń do ręki misnagdom, a z drugiej wpływało ujemnie na rozwój tegoż ruchu. W samej rzeczy do chasydyzmu dotąd przystępowali ludzie klasy najniższej; średnie zaś i wyższe sfery żydowskie były jego przeciwnikami. Owóż Szejer Zelman, chcąc zabezpieczyć trwałą byt temu prądowi, przystąpił do jego reformowania. Podjął mianowicie połączenie chasydyzmu z rabinizmem, utworzył pewnego rodzaju kompromis. Postawił tedy zasadę, że chasydyzm nie zamierza obalać ustroju rabinicznego, lecz ma jeno na celu zabezpieczenie judaizmu przed różnymi szkodliwymi czynnikami, nadewszystko przed asymilacją i odstępstwem od religii żydowskiej, co było wówczas na porządku dziennym w Niemczech wobec rozpoczynającą się reformy Mendelsonowskiej. Chasydom swoim kazał zajmować się studyowaniem talmudu, sam zabrał się do pracy nad księgą, w której podaje syntezy i ostateczne wnioski rytualne. Nie zajmował się również dokonywaniem cudów. Taki sposób postawienia kwestyi musiał wpływać na korzyść chasydyzmu. Część Żydów przestawała widzieć różnicę między rabinizmem i chasydyzmem. Dlaczegoż więc nie mają przystępować do tego ostatniego ruchu? Istotnie, w ciągu 15 lat, t. j. od roku 1781 do 1796, uzyskał chasydyzm dziesiątki tysięcy nowych zwolenników, którzy też wyłącznie już przyłgnęli do Szejera. Przeszło też tych 15 lat zupełnie spokojnie: rabini narazie nie oryentowali się w sytuacji i nie rozumieli, że to Szejer pod-



stawił im niebezpieczne sidła i nie znajdowali powodu podjęcia na nowo walki. <sup>1)</sup>

Dopiero w roku 1797, po trzecim podziale Polski, a w czasie czynności organizacyjnych, dokonywanych w nowozabranym kraju przez władze rosyjskie w początkach panowania cesarza Pawła I, Żydzi rabiniczni, t. zw. misnagdzi, widząc, że ich obóz wciąż się zmniejsza, wypowiedzieli Szejnerowi bezwzględną walkę. W kwietniu tegoż roku odbyło się w Wilnie nadzwyczajne zgromadzenie rabinów i misnagdów pod przewodnictwem najpoważniejszego rabina z Wilna, Eliasza, zw. „Gaon“, na którym ogłoszono już trzeci z rzędu cherech na chasydów. We wrześniu tegoż roku zmarł Gaon Eliasza, co było wielkim ciosem dla misnagdów. Z Gaonem bowiem musieli się liczyć nawet chasydzi, sam Szejner Zelman przyjechał w swoim czasie do Wilna, aby z nim dyskutować na temat chasydyzmu, lecz Gaon nie wpuścił go do siebie. Obecnie, gdy zmarł, chasydzi niezmiernie byli uradowani i, według podania, tańczyli po ulicach z tego powodu. Misnagdzi w przedostatni dzień święta szałasów, t. j. w końcu października 1797 r., ogłosili na najwyższą nastrojony nutę cherech na chasydów przy pogaszonych świecach i trąbkach. Prócz tego kahał wileński zorganizował u siebie tajną policję, która śledziła ukrytych chasydów. W początku listopada t. r. misnagdzi zadenuncyowali przed rządem rosyjskim Szejnera Zelmana i niektórych z jego kolegów, jako założycieli nowej „nieprzyjemnej interesom państwowym sekty“, oraz 22 Żydów z Wilna, jako do niej należących. Władze policyjne rosyjskie wydały niebawem rozporządzenie aresztowania oskarżonych. Tutaj należy przypomnieć, że w tym właśnie czasie, w początku panowania Pawła I przypadła ostra represya ze strony rządu rosyjskiego, zwłaszcza przeciw tutejszym tajnym związkom polskim należącym do t. zw. centralizacji wileńskiej, a oskarżonym o porozumiewanie się z legionami polskimi, formującymi się na Wołoszczyźnie i we Włoszech. <sup>2)</sup>

W piątek (28 października) 8 listopada 1797 r. przybyli zandarmi do Łoźna celem aresztowania Szejnera. Najdrobniejsze

<sup>1)</sup> Dubnow w swojej „Istorii chasydskaho raskoła“ i Hessen w rozprawach, drukowanych w „Woschodzie“ (Petersburg 1902), nie wiedząc nic o tej reformie, tłómaczą ów spokój 15-letni przez rozbiory Polski, lub stosunki kahalne, co oczywiście niema żadnej podstawy realnej.

<sup>2)</sup> Por. Askenazy: „Łukasiński“, (Warszawa, 1908) tom I.

szczególony tego wypadku zostały jaknajstaranniej zarejestrowane przez pobożnych jego hagiografów. Gdy oficer wszedł do domu, stał Szejner owinięty t. zw. „talesen“ i modlił się. Oficer pozwolił mu dokończyć modlitwy i sam z żandarmami zaczął w drugim pokoju. Szejner Zelman, korzystając z tego, uciekł przez drugie drzwi. Postrzegłszy ucieczkę, oficer wymierzył policzek żonie cadyka i wybiegł w pogoń za więźniem, którego też niebawem odnaleziono schowanego na cmentarzu żydowskim, poczem zaraz okuto go w kajdany i wywieziono do Petersburga. Na drodze, wedle świadectwa nabożnych źródeł chasydzkich, stał się natychmiast cud: ponieważ uwięzienie odbyło się w piątek, aby przeto uwolnić świętego męża od grzechu zakazanej jazdy w sobotę, zepsuła się z woli niebieskiej kibitka, w której miano wywieźć cadyka i ruszyła z miejsca dopiero nazajutrz, w sobotę wieczorem. Niżej zobaczymy jednak, że niezawsze z równą skrupulatnością przestrzegał „święty“ Szejner szabasowego zakazu rytualnego i raczej na pokaz dla wiernych owieczek swoich okazywał rzekomą w tym względzie gorliwość. Na piąty wreszcie dzień konwój stanął w Petersburgu, gdzie Szejnera wtrącono do więzienia.

Z powodu jednak braku pozytywnych dowodów winy aresztowani niebawem wypuszczeni zostali na wolność; zatrzymano jednego tylko Szejnera Zelmana, jako głównego winowajcę. Narreszcie (1) 12 stycznia 1798 r. i on również wypuszczony został, z pozostawieniem go jednak nadal pod ścisłym nadzorem policyjnym.

Powróciwszy do domu, Szejner Zelman zabrał się do kontynuowania założonych sobie systematycznych usiłowań nad konsolidacją swojej władzy w świecie chasydyzmu. Czynił to zwyczajem przywódców chasydzkich głównie w sobotnich przemówieniach swoich. Rzecz odbywała się w sposób następujący, praktykowany aż podziśdzień przez wielkich cadyków chasydzkich w Polsce. Podczas biesiady sobotniej, gdy za stołem cadyka zasiada kilkunastu dostojników chasydzkich, a dokoła w dużej sali tłoczy się paręset pobożnych, cadyk, siedząc, wygłasza w formie długich oracyj święte objawienia swoje, które niezwłocznie przez umyślnego repetytora („chozer“) zostają komunikowane tysiącom, a w czasie wielkich świąt dziesiątkom tysięcy pobożnych, zebranych dokoła cadykowej siedziby i wyczekujących z upragnieniem słów świętego męża. W tych przemówieniach starał się on wykazać, że chasydyzm jest jedyną podporą judaizmu, że Żydzi polsko-litewscy nie powinni bynajmniej dążyć do zdobycia praw

obywatelskich, powinni się raczej skupiać i wyodrębnić od całego świata otaczającego, aby nie powtórzyło się to, co współcześnie działo się w Niemczech, t. j. aby nie spadła na nich ta sama klęska, jaka dotknęła Żydów tamecznych, aby nie popadli w ten sam, co tamci, grzech asymilacji i reformy judaizmu. Sprytnymi temi przemówieniami, zawartą w nich przebiegłą argumentacją *ad hominem*, mocnym apelem do ortodoksyjnej ciemnoty swoich słuchaczy, wywierał Szejner pożądane wrażenia i nie tylko utrwalił wpływ swój na podwładne sobie serca chasydzkie, lecz nawet z przeciwnego obozu „misnagdów“ coraz więcej zwolenników na swoją przeciagał stronę.

Przywódcy „misnagdów“ nie dali jednak za wygraną, lecz nanowo rozpoczęli kroki zaczepne przeciw groźnemu dla nich cadykowi z Łoźna. Wybrali z pośród siebie rabina z Pińska, Awigdora, śmiertelnego wroga chasydów, mającego z nimi oddawna rozrachunki osobiste, i wyprawili go do Petersburga, aby po raz drugi wnieść tam oskarżenie przeciw Szejnerowi. W połowie stycznia 1800 roku Awigdor zwrócił się wprost do cesarza Pawła I ze skargą na znieawidzonego cadyka. Powołując się na fakt, o którym poprzednio była mowa, wyprawienia przez Szejnera wybitnych chasydów do Palestyny (co wszakże, jak wyżej wykazano, wynikało jedynie z pobudki taktyki rywalizacyjnej), oskarżył on cadyka z Łoźna, że nosi się z myślą odbudowania państwa żydowskiego; że obsadza Turcyę swoimi agentami, którzy mają wywołać wojnę rosyjsko-turecką; że wtedy Szejner Zelman wraz z sektą swoją przejdzie na stronę sułtana; i wreszcie, że w tym też celu posyła cadyk ogromne sumy pieniężne do Palestyny. Denuncyacya widocznie nie zrobiła wrażenia na cesarzu, gdyż nie kazał aresztować Szejnera, lecz oddał sprawę generalnemu prokuratorowi Senatu, który z kolei odesłał ją do rozpoznania litewskiego generał-gubernatora, Goleniszczew-Kutuzowa, oraz gubernatora mińskiego, Karniejewa. Ci dwaj ostatni dygnitarze oddawna już byli suto opłacani przez chasydów, wobec czego, oraz wobec gołosłowności denuncyacyi, dali jaknajlepszą opinię o Szejnerze, któremu żadna też nie stała się krzywda. Wtedy Awigdor postarał się o audyencyę u cesarza i w złożonej mu osobiście petycyi prosił o przysądzenie mu 13.000 zł. od chasydów, jako odszkodowanie za utracone z ich winy rabinowstwo w Pińsku, a następnie, co główna, o aresztowanie przywódcy chasydów. Cesarz Paweł i tym razem nie wziął na seryo oskarżeń Awigdora: pierwszą prośbę uwzględnił, cadyka jednak nadal pozostawiono w spokoju i być może, iż nicby mu się złego nie

stało, gdyby nie złożyły się na jego szkodę niespodziewane zgoła okoliczności.

W tym samym mianowicie roku wysłany został z Petersburga wpływowy senator, a znany pisarz rosyjski, Dierżawin, z misją objechania całej Białorusi, celem zbadania powodów nędzy miejscowej ludności włościańskiej. Owóz jako jedną z głównych przyczyn tego opłakanego stanu chłopów białoruskich podał Dierżawin rozpowszechnione wśród nich pijaństwo, podniecane przez Żydów, którzy wbrew zakazowi władzy zajmują się szynkarstwem. Pośrednio obwiniał Dierżawin cadyka z Łoźna, przewodnika „szkodliwych państwu chasydów, którzy wysyłają do Turcyi pieniądze w celu odbudowania Jerozolimy.“<sup>1)</sup> Dnia 26-go lutego st. st. Dierżawin przedstawił swoją „zapiskę“ generalnemu prokuratorowi senatu, a w 4 dni potem nastąpiło ponowne aresztowanie Szejera Zelfmana i wywiezienie go do Petersburga.

To drugie uwięzienie cadyka wywarło na chasydów wrażenie piorunujące; zaraz też zaczęli szukać środków dla jego ocalenia. W tym celu wybrał się w podróż do różnych miast najwybitniejszy uczeń Szejera, Aron, aby zebrać pieniądze „na korzyść sprawy“; jakoż w przeciągu kilku dni zebrał przeszło 40,000 rb.; również i inni cadykowie zbierali pieniądze wśród swoich chasydów, a wszystkie te sumy wręczono pewnemu bogatemu Żydowi z Petersburga, imieniem Mordcha, który podjął się „nastroić przychylnie wielkich dygnitarzy dla sprawy Szejera.“

Sam uwięziony cadyk ratował się również, jak tylko mógł: w pierwszych dniach swego aresztu urządził zaraz głódówkę. Gdy przyszedł do jego celi komendant twierdzy i zapytał go, czego żąda? cadyk odrzekł, że pragnie jedynie, aby mu dostarczono koszernego pożywienia. Komendant, który z Żydów znał jedynie wspomnianego wyżej Mordchę, o czem zapewne dobrze wiedział Szejera Zelfman, zwrócił się do niego z prośbą o dostarczenie mu żywności dla pewnego więźnia. Tego tylko oczekiwał cadyk; zaczął wnet tajną korespondencyę z Mordchą za pomocą nalepiania kartek na dnie naczyń, w którem przynoszono mu jadło. Tym sposobem był on o wszystkim poinformowany najdokładniej, co się jego sprawy tyczyło. W jednym z takich listów pisze on do owego Mordchy, aby chasyda Lejbę z Janowicz, który jest jednocześnie kuzynem nieboszczyka Gaona, posłać do Wilna,

---

<sup>1)</sup> W źródłach hebrajskich podano mnóstwo wypadków namawiania Żydów przez Szejera do zajmowania się szynkarstwem.

celem szpiegowania dalszych wrogich kroków misnagdów. Lejb pojechał zaraz do Wilna i pod maską gorliwego misnagda udało mu się istotnie wywiedzieć się o wszelkich czynnościach misnagdów w sprawie Szejera, o czym wnet zawiadomił chasydów.

W Petersburgu zaczęło się tymczasem śledztwo, na które, jak twierdzą źródła hebrajskie, często przychodził osobiście sam cesarz Paweł. Szejerowi przełożono 19 pytań, przedewszystkiem dotyczących istoty chasydyzmu i celu wysłanych do Palestyny sum pieniężnych. Pozwolono atoli cadykowi złożyć swoje oświadczenia piśmienne w języku hebrajskim, tłómaczone następnie na język francuski przez naczelnika cenzury z Wilna. Rzecz godna uwagi, że nim jeszcze ten ostatni dowiedział się o tem, że jemu powierzone będzie tłómaczenie odpowiedzi Szejera, już byli chasydzi o tem uprzedzeni i zaczęli wnet do niego torować sobie drogę. Złożył mu wizytę ów Lejb z Janowicz i zapowiedział, że wkrótce dostanie posyłkę z Petersburga, zawierającą zeznania cadyka, które będzie musiał przełożyć na język nowożytny. Proponował mu tedy już z góry na razie 3,000 rubli, aby je „dobrze tłómaczył.“ Podług relacyi źródeł, ów naczelnik cenzury wileńskiej nie dał się długo prosić i obiecał hojnemu Lejbie „dobrze tłómaczyć.“

Szejer Zelman w pisemnych swoich wyjaśnieniach oświadczył, iż sekta jego niema żadnej cechy politycznej; że posyła pieniądze do Palestyny jedynie dla biednej braci; kończył swój memoriał obrończy wywodem ze wszech miar ciekawym z powodu przebijającej się w nim nienawiści do Polski. Pisze mianowicie w zakończeniu: „Nie mogę znieść go (Awigdora) za jego bezczelne kłamstwa; on zwala na nas winy nigdy nie bywałe, chyba tylko za czasów Polski oraz księży polskich, którzy zarzucali Żydom niesłychane grzechy w rodzaju mordów rytualnych etc.“ Trzeba należycie ocenić, jak silny był taki zwrot w ustach cadyka, który własnego współwyznawcę, rabina w dodatku, stawiał na równi z księżmi, oskarżającymi Żydów o mord rytualny. Następują w końcu różne pochlebstwa i płaszczenia się przed cesarzem Pawłem, przesypane gęsto najgwałtowniejszymi wymyślaniami, skierowanemi przeciw Awidgorowi. Jednakowoż cały ten operat obrończy nienawiele się przydał. Nie pomogło nawet wstawiennictwo gubernatora witebskiego Siewierina; cadyk z Łożna został zatrzymany w więzieniu petersburskiem.

Tymczasem nastąpiła nagła śmierć Pawła. Tutaj znowu godzi się zauważyć tę ciekawą okoliczność, że podług źródeł hebrajskich, uwięziony cadyk zawczasu wiedział o gotującym się za-

machu na cesarza i jego zgonie i teź fatalnej nocy 23 marca 1801 roku, kiedy rozegrała się tragedia w Zamku Michałowskim, miał on w swojej celi oświadczyć dozorcę więziennemu o dokonanej w tej chwili zmianie panowania. Zaraz po wstąpieniu na tron, Aleksandrowi I wręczona została prośba o uwolnienie cadyka. Podług relacji chasydskiej miała to być *najpierwsza* prośba, przedstawiona w tym dniu nowemu cesarzowi, zarazem należycie poparta przez uzyskane odpowiednie wpływy; została też niebawem uwzględniona przez cesarza i już dnia 25 marca 1801 roku Szejner Zelman został wypuszczony z więzienia, a sprawę jego umorzono zupełnie.

Szejner po uwolnieniu osiadł w Ladach; chasydzi obchodzą uroczyscie aż do dnia dzisiejszego ową datę, kiedy oswobodzony został ich mentor z petersburskiej niewoli. Cała ta sprawa oczywiście wpłynęła na podniesienie autorytetu cadyka; upatrywano w nim odtąd męczennika judaizmu, skutkiem czego obóz jego znacznie się powiększył. Ze strony misnagdów, którzy już sani uważali się za zwyciężonych, nic mu już nie groziło. Zaczął wtedy święty cadyk prowadzić zaiste monarsze życie: ten niegdyś ostatni nędzarz mieszka obecnie we wspaniałych salonach, utrzymuje przy sobie w największych dostatkach liczną rodzinę, składającą się z 28 osób; do jego drzwi dobijają się Żydzi z całej Polski, a nad tymi wszystkimi dzierży on absolutną władzę. Odtąd też zaczął się stopniowo zajmować cudotwórstwem najrozmaitszego gatunku, a najaktualniejsze w powszednim życiu ubogiego żydostwa: sprawach rodzinnych, małżeńskich, dotyczących progenerity i t. p., rzecby można, przeważnie w dziedzinie ginekologii. Przestał, naturalnie, również wspierać swoich kolegów w Palestynie, chociaż dalej zbierał na ten cel ogromne sumy; czuł się bowiem już tak silnym na swoim stanowisku, że nie obawiał się więcej ich współzawodnictwa. Ta ostatnia okoliczność narobiła mu jednak niemało kłopotu: rabbi Izrael z Połocka mianowicie, nie otrzymując przypadającego mu zasiłku pieniężnego, zwrócił się z odezwą do rabinów ogółu żydowskiego, w której obwinił Szejnera Zelmiana, iż przywłaszcza sobie pieniądze, mające być przesyłane do Palestyny, czemu, naturalnie, Szejner zaprzeczył. Z drugiej strony wypowiedział wojnę cadykowi z Ladów wspomniany cadyk Boruch z Międzyborza, za to, że zbiera pieniądze w okręgu, podlegającym jego władzy. Szejner Zelman znowu rościł sobie pretensye do Borucha, który, rzekomo, powinien mu być wdzięczny za to, że nie wydał go wtedy, gdy sam

siedział w więzieniu. To wszystko jednak nie zaszkodziło cadykowi, który potężnie umocnił się na swoim stanowisku.

W tym też czasie Szejner Zelman wydał szereg prac kabalistycznych, wzmacniających ideę chasydyzmu. Dążąc do posiadania absolutnej władzy nad Żydami, nietylko dla siebie, lecz również dla swego potomstwa, tem zawzięciej odciąga Żydów od kultury europejskiej, przeprowadzając z całą bezwzględnością tak paradoksalną napozór, tak szkodliwą dla żywotnych interesów żydowskich, lecz tak niezbędną dla własnych jego celów osobistodynastycznych, zasadę, iż Żydzi, nietylko nie powinni dążyć do emancypacji, lecz przeciwdziałać temu ze wszech sił, jako rzeczy dla siebie niepożądaney i niebezpiecznej.

Wobec wyłuszczonej powódów łatwo domyśleć się, iż cadyk z Ładów nie żywił wielkiej sympatyj dla Napoleona. Równouprawnienie Żydów, dokonane we Francyi, było wszak w zupełnej sprzeczności z intencjami cadyka; musiał on też być jaknajgorzej usposobionym dla zwołanego przez Napoleona wielkiego Sanhedrynu do Paryża. Musiał tembardziej być zażartym przeciwnikiem tych stosunków, jakie wytworzyły się wówczas tuż pod bokiem jego działalności: mianowicie wytworzeniu Księstwa Warszawskiego przez Napoleona. Tutaj, na terenie dawnej dzielnicy rozbiorowej pruskiej, dotychczas, dzięki jego uczniom tu zamieszkałym, chasydyzm czynił znaczne postępy; obecnie zaś, gdy konstytucya Księstwa zapewniła Żydom w zasadzie prawa obywatelskie, a w teoryi nawet polityczne (jakkolwiek niebawem zawieszane przez dekret królewski z dn. 17 października 1808 r.), chasydyzm z natury rzeczy nie znalazłby więcej dla siebie gruntu.

Tymczasem zbliżył się rok 1812. Jak wiadomo, Aleksander I do tej wielkiej rozprawy z Napoleonem gotował się już oddawna, z początku w charakterze zaczepnym, a dopiero potem zaniemiając na odporny. Wśród tych tak wczesnych przygotowań ze strony rosyjskiej bardzo wydatne miejsce zajmowały organizacje informacyjne, mające dostarczyć Rosyi dokładnych wiadomości militarnych i politycznych o stosunkach w Księstwie Warszawskim, jako przewidywanym najbliższym terenie operacyj wojennych. Do tej akcji wcześniej też użyty został przez naczelne rosyjskie władze wojskowe i administracyjne wpływ cadyka z Ładów celem dostarczania odpowiednich informacji. Szejner Zelman chętnie to czynił: był wszak niemało winien cesarzowi Aleksandrowi, liczył też niewątpliwie na hojne wynagrodzenie. Odtąd zaczął często przyjeżdżać do Petersburga, gdzie przyjmował i udzielał wskazówki swoim szpiegom. Takim tajnym agentem

był niejaki Mojżesz Majzel, do którego między innemi Szejner Zelman napisał następujący list w r. 1812. Wysoce charakterystyczne to pismo rzuca światło na sposoby, jakimi chytry cadyk uniał wywoływać antynapoleoński nastrój wśród ciemnych swoich zwolenników. Pisze mianowicie cadyk: „...Na Boga! na moją duszę! iż takie miałem wiadomości z Nieba w pierwszy dzień święta nowego roku żydowskiego, że jeżeli zwycięży Bonaparte, stan materialny dla Żydów będzie wprawdzie lepszy, niż obecnie, ale serca ich natychmiast oderwą się od ich Ojca Niebieskiego. O ile zaś zwycięży nasz pan, Aleksander, stan materialny nie poprawi się, ale Żydzi przylgną do swego Ojca Niebieskiego. Pamiętaj o naszej rozmowie, którą prowadziliśmy przy naszym rozstaniu w Petersburgu.“

Należy zaznaczyć, że w owym czasie chasydyzm był dość powszechny już w samem Księstwie Warszawskiem, dzięki usilnej propagandzie takich cadyków, jak Izrael Magid z Kozienic, Jakób Izaak z Lublina etc. Ci ostatni, pod wpływem cadyka z Ladów, zaczęli usposabiać miejscowych Żydów wrogo dla Napoleona. W samem więc Księstwie Warszawskiem było niemało szpiegów, na których czele stał wspomniany Magid z Kozienic, który, podług relacji chasydskiej, żył w przyjaźni z ks. Adamem Czartoryskim i nieraz składał mu wizyty w Puławach. Do tego magida miał, według podania, wstąpić przed wyruszeniem do Rosyi za główną armią ks. Józef Poniatowski, aby magid przepowiedział mu skutki tej wojny; miał on błagać ks. Józefa, aby na tę wojnę nie szedł. Nie ulega żadnej także wątpliwości, że pod wpływem Szejnera Zelmiana i jego kolegów Żydzi Księstwa Warszawskiego w styczniu 1812 roku prowadzą pertraktacye z Rządem względem uwolnienia ich od służby wojskowej, za co obowiązują się płacić 70,000 złp. rocznego podatku. Z tego jednak faktu można ocenić postępy chasydyzmu przez czas dość krótki w Ks. Warszawskiem, gdyż, jak się rzekło, dopiero przed pięcioma laty sami Żydzi garnęli się do służby wojskowej.

Naraz zaczęła się akcja wojenna; połączone wojsko francuskie i polskie przekroczyło Niemen. Położenie cadyka, działającego dotychczas czynnie na usługach Rosyi przeciw Napoleonowi i Księstwu stawało się oczywiście nadzwyczaj drażliwym, a nawet niebezpiecznym. Mając na miejscu zaciętych przeciwników, misnagdów, wśród których nie zabrakło wtedy „Mickiewiczowskich Jankielów“ i którzy napewno nie zaniedbaliby tej sposobności, aby w obliczu zwycięskich w pierwszej chwili wojsk polsko-francuskich odsłonić tajemne działania szpiegowskie niena-



wistnego im cadyka i pogrążyć go ostatecznie, Szejner nie był pewnym swego życia. Z drugiej strony władzom rosyjskim musiało zależeć na tem, aby, czy to dla zabezpieczenia go od wroga, czy to dla utrzymania go w rękę, jako szacownego zakładnika, stanowiącego porękę za dalsze zachowanie się mas chasydskich — nie pozostawić go na łasce chwilowego zwycięzcy; tak, czy owak, cadyk w czasie wybuchu wojny dłużej w Ladach pozostać nie mógł. Przy pierwszej też sposobności, mianowicie, gdy przez Ludy przeszło wojsko rosyjskie do Smoleńska, Szejner Zelman do niego się przyłączył, lub też został przyłączony; odtąd włączył się za wojskiem rosyjskiem z całą swoją liczną rodziną aż do końca wojny francusko-rosyjskiej. Z drogi posyła on listy chasydom i nakazuje im kontynuować pracę na korzyść Aleksandra I. Oto, co opowiada w liście do wspomnianego Mojżesza Majzela w roku 1814 syn Szejnera, Dow-Ber: „...Raz tylko ten nienawistny wróg, morderca i zbój (Napoleon) stanął w Wilnie i Kownie; ojciec mój ciężko był dotknięty zmartwieniem, gdyż mniemał, że nie przekroczy (Napoleon) granicy polskiej, lecz zostanie się w Polsce, aby zebrać świeże siły; ale Bóg go zaślepił, aby się tam nie został, co jest najgłówniejszą przyczyną jego klęski...“ Następuje cały ustęp kabały, dowodzący konieczności zwycięstwa Aleksandra I. Ten ostatni zajmuje mianowicie w dziesięciu stadyach kabalistycznych (Eser Sefiroth) miejsce Miłosierdzia (Chesed), wtedy gdy Napoleon — Siły (Gewiro), a Miłosierdzie zawsze zwycięży Siłę.

„...Gdy (Napoleon) stanął w Borysowie przy Mińsku, ojciec wyprawił mnóstwo szpiegów do Tułczyna i o wszystkim wnet zawiadomił generał-gubernatora witebskiego, który o to ojca był prosił; spełnił też ojciec sumiennie i uczciwie prośbę jego i dostarczał mnóstwo szpiegów. Przez cały ostatni tydzień bywali u nas w domu generałowie Jelinow (?) i Niewirowski (?); wówczas doszła nas wiadomość o zbliżeniu się Napoleona; uciekliśmy wtedy z miasta na trzech kibitkach pod osłoną wojska i tych generałów aż do Krasnego. 15-go sierpnia, w piątek, nadeszła nagle do Krasnego cała armia francuska, z Witebska przyszło również 28 tysięcy wojska, a naszych było wszystkiego 8 tysięcy. Generał Niewirowski był z korpusu marszałka kn. Baratinki (?),<sup>1)</sup> który stał w Smoleńsku z armią 70-tysięczną; wróg z rozmysłu wymijał naszą główną armię i szedł przez Ludy i Krasne, gdzie

<sup>1)</sup> Barklaj de Tolli lub Bariatiński.

naszych było mało. Już zapadł mrok; kobiety nasze wszczęły wielki lament i powzięliśmy zamiar uciec do lasu, lecz generał Niewirowski radził ojcu jaknajprędzej opuścić Krasne; jęliśmy tedy uciekać, jechaliśmy przez całe trzy dni, nie bacząc na to, że niewolno jechać w sobotę. Wojna wciąż trwała; naszym wojskom nadeszła później pomoc z głównej armii. 24-go tego miesiąca uciekaliśmy razem z gubernatorem Tołstojem do Wiaźny; 27-go do Możajska i stąd skręciliśmy na bok wskutek rad ojca, który znał się doskonale na mapie i wiedział, że (Napoleon) stanie w Trójcy-Sergiejskiej. Podczas bitwy możajskiej ojciec był przyciśnięty wielkim smutkiem i zapowiedział, że wróg weźmie Moskwę. Dopiero w pierwszym dniu Trąbek (około 16 września) ojciec nam oznajmił, iż w Niebie wydano decyzję na niekorzyść Napoleona. 15-go października przyjechaliśmy do Włodzimierza, a dzień przedtem wróg wziął Moskwę. Gdy, płacząc, pokazałem ojcu, jak tłum, a wśród nich senatorowie rosyjscy uciekają przez Włodzimierz, ojciec nakazał mi być spokojnym i przysiągł mi, że Napoleon nie pójdzie dalej, lecz zechce wrócić przez Małą Ruś, aby znaleźć żywność, ale mu się to nie uda. Przejechaliśmy przez Juriew, Rianzań, Tambow, Orzeł, Kursk wśród najostrzejszych mrozów; otrzymaliśmy tutaj wiadomość, że w Kałudze wróg poniósł klęskę, a nasi gonili za nim dni cztery.“

Forsowna ta podróż cadyka za armią rosyjską, odbywana wśród warunków nieprzyjaznych, miała się fatalnie odbić na jego zdrowiu. W pewnej wsi, niedaleko Kremeńczuga, Szejner Zelman zachorował i dnia 4 stycznia 1813 r. umarł i został pochowany w miasteczku Hodic w gub. Połtawskiej. Do tego miejsca podziśdzień odbywają się jeszcze pielgrzymki chasydów na grób świętego cadyka z Ladów.

Przewodnictwo nad chasydami po śmierci Szejnera Zelmiana objął starszy syn jego, wspomniany Dow-Ber, a drugi syn, dotknięty pochwyceniem tej wpływowej popłatnej godności przez starszego brata, porzucił podobno judaizm i przyjął prawosławie, ewenement, który oczywiście wywarł wrażenie piorunujące, a nie był jednak w stanie zachwiać stanowiska wielkiego cadyka. Dow-Ber prowadzi dalej politykę ojca swego, a w liście do wspomnianego Majzela nakazuje dalej oddawać usługi rządowi rosyjskiemu i działać szczególnie na szkodę Napoleona.

Na zakończenie dla charakterystyki metody politycznej Szejnera Zelmiana warto przytoczyć następujące podanie, zachowane w jednym ze źródeł chasydskich. Pewien cadyk, widocznie nie dość dobrze orientujący się politycznie, domagał się od Boga,

aby szczęście sprzyjało Napoleonowi w wojnie 1812 roku, czemu też oczywiście, z uwagi na świątobliwość proszącego o to cadyka, w Niebie wnet uczyniono zadość. Wkrótce jednak ów cadyk, lepiej w tej materii uświadomiony, żałował skutków swojej poprzedniej niefortunnej modlitwy i zapragnął, aby w Niebie odwołano poprzednią decyzję i wydano powtórna, na korzyść Aleksandra I, lecz, niestety, w Niebie nie chciano go więcej słuchać. Wtedy srodze zmartwiony cadyk pojechał do magida z Kozienic, aby przez jego protekcję wywrzeć nacisk na sfery niebieskie w duchu kasacyi poprzedniego wyroku. Środek okazał się skutecznym: po modłach magida Niebo cofnęło swój pierwszy wyrok i wydało drugi, pomyślny dla cesarza Aleksandra I.

Podziśdzięń jeszcze potomkowie Sznejerza Zelmiana stoją na czele chasydyzmu i wywierają wpływ potężny pod względem absolutystycznego niemal charakteru swojej władzy nad licznymi rzeszami wiernych adherentów swoich. Jednakowoż ta władza dynastyi Sznejerza Zelmiana uległa odtąd pewnemu, nader znamiennemu ograniczeniu pod względem terytoryalno-ludnościowym. A mianowicie—i to jest okoliczność niemałego znaczenia społeczno-politycznego dla dzisiejszej jeszcze doby, tłumacząca poniekąd niejedno ze zjawisk, rozgrywających się wśród ludności żydowskiej, na jakie patrzymy obecnie—podczas gdy samemu protoplaście, Sznejerowi, podlegali owego czasu chasydzi zarówno polscy, jak litewscy, obecnie natomiast jego sukcesorom podlegają niemal wyłącznie ci ostatni, t. j. tak zwani „litwacy.“

DAWID KANDEL.

30  
375  
790  
565  
1  
1. Arkusz 1. Karty, 1. Rol. 35-65 Pop

# PIŚMIENNICTWO.

WŁADYSŁAW GRABSKI. *Bilans Królestwa Polskiego w finansach państwa rosyjskiego*. Wydawnictwo Tow. pop. pracy społecznej. Warszawa, 1909. Druk Drukarni Polskiej.

P. Grabski podjął się niewdzięcznego trudu zbijania ekonomistów rosyjskich, którzy, opierając się na nieodpowiednich danych lub niewłaściwie je przedstawiając, szerzą w społeczeństwie rosyjskiem zupełnie fałszywe mniemanie. O bilansie Królestwa Polskiego w Rosyi rozpowszechnionem jest bardzo przekonanie, że Królestwo żyje kosztem centrum państwa, gdyż skarb czyni na korzyść Królestwa nadmierne wydatki z uszczerbkiem innych dzielnic. Tezę tę wysunęła i nauka rosyjska.

Pierwszy raz sprawę tak postawił w zakresie budżetu państwowego prof. Jasnopolskij w swej pracy „Geograficzny podział wydatków państwowych.“ Dowodzi on, że wydatki państwowe na jednego mieszkańca wynosiły w r. 1887 w rublach dla Królestwa Polskiego 1.17, a dla gubernij centralnych tylko 0.57. Do poruszonego tego tematu powróciła specjalna komisya z lat 1887—91, która miała za zadanie opracować przyczyny zubożenia centrum państwa. Wydała ona szereg cały wielkich opracowań statystycznych i graficznych.

Jedną z prac komisji stanowi dzieło A. D. Polenowa „Badania nad położeniem ekonomicznem gubernij centralno-czaroziemnych.“ Autor rozwinął tablicę statystyczną Jasnopolskiego, uzupełniając ją danymi z r. 1908. W swej tablicy Polenow zastosował oryginalną metodę. Dzieliąc wydatki na poszczególne działy (rolnictwo, sprawy wewnętrzne, oświata, komunikacje, sądownictwo) oznaczał podług wysokości wydatków dla każdej prowincyi numer porządkowy, a potem te numery porządkowe sumował.

W ten sposób Królestwo umieścił na 5-em miejscu co do wysokości wydatków kulturalnych. Jest to dziwnie nie naukowy sposób traktowania rzeczy, gdyż rubryki wydatków nie posiadają bynajmniej jednakowego znaczenia. Dla Królestwa np. wydatki ministerium spraw wewnętrznych i sądownictwa noszą raczej polityczny charakter, niż kulturalny. Jeśli brać nie fikcyjny porządek Polenowa, ale ogólną sumę wydatków, to się okaże, że nawet na podstawie danych jego Królestwo zajmuje istotnie miejsce 8-e zaledwie wśród 14 grup gubernij.

Opierając się na swych zestawieniach, Polenow, zostawszy wiceministrem rolnictwa, oświadczył w Dunie, że „w guberniach przywiślańskich na każdy rubel, który wpływał do kas rządowych w postaci dochodów, skarb wydatkował 3 rb. 30 kop.,” czyli trzy razy tyle wkładał, ile otrzymywał. Jest to niezmiernie tendencyjne zestawienie, gdyż l'olenow pomiął opodatkowanie handlu i przemysłu, przez co okolice, posiadające rozwinięte miasta, zostały zbyt słabo reprezentowane w rubryce dochodów. Wybranie z pośród różnych podatków pośrednich jednych tylko dochodów od napojów podniosło sztucznie dochód z tych gubernij, gdzie ludność mało używa ubrań i galanterji zagranicznej, mydła, perfum, mało maszyn i narzędzi, metalów, mało spożywa cukru, zato dużo pije wódki.

Odminną metodę przyjął Szwanebach w swej pracy „Nasza sprawa podatkowa.“ Bierze on ogólne dochody i wydatki dla oddzielnych grup gubernij i oblicza, ile dla każdej z grup na 1 rb. dochodu wypada wydatków. Podług jego wyliczeń Królestwo zajmuje 3-e miejsce, a na jeden rubel dochodów wypada w nim 1.14 wydatków. Popełnia Szwanebach rażący błąd, pomijając dochody z ceł, co wypada na niekorzyść gubernij nadgranicznych, które konsumują towarów zagranicznych znacznie więcej, niż gubernie centralne.

Popularnością cieszą się w Rosyi zestawienia Saburowa w pracy „Materiały do historii finansów rosyjskich w latach 1866—97.“ Saburow dowodzi, że w Królestwie na 1 duszę męską wypada dochodów 3.87 rb., wydatków zaś 16.18 rb., czyli skarb dokłada do każdej duszy męskiej 12.31 rb. Tendencyjność tego zestawienia polega na tem, że wzięto w nim pod uwagę tylko nieznaczną część dochodów skarbu (podatki bezpośrednie od gruntów i nieruchomości, opłaty wykupne, stemple, zasiłki skarbu, zwrot wydatków), wydatki zaś skarbu zostały przyjęte w całkowitej sumie. Wobec tak poważnych braków zestawienia te żadnego znaczenia porównawczego mieć nie mogą.

„Russkoje Sobranie“ w Warszawie wydało broszurę: „K woprosu ob awtonomii Carstwa Polskago,“ w której wylicza, że jakkolwiek podług sprawozdań kasowych Królestwo dało 29.1 milionów rb. nadwyżki dochodów dla skarbu, jednak wistocie przyniosło mu straty przeszło 14 milionów rb. W wyliczeniach broszury są rażące błędy. Dochód z ceł nie może być rozdzielony na różne miejscowości stosownie do liczby ludności. Z ogólnopństwowych wydatków można dzielić w stosunku ludnościowym tylko takie, które istotnie są konieczne w równej mierze dla całego państwa, a więc: dwór cesarski, ministerjum spraw zewnętrznych i obrona państwowa. Zupełnie też bezpodstawnie odlicza broszura z dochodów kolei nadwiślańskich całą połowę.

Zagadnieniu bilansu finansowego Królestwa poświęcił specjalną pracę autor polski, Władysław Żukowski, pod tytułem „Dochody i wydatki państwowe w Królestwie Polskiem.“ Wyliczenia jego są nacechowane taką ostrożnością, że raczej można mu uczynić zarzut, że nie uwzględnił wszystkich czynników, przemawiających na korzyść upośledzenia Królestwa.

Żukowski pominął zupełnie udział Królestwa w dochodzie skarbu z monety. Przy obliczaniu dochodu z monopolu wódczanego przyjął pod uwagę tylko dochód z konsumpcji, a nie uwzględnił dochodu z przedsiębiorstw, które w Królestwie dają skarbowi znaczne zyski. Największym błędem Żukowskiego jest, że do wydatków policzył całkowicie koszt utrzymania wojska w Królestwie. Na korzyść zaś Królestwa poczynił tylko jedno przeoczenie, nie obrachowawszy udziału Królestwa w utrzymaniu centralnych urzędzeń ministeryalnych.

Podług obliczeń Żukowskiego Królestwo w epoce 1901—5 dało skarbowi zysku 14 mil. rb. Jest to cyfra bardzo bliska do ówczesnych obliczeń kasowych. Obecne rezultaty kasowe wykazują, że przewyżka dochodów nad rozchodami wynosiła w r. 1907 38,783 tys. rb.

Tak wielką przewyżkę kasową dają tylko nieliczne okręgi w państwie. Oto jak w świetle rzetelnych cyfr wyglądają utyskiwania, iż Królestwo wysysa gubernie centralne.

WACŁAW DUNIN.

CHARLOTTE PERKINS GILMAN. *Kobieta, a stan ekonomiczny*. Studya nad ekonomicznym stosunkiem mężczyzny do kobiety, jako ważnym czynnikiem ewolucji społecznej. Przełożyła z oryginału angielskiego Marya Podlewska. Wydawnictwo „Biblioteki Dzieł Wyborowych.“ Warszawa, druk Ed. Nicza i S-ki.

Krzykliwa agitacya t. zw. „sufrażystek“ wysunęła obecnie w Anglii w sposób bardzo ostry równouprawnienie polityczne kobiet. Cały wogóle angielski ruch kobiecy szedł dotychczas głównie w tym kierunku. Nawet znakomity obrońca emancypacji, J. St. Mill, w swej głośniejszej książce: „Poddaństwo kobiet“ kładł zbyt ni nacisk na prawo wyborcze kobiet, uważając, że jedyną drogą, prowadzącą do celu, jest danie samym kobietom do ręki broni, którą będą mogły wywalczyć własne zbawienie.

Wskutek tej jednostronności ruch kobiecy w Anglii nie rozwinął się w ciągu kilkudziesięciu lat swego istnienia tak szeroko, jakby mógł. Pani Gilman poświęca swą książkę drugiej, bardzo ważnej stronie emancypacji, mianowicie ekonomicznemu wyzwoleniu kobiety, znajdującej się w dzisiejszych stosunkach w zupełnej zależności materyjalnej od mężczyzny.

W przeciwieństwie do rozmaitych krzykaczek emancypacji p. Gilman napisała swą książkę z ogromnym spokojem, traktując rzeczy znacznie bezstronniej nawet, niż to czynił Mill, który namiętnie wybuchał, dochodząc krzywd kobiecych.

Autorka wykazuje, że samo życie, zupełnie niezależnie od kobiet, a nawet nieraz wbrew ich woli, wysuwa kwestyę kobiecą. Upośledzenie kobiet nie wypływa wcale z ich natury, lecz było wynikiem pewnych warunków społecznych, które obecnie burzą nieubłagane prawa rozwoju. Zrozumienie tych praw może ów pochód przyspieszyć i ułatwić.

Zależność ekonomiczna kobiety jest rezultatem tego, że w zakresie pracy ekonomicznej została wyprzedzona o tysiące lat przez swego towarzysza. Obecnie trzeba wysiłków i przystosowania się szeregu kobiecych pokoleń, aby je uczynić zdolnymi do tego rodzaju działalności. Kobiety stały się jedynymi konsumentkami bogactw ekonomicznych, produkowanych przez mężczyzn, ale nie wytwarzały ich wcale.

Z punktu widzenia ekonomicznego prawem kobiet do korzystania z wytwórczości męskiej nie jest ich praca w gospodarstwie domowym, gdyż wówczas krzątająca się caluteńki dzień żona biednego wyrobnika powinna być znacznie więcej otrzymywać, niż próżnująca żona milionera, w praktyce tymczasem widzimy stosu-

nek krańcowo odwrotny. Prawem tem nie jest również macierzyństwo, gdyż kobiety bezdzietne mają więcej pieniędzy, niż matki kilkorga dzieci; niedbałe matki, źle wychowujące dzieci, nie ponoszą też żadnych ograniczeń. Właściwie więc kobiety zależne są tylko od łaski mężczyzny.

Jedyną drogą do zdobycia wpływów i znaczenia dla kobiety jest zapanowanie nad mężczyzną. W świecie zwierzęcym nadmierny rozwój cech, służących do zachowania gatunku, jest zabójczym. Tam przynajmniej reguluje tę sprawę dobór naturalny, usuwając osobniki, mniej zdolne do walki o byt wskutek owego nadmiernego rozwoju cech płciowych. W rodzaju ludzkim równowaga została zachwiana, gdyż kobieta nie potrzebowała walczyć o byt, utrzymując się z pracy mężczyzn. Przeciwnie, atrakcja seksualna służy nietylko jako sposób do zdobycia sobie towarzysza, ale także jako środek do zapewnienia egzystencji. Małżeństwo staje się kwestyą chleba. To jest przyczyna, wywołująca nadmierny rozwój cech płciowych, które, z kolei przekazywane dzieciom, potęgują się z pokolenia na pokolenie i jadłem swym zatruwają nasze obecne życie.

Dawniej zależność kobiety była do pewnego stopnia czynnikiem postępu. Mężczyzna, pozbawiając kobietę swobody, musiał przyjąć na swe barki ciężar żywienia nietylko jej, lecz i jej dzieci. Ojciec musiał się przyznać do swego ojcostwa i uznać płynące z niego zobowiązania. Poddaństwo kobiety działało nieświadomą siłą, prowadzącą do udoskonalenia mężczyzny, który nauczył się kochać i dbać o kogoś więcej, a nietylko o siebie samego. Wydajność pracy mężczyzny niepomniernie się spotęgowała dzięki miłości. W ten sposób ludzkość, prowadzona przez twórczy pierwiastek męski, któremu wciąż bodźca dodawała potęga wpływu kobiecego, zdobyła ten stopień rozwoju, na jakim ją dziś widzimy.

Kobieta cierpiała wiele w ciągu wieków niewolnictwa i pogardy, ale przynajmniej cierpienia jej posuwały ludzkość naprzód. Dziś cel już został osiągnięty, nietylko matka, ale i ojciec poczuwa się już do obowiązków rodzinnych. Współdziałając z energią macierzyńską, stworzył mężczyzna wszystko, co jest dorobkiem dzisiejszej kultury.

Dalsze upośledzenie kobiet staje się już hamulcem dla postępu. Cały postęp w rasie ludzkiej, dotychczas osiągnięty, jest dziełem wyłącznie męskim. Zarówno, jak odsunięto kobietę od prac wyższych, tak samo wykluczono ją z kręgu społecznych stosunków. Niedostępne są dla niej prawie ogniwa łączności ludzkiej, które posuwają świat naprzód. Nieuspołecznienie kobiet,



nierozwinięcie w nich odpowiednich zdolności, odbija się szkodliwie na całej rasie ludzkiej, gdyż przekazują one prawem dziedziczności te swoje braki dzieciom. Obecnie kobiety dążą do tego, by stać się wolnymi produkcyjnymi czynnikami w społeczeństwie.

Dzisiejsza ekonomiczna podstawa małżeństwa, oraz wpływająca z niej zależność, wytwarzają zarówno w mężczyźnie, jak i w kobiecie cechy i właściwości szkodliwe. Większa swoboda jednostki umożliwi coraz wyższe formy społeczne. Wyższy rozwój życia społecznego, który będzie następstwem niezależności ekonomicznej kobiety, przyczyni się niepomiaralnie do uszlachetnienia stosunku między jedną a drugą płcią.

Rozwój kobiety przedewszystkiem pozwoli jej lepiej wykonywać te obowiązki, które uważa się dzisiaj za wyłączny teren jej pracy. Dzisiejsza zależność ekonomiczna działa nie na korzyść macierzyństwa, lecz raczej przeciw niemu. Macierzyństwo, zmniejszając osobiste wdzięki i pochłaniając znaczną część czasu matki, daje nad nią przewagę kobietom, które matkami nie są. Wbrew tym, którzy twierdzą, że zależność kobiety, choć ma złe strony, jest potrzebna ze względu na wysoką specjalność macierzyństwa, powrót kobiety do pierwotnej wolności uczyni z niej lepszą matkę. Nadmierny rozwój cech płciowych ujemnie oddziałują na macierzyństwo, które wskutek zniedołężnienia kobiety staje się bardziej patologicznym. Przeciwnie, im udział matki jest swobodniejszy w ogólnej pracy, jak np. u dzikich, u ludu wiejskiego, tem lepiej spełnia ona swe zadania macierzyńskie. Do dobrego wychowania dalej dziecka potrzeba, by matka wyszła z ciasnego obrębu pojęć i zwyczajów, nabytych w kółku domowym, i posiadała znajomość życia, aby potrafić dzieci swe do niego przygotować. Dzisiaj matki kierują się tylko instynktem, ale ten instynkt nie jest rządzony przez oświeconą inteligencję.

Brak szerszego wykształcenia kobiet odbija się i na ich gospodarstwie domowym. Nie mają one pojęcia o należytej higienie jedzenia, uczą się na własnych rodzinach, które ponoszą wszystkie skutki ich dyletantyzmu. Całe urządzenie naszych domów również cierpi na brak wykształcenia kobiet.

Kobieta musi raz na zawsze przestać być amatorską połową ludzkości. Jeśli chce pracować, jako wychowawczyni lub gospodyni, to powinna się wyspecjalizować w zajęciach, wchodzących w zakres tej pracy i oprzeć je na naukowych podstawach.

Ograniczenie jednak w przyszłości pracy kobiecej do tych jedynie dziedzin jest rzeczą niemożliwą. Kobiety współczesne

pragną i dążą do życia rodzinnego, nie wystarczają im już jednak ciasno pojęte obowiązki względem najbliższych. Chcą im one zawsze służyć, ale pod szerzej pojętem hasłem wolności i ogólnych dążeń społecznych.

Wykład autorki jest przystępny i zrozumiały, wykazuje ona gruntowną znajomość ekonomii i nauk społecznych, z naukowocią umie wszakże łączyć doskonale praktyczną wiedzę życiową i zdolność obserwowania żywych faktów.

W. D.

---

ANDRZEJ BAUMFELD. *Polska myśl mesyjaniczna*. Warszawa, 1910 r.

Autor, mający już w swym dorobku literackim pracę p. t. „Andrzej Towiański i Towianizm,“ objaśnia genezę myśli mesyjanicznej tem, że zboleła dusza Polski po upadku politycznej niepodległości szukała ratunku i ukojenia w idei wyższego posłannictwa narodu polskiego między ludami.

Promotorem mesyjanizmu był romantyzm, zrodzony z kontrastu, jaki zachodził między „niebem“ pragnień a „ziemią“ twardej rzeczywistości, między wiarą w urzeczywistnienie ideałów społecznych a układem konkretnych warunków życia, które mroziły i ścinały górne porywy ducha.

Drogą powolnej ewolucyi, odbytej najpierw w duszach naszych największych wieszczów, duch polski za sprawą mesyjanizmu odrywa się od ziemi i ulatuje w sfery podniebne. A to oderwanie się nie jest równoznaczne z zapomnieniem o ziemi, o szarem, twardem życiu. Przeciwnie — zdaniem autora — mesyjanizm polski wytwarzał ciągłą, nieprzepartą dążność do konkretnego działania. Nie pogrążał on ducha narodu w jałowej kontemplacji, lecz kategorycznie i konsekwentnie skłaniał do czynu.

Towiański przyszedł z hasłem, że niema nic wyższego nad życie, w którym należy zdobywać coraz większe wartości. Dzięki temu nie łamał on polskiego ducha, lecz prostował, — nie mroził się jego pesymizmem, lecz uzdolniał do czynu. Najlepszym dowodem może służyć Mickiewicz, który odkąd się stał wyznawcą mistrza — „całe życie swoje znaczył szeregiem niestrudzonych wyśiłek realnych, których koroną był legion rzymski...“

Tworzenie tego legionu było w życiu naszego wieszczu największą „poezią czynu,” odkąd „porzucił dziedzinę poezji w słowie.” Nie zaznacza jednakże autor, że tę dążność do realizacji słowa Mickiewicz wysnuwał z własnego ducha, niezależnie od mesyanistycznej doktryny Towiańskiego. Założyciel bowiem polskiego mesyanizmu był całkowicie pochłonięty „podniesieniem ducha,” od którego ekspansji nazewnątrz stale się uchylał.

Tych, co domagali się „realizacji,” zbywał stale „rzucaniem idei dla wieków.”

Było to bardzo wygodnym kwietyzmem, który wreszcie dostrzegł Mickiewicz i zerwał z założycielem nowego zakonu. Pomija również autor tę okoliczność, że mesyanizm nawet w Mickiewiczu wzbudzał lekceważenie względem świeckiego rozumu, nauki i wogóle ziemskich środków działania, co musiało w zarodku paraliżować wszelkie konkretne usiłowania.

Dziś mesyanizm polski może być tylko z historycznego punktu widzenia rozpatrywany i oceniony. Niepodobna w nim widzieć trwałych i wiecznych czynników odrodzenia woli indywidualnej lub zbiorowej.

Po całym szeregu tragicznych wysiłków rozboleła dusza naszego narodu poczęła wyczekiwać ratunku jedynie od sił nadprzyrodzonych. Porwani tą myślą wieszcz nasi stworzyli całą doktrynę, cały system polityczno-religijny. Lecz była to tylko efemeryda, która się rozwiła, skoro spróbowano ją zetknąć z rzeczywistością. P. Baumfeld zaś mówi o niej jako o czymś życiodajnym a zapoznanem. Pomijając jednak tę mylną ogólną koncepcję polskiego mesyanizmu, musimy zaznaczyć, iż głównym brakiem tej pracy jest niejasność treści oraz pewna pretensjonalność formy.

Autor nie usiłuje stworzyć jednolitego obrazu myśli mesyanicznej, nakreślić jej powstanie, rozwój i upadek, uwydatnić indywidualne różnice w interpretacji jej ze strony naszych największych wieszczów, natomiast w rozbieżnych pod względem treści urywkach mówi o stosunku mesyanizmu do nauki Chrystusa, o druzgoczącej kościół sile tego prądu umysłowego, o społeczno-politycznej wartości jego dla naszego narodu, wreszcie w luźnym konglomeracie niepowiązanych ideą przewodnią uwag, porównywa ze stanowiska mistycyzmu niektórych naszych pisarzy, sięgając aż do ostatniej doby.

W całym tym utworze zaznacza się intencja nie tyle przekonania lub nauczania czytelnika za pomocą jasnego konsekwentnego rozumowania, ile — przejęcia go swoim nastrojem, w któ-

rym od czasu do czasu można wprawdzie wyczuć momenty szczerze, przeważnie jednak razi w nim sztuczność i nienaturalność. Cały utwór trzymany jest w tonie uroczystym, który też zapewne podyktował autorowi takie dziwaczne i niezgodne z duchem języka neologizmy, jak np. „poświata,” „rozdale,” „zoreźnienie.“ Należy jednak przyznać, że niektóre rozdziały, zwłaszcza początkowe, zawierają myśli, nad którymi warto się zastanowić i które dają dość szerokie pole do dyskusyi.

WŁ. M. BOROWSKI,

# Kronika miesięczna.

---

Sprawy polskie w Dumie.—Rezultaty sesji Sejmu galicyjskiego.—W atmosferze szynkownianej.—O szkołę w Kruszynku.—Procesy szpiegowskie w Krakowie, jako znak czasu.—Kilka uwag w sprawie żydowskiej.

Ubiegły miesiąc prac rosyjskiej Izby Państwowej można nazwać miesiącem polskim. Poza uchwałą, dotyczącą zrównania podatku od nieruchomości miejskich w Królestwie, poza mową posła Świeżyńskiego w ogólnej rozprawie budżetowej, pięć środowych wieczorów z rządu, poczynając od d. 9 lutego, zajęły rozprawy z powodu interpelacji opolskiej. Przypomnijmy ją pokrótce.

W Opolu, w pow. włodawskim, gub. siedleckiej, zatem w okolicy zagrożonej oderwaniem od Królestwa, istnieje oddawna kościół katolicki, fundowany niegdyś przez rodzinę Szlubowskich. W r. 1877, kiedy jednym zamachem pióra zniesiono Unię i uznano wszystkich unitów za prawosławnych, kościół został zamknięty, rzekomo z powodu braku parafian. W trzynaście lat potem minister spraw wewnętrznych zawiadomił generał-gubernatora warszawskiego, że kasuje się parafię katolicką w Opolu, miejscowy kościół zaś ma być oddany na potrzeby cerkwi prawosławnej. Polecenie to było nieprawne na zasadzie art. 66 dawnych praw zasadniczych, jako pozbawiające osobę prywatną mienia, kościół bowiem mógł być uważany za mienie rodziny Szlubowskich. Nie zostało zresztą na razie wykonane. Nastąpił potem Ukaz tolerancyjny w r. 1905, który samą treścią swoją kasował już nieprawnie poprzednio wydane rozporządzenie. Katolicy miejscowi wysłali deputacyę ze skargą do prezesa ministrów, na co otrzymali odpowiedź, że zwrot kościoła będzie zależny od decyzji Izby Państwowej, jaką poweźmie po rozpatrzeniu kwestyi, dotyczącej

zwrotu wogóle przez parafie prawosławne i inne zamkniętych i oddanych im w swoim czasie kościołów i inajatków kościelnych. Uchwały takiej dotąd nie było, natomiast w r. 1907 wydane zostało postanowienie ministerium spraw wewnętrznych, mocą którego świątynie, poświęcone na cerkwie, nie mogą być zwrócone inaczej, jak za zgodą ministra spraw wewnętrznych i nadprokuratora Synodu, który w danym razie sprzeciwił się zwrotowi.

Na wieść o tem dn. 4 grudnia 1907 r. na mocy rozporządzenia gubernatora siedleckiego kościoł, dotąd zapieczętowany, został duchowieństwu prawosławnemu oddany i siłą na cerkiew zamieniony, przyczem dopuszczono się profanacyi zwłok rodziny Szlubowskich, szczątki ich bowiem, pochowane w grobowcach przy kościele, rozrzucono i na innem miejscu pochowano. Wobec takiego w ogólnych zarysach przebiegu sprawy, interpelacya prosi o uznanie działań gubernatora siedleckiego za bezprawne i o zwrot kościoła w Opolu katolikom.

Na interpelacyę odpowiadał pierwszy dyrektor departamentu wyznań obcych Charuzin, który zapewnił, że w dawno prawosławnym okręgu opolskim jest cerkwi mniej, niż kościołów, że jedna cerkiew wypada na 446 parafian, a jeden kościół na 333, stwierdził dalej, że już w r. 1877 z powodu braku katolików, kościół został zamknięty, zaprzeczył wreszcie sprofanowaniu zwłok; całe to wystąpienie było bardzo słabe. To też z dzielną pomocą pospieszył przedstawicielowi rządu „dzielny chłop“—*stante pede* za swe wystąpienie tak przez Puryszkiewicza nazwany — hr. Bobrinskij, który, niepowstrzymany obecnością na galerii Izby Królewskiej — był to przeddzień rozpoczęcia obrad neosłowiańskich — oświadczając się, jako neoslawista i przyjaciel Polaków, z wielką furią uznał w całej sprawie jedną tylko winę — włościan-katolików, którzy „siłą opanowali świątynię“ i ukarani nie zostali. Na tem samem stanowisku stał poseł biskup Eulogiusz, którego słowa warto zapisać ku wiecznej rzeczy pamięci: „Do rosyjsko-polskiego porozumienia ludzie rosyjscy idą z otwartą duszą i braterskimi uściskami. Polacy zaś prowadzą podwójną politykę, skutkiem czego chce im się powiedzieć: Bracia Polacy, jeżeli drogie jest wam porozumienie, nie prowadźcie gry podwójnej, nie wszczynajcie podobnych interpelacyj, jak opolską, inaczej bowiem naród rosyjski zrozumie was i oszukiwać się nie da.“ Z wystąpień po tej stronie Izby zasługuje jeszcze na zaznaczenie mowa posła od mniejszości Warszawy, Aleksiejewa, który, omawiając ucisk prawosławnych przez katolików, powołał się na autorytety Świętochowskiego i Niemojewskiego, przytaczając

ich artykuły i zakończył: „jeżeli nie wierzycie słowom biskupa Eulogiusza, wierzcie postępowcowi polskiemu o europejskiej sławie.“

Rzecz charakterystyczna, że tego typu mówcy pośrednio krytykowali działalność władz warszawskich najwyższych, uważając ją za zbyt przychylną dla Polaków. Jeszcze ciekawsze może, że w zestawieniu z prądami, panującymi dziś w Petersburgu w wyższych kołach rządowych, a nawet w znacznej części Izby, stanowisko władz tutejszych, zwłaszcza wyraźnie przeciwnie wyodrębnieniu ziemi Chełmskiej, zdaje się potwierdzać te opinie. Zastrzedz tylko trzeba, że nie może tu być żadnej mowy o polonofilstwie; mamy do czynienia poprostu ze znajomością stosunków i tendencją do unikania niepotrzebnych zadrażnień, która powinna cechować każdego administratora. Czego zaś chcą biskup Eulogiusz i towarzysze, o tem świadczy pośrednia naganka, jaka dostała się gen. Hurce. Ładną przyszłość zdają się wróżyć te głosy.

Powołując się na Świętochowskiego i Niemojewskiego, poseł Aleksiejew działał z oczywistą złą wiarą, jakkolwiek słowa ich przytaczał wiernie. Świętochowski sprostował je zresztą zaraz w liście, ogłoszonym w pismach rosyjskich, w którym protestuje przeciw czynieniu użytku zewnętrznego ze słów, wypowiedzianych w domowym sporze. Płynie z tego wypadku wszakże nauka, by w sprawach najważniejszych, bardzo drażliwych, strzedz się nieoględnych wystąpień nawet wewnątrz własnego społeczeństwa, mimo bowiem wszelkich protestów, mogą być na niekorzyść jego używane.

Poza tymi epizodami w wystąpieniach powyższych, uderza cecha obfudy. Brak tu odwagi własnych czynów, inwokacji konieczności państwowych, czy wreszcie poprostu stwierdzenia posiadania siły, czyli faktycznej możności czynienia wszystkiego bez oglądania się na pokrycie płaszczykiem prawa, który wydaje się tu bardzo mocno dziurawy. I to właśnie stanowisko stawia obrońców stanu rzeczy na dziwnie niskim poziomie. Słusznie więc porównał ich poseł Żukowski do braci, którzy są, gdy trzeba cokolwiek wziąć, a niema ich, kiedy trzeba dać. I słusznie mówił, że „ciężka dla nas była polityka Paskiewicza, ciężka była polityka Hurki, ale była to polityka szczerza i wyraźna i liczyliśny się z nią. Ale z takimi mowami, które z jednej strony oskarżają Paskiewicza i Hurkę bodaj, że o przestępstwa przeciw sprawie rosyjskiej, z drugiej zwracają się do nas w imię miłości bratniej — oto z takimi mowami liczyć się nie będziemy, gdyż uważamy je nie za produkt poważnej myśli politycznej, ale za produkt wątpliwej wartości sportu politycznego lub świadomej obfudy.“

Sprawa polska była wogóle w rozprawach Izby reprezentowana bardzo dobrze. Posłowi siedleckiemu, Dynszy, wypadło polemizować z przedstawicielem ministryum i przedstawić faktyczny stan sprawy; fantastycznym danym statystycznym rządu przeciwstawił takie, które ze stanowiska rządowego nie mogą ulegać wątpliwości, mianowicie cyfry Warszawskiego Komitetu Statystycznego; wedle nich jest w Opolu 2,871 katolików i 2,005 prawosławnych, zaś wedle danych prof. Francewa, tych sanych, które posłużyły za podstawę statystyczną wnioskowi rządowemu wyodrębnienia ziemi Chełmskiej, katolicy stanowią tam 59%, prawosławni zaś 39%. Mimo to prawosławni posiadają trzy cerkwie, katolicy zaś ani jednego kościoła, nie można bowiem nazywać kościołem wynajętej w celu odprawiania nabożeństw oranżeryi. Rzecz ciekawa, że wedle oświadczenia proboszcza Opolu, ks. Chojeckiego, wielu katolików mówi tu po rusku, takie gwałty zaś, jak odebranie kościoła, pociągają ich tylko do kultury polskiej, co się wręcz sprzeciwia zamierzeniom rządu.

Posłowi Jarońskiemu przypadło w udziale prawne uzasadnienie interpelacyi. Przytoczył on między innymi przykład analogiczny odebrania katolikom kościoła w Kołodni, gub. wołyńskiej, w r. 1893. W osiem lat potem kościół ten zwrócono, na zasadzie przychylniej opinii samego Pobiedonoscewa. Wielkie wrażenie wywołało wystąpienie posła Nakoniecznego: przemawiał on od tego ludu, który „po tyloletnich strasznych cierpieniach, po długich latach bolesnego oczekiwania mógł nareszcie głośno i otwarcie wyznawać tę najdroższą sercu jego wiarę, jaką wśród straszego ucisku i wielkich prześladowań w głębi swej duszy piastował.“ Tak było po Manifestie tolerancyjnym, potem zmieniło się wszystko. Ale lud wytrwa, bo „my jesteśmy twarde ludzie i dzieci nasze też będą twarde,“ bo „nam dzisiaj już nic nie straszne, z pokolenia my takiego, co przecierpiało nie mało. Kto miał od wiary naszej świętej odejść, to odszedł. Kto był niewytrzymały, ten zginął. A zostali tacy, którym nie poradzi nikt na świecie, jedna śmierć tylko. I my się przy świętej naszej wierze utrzymamy.“ Słowa te wypowiada chłop w przepięknych szkicach Reymonta „Z ziemi Chełmskiej,“ drukowanych obecnie w *Tygodniku Ilustrowanym*. A powtórzenie ich z trybuny parlamentarnej przez jedyne go posła-włościanina, to największa chyba nagroda dla wielkiego pisarza.

Ks. Maciejewicz reprezentował stronę historyczną rozpraw, zbijając z dokumentami w rękę opowiadania o ucisku Rusinów



za czasów dawnej Rzeczypospolitej i podkreślając, że jeżeli państwo chce być silne wewnętrznie, to musi szanować Manifesty z dn. 30 kwietnia i 30 października.

Z przemówień rosyjskich wyróżnić wypada posła Mikołaja Lwowa. Nie dlatego, abyśmy lekceważyć chcieli głosy Rodiczewa, Bułata i innych, ale dlatego, że ci występowali w obronie interpelacyi z urzędu niejako w imieniu swoich stronnictw, Lwow zaś mówił w swoim osobistym imieniu, jako uczciwy Rosyanin, który był na miejscu specjalnie, widział, co się tam dzieje i powrócił głęboko przekonany o naszej słuszności. I powiedział to, nazwał postępowanie duchowieństwa prawosławnego sprzecznem z manifestami i przypomniał tym, „co się dopuścili gwałtu opolskiego,“ że „takie środki nigdy nie prowadzą do celu.“ Tenże sam Lwow w podkomisyi chełmskiej—nawiasowo wtrąćmy, że pracuje ona teraz bardzo powoli, tak że obrady Izby w tej kwestyi odroczone zostaną zapewne do sesyi następnej—wygłosił doskonale obmyśloną mowę, w której dowodził, że w Polsce nigdy nie było wynaradawiania przymusowego. Proces polonizacyi ogarniał tylko wyższe warstwy społeczne, zaś lud nie przestał być sobą i począł garnać się do katolicyzmu dopiero pod wpływem prześladowania Unii, które wywołało nienawiść do wszystkiego, co rosyjskie. W chaosie nienawiści i obłudy, który otacza sprawy polskie w tem państwie, takie postacie, jak Lwowa, godzą poprostu człowieka z ludzkością.

Ogólne wrażenie interpelacyi opolskiej jest, że rozprawy były niewątpliwem naszym moralnem zwycięstwem, a moralną porażką rządu. I to jest ważne, i tem pocieszać się trzeba, bo realnie niema ona żadnego znaczenia; kościół pozostanie w ręku tych, którzy mają za sobą siłę, a nie tych, po których stronie jest słuszność. Dowodzi tego wymownie uchwalona głosami centrum i prawicy obłudna rezolucya, która brzmi, jak następuje:

„Uznając wyjaśnienia rządu co do legalności postępowania gubernatora siedleckiego za wystarczające; wyrażając życzenie, ażeby oddawanie świątyń jednego wyznania w posiadanie innego było niedopuszczalne w przyszłości, bez rozważenia takich spraw w ustanowionym w tym celu porządku; mając wreszcie przekonanie, że rząd będzie wprowadzał w życie ogłoszone zasady wolności sumienia, przez co usunie możność smutnych nieporozumień i zatargów między wyznawcami różnych wyznań na gruncie religijnym—Duma przechodzi do porządku dziennego.“

Lewica zaś i Polacy zostali w mniejszości z formułą następującą:

„1) Uznając, że zamiana kościoła opolskiego na cerkiew prawosławną, podczas, gdy starania katolików o zwrot zabranego w r. 1890 kościoła nie zostały uwzględnione — nie opiera się na gruncie prawa; 2) że okoliczności, towarzyszące owemu faktowi, są niedopuszczalne; 3) że niezbędne jest rozstrzygnięcie w porządku prawodawczym kwestyi zwrotu zamkniętych kościołów i należącego do nich majątku—Duma przechodzi do porządku dziennego.“

\*

\*

\*

Zamkniętej 20 lutego sesyi Sejmu galicyjskiego niepodobna nazwać owocną. W ciągu czterdziestu dni na czterdziestu siedmiu posiedzeniach załatwiono spraw bardzo mało. Natomiast likwidowano bez ostatecznej likwidacyi rachunki partyjne, wystawiane przeważnie w Wiedniu, co gorsza, charakteryzujące coraz bardziej rozbieżne życie wewnętrzne solidarnego na zewnątrz Koła Polskiego. Paraliżowały częstokroć narady sejmowe niezadowolona dotąd sprawa reformy wyborczej i nigdy niemożliwa do załatwienia kwestya ruska, występująca w obradach pod postacią obstrukcyi; jeżeli jaką pociechę znaleźć można w sesyi ubiegłej, to—że obrad zupełnie udaremnić nie zdołała.

Trzy najważniejsze punkty wysunęły się na czoło obrad: organizacya rolnictwa krajowego, założenie Banku przemysłowego i zachwianie się interesów Banku parcelacyjnego.

W pierwszej sprawie chodziło o skoordynowanie pod opieką rządu usiłowań podniesienia rolnictwa krajowego, zarówno polskich, jak i ruskich. Namiestnik wniósł projekt utworzenia Rady kultury krajowej, któremu zarzucano, że zbyt wielką rolę wyznacza w niej rządowi centralnemu (nominacya prezesa, zatwierdzenie wyboru dwóch wiceprezesów, oraz nominacya z urzędu czterech członków na ogólną liczbę 27), że zbyt faworyzuje Rusinów (zastrzegając dla nich trzecią część mandatów i połowę nominacyj rządowych), że wreszcie lekceważy istniejące już dotychczas instytucye rolnicze, czyniąc ich reprezentacyę w Radzie zależną od woli namiestnika. Szczegóły te są wyrazem znanej arbitralności d-ra Bobrzyńskiego, a że zarzuty były uzasadnione, świadczy o tem cofnięcie projektu.

Sprawa Banku przemysłowego dla Galicyi załatwiona została w sposób taki, że połowę akcji, czyli sumę pięciu milionów koron, pokrywa Wydział krajowy imieniem kraju, połowę zaś dolnoaustriackie Towarzystwo eskontowe. Mimo uwag fachowców, że tej drugiej połowy instytucje krajowe pokryćby nie mogły, wątpliwą wydaje się korzyścią dla kraju czerpanie z paktolów dolnoaustriackich. Bank ten ma bowiem na celu rozwój przemysłu krajowego Galicyi, cel sprzeczny z interesami innych krajów koronnych. Przeto wątpić wolno czy Towarzystwo eskontowe, które będzie silnie reprezentowane w zarządzie przyszłego Banku, zrozumie interesy Galicyi i nie będzie pędziło wody na różne młyny niemieckie. W ostatniej chwili dowiadujemy się zresztą, że rozpoczęte rokowania z Tow. eskontowem zostały rozbite.

Nie wchodząc w uczciwość osobistą kierowników, owszem, przypuszczając, że są czyści i że zysków osobistych na widoku nie mieli, musimy przecież podkreślić wielką lekkomyślność w prowadzeniu interesów Banku parcelacyjnego w Galicyi. Doprowadziła ona do zachwiania się interesów instytucyi, w której znaczną część wkładów stanowią ciężko zapracowane grosze chłopskie. Słusznie uczyniono, dekretując sanację interesów, aby zapobiedz bankructwu, mniej słusznie, pokrywając sprawę dość gęstym woalem, aby nie kompromitować ludowców, wysługujących się obecnie konserwatystom. Bank parcelacyjny bowiem był instytucją finansową ludowców: ich agenci kazali sobie płacić sute poręczakowicze; ich pisma wystawiały olbrzymie rachunki za ogłoszenia. A sens moralny całej sprawy nie nowy: nie należy mieszać polityki z finansami, rzeczy głównych z powszedniemi, jeżeli pierwszy przymiotnik można jeszcze do polityki zastosować.

\*

\*

\*

Kiedy przeglądamy pisma codzienne, uderza nas liczba i rozmiar ogłoszeń o t. zw. kabaretach, kiedy przysłuchujemy się przeciętnym rozmowom, uważamy, że produkcje kabaretowe, że zabawy nocne zajmują w nich wiele, zbyt wiele miejsca. Przybyła nam rozrywka, niestety, bardzo pospolita, a rozrywki tej nadużywamy. Jest to jeden z objawów zmiany na gorsze, zaniku bodaj naszego życia towarzyskiego.

Nazwijmy rzeczy po imieniu. Eufemizm pochodzenia francuskiego, oznacza poprostu: szynk. Zatem przeważać zaczyna u nas życie szynkowniane, mniejsza, a raczej gorsza, że złożone, zamiast dawnej, blachą pokrytej lady. Przybywa tych zakładów ciągle, wszystkie mogą pomieścić kilkanaście tysięcy osób. Zatem powodzenie jest zapewnione. Powodzenie, oparte na przesiadywaniu nocy całych w atmosferze, przesiąkniętej trującymi wyziewami, wśród romansujących par, wśród schrypniętych, pijanych okrzyków. Czy to się bawią przyjezdni lub zamieszkali w Warszawie cudzoziemcy? Nie—tak bawi się teraz polska Warszawa.

Niekiedy, pomysłowy przedsiębiorca nada szynkowni nazwę literackiej. I niebawem za przykładem złym Warszawy, spieszy Kraków, Lwów. A prasa codzienna, niewybredna uderza w fanfary reklamy, sławiąc nowe zdobycze kulturalne. Tymczasem w istocie mamy do czynienia z obniżeniem kulturalnym, z deprawacją gorszą jeszcze, niż ta, jaką szerzą szynkownie bez szumnego tytułu. Bo gdy tamte oddziałują niejako zewnątrz i łacniej wywołać mogą obrzydzenie, te psują wewnątrz, wyśmiewając cynicznie — bynajmniej nie satyrycznie — wszystko, wyrabiając łatwy, tani, próżniaczy sceptycyzm.

Oto obraz kultury najnowszej.

Kultury! Jakże my nadużywamy tego wyrazu, jakże on mało znaczenia ma w naszych ustach! Gdzieindziej—to wytężona praca umysłowa, kształcenie obywatelskie serc i charakterów, wyrabianie karność i ładu społecznego, gromadzenie dóbr materialnych, tworzenie rozumniejszej, możniejszej przyszłości na niezłomnych podstawach. U nas — „młynek przy strudze“ obraca tylko „plewy cudze.“

Płytki filister, który zna zagranicę z okna wagonu, hotelu, restauracyi, z estrady sceny podkasanej—cieszy się hasłem „kultura,“ kiedy widzi powstający szynk nowy. Ileż to razy słyszymy powoływanie się na Paryż, porównywanie naszej skromnej, biednej stolicy z Paryżem. Tylko—zapominamy, że Paryż utrzymuje setki takich zakładów dla zjeżdżających się z całego świata setek tysięcy żądnych zabawy cudzoziemców, że pracowity, systematyczny, oszczędny Francuz korzysta z nich bardzo mało lub wcale, że jeżeli wzgórza Montmartru są istotnie ojczyzną pewnego gatunku literatury piosenkarskiej, to przedstawienia dla Francuzów odbywają się w tych samych godzinach, co teatralne, aby nie zarywać zbyt długo nocy i nie psuć systematycznego układu pracowitego życia powszedniego, że promieniuje z tych piosenek

iskrzący dowcip i prawdziwa łacińska kultura literacka, do której nam bardzo daleko.

Nie—nie z Zachodu przychodzi do nas to wątpliwe światło, lecz jak wiele złego w czasach ostatnich—ze Wschodu. Typ życia nieuporządkowany, niesystematyczny, hulanki całonocne czynią miasto nasze najbardziej podobnym do wschodniego. Warszawa przestaje być miastem polskim, staje się coraz bardziej kosmopolitycznym, ton jej życiu nadają obcy komiwojażerowie i urzędnicy. Kiedy się patrzy na ilości wypijanego szampana, na wysokość podawanych rachunków, na zestawienia z tem, kto je płaci, nasuwa się porównanie z Petersburgiem: na takie wydatki nie starczy przeciętnych budżetów mieszkańców ubogiego miasta.

Niechże się zresztą bawią obcy przyjezdni. Nic nam do nich. Ale, co robią w szynkach ojcowie rodzin, ba, całe rodziny polskie, cieszące się w swoich kołach zdawkowym szacunkiem, a na których szarem podłożu opiera się terażniejszość i przyszłość narodu? Prowadzi je tam wrodzona lekkomyślność, łatwość ulegania złym wpływom otoczenia, lenistwo i w rozrywce nawet, dzięki któremu pustkami świecą sale teatralne na przedstawieniach poważnych i posiadających istotną wartość sztuk, dzięki któremu zaginęła u nas rozmowa towarzyska, salon tradycyjny, cały ten wysoki typ życia, znany z pamiętników, z opowiadań ludzi starszych, jakim mogliśmy się słusznie poszczycić. Pcha do szynków ludzi także zniechęcenie po niedawnych wygórowanych nadziejach, ogólne obniżenie poziomu życia, zdarzające się po okresach większego napięcia, większego wyczerpania.

Mniejsza zresztą o przyczyny. Stwierdzamy smutny fakt, że stolica nasza żyje w zgubnej atmosferze płaskiej pospolitości szynkowniano-błazeńskiej. A nie równoważą jej wybitniejsze usiłowania na polu pracy umysłowej, artystycznej, społecznej. Strach bierze przedewszystkiem o młodzież, która w tej atmosferze dorastać będzie, czyli o przyszłość narodu. Co będzie z chłopców i dziewczyn, którzy wzrastają w takich warunkach otoczenia domowego i przykładów najbliższych, że brak czasu na przeczytanie książki, bodaj nawet poważniejszego artykułu, brak pieniędzy na wpisy, szkoły, instytucje społeczne, bo czas i pieniądze niesie się w ofierze Corsom, Akwariom, Momusom, a ściany mieszkania rozbrzmiewają nuconemi półgłosem wyuzdanemi przyspiewkami?

\*

\*

W przeszłej kronice miesięcznej wspominaliśmy obszernie o pożytecznej, na najwyższe uznanie zasługującej działalności Towarzystwa popierania przemysłu ludowego w Królestwie Polskiem. Wśród różnych, utrzymywanych przezeń posterunków kulturalnych, odznaczała się szkoła tkactwa i gospodarstwa domowego dla dziewcząt w Kruszyнку, doskonale prowadzona przez bardzo uzdolnioną i oddaną swej pracy kierowniczkę, p. Jadwigę Dziubińską. Mimo to Zarząd Towarzystwa był zmuszony wydaną szkole w Kruszyнку subwencyę cofnąć. Sprawa ta była przedmiotem rozpraw na ostatniem walnem zgromadzeniu Towarzystwa oraz namiętnej polemiki w prasie codziennej i tygodniowej, dotąd nie zamkniętej. A że jest i doniosła i charakterystyczna, więc wypadnie jej parę uwag poświęcić.

Zatarg wybuchł na tle znaczenia religii i praktyk religijnych w szkole dla ludu przeznaczonej. Proboszcz parafii, w której leży Kruszynek, ks. Jędrychowski, ogłosił w pismach list, stawiający pod tym względem poważne zarzuty szkole miejscowej, że mianowicie uczennice niezawsze odmawiają pacierz, że zamiast modlitwy rannej i wieczornej uczennice śpiewają tylko stojąc pieśń modlitewną, że niema stałych rekolekcyj i przygotowania do spowiedzi, że wreszcie czyniono mu trudności przy wygłaszaniu peryodycznych pogadarek religijnych. W odpowiedzi, dość zresztą spóźnionej i w pismach również ogłoszonej, kierowniczka szkoły, p. Dziubińska, zaprzeczyła zarzutom poprzednim, twierdząc, że pacierz jest objęty programem dnia, że uczennice odbywają spowiedź wielkanocną, że rok szkolny zaczyna i kończy się nabożeństwem, że niedziele i święta są sumiennie święcone, a posty ściśle przestrzegane, że pogadankom religijno-moralnym nikt tamy nie stawiał, że tylko co do lektury uczennic kierowniczka nie spełniła życzenia ks. Jędrychowskiego, nie usunęła mianowicie *Zarania* oraz broszury pośła Jakóba Bojki „Dwie dusze.“

Z tą odpowiedzią nie licuje jednak ani oświadczenie osobiste w rozmowie p. Dziubińskiej, że uczennice przybywają do Kruszyńka jedynie aby się uczyć, a więc „na te sprawy (religijne) nie mają czasu,“ ani wreszcie odmowa zastosowania się do życzeń, wyrażonych przez Zarząd Tow. popierania przemysłu ludowego.

Takie są akty sprawy. A teraz—co o niej sądzić?

Odrzućmy wszelkie epitety: „klerykalny,“ „postępowy,“ „pański,“ „chłopski,“ któremi upstrzono naturalnie polemikę i które sprawę sprowadzają z właściwego gruntu. Teraz stwierdźmy, że uczennice szkoły pochodzą z warstwy głęboko religijnej, gorąco do religii przywiązanej i że od dziecka w tym duchu i na-

stroju były wychowywane. Czy więc szkoła powinna tę ciągłość przerywać, czy też zachować atmosferę duchową otoczenia, w jakim wychowanki później pracować będą? Oczywiście zachować—dwóch zdań w tej mierze być nie może.

Idźmy dalej. Jest rzeczą ustaloną, że religia jest nietylko najprostszą filozofią, źródłem pociech duchowych, ale i jedyną kodyfikacją przepisów moralnych; wszystkie inne moralności bez obligacyi i sankcyi muszą podlegać wątpliwościom, chociażby dlatego, że są różne. Można by się spierać o znaczeniu religii w życiu człowieka inteligentnego; łatwo byłoby dowieść, że najbardziej kulturalnie zwycięskie narody są najbardziej religijne; ale chyba znowu dwóch zdań być nie może co do tego, że uczucie religijne jest wprost niezbędné, że religia stanowi jedyny pewny hamulec moralny pośród warstw kulturalnie i oświatowo niższych. Zatem nie można uczucia religijnego osłabiać, a form jego, czyli obrządków, lekceważyć w szkole, dla tych warstw właśnie przeznaczonych.

Wreszcie—biorąc najogólniej—szkoła ma na celu dostarczenie wychowankom pewnej sumy pewników w zakresie specjalności zawodowej, jak i w sferze światopoglądu życiowego. Jeżeli z liczby tych pewników usunąć religię, która ma za sobą dwa tysiące blisko lat, i podstawy ustroju współczesnego, o wiele starsze, to czemże się je zastąpi? — chyba rozbieżnemi zupełnie wskazówkami. Trzeba się tu zastrzedz, że nie chodzi nam bynajmniej o to, aby wszystkim narzucać taki a nie inny pogląd na życie, ale o to jedynie, aby przekonania wyrabiały się w ogniu życia, w okresie dojrzałości umysłowej, nie zaś aby były narzucane niedowarzonemu niedorostkowi, jak w danym razie kilkunastoletnim dziewczynom.

Z tych wszystkich względów musimy przyznać słusność postanowieniu Zarządu przeciw kierownictwu szkoły w Kruszynku. Dodać jeszcze trzeba, że dawno już obiegały pogłoski, jakoby szkoła ta była partyjna, jakoby była ekspozyturą tak zwanych postępowców. I to pośrednio potwierdza zarzuty ks. Jędrychowskiego, główną ich cechą bowiem jest nienawiść do religii katolickiej.

Najlepszym zresztą kryterjum wartości szkoły byłoby przyznanie się działalności jej wychowanek w życiu. Trzeba tu czekać na opinię najbardziej interesowanych czytelników pism ludowych; dobrze czyni *Zorza*, że do tego swoich prenumeratorów zachęca.

\*

\*

\*

Nie przekazując potomności licznych nazwisk wątpliwej sławy, ani dat procesów, możemy zapisać, że w Krakowie rozegrały się znowu dwie sprawy szpiegowskie, których bohaterami (bohaterkami) byli Polacy z Królestwa, rozbitki niedawnej rewolucyi. Łączyli oni w sobie bardziej lukratywne rzemiosło szpiegów wojskowych z mniej dochodowem agentów „ochrony.“ Ale ponieważ z pierwszym państwem nie żartują, na drugie zaś są bardziej pobłażliwe, więc bohaterowie chętni się niejako na sędzie stosunkami z „ochroną,“ zaprzeczając tylko najusilniej wszelkim związkom ze sztabami generalnymi.

Zwyrodnienie moralne, którego dowodzą coraz liczniejsze procesy takiej kategorii, napełnia poprostu przerażeniem. Od szczytów myśli polskiej, przez przedstawicieli przeciętnej inteligencji aż do warstw ludowych ciągnie się czarna nić donosicielstwa. Rozpętanie namiętności niedawne mści się na sprawcach. Kiedy się ludziom usilnie tłómaczy, że dla dobra partyi czy rewolucyi każda droga jest godziwa, nawet mord i rabunku, kiedy ziarna takie padają na grunt pod względem moralnym dziewiczy, pozbawiony z góry wszelkich pierwiastków otamowawczych, ze zmianą warunków musi koniecznie nastąpić podstawienie w twierdzeniu zamiast partyi czy rewolucyi swojej własnej osoby, konieczności zaspokojenia głodu lub żądzy użycia za wszelką cenę. Dlatego nawet ludzie, pełni idealizmu w poglądach, których życie prywatne nie może podlegać żadnym zarzutom, o ile takie nauki głosili, są moralnymi sprawcami, motorami tego rozpasania moralnego, jakiego jesteśmy świadkami. A próżnoby się tłómaczyli, że cele ich były najszlachetniejsze; potępia ich metoda; potępia ich brak cechy charakteru, której mamy prawo wymagać przede wszystkim od działaczy politycznych, zdolności obliczania następstw czynów, a nawet rzucanych hasła.

\*

\*

\*

Sprawa żydowska nie schodzi ciągle z porządku dziennego naszego życia. Rozpoczęta na jesieni polemika na szpaltach pism trwa w dalszym ciągu. Dobrze jest, że się mówi nieustannie o tej niezmiernie ważnej sprawie wewnętrznej; gorzej, że przybiera mało faktów i argumentów, zaś przeżuwane i powtarzane są ciągle stare.



Środek ciężkości rozpraw przeniósł się teraz do pism t. zw. postępowych, czyli organów opinii tych, którzy albo osobnej sprawy żydowskiej nie uznają, istnieją bowiem dla nich jedynie interesy międzynarodowego proletaryatu, albo też uważają asymilację za dogmat i kamień węgielny swojej polityki żydowskiej. Do pierwszych należy p. Ludwik Krzywicki, który na szpaltach *Wiedzy* ostro skarcił p. Andrzeja Niemojewskiego za jego stanowisko w sprawie żydowskiej. Do drugich—p. Aleksander Świętochowski i pewna bardzo wybitna działaczka postępową, której nazwiska nie wymieniamy, wypowiedziała się bowiem w piśmie galicyjskiem i w artykule niepodpisanym.

Teraz chodzi już o to, czy my sami mamy być gospodarzami na naszej ziemi, czy też tylko równorzędnie z Żydami. Tak, nie inaczej bowiem stawia kwestyę p. Grosser w *Wiedzy*, w artykule napisanym dobrze po polsku, nie pozbawionym pewnego sentymentu, nawet wyrazu pewnego przywiązania do polskiego kraju, tęsknoty do niego podczas pobytu zagranicą. Nie przeskadza mu to jednak w niczem domagać się uznania Żydów za równorzędną osobną narodowość na ziemiach polskich, zatem równouprawnienia żargonu w szkole i w urzędzie, uznania go za drugi język krajowy. I kończy uwagi swoje groźbą: „Jeżeli burżuazyjna (?) prasa polska wystąpi gwałtownie przeciw równouprawnieniu, stworzenie pierwszych w kraju instytucyj reprezentacyjnych (samorządnych) może stać się początkiem (?) walki narodowościowej w Królestwie, która nieubłagalnie pociągnie za sobą jaknajsmutniejsze następstwa dla kraju i zamieszkującej go ludności obu narodowości.“

Słusznie na to odpowiada Świętochowski, że „walka, prowadzona pod sztandarem, wywieszonym przez autora, będzie miała smutne następstwa dla Żydów.“ I zwraca uwagę, że na to, aby tak rozumować, jak p. Grosser, trzeba nie należeć do żadnego narodu, rozumować „nie jak cząstki narodowe, w których drga przeszłość i przyszłość całości, nie jak organy pewnego historycznego i kulturalnego ustroju, ale jak kółka maszyny, które dowodzą, że, jeżeli osadzą się na pewnych osiach i będą się obracały w pewnych transmisyach, to ona będzie dobrze działać. To jest mowa nie żywych istot, lecz mechanizmów.“ Jakto? „ci Polacy, którzy swoją ziemię przepoili krwią i łzami, którzy swoją narodowość ukochali aż do ekstazy, którzy przez sto lat cierpią i walczą za swój sponiewierany i skrzywdzony język, ci Polacy mają wyrzec się swej miłości, wspomnień, marzeń, całego uczuciowego oprzędu serc swoich, uznać się za właścicieli połowy swego do-

mu i nazywać swoją ojczyznę polsko-żydowską!?” „Zaiste, trzeba być pozbawionym najprostszego zmysłu psychologicznego, ażeby ważyć się na takie rady.“

Wybitna publicystka postępową z goryczą wytyka wady żydowskie. Zaczyna od spraw wyznaniowych. „Nigdy klerykalizm katolicki nie wypowiedział tak bezwzględnie walki wszystkiemu, co tylko jakikolwiek ma związek z oświatą i kulturą“ — jak niedawny zjazd rabinów w Warszawie. Słowa równie słuszne, jak nowe. Bo dotąd wolno, nawet trzeba było napadać na katolicyzm, podczas gdy judaizm był nietykalnym *tabu*, jak się o tem dowodnie przekonał p. Andrzej Niemojewski, kiedy zabrał głos w sprawie przesądów religii żydowskiej.

Przechodząc dalej do ciążenia Żydów do kultury rosyjskiej, widzi w niem fakt przenoszenia do polityki zasady handlowej: „możliwie duże zyski, a możliwie małe ryzyko.“ Ta „zduniewająca zdolność przystosowywania się do konjunktury politycznej“ występowała także w masowem przyłączaniu się Żydów przed paru laty do działań rewolucyjnych, niedawno zaś w dużej ilości szpiegów i prowokatorów, wogóle sług policyi. W dziedzinie ekonomicznej zaś swój interes osobisty stawiają oni tak dalece na pierwszym planie, że występują zajadle przeciw tak niewątpliwie korzystnym poczynaniom, jak rozwój instytucyj kooperacyjnych.

W liczbie głosów żydowskich wymienić należy jeszcze artykuł p. Wassercuga w nowym tygodniku *Odrodzenie*. Jest to właściwie płomienna odezwa Żyda-asymilatora, Żyda-Polaka do współplemieńców i współwyznawców, aby zajmowali się ludem żydowskim, aby pracowali nad nim w kierunku przyciągnięcia go do kultury polskiej, aby kiedyś potomkowie nie powiedzieli o współczesnych, że dzięki ich zaniedbaniu Żydzi zostali zupełnie wyeliminowani ze społeczeństwa polskiego.

Autor żąda tu od Żydów rzeczy dużych, bodaj że prawie niemożliwych. Bo na tem właśnie polega tragedia wewnętrzna i zewnętrzna asymilatorów-Żydów, że czując się duchowo Polakami, dziećmi kultury polskiej, tracą równocześnie związek, kontakt z ciemnymi masami żydowskimi, pozostawiając je na pastwę rabinom i nacjonalistom różnego autoramentu. Pragnąc oddziaływać na te masy, musieliby się koniecznie postugiwać żargonem, a to jest dla nich niedopuszczalne, jako dla Polaków. Kiedy wreszcie następuje zupełna asymilacja przez zmianę wyznania, ostatnie węzły zostają zerwane.

Teoretycznie ma jednak p. Wassercug słuszność. Ale sam nie stosuje swoich zasad w życiu, jako publicysta. Inaczej bowiem — w ich myśl ścisłą — przestałby poddawać krytyce katolicyzm lecz zdążyłby do reformy judaizmu; wogóle zaś porzuciłby oderwane badania religijne, prowadząc wśród tłumów żydowskich pracę kulturalną, której żadna religia tamy nie stawia. Praktyka jednak—jak wiadomo—jest o wiele trudniejsza od teorii.

Co do roszczeń p. Grossera, to odrzucenie ich zgoła nie potrzebuje uzasadnienia. Trzeba tylko zwrócić uwagę, że, budząc słuszne oburzenie, głosy takie już nietylko utrudniają asymilację, ale nawet spokojne życie Żydów w Polsce.

Asymilacja w sprawie żydowskiej dogmatem nie jest i być nie może. Pojmowana, jako zlanie, zmieszanie się rasowe — jest wręcz niemożliwa. Pojmowana w znaczeniu politycznym, czyli jako szczere popieranie przez Żydów interesów narodowych polskich jest urzeczywistnialna w miarę wzrostu naszej siły. I dlatego najlepszym, acz najtrudniejszym programem w sprawie żydowskiej będzie wzmocnienie ekonomiczne, wyrobienie spójności społecznej, podniesienie kulturalne, wzmoczenie znaczenia politycznego społeczeństwa polskiego. Żydzi są urodzonymi realistami: cenią siłę i tylko siłę. A jeżeli w przyszłości będziemy mocni wewnątrznie czy zewnątrznie, Żydzi przyjdą do nas sami, bez żadnych osobnych usiłowań z naszej strony. Takie głosy, jak polski p. Grossera i żargonowe w pismach są tylko pośrednim dowodem naszej słabości. Niczem więcej.

# Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

---

## Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. W dniu 3 b. m. odbyło się posiedzenie Wydziału III, na którym wygłosili komunikaty: *J. Eismund*: „Cytotropizm jaj niezapłodnionych u jeżowców.“ *Z. Weyberg*: „Z badań nad chemizmem biotyłów.“ *J. Sosnowski*: „Z badań nad przewodnictwem nerwów.“ *St. Majkowska*: „Z owogenezy u Pływaka (*Dytiscus*)“ (przedst. p. *J. Sosnowski*).

W dniu 5 b. m. odbyło się posiedzenie Wydziału II, na którym p. *K. Stolyhwo* odczytał referat p. *Wł. Biegańskiego*, p. t. „Neoteleologia.“ Referat ten wywołał szereg uwag ze strony p. *Smolikowskiego*.

W dniu 15 b. m. odbyło się posiedzenie Komisji Meteorologicznej przy Wydziale III, na którym p. *Wł. Gorczyński* przedstawił potrzeby instrumentalne Obserwatorium meteorologicznego pod Warszawą, a także zreferował postęp prac w dziedzinie organizacyi nowej sieci stacyj deszczowych pod kierunkiem Biura meteorologicznego przy Muzeum w Warszawie. Ta sieć stacyj deszczowych powstała dzięki staraniom Wydziału doświadczalno-naukowego Centralnego Towarzystwa Rolniczego, które odniosły przychylny skutek w sferach towarzystw rolniczych okręgowych w Królestwie Polskiem. Pomyślny i szybki wynik tej ważnej akcyi jest szczególną zasługą d-ra *Ign. Kosińskiego z Chruszczewa*.

Wreszcie p. *T. Banachiewicz* wygłosił referat o komecie Halley'a.

*Zadania konkursowe Towarzystwa Naukowego Warszawskiego.* A. W wydziale języka i literatury: „Życie duchowe i twórczość Juliusza Słowackiego.“ Żądana jest bądź całkowita synteza krytyczna, bądź częściowe opfacowanie jednego z dwu głównych okresów działalności poety (lata 1836—1842 i 1842—1849), bądź wreszcie studyum nad genezą i ewolucją samego arcyzmu przy uwzględnieniu pokrewnych zjawisk w dziejach poezyi i sztuki innych ludów Europy.

B. W wydziale nauk antropologicznych, społecznych, historii i filozofii: „Znaczenie żywiołu etnicznego litewskiego w ewolucji polityczno-społecznej W. Księstwa Litewskiego przed Unią Lubelską.“ Praca ta ma stanowić studyum, oparte zarówno na wynikach badań etnograficznych, jako też na danych faktycznych, dotyczących polityczno-społecznego i kulturalnego rozwoju żywiołu rdzennie litewskiego, ze szczególnem uwzględnieniem przejawów tego żywiołu w ustawodawstwie, a mianowicie w Statucie Litewskim. C. W wydziale nauk matematycznych i przyrodniczych. „Zbadanie pod względem mineralogicznym któregośkolwiek z terytoriów Królestwa Polskiego.“ Przez terytorium rozumieć należy pewną całość geograficzną lub pewien kompleks geologiczno-petrograficzny. Praca winna wyczerpywać odnośną literaturę i opierać się nadewszystko na badaniach oryginalnych autora, oraz na laboratoryjnym opracowaniu materiałów zebranych. Autor winien przedstawić duplikaty zbadanych przez się materiałów, jako też i ewentualnych preparatów mikroskopowych.

O warunkach konkursu informuje kancelarya Towarzystwa Naukowego Warszawskiego—Krakowskie-Przedmieście 7.

— TOWARZYSTWO OPIEKI NAD ZABYTKAMI PRZESZŁOŚCI. Towarzystwo zamknęło trzeci rok swej pożytecznej i najszerszego poparcia godnej działalności, zmierzającej do zachowania pamiątek historycznych naszego kraju. Skromnymi funduszami garstka ludzi dobrej woli w krótkim stosunkowo czasie zrobiła bardzo wiele, otoczyła swą opieką prawie wszystko, co było w kraju uwagi godnem i zjednała instytucji powagę rzeczoznawczą. To ostatnie wpływa na wzrastające ożywienie instytucji z jednej strony, i odpowiedzialność przed historją z drugiej. Towarzystwo opieki nad zabytkami przeszłości w rozumieniu swych celów nie ustaje w pracy, jak to świadczy ostatnie sprawozdanie zarządu. Oto wyciąg z prac podjętych lub już ukończonych w roku sprawozdawczym.

Wzięto pod opiekę kościół starożytny w Bąkowie (pow. łowicki), który miano zburzyć, aby budować nowy. Zapobieżono temu przez postanowienie zachowania presbiterjum i zakrystyi. Zbadano stan ruin pałacu Biskupów płockich z wieku XVII w Broku (pow. ostrowski). Zbadano wartość artystyczną i archeologiczną kościoła w Brzeźnicy (pow. kozienicki) i wyrażono zgodę na przebudowę. Zapobieżono niepożądanemu powiększeniu kościoła z XIV wieku w Chylicach, posiadającego wyjątkową wartość archeologiczną. Rozpatrzono projekt przebudowy kościoła w Ciechanowie. Prowadzono w dalszym ciągu roboty przy restaurowaniu ruin zamku w Czersku; uzupełniono przypory baszty wjazdowej, spojono szpary w ścianie baszty, podmurowano ściany i doprowadzono do porządku wierzchnie otwory strzelnic. Zajęto się projektowaniem rozszerzeniem kaplicy Matki Boskiej na Jasnej Górze i postanowiono zbadać sprawę na miejscu współ z konserwatorami krakowskimi. Rozpatrzono projekty restauracji kościołów: w Głogowcu (w. XVI), w Izbicy, w Kaliszu, Kłwowie (pow. opoczyński), Kłóbce (pow. włocławski), Kłomnicach, Krożach, Łowiczu (restauracja kolegiaty i powiększenie kościoła św. Ducha),

Miedniewicach, Mstowie, Ossjakowie, Piątku, Pułtusk, Smogorzowie, Sobocie, Wąwolnicy—wszędzie zbadano stan kościołów, porobiono odpowiednie studia, wydano opinie o robotach rozpoczętych i planach, udzielono rad i wskazówek. Poza tem zbadano szereg zabytków i opracowano odpowiednie referaty, a więc: zbadano kościół z XIII w. w Imielnie (pow. jędrzejowski), kościółki drewniane w Koźle (pow. brzeziński), w Olbierzowicach (pow. sandomierski), w Postoliskach (pow. radzyński), Siniarzewie (pow. niezawski) i Szreniawie (pow. miechowski), dalej zbadano cmentarzysko przedhistoryczne w Łękach (pow. kutnowski), przeprowadzono badania przed rozpoczęciem restauracji zamku w Pabianicach, podjęto studia nad zamkiem w Pieskowej Skale, wydano opinię w sprawie ozdobienia kościoła w Raszynie, zajęto się robotami restauracyjnymi przy kościele św. Jakóba w Sandomierzu, które pod kierunkiem p. J. Wojciechowskiego posunęły się znacznie i podniosły wielce historyczną świątynię; rozpoczęto studia nad zwaliskami zamku w Sochaczewie; przystąpiono do szczegółowego projektu potrzebnych przeróbek pięknego, a dziś wielce zaniedbanego kościoła w Sulejowie; zajęto się uratowaniem starożytnego kościoła drewnianego w Tomaszowie Lubelskim; poczyniono kroki do rozciągnięcia opieki nad wieżą t. zw. aryańską w Wojciechowie (pow. puławski) i wreszcie wydano opinię o projektach budowy nowych kościołów w Mąkoszynie i Siniarzewie (pow. niezawski). Poza tem Towarzystwo brało czynny udział w restauracji świątyń warszawskich.

Dla uzupełnienia obrazu działalności Towarzystwa dodać należy, że w roku sprawozdawczym, staraniem zarządu wmurowano dwie tablice pamiątkowe w Lublinie, na domach, w których ongi mieszkali Wincenty Pol i Sebastyan Klonowicz.

Sprawozdanie rachunkowe wykazuje 4,650 rb. 94 kop. dochodu i 4,218 rb. 99 kop. wydatków. Budżet na rok przyszły przewidywany jest w sumie 4,820 rb., suma ta zależy tylko od składek członków i ofiar.

Na dorocznem zebraniu ogólnem, odbytem w dn. 17 z. m., przyjęto dwie darowizny: ruiny zamku w Ilży (z zapisu J. T. ks. Lubomirskiego) i wieżę t. zw. aryańską w Wojciechowie, w pow. puławskim (dar p. Józefa Popławskiego). Następnie jednomyślnie na wniosek zarządu, mianowano członkami honorowymi: prof. Maryana Sokołowskiego i J. E. ks. biskupa Zdzitowieckiego. Po referacie ks. Łukasza Janczaka, który wykazał, jak wielkie bogactwa zabytków naszej przeszłości kryją się w aparatach kościelnych, postanowiono powołać przy Towarzystwie sekcję pań do naprawy starożytnych szytych i haftowanych aparatów kościelnych i wszcząć akcję zmierzającą do zdobycia własnego gmachu na muzeum.

Omówiono wreszcie sprawę odrestaurowania opactwa w Sulejowie i dokonano wyborów do zarządu na rok przyszły.

— TOWARZYSTWO DLA POPIERANIA NAUKI POLSKIEJ WE LWOWIE. Ostatnie sprawozdanie za rok 1909 wykazuje 996 członków. Obrót kasowy wynosił 12,070 kor. 34 hal., z czego po strąceniu wpływów funduszów osobnych (zakładowego, bibliotecznego i premii za monografię o Zółkiewskim) w łącznej

kwocie 2,061 kor. 31 hal., pozostała suma 10,009 kor. 03 hal., jako fundusz obrotowy.

Dział wydawnictw Towarzystwa przedstawia się w roku sprawozdawczym bardzo pokaźnie. Rozesłało ono swoim członkom dzieła: D-ra Przemysła Dąbkowskiego „Wierna ręka czyli pokład. Studium z prawa polskiego;“ d-ra Oswalda Balzera „Sądownictwo ormiańskie w średniowiecznym Lwowie;“ d-ra Ludomira Sawickiego „Z fizyografii zachodnich Karpat.“ Prócz tego ukończono już prawie w całości druk pierwszego tomu dzieła d-ra Przemysła Dąbkowskiego „Prawo prywatne polskie“ i rozpoczęto druk „Wirtdarza Trembeckiego“ w opracowaniu prof. A. Brücknera, publikacji pierwszorzędnej wartości do poznania stanu naszej twórczości poetycznej w XVII w.; wydawnictwo to, obliczone na dwa tomy (jako tom 4 i 5 Zabytków piśmiennictwa polskiego) stanie godnie obok ogłoszonego już przez Towarzystwo „Ogrodu fraszek“ W. Potockiego. Ogłosiło także Towarzystwo pod koniec roku nowy (IX) zeszyt „Bulletin de la Société polonaise pour l'avancement des sciences,“ zawierający szczegółowe streszczenia prac wydanych swoim nakładem w ciągu roku ubiegłego. Wreszcie przyznało także Komitetowi Polonistów, który podjął wydawnictwo książki zbiorowej prac naukowych, celem uczczenia jubileuszu J. Słowackiego, zasiłek w kwocie 150 koron na częściowe pokrycie kosztów tej publikacji.

Myśl gromadzenia zbiorów celem zakładania bibliotek publicznych w ważniejszych miastach prowincjonalnych doznawała i w 1909 r. życzliwego i wydatnego poparcia w szerokich warstwach społeczeństwa, ze strony instytucji publicznych, redakcyj i jednostek prywatnych, które przesyłają liczne, nieraz znaczne i bardzo cenne dary w książkach i innych przedmiotach bibliotecznych.

Ogółem wykazują dotąd inwentarze Towarzystwa: w książkach 20,114 numerów, 28,546 tomów; w atlasach i mapach 122; w nutach 32; w rycinach i sztychach 87; w medalach i monetach 242; w przedmiotach muzealnych 5 numerów. W powyższych zestawieniach nie są jeszcze uwzględnione nieskatologowane dotychczas dary, które Towarzystwo otrzymało w ostatnich miesiącach roku sprawozdawczego.

— KONKURS „EKONOMISTY.“ Z powodu przypadającego w roku bieżącym dziesięciolecia wydawnictwa „Ekonomisty,“ redakcja ogłosiła konkurs na pracę z zakresu współczesnych stosunków społecznych i ekonomicznych w Królestwie Polskiem. W formie przykładu podano szereg tematów dla prac konkursowych, jak naprzykład: o stanie oświaty ludowej w Królestwie; o rozwoju szkolnictwa prywatnego; o stanie dróg i komunikacji; o rozwoju miast; o stanie gospodarki miejskiej; o rozwoju w ostatnich latach wielkiego przemysłu; o zmianach warunków pracy robotniczej w ostatnich latach; o stanie rzemiosł; o małej i wielkiej produkcji w rolnictwie; o warunkach kredytowych i odłuzeniu drobnej własności rolnej; o parcelacji; o emigracji zarobkowej; o ruchu współdzielczym; o wymianie handlowej Królestwa; o roli banków w życiu ekonomicznem Królestwa i t. p. Prace konkursowe muszą

być samodzielne i źródłowe, powinny być oparte na materyale porównawczym, zwłaszcza winny uwzględniać porównawczo stosunki innych ziem polskich. Pożądane jest, aby przedstawienie stanu obecnego mogło być poprzedzone wstępem historycznym. Rozmiar prac powinien wynosić przynajmniej 10 arkuszy druku. Termin konkursu upływa z dniem 1 października 1911 r. Za prace, odpowiadające poważnym wymaganiom naukowym, redakcja „*Ekonomisty*“ wyznacza trzy nagrody: pierwsza nagroda—wysokości 1500 rb., druga nagroda — 1000 rb., trzecia — 500 rb. Nagrodzone prace stają się własnością „*Ekonomisty*“ i będą wydrukowane bądź w kwartalniku, bądź w oddzielnym wydaniu książkowym. Autorzy winni do pracy dołączyć kopertę, zawierającą nazwisko i dokładny adres. Prace mają być nadsyłane pod adresem wydawcy i redaktora „*Ekonomisty*“, Stefana Dziewulskiego, Warszawa, ul. Czysta № 6.

### N O W E K S I A Ź K I.

— IGN. CHRZANOWSKI. *Z dziejów satyry polskiej XVIII wieku*. Warszawa, 1909, str. 226.

Książka powyższa zawiera trzy większe rozprawy literackie, drukowane w „*Bibliotece Warszawskiej*“ i „*Pamiętniku literackim*“ ale obecnie przejrzone i uzupełnione. W pierwszej rozprawie o „dniu 3 listopada roku 1771 w poezji współczesnej,” t. j. o dniu porwania Stanisława Augusta przez konfederatów barskich, podaje autor nieznaną wiersze, odnoszące się do tego wypadku, pióra Naruszewicza i prawdopodobnie Trembeckiego. W następnym studium skreślona została charakterystyka Gracyana Piotrowskiego, pijara, zajmującego niepoślednie miejsce w szeregu satyryków polskich XVIII wieku. Rozprawa o „satyrach Naruszewicza“ zawiera szczegółową i nader trafną analizę satyr Naruszewicza oraz zestawienie wpływów Boileau na naszego pisarza. Zamyka tom szkic o „pierwszych utworach Krasickiego“ i „dwa nieznanne paszkwile Niemcewicza“ na targowiczán, zwłaszcza na Szczęsnego Potockiego, i na sejm grodzieński.

Studia prof. Ignacego Chrzanowskiego, oparte na materyałach rękopiśmiennych z pierwszej ręki, odznaczają się zwykłą temu badaczowi ścisłością opracowania i przejrzystym wykładem.

— „*PAMIĘTNIK LITERACKI*.“ Czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej; wydawane przez Towarzystwo literackie im. Adama Mickiewicza, pod redakcją Ludwika Bernackiego. Rocznik VIII-my (1909). Lwów, 1909.

W szeregu poważnych wydawnictw poświęconych Słowackiemu w roku jubileuszowym obszerny tom „*Pamiętnika literackiego*“ zajmie miejsce wydane. Redaktor, zaszczytnie znany badacz literatury naszej, d-r Ludwik Bernacki wraz z komitetem, który stanowili: prof. Wilhelm Bruchnalski, d-r Wiktor



Hahn, prof. Józef Kallenbach i d-r Konstanty Wojciechowski, przygotowali isticie wspaniały tom, obejmujący 430 stron druku, ozdobiony portretami poety, jego rodziców i podobiznami własnoręcznych rysunków Słowackiego.

Rocznik niniejszy „Pamiętnika“ w pierwszej części mieści rozprawy następujące: W. Lutosławskiego: „Dzieje jaźni u Słowackiego;“ J. G. Pawlikowskiego: „Słowacki o przyszłym człowieku;“ St. Schneidera: „Słowacki jako gnostyk;“ J. Kleinera: „Król Duch—Zasadnicze pierwiastki treści i ich ewolucya w twórczości Słowackiego;“ T. Grabowskiego: „Słowacki w okresie powstania „Lambra;“ T. Dąbrowskiego: „O Trójcy w „Królu Duchu.“ Oprócz rozpraw powyższych bogaty jest również dział „notatek,“ zawierający szereg pomniejszych przyczynków do życiorysu lub charakterystyki twórczości Słowackiego. Dopełniają tomu liczne recenzje, wśród których odznacza się prawdziwie benedyktyńską sumiennością gruntowna ocena (na 113 stronach!) zbiorowego wydania dzieł poety, pióra Juljusza Kleinera. Na zakończenie podana została bibliografia o Słowackim, zestawiona przez d-ra W. Hahna.

— LEOPOLD MÉYET. *Słowacki i Wiszniewski*. Przyczynek do życiorysu poety. Warszawa, 1909. Księgarnia L. Biernackiego. Str. 24 z dwoma portretami.

Znany badacz literatury naszej, p. Méyet, przedstawił w szkicu niniejszym nieznaną dotychczas stosunek autora „Kordyana“ do Michała Wiszniewskiego. Autor korzystał z niewydanych listów poety, które opatrzył w druku stosownymi przypisami i uwagami. Wydanie książki bardzo staranne.

5 1/2 Pol. 11  
 CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— HOMILETYKA. Pismo miesięczne. Rok XIII. Luty, 1910. Włocławek. Rozprawy. Ks. M. N.: Zadanie szkoły i domu rodzicielskiego, aby zaszczerpić w sercu młodzieży zamilowanie miłosierdzia i społecznej działalności (dok.);— Ks. Zygmunt Goliań: Lekkomysłność ducha, szkic do konferencyj duchownych, z niedrukowanych rękopisów zestawil Ks. M. N. (dok.);— Zarys wymowy;— Trudności urzędu kaznodziejskiego (c. d.);— Kazania katechetyczne;— Kazania na niedziele;— Kazania uroczystości tajemnic P. Jezusa;— Nauki przygodne treści społecznej;— Bibliografia.

— PAMIĘTNIK LITERACKI. Czasopismo kwartalne. Rocznik VIII. 1909. Lwów. Lutosławski Wincenty: Dzieje jaźni u Słowackiego;— Pawlikowski Jan Gwalbert: Słowacki o przyszłym człowieku;— Schneider Stanisław: Słowacki jako gnostyk;— Kleiner Juliusz: Król Duch. Zasadnicze pierwiastki treści i ich ewolucya w twórczości Słowackiego;— Grabowski Tadeusz: Słowacki w okresie powstania „Lambra“;— Dąbrowski Tadeusz: O Trójcy w „Królu Duchu.“ Notatki;— Hahn Wiktor: Kilka notatek o Euzebiuszu Słowackim;— Mościcki Hen-

ryk: Józef Massalski—guwerner Słowackiego; — Jankowski Władysław: Z emigranckiej doli; — Stroński Stanisław: Wpływ Dantego w „Grobie Agamemnona“; — Hahn Wiktor: „Smutno mi Boże“ Juliusza Słowackiego w poezyi polskiej;—Ryniewicz Antoni: Nowe objaśnienia tytułu Anhellego;—Zawadzki Stefan: O nieznanem francuskim tłumaczeniu Anhellego; — Turowski Stanisław: Geneza narodu w „Lilli Wenedzie“; — German Juliusz: Projekt uzupełnienia „Złotej czaszki“;—Hahn Wiktor: Tłómaczenie niemieckie „Genezis z Ducha“;—Mączewski Przemysław: Wernyhora;—Hahn Wiktor: W sprawie kartki z autografu „Króla Ducha“; — Kleiner Juliusz: Zborowski jako „kefaloforos“; — Dąbrowski Tadeusz: Wąż saturnowy;—Grabowski Tadeusz Stanisław: Słowacki o piśmiennictwach słowiańskich;—Chybiński Adolf: Juliusz Słowacki w muzyce polskiej;—Meyet Leopold: Szczątki korespondency Juliusza Słowackiego;—Gubrynowicz Bronisław: Z nieznanych rękopisów po Słowackim;—Treter Mieczysław: Pamiątki po Słowackim w Muzeum im ks. Lubomirskich we Lwowie (z 15 tablicami);—Kozicki Władysław: Sceniczna przyszłość dramatów Słowackiego;—Materiały;—Recenzye i sprawozdania;—Bibliografia;—Poprawki i uzupełnienia.

— PRZEGLĄD NARODOWY. Rok III. Luty, 1910. Tom V. № 2. Zygmunt Balicki: Złoty Róg; — Narcyz Ogończyk: Stosunki etnograficzne na Litwie; — Aleksander Kraushar: Zagadkowy korespondent;—Stanisław Kozicki: Sprawa serbska i polityka Austro-Węgier na Bałkanie;—Maryan Lutosławski: Ordynacya wyborcza w Samorządach miejscowych; — Piotr Bańkowski: Norwidowe poglądy na sztukę;—A. Sadzewicz: Przegląd spraw polskich;—B. Wasiutyński: Przegląd polityki zagranicznej;—Z prasy;—Bibliografia.

— PRZEGLĄD POLSKI. Tom 175. № 524. Zeszyt VIII. Luty, 1910. Kraków. D-r Alfred Halban: Józefa Milewskiego „Zagadnienia narodowej polityki“; — D-r Zdzisław Jachimecki: Józef Haydn 1732—1809 (c. d.);—D-r Kazimierz Maryan Morawski: Poniatowscy zagranicą; — Teresa z Potockich Wodzicka: Ze zwierzeń dziewczęcych. Pamiętnik Zofii z Matuszewiczów Kiekiej. 1796—1822 (c. d.);—Konrad Ostrowski: Listy z Francyi. XVII;—Kronika literacka;—A. E. Balicki: Teatr Krakowski;—\* \* \* Przegląd polityczny.

— PRZEGLĄD POWSZECHNY. Rok dwudziesty siódmy. Zeszyt 2. Luty, 1910. Kraków. Ks. Mieczysław Kurnowicz T. J.: W sprawie młodzieży pracującej;—Ks. Karol Felis T. J.: Ostatnie dziesięciolecie archeologii chrześcijańskiej;—Adam Wrzosek: Esperanto i znaczenie jego dla nauki; — Walery Gostomski: Praca u podstaw w powieściach Orzeszkowej (c. d.);—Stanisława Pietraszkiewiczówna: Dzieje Filomatów w zarysie (c. d.);—Przegląd piśmiennictwa;—Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

— PRZEWODNIK NAUKOWY I LITERACKI. Rok XXXVIII. Tom XXXVIII. Zeszyt III. Marzec, 1910. Dodatek do „Gazety Lwowskiej.“ Lwów, 1910. Franciszek Szymusik: Julian Dunajewski. Jego poglądy ekonomiczne i skarbowe i działalność ministerjalna. Szkic z dziejów skarbowości austriackiej;—Aleksander Kraushar: Podróże królewicza polskiego, późniejszego króla Augusta III. Z dyaryusza rękopiśmiennego;—G. Smólski: Orawa i jej ludność polska;—Wło-

dzimierz Zazula: Felicyan Medard Faleński. Studium literackie;—D-r Tadeusz Grabowski: Krytyka Literacka. Na emigracyi (1831—1848);—Wacław Jaskłowski: Żarnowice i jego okolice. Zarys historyczno-etnograficzny; — Kazimierz Woźnicki: Listy paryskie.

— RZECZPOSPOLITA. Dwutygodnik polityczny. 5 marca 1910. Lwów. Neoslawizm w Polsce; — Stan finansów krajowych; — Mniejszości narodowe a szkoła;—Ś. p. Wanda Szczepanowska;—Wiadomości polityczne;—Rada narodowa;—Subwencye budowlane;—W Kole Polskiem;—Zeznania Rakowskiego w Landtagu;—Kronika.

## BIBLIOGRAFIA.

### KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

D'ANNUNZIO GABRIELE: Ogień (Il Fuoco). Powieść. Z włoskiego przełożył Leopold Staff. Lwów, 1910. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł).

DIDEROT DENIS: Kuzynek mistrza Rameau, z rozprawą J. W. Goethego, przełożył Leopold Staff. Wydawnictwo „Symposion.“ Lwów, 1910. Księgarnia Polska.

DUMAS ALEKSANDER (Ojciec): Karol Szalony. Powieść historyczna. Tom I z 12 ilustracyami. Warszawa, 1910. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i Sp.

GASSOWSKI KONSTANTY: Vendeta (zemsta). Powieść sceniczna. Warszawa, 1910. E. Wende i Sp.

HAMSUN KNUT: Rewolucya. Strach śmierci, — i inne nowele. Dodatek bezpłatny dla prenumeratorów „Kuryera Litewskiego.“ Wilno, 1910.

JACKIW MICHAJŁO: Wieczorne psoty. Dziewczyna na czarnym rumaku, i inne opowiadania. Z ukraińskiego przetłómaczył Sydir Twerdochlib. Wydawnictwo „Biblioteki Dzieł Wyborowych.“ Warszawa, 1910.

KOCHANOWSKI J. K.: Echa prawieku. Warszawa, 1910. E. Wende i Sp.

ŁUKASZKIEWICZ CZESŁAW: O Jasiu i Marysi. Lwów, 1910. Księgarnia Polska. Warszawa, E. Wende i Sp.

MARYLSKI ŁUSZCZEWSKI ANTONI: Historia włościan w Polsce. Czasy najdawniejsze do początków XIII w. Wolna ludność wieśniacza. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff.

MENGER ANTONI: Prawo do całkowitego wytworu pracy. Tłómaczenie J. H., pod redakcyą K. Lutostańskiego. Z przedmową Zofii Daszyńskiej-Gołoskiej. Warszawa, 1909.

MICHAŁOWSKI ZYGMUNT: Bębniarz. Nowele. Z przedmową Zdzisława Dębickiego. Warszawa, 1910. Nakład Jana Fiszera.

NOWELE WĘGIERSKIE w tłumaczeniu Czesława Łukaszewicza. Lwów, 1910. Nakład Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł).

OSTROWSKA BRONISŁAWA: Chusty ofiarne. Warszawa, 1910. Wydawnictwo Jakóba Mortkowicza „Pod znakiem poetów.”

PRACE TOWARZYSTWA NAUKOWEGO WARSZAWSKIEGO. № 1. Materiały do dziejów Komisji Rządzącej. Korespondencya Komisji z delegatami do Drezna, Ludwikiem Gutakowskim i Stanisławem Potockim, wydał Henryk Konic. Z przedmową Wł. Smoleńskiego. Warszawa, 1910. № 2. Ign. Tad. Baranowski: Materiały do dziejów wsi polskiej. Zeszyt I. Warszawa, 1909.

REINHOLD J., D-R: Berte aus Grans pies w literaturach germańskich i romańskich. Ze studyów porównawczych nad średniowieczną epiką. Kraków, 1909. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej.

LA ROCHEFOUCAULD: Zdania i uwagi moralne, przełożył Leopold Staff. Wydawnictwo „Symposion.” Lwów, 1910. Księgarnia Polska.

RYDEL LUCYAN: Z greckiego świata. Warszawa, 1910. Lwów. Nakładem księgarni St. Sadowskiego. Nowości literackie.

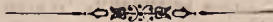
SŁOWNICZEK PRZĘDZALNICZY W PIĘCIU JĘZYKACH. Napisał i opracował Adam Trojanowski. Wydawnictwo „Przeglądu Technicznego.” Warszawa, 1910. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł).

SMREK JÓZEF: Nad Lemanem. Kartki z pamiętnika turysty. Lwów, 1910. Nakł. Tow. Wydawniczego. Warszawa, E. Wende i Sp.

STAFF LEOPOLD: Ptakom niebieskim. Wyd. II. Lwów, 1910. Księgarnia Polska. Warszawa, E. Wende i Sp.

SULIMOWSKI ANTONI: Poezye. Warszawa, 1910. E. Wende i Sp.

ŻMIGRODZKI MICHAŁ, D-R: „Gustaw Konrad” Mickiewicza i „Faust” Goetego. Nadbitka z „Ateneum Kapłańskiego.” Włocławek, 1909. Skład główny u autora i w księgarni Wendego w Warszawie.




---

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURZYCY hr. ZAMOYSKI.

---